

P. 9786 (SM)
Arch.

ISSN 0023-5148

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 1/472-2/473

1987



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

Zb. ROMASZEWSKI: **BEZDROŻA "SOLIDARNOŚCI"**

Zb. BYRSKI: **SOWIECKI ARSENAŁ NUKLEARNY**

O.L. BOFF, OFM: **KOŚCIÓŁ UBOGICH**

Zb. HERBERT: **PRZEMIANY LIWIUSZA**
NAGRODY "KULTURY" ZA ROK 1986

SPIS RZECZY

Zbigniew Romaszewski:	<i>Bezdroża „Solidarności”</i>	2
Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Dziennik pisany nocą</i>	28
Marek Zieliński:	<i>Inaczej</i>	37

WIERSZE

Zbigniew Herbert:	<i>Dęby</i>	41
Zbigniew Herbert:	<i>Bajka o gwoździu</i>	42
Zbigniew Herbert:	<i>Przemiany Liwiusza</i>	43

ARCHIWUM POLITYCZNE

Zbigniew Byrski:	<i>Sowiecki arsenał nuklearny</i>	45
Wiesław Szukalski:	<i>Dwie Europy środkowe</i>	49

O RELIGII BEZ NAMASZCZENIA

Rubem Cesar Fernandes:	<i>Wywiad z O. Leonardo Boffem, OFM</i>	56
O. Leonardo Boff, OFM:	<i>Kościół ubogich</i>	56
Józef Szrett:	<i>Kościół i państwo</i>	68
Dominik Morawski:	<i>Korespondencja z Rzymu</i>	74

K R A J

Ernest Skalski:	<i>O leniwych Polakach</i>	81
—	<i>Apel o pomoc chorym w Polsce</i>	96

SĄSIEDZI

Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	97
Andrzej J. Chilecki:	<i>Kronika niemiecka</i>	102

AKTUALNE WSPOMNIENIA

Marek Szerszeń:	<i>Moja odpowiedź</i>	107
-----------------	-----------------------------	-----

KRONIKA KULTURALNA

Rafał Grupański:	<i>Nędza literatury</i>	133
Leszek Szaruga:	<i>Kultura niezależna a struktury oficjalne</i>	149
Konstanty A. Jeleński:	<i>„Górami w miękkim blasku dnia”</i> ..	163

NAGRODY „KULTURY” ZA ROK 1986

—	<i>Nagroda literacka im. Zygmunta Hertza</i> — Jarosław M. Rymkiewicz	171
—	<i>Nagroda publicystyczna im. Juliusza</i> <i>Mieroszewskiego — Paweł Morga</i> ..	172

WYWIADY „KULTURY”

Redakcja „Arki”:	<i>Filolodzy contra komunizm</i>	173
------------------	--	-----

K S I A Ź K I

Maria Danilewicz Zielińska:	<i>Krakowska dyskusja</i>	191
Michał Heller:	<i>Wspomnienia współbiednika bogów</i> ..	194
Renata Gorczyńska:	<i>Czarne lasy, czarne wody</i>	198
—	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i>	200



—	<i>Wydarzenia miesiąca oraz kroniki:</i> <i>francuska, niemiecka i norweska</i> ..	202
---	---	-----

Z OSTATNIEJ CHWILI

(j.a.):	<i>Notatki z Polski</i>	212
---------	-------------------------------	-----



H. Martinowa „Dorota”, Wy-	<i>dawcy Orła Białego,</i> J. Kowalewski:	<i>Listy do Redakcji</i>	219
—		<i>Odpowiedzi Redakcji</i>	221

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Styczeń/Luty - Janvier/Février 1987

INSTYTUT  LITERACKI

PODZIĘKOWANIE

Wystawę pt. „Kultura i jej krąg” — otwartą 11 grudnia 1986 w Bibliotece Polskiej w Paryżu — oglądaliśmy tak jak tłumnie zebrani goście — po raz pierwszy. Była ona dla nas prawdziwie wzruszającą niespodzianką. Po raz pierwszy — w doskonałym i przejrzystym skrócie — zobaczyliśmy nasz 40-letni dorobek.

Chcemy tutaj w krótkich słowach najserdeczniej podziękować wszystkim tym, którzy — wraz z organizatorami tej wystawy Grażyną i Krzysztofem Pomianami — pracowali nad nią z tak ogromną ofiarnością przez prawie rok czasu a zwłaszcza: Barbarze Askanas, Sewerynowi Blumsztajnowi, Jolancie Chojeckiej, Teresie Dzeduszyckiej, Wojciechowi Karpińskiemu, Jackowi Krawczykowski, Andrzejowi Mietkowskemu, Joannie Pomian, Ewie i Krzysztofowi Rutkowskim.

Dziękujemy również dyrektorowi Biblioteki Polskiej, Eugeniuszowi Zaleskiemu za udzielenie gościny dla naszej wystawy w tym historycznym gmachu, oraz wszystkim tym, którzy pomogli Przyjaciołom *Kultury* do zrobienia tej wystawy.

REDAKCJA

WPLATY NA FUNDUSZ « KULTURY »

Maria Barska, New Haven, CT (USA) — \$ 25,00	F. 165,50
Zdzisław M. Bobrowicz, Princeton, N.J. (USA) — z okazji 40-tolecia Instytutu Literackiego — \$ 1.000,00	F. 6.500,00
Dr Krzysztof Boreyko, Easton, CT (USA), po raz 7-my — \$ 116,00	F. 754,00
Bob L. Borowicz, Santiago de Chile, po raz 7-my — DM 165,00	F. 545,00
Aleksander I. Bragiński, Pittsburgh, PA (USA), po raz 27-my — \$ 100,00	F. 650,00
Wanda i Czesław Deminet, Albuquerque, N.M. (USA), po raz 16-ty — \$ 24,00	F. 156,00
Krystyna Dziembowska, Moraga, CA (USA) — \$ 6,00	F. 39,00
Julio Dzanott, Rosario de Santa Fé (Argentyna), po raz 11-ty — \$ 94,00	F. 611,00
J.W.S., Los Angeles, CA (USA) — w 40-lecie <i>Kultury</i> — po raz 15-ty — \$ 50,00	F. 325,00
Hella Jürgens, Hamburg (RFN) — w 40-lecie <i>Kultury</i> z wdzięcznością za starania o poprawę stosunków polsko-niemieckich — DM 500,00	F. 1.615,00
A. Kolator, Londyn, po raz 10-ty — £ 10,00	F. 94,00
C. Kulikowski, Drap (Francja)	F. 100,00
Prof. Dr Kazimierz Laski, Wiedeń, po raz 13-ty	F. 310,00
Bogdan Marison, Paryż — US \$ 50,00	F. 325,00
Witold i Renata Mikułowscy, Konakry (Gwinea), po raz 8-my	F. 720,00
Jan F. Morelewski, Evergreen Park, IL (USA), po raz 15-ty — \$ 25,00	F. 162,50
Seweryn Palicki, Lidino (Szwecja) — zamiast życzeń świątecznych — Krs 100,00	F. 95,00
Julian Pawłowski, Toronto, Ont. (Kanada), po raz 2-gi	F. 50,00

(Dalszy ciąg Wpłat na str. 223)

1987 W 1039

Rozdroża „Solidarności”

Mówiąc o sytuacji jaka nastąpiła po 11 września 1986 roku, jeden z doradców KK „Solidarności” stwierdził, że kroku tego nie należy przeceniać, ale również nie należy nie doceniać. Być może ta generalna, zawsze słuszna zasada dawałaby się zastosować i tym razem, gdyby nie reakcja środowisk opozycyjnych na to, co się wydarzyło.

Kolejne działania różnych grup przedsiębrane w tajemnicy przed sobą nawzajem, aby uniknąć niepotrzebnych sporów, dyskusji, aby zaskoczyć (nie wiadomo kogo — przeciwnika, kolegów?) stworzyły stan, którego nie wahałbym się określić jako kryzys solidarności środowisk opozycyjnych, a to jest fakt, którego trudno nie docenić. Pewna zmowa milczenia, która pokrywa istniejące konflikty grupowe, gdyż programowych nikt nie próbował określić, ma stanowić namiastkę jedności i przekonać społeczeństwo, że jednak nie jest źle.

Może rzeczywiście nie jest bardzo źle, ale o tym jak jest warto mówić otwarcie, bo tylko jasna ocena sytuacji może stanowić bazę dla pozytywnych zmian, a wszelkie przemilczenia i niejasności zbliżają nas niebezpiecznie do metod naszych przeciwników. Zapewne istnieją działania pozwalające na bardziej lub mniej skuteczne manipulowanie ludźmi, jednakże o sensowności tych lub innych działań nie decyduje ich skuteczność manipulacyjna, lecz ich wewnętrzna zgodność z wartościami, których realizacji mają służyć. Doświadczenia ideologii komunistycznej powinny tu być wyraźną przestrogą.

Nowa sytuacja

Próbując naświetlić sytuację jaka zapanowała w kraju, należy

zacząć oczywiście od uwolnienia wszystkich więźniów politycznych. Warto zauważyć, że decyzja ta przechodziła bardzo różne koleje i musiała budzić ogromne kontrowersje w środowisku władzy. Ostateczna niezmiernie spektakularna decyzja stanowiła zaskoczenie dla wszystkich.

O ile wiadomo, pierwsze projekty, z okresu przed zjazdem, dotyczyły szerokiej amnestii. Po aresztowaniu warszawskiego RKW i Zjeździe PZPR zaowocowało to niezwykle skromną i dość bałamutną ustawą z 17 lipca „O szczególnym traktowaniu pewnej grupy przestępców”. Pierwsi ludzie zaczęli wychodzić z więzień i zaświtała nadzieja, że zapewne w atmosferze kolejnych przetargów wszyscy w jakimś rozsądnym czasie, np. do końca tego roku, wyjdą. Ostatnia dekada sierpnia i początek września odebrały i taką nadzieję. Opieszale realizowana ustawa została jak gdyby zastopowana i zarówno prokuratorzy jak i sądy zaczęły odmawiać skorzystania z ustawy — *vide* sprawa Mariana Kotowskiego, Witka Biesiekińskiego i inne. W tej sytuacji akcja masowych wezwań na przesłuchania 11 września została odebrana jako nowa fala terroru i dopiero wieczorem nastąpiła ulga, wszyscy wychodzą.

Trudno zaprzeczyć, że było to bardzo efektowne, a wpisanie się ministra Spraw Wewnętrznych Cz. Kiszcza w kontekst dobrej nowiny należy uznać za jedno z błyskotliwszych posunięć socjotechnicznych.

Z punktu widzenia praworządności komunikat mógł budzić zastrzeżenia, że to nie sejm aktem amnestyjnym, czy też niezawisłe sądy zgodnie z ustawą z 17 lipca przywracają ludziom wolność, lecz po prostu minister Spraw Wewnętrznych, ale w atmosferze ogólnej radości nikt takich wątpliwości nie wyrażał.

Po doświadczeniach stanu wojennego formuła absolutyzmu oświeconego została przyjęta z wyraźną ulgą w bardzo szerokich kręgach społecznych.

Piszę o tym wszystkim dlatego, aby podkreślić, jak dziwne koleje losu przechodziła ta decyzja, jakie musiała wywoływać kontrowersje i w związku z tym, jak istotne znaczenie miała ona dla władz. Cóż więc skłoniło władze do tego kroku?

Odpowiedź na to pytanie pada na ogół jednobrzmiąca. Sytuacja międzynarodowa i katastrofa gospodarcza w kraju. Bojkot rządu generała Jaruzelskiego przez demokracje zachodnie, brak kredytów i sypiąca się z wielu przyczyn gospodarka to fakty dla wszystkich tak oczywiste, że aż nie wymagające komentarzy. Warto może jedynie zwrócić uwagę na dwa aspekty sprawy, dialog sowiecko-amerykański i sprawę amerykańskich sankcji.

Niezwykle kosztowny amerykański projekt obrony strategicznej wydaje się znajdować powyżej pułapu możliwego do osiągnięcia przez Związek Sowiecki, przynajmniej w obecnym stanie sta-

gnacji gospodarczej. Prowadzi więc on do utrwalenia przewagi militarnej Stanów Zjednoczonych, a próby niedopuszczenia do tego poprzez podjęcie własnego programu, o ile nie jest jasne czy skończą się sukcesem (przepaść technologiczna, rewolucja komputerowa), to na pewno doprowadzą do dalszego zaburzenia gospodarki i zubożenia społeczeństwa. Ile może wytrzymać człowiek sowiecki, tego nikt nie wie. W każdym bądź razie zaistniała sytuacja skłania ZSSR do podejmowania szeregu inicjatyw politycznych i nastawia go raczej „dialogowo”. W ramach tej polityki bojkot polityczny ekipy Jaruzelskiego przez Zachód jest bardzo niedogodny i dla odblokowania tych stosunków Związek Sowiecki skłonny byłby mniej pryncypialnie oceniać procesy wewnętrzne w Polsce (oczywiście bez przesady), aby umożliwić jej włączenie się do polityki międzynarodowej i zlikwidować wreszcie trzeciorzędność, ale za to bardzo jętrzącą kontrowersję.

Myślę, że ten styl polityki sowieckiej przesądził o możliwości podjęcia przez władze tak radykalnego, ich zdaniem, kroku i zdaje się otwierać jakieś dalsze możliwości.

Problem amerykańskich sankcji gospodarczych

Druga sprawa z dziedziny polityki międzynarodowej, przy której chciałbym się zatrzymać, to sprawa sankcji amerykańskich. Ostatnio była ona również przedmiotem pewnego zamieszania. Otóż grupa działaczy społeczno-politycznych z Lechem Wałęsą (a jakże) wystąpiła do prezydenta Reagana o zniesienie sankcji. Potem — nie wiem czy interpretacja ta była wymysłem ministra Urbana, czy też samych sygnatariuszy — tłumaczono, że posunięcie to było wynikiem zachęty ze strony amerykańskiej. W każdym bądź razie fakt miał miejsce, a strona amerykańska nadal myśli nad zniesieniem sankcji. Na marginesie warto zauważyć, że sytuacja ta powtarza się. Poprzedni raz mieliśmy do czynienia z jej pełną analogią w roku 1983, bezpośrednio po pierwszej amnestii.

Warto by więc było zdawać sobie sprawę, o co koniec końców komu chodzi i decyzję w tym przedmiocie podejmować w pełni świadomie. A atmosfera wokół sprawy sankcji panuje dość histeryczna i ze strony władz i ze strony opozycji. Jeśli chodzi o władze, to min. Urban poświęcił im tyle miejsca, że każdy już wie, iż antypolska polityka sankcji prezydenta Reagana poniosła kompletne fiasko mimo wyrządzenia ogromnych szkód gospodarczych. Polak to wie, ale nic z tego nie rozumie. Natomiast jeśli chodzi o opozycję, to opinia jest tutaj podzielona i pełny wachlarz poglądów w tej sprawie wyznaczają z jednej strony zwolennicy poglądu o ogromnej skuteczności politycznej sankcji, z

drugiej ci, którzy marzą o zielonej fali pieniążków z Ameryki, odmieniającej nasz nędzny los.

Pełnej, rzeczowej i wiarygodnej analizy problemu nie udało mi się nigdzie znaleźć, więc pozwolę sobie na kilka prymitywnych uwag laika, w nadziei, że może ktoś mnie oświeci. Każdy Polak rozumując znanymi mu kategoriami widzi Stany Zjednoczone poprzez prezydenta Reagana, jego administrację i politykę, a ponieważ ta zawsze sprzyjała „Solidarności”, chętnie zapomina, że USA to jednak kraj demokratyczny, że administracja to nie wszystko i że różne grupy interesów też mają swoje prawa.

Na Festiwalu Piosenki Niezależnej w Gdańsku 1981 roku ogólną wesołość budziła piosenka o bankierach, którym „włosy aż dęba stają” na skutek niewypłacalności Polski i nawet nie bardzo zdawaliśmy sobie sprawę, jak bliska jest ona prawdy.

Informacja o wprowadzeniu w Polsce stanu wojennego została w części kręgów finansowych USA przyjęta pozytywnie, jako próba zaprowadzenia ładu, który poprawi możliwości płatnicze Polski, natomiast trudną w tej sytuacji i radykalną decyzję prezydenta Reagana o wprowadzeniu sankcji przyjęto z daleko posuniętą rezerwą.

Nikt tu nie wyobraża sobie, że Polska spłaci zaciągnięte kredyty, ale powinna mieć możliwość obsługi długu. Pieniądze nie są po to, aby je mieć, ale po to, żeby procentowały. Sankcje reaganowskie, uniemożliwiające różnego rodzaju operacje finansowe, stoją temu na przeszkodzie i narażają wpływowe *lobby* banków amerykańskich na straty.

Podjęto więc wielokrotne próby zmierzające do zniesienia sankcji. Jedną z takich zaawansowanych prób miała miejsce w roku 1983, po amnestii.

Otóż wtedy, w sierpniu, w Polsce zjawia się specjalny wysłannik prezydenta Reagana, senator Dodd, który w rozmowie z przedstawicielami opozycji i Wałęsą ma ocenić sytuację panującą w Polsce i ustosunkować się do polityki sankcji. Ponieważ po amnestii 1983 roku ogromna grupa ludzi (w tym niżej podpisany) siedziała w więzieniu, to Wałęsa zgodnie ze zdrowym rozsądkiem ocenia akt amnestyjny chłodno i jest zdania, że dalsze utrzymanie sankcji jest celowe jako presja na poszerzenie procesów liberalizacyjnych. Senator zdaje sprawozdanie prezydentowi, sankcje zostają utrzymane, co w kołach bankowych wzmaga zaniepokojenie i podjęta zostaje kontrakcja. Poprzez różne wiarygodne osoby, dziennikarzy, doradców, listy, wywiera się na Wałęsę presję, aby zmienił stanowisko. Wałęsa w sprawach polskich stanowi dla Reagana autorytet. Tak więc rozpущa się pogłoskę w kręgach zawsze najlepiej poinformowanych, że los sankcji został już faktycznie przesądzony i ich zniesienie to tylko

kwestia dni. Wałęsa nie ma już w tej sprawie właściwie nic do powiedzenia, a jedynie może ratować swój prestiż występując wcześniej o ich zniesienie. Wałęsa ulega tej sugestii i nieprzekonywująco występuje w tym duchu. Jego wystąpienie natychmiast łąduje na biurku Reagana jako argument przeciwko sankcjom i Reagan, któremu to wszystko wydaje się dziwne, a poza tym zapewne posiada jakąś wiedzę o toczącej się akcji dezinformacyjnej podejmuje decyzję o... połowach.

Przytaczam tę anegdotę po to aby uzmysłowić, jak wieloaspektową i skomplikowaną sprawą jest sprawa sankcji i jakiej ostrożności i rozwagi wymaga.

Reasumując amerykański aspekt sprawy należy stwierdzić, że posiada ona istotne znaczenie finansowe dla wpływowego *lobby* bankowego, natomiast jej znaczenie polityczne dla administracji Reagana, w związku ze spadkiem znaczenia opozycji w Polsce i rozwojem inicjatyw sowieckich wydaje się być coraz mniejsze. Dokładnie odwrotnie wygląda sprawa sankcji z punktu widzenia Polski. Znaczenie gospodarcze systematycznie maleje, natomiast polityczne jeśli nie rośnie to przynajmniej nie traci nic ze swojej aktualności. Wszyscy, którzy obserwują trudności gospodarcze kraju, będą tym sądem zaskoczeni, tym nie mniej wydaje mi się prawdziwy.

Okres 5-ciu lat to okres dostatecznie długi, by władza zdążyła przynajmniej w najpilniejszych sprawach przeorientować polską gospodarkę na wschód. Jak bardzo jest ona kulawa to wszyscy widzimy, ale sankcje przestały godzić w najbardziej dla władzy newralgiczne punkty. Systematyczne zapewnienia o przeorientowaniu gospodarki i rosnącym jej uzależnieniu od ZSSR, to nie tylko szantaż w stosunku do Zachodu i własnego społeczeństwa, ale jakiś aspekt rzeczywistej prawdy. Tak więc sprawa sankcji przestała być pilna. Jednocześnie w odróżnieniu od części społeczeństwa, władze bardzo dobrze zdają sobie sprawę, że zniesienie sankcji, to nie to samo co nowy plan Marshalla, którego zresztą nie zaakceptowałyby ani najbardziej zainteresowane USA, ani nasz wielki sojusznik.

Tak więc lawina dolarów nie ruszy. Każdy paromilionowy kredyt trzeba będzie i tak wydierać skąpym i amoralnym bankierom, którzy bardzo szczegółowo i ostrożnie będą analizowali możliwości płatnicze Polski. Odzyskać procenty — tak, ale nie iść na szerokie inwestycje, nie, to zbyt ryzykowne. Pieniądze, zwłaszcza własne to bardzo ważna sprawa i nic tu perswazje nie pomogą. Natomiast z punktu widzenia polityki sprawa sankcji ma pryncypialne znaczenie. Jej wymowa polityczna jest taka oto: Stany Zjednoczone nie chcą uznać i zalegalizować faktu dokonanego, jakim było wprowadzenie stanu wojennego w Polsce, kraju należącym było nie było do wewnętrznej strefy interesów ZSSR.

Roszczą sobie prawo do oceniania systemu rządów w Europie Wschodniej, do kontrolowania realizacji konwencji i porozumień międzynarodowych dotyczących Praw Człowieka w tej części Europy. Prowadzą w tej sprawie aktywną politykę. Tego nie było od 1945 roku i jest to naprawdę zjawisko dla władz niepokojące.

Występując więc o zniesienie sankcji powinniśmy wiedzieć, że:

- a) rezygnujemy z pewnego politycznego precedensu,
- b) powinniśmy znać odpowiedź na pytanie jaka inna aktywna polityka rządu Stanów Zjednoczonych zastąpi politykę sankcji.

Obawiam się, że odpowiedzi na to pytanie nie zna nawet Departament Stanu i że alternatywą sankcji jest zniknięcie Polski ze sfery praktycznych zainteresowań Stanów Zjednoczonych.

Planując artykuł nie zamierzałem tak dużo miejsca poświęcić polityce zagranicznej, gdyż źródeł decyzji władz doszukuję się raczej gdzie indziej, a sam problem rozrósł się jakoś w trakcie pisania, gdy zdałem sobie sprawę, że słowo „sankcja” stało się w tej chwili również jednym ze słów wytrychów które, wielokrotnie powtarzane i nieanalizowane, niepostrzeżenie nabrały nowych nietrywialnych znaczeń.

Dezorganizacja życia społecznego

Jak już powiedziałem źródeł podjętej przez władze decyzji upatruję gdzie indziej. Przede wszystkim w analizie sytuacji wewnętrznej kraju. Składa się na to sytuacja ogólnospołeczna oraz sytuacja i rola opozycji demokratycznej. Oczywiście w powodzi frazesów i nowomowy wypełniającej oficjalne wystąpienia i artykuły prasowe trudno znaleźć oparcie dla tezy, że władza postrzega sytuację wewnętrzną kraju tak jak poniżej, ale teza przeciwna, że procesy zachodzące w kraju są całkowicie przez władzę niedostrzegane, wydaje się również dosyć bałamutna, tym bardziej, że niektóre z podejmowanych przez nie kroków (zwolnienie więźniów, Rada Konsultacyjna), wydają się w każdym razie wskazywać na poszukiwanie nowych dróg. Jeśli chodzi o sytuację ogólnospołeczna to cechuje ją przede wszystkim powszechna apatia i anarchizacja życia społecznego w stopniu dotąd nieznanym.

Przyczyny apatii są właściwie dla wszystkich oczywiste. Kryzys gospodarczy, inflacja, braki na rynku, powszechne ubożenie społeczeństwa, brak perspektyw dla młodzieży (w szczególności sytuacja mieszkaniowa), degradacja nauki i kultury. Tak można ciągnąć i ciągnąć. Na to nakłada się tragiczne dla społeczeństwa doświadczenie grudnia 1981 roku, które w powszechnym odczu-

ciu równoważne jest z twierdzeniem, że w tym kraju nie ma miejsca dla inicjatywy, dla entuzjazmu, że wszystko może zostać pogrzebane przy pomocy arbitralnych decyzji, że szary człowiek nie może niczego zmienić, że po prostu się nie liczy. W początkowym okresie po stanie wojennym ogromna część społeczeństwa wiązała nadzieję z podziemiem, ale gdy w ciągu 5-ciu lat opozycja nie zdołała osiągnąć namacalnych sukcesów, stan frustracji społecznej stał się prawie zupełny i nie ominął nawet najbardziej zaangażowanych działaczy Związku. Tak więc apatia.

Drugi element sytuacji to anarchizacja życia społecznego. Właściwie w każdej dziedzinie gospodarki, nauki, kultury, służby zdrowia i co kto sobie jeszcze życzy. Społeczeństwo generalnie poprzez wszystkich swoich członków wymówiło władzy posłuszeństwo. Podjęło nieumówiony i nieogłoszony przez nikogo bojkot, powszechną odmowę podporządkowania się rozporządzeniom władz. Podkreślam, żadna opozycja, tylko właśnie szary obywatel, przekupka na targu, profesor na uniwersytecie, robotnik za tołkarką, sprzedawczyni w sklepie, dyrektor fabryki, dziennikarz, ba, nawet w chwilach wolnych od służby funkcjonariusz SB i aparatczyk uznali, z różnych zresztą powodów, że władza jest indolentna i że jej rozporządzenia do niczego rozsądnego nie prowadzą i należy je respektować o tyle, aby nie podpaść. A margines swobody jest duży, gdyż władza pozbawiona bazy społecznej nie jest w stanie egzekwować swoich zarządzeń.

Rok 1981 podawany przez władzę jako przykład pełnej anarchii był, w stosunku do tego co obserwujemy obecnie, wzorem spójności działań społecznych, okresem niebywałego wprost szacunku i liczenia się z opinią władz. Koniec końców wówczas decyzje podjęte, dajmy na to przez dyrektora, I sekretarza i przewodniczącego „Solidarności” (pewno, że niełatwe i poprzedzone burzliwą dyskusją) były respektowane przez wszystkich. Dziś każda decyzja może być przez każdego oddzielnie zakwestionowana.

I tak się dzieje.

Nie ma ciała, które dysponowałoby dostatecznym autorytetem dla skorelowania społecznego wysiłku. Faktycznie, 5-cio-letni okres po stanie wojennym znacznie ograniczył wpływy opozycji na społeczeństwo, ale autorytet władzy nie wzrósł od tego ani na jotę.

Władza bez realizacji

Dziś władza w jakichkolwiek działaniach pozytywnych jest daleko bardziej sparaliżowana, niż to miało miejsce w czasach „Solidarności”, jest po prostu pozbawiona władzy. Może nas

zgnieść, stłamsić, wprowadzić terror lub liberalizację, ale nie jest w stanie namówić ludzi do wspólnego, kierowanego przez nią działania. Stała się rzecz właściwie bezprecedensowa, władza utraciła lojalność średniego aparatu kierowniczego.

Co miesiąc komunikat GUS-u jak refren powtarza przekroczenie funduszu płac o 10-20 % i podobny niedobór produkcji rynkowej. Inflacja rośnie. To nie zмова Rulewskiego z Gwiadą, tylko właśnie odmowa średniego aparatu. Ale czym może przemówić dyrektor do załogi, jeśli nie pieniędzmi? Ideologią, w którą część nie wierzy, a druga część jej nienawidzi? Za wszystko są teraz odpowiedzialni „ONI”. Dyrektor zakładu mówi „oni”, dyrektor zjednoczenia również, ba, dyrektorzy departamentów z ministerstwa i wiceministrowie też mówią „oni”. Któż więc naprawdę wie, kim owi oni są?

W początkowym okresie stanu wojennego minister Urban oświadczył, że „władza się sama wyżywi” i przekonał dziennikarzy zagranicznych, że do rządzenia wcale nie jest potrzebna żadna baza społeczna. Wydaje się, że ten okres samodurstwa mamy już za sobą i władza wewnętrznie bardzo cierpi, że nie jest lubiana.

Bagnetami można wszystko, tylko nie da się na nich siedzieć. Do okupacji kraju baza jest zbędna, choć kilku Quislingów zawsze się przyda. W miarę normalizacji stosunków rząd pozbawiony poparcia dostatecznie szerokiej grupy obywateli jest nie do pomyślenia. Władza pozbawiona jest wtedy możliwości wykonawczych i kontrolnych, przestaje być władzą.

I sukcesy osiągnięte w walce z opozycją nie są tu żadnym argumentem, bo problem nie tkwi w istnieniu szerszej lub węższej opozycji, ale w powszechnej, choć często nie posiadającej ideologicznego uzasadnienia, odmowie.

Rozpowszechniony jest pogląd, że ta władza nie posiada żadnego programu pozytywnego i jest tylko władzą dla władzy, a los kraju czy społeczeństwa w ogóle jej nie obchodzi. Nie podzielam tego poglądu, gdyż uważam, że u źródła nawet najbardziej irracjonalnych koncepcji politycznych można doszukać się elementów pozytywnych intencji. Stąd niepowodzenie musi budzić frustrację i próby dopasowywania programu do rzeczywistości. Ale mniejsza o moje idealistyczne poglądy, kiedy każdy wie, że poza krajem i społeczeństwem istnieje jeszcze Pakt i Wielki Brat, wobec których zobowiązani jesteśmy do określonych serwitutów, z których nie da się wykipić. Postępujący kryzys i dezorganizacja życia społecznego stawiają pod znakiem zapytania nasze możliwości wywiązywania się z tych zobowiązań. Jak długo to będzie tolerowane w obozie? Z tym trzeba coś zrobić.

Wraz z uświadomieniem sobie tego problemu, arogancja władzy zmalała i rozpoczęło się poszukiwanie dróg poszerzenia bazy społecznej, nastąpiły koncepcje otwarcia.

A więc poszukiwanie sojusznika w Kościele katolickim, pomysły Rady Konsultacyjnej przy Radzie Państwa, która miałaby otworzyć nową furtkę, obok starej, odrzuconej przez społeczeństwo furtki PRON-owskiej. Wreszcie umizgi do poszczególnych przedstawicieli środowisk opiniotwórczych, które w całej swej zasadniczej masie przeszły na stronę opozycji. Władza potrzebuje ludzi z autorytetem. W tej sytuacji rozwiązanie problemów związanych z więźniami politycznymi było sprawą nagłą. Do momentu, gdy więźniowie polityczni przebywali w więzieniach, nikt nie ryzykując swego autorytetu nie mógł podjąć współpracy z władzą. Dziś raczej są znacznie bardziej podzielone i podjęcie takiej współpracy nie musi być jednoznacznie ocenione jako akt kolaboracji. A władzy potrzebne są autorytety, wzorce społecznych zachowań, nie zaś skompromitowani kolaboranci.

Co się będzie dalej działo z tymi autorytetami? Władza wymagająca bezwzględного podporządkowania zdewaluuje je bardzo szybko. Ale to już inna historia. Sądzę, że właśnie ta potrzeba, potrzeba pozyskania jakiejś nowej bazy społecznej, potrzeba jeśli nie pozyskania, to przynajmniej zneutralizowania elit twórczych, była zasadniczym motywem podjęcia decyzji o wypuszczeniu wszystkich więźniów politycznych.

Zawsze zdumiewają mnie ci, którzy twierdzą, że czerwony jest po prostu czerwony, władza jest po prostu władzą czyli monolitem i nie ma tutaj w ogóle czym się zajmować. Zawsze budzi to we mnie podejrzenie, że sami nie są aż tak naiwni i bardzo szczegółowo śledzą grę wewnątrzpartyjną, ale dla maluczkich mają wersję uproszczoną. Co innego jest dawać się wpłatywać w jakieś wewnątrzpartyjne rozgrywki polityczne, rezygnując przy tym z realizacji pryncypiów, a co innego twierdzić, że tych rozgrywek nie ma i że władza to monolit. Wystarczy przyrzeć się uważniej „Solidarności”, aby dojść do wniosku, że środowisko partyjne, które powszechnie uważa się za daleko bardziej zdemoralizowane, musiało ulegać podobnym procesom dezintegracyjnym.

Tak więc decyzja wypuszczenia więźniów nie była dla władzy łatwa, trwała długo i przechodziła różne przeobrażenia. Sądzę, że ostatecznie o jej przyjęciu zadecydowało stanowisko ministra Spraw Wewnętrznych, realizującego zresztą już od pewnego czasu zupełnie nową, konsekwentną politykę walki z opozycją.

Nowa strategia walki z opozycją

Myślę, że ta sprawa jest bardzo słabo i często niewłaściwie rozumiana w kręgach opozycji. Jednocześnie uważam, że dokładne zdawanie sobie sprawy z założeń strategicznych przeciwnika jest koniecznym warunkiem powodzenia.

Opozycja analizująca działania władz położyła główny nacisk na działania represyjne, których znaczenie w polityce władzy już od pewnego czasu odgrywa rolę drugo- lub wręcz trzeciorzędą. Wynika to oczywiście z potrzeby każdego człowieka odniesienia się do ludzkiej krzywdy, niesprawiedliwości, bezprawia. Dola określonego człowieka, szykanowanie go, bicie, bezzasadne więzienie, narażanie na śmierć lub kalectwo w związku z przebywaną przez niego chorobą, odcięcie od rodziny, od bliskich, odmówienie mu prawa do godności, to wszystko wywołuje protest moralny u każdego normalnie rozwiniętego człowieka. Podejmowane są działania interwencyjne. Całe środowisko działa na rzecz kolegów, którzy podlegli represjom i jest to wyraz moralnego zdrowia i solidarności środowisk opozycyjnych. Jest to sprawa o tak zasadniczym znaczeniu, że jakakolwiek tolerancja w stosunku do krzywdy, w stosunku do represji byłaby wyrazem upadku ruchu. W tej sprawie nie możemy się cofnąć ani o krok, nie tracąc tożsamości i autentyzmu.

Jest jednak zupełnie czym innym reagować na represję, a czym innym zdawać sobie sprawę z rzeczywistych celów i metod działania służby bezpieczeństwa. Może na początek kilka słów wyjaśniających co policja może, a czego nie może. Ludzie, którzy przeżyli stalinizm wynieśli stamtąd jedno doświadczenie — policja wszystko może, a jeśli czegoś nie robi to albo dlatego, że nie chce, albo dlatego, że nie wie. Otóż z punktu widzenia technicznych możliwości represji — może bardzo wiele. Udowodniła to 13 grudnia 1981 roku, ale fakt, że wycofała się z represji to nie wynik dobrej woli, chce — nie chce, czy też wiedzy lub niewiedzy, ale po prostu wynik przyjętej koncepcji, maksymalnie skutecznej w danych warunkach społecznych i politycznych.

Na przykład, dlaczego 11 września przeprowadzono 3.000 rozmów zamiast wydać 3.000 wyroków więzienia? Sądy są tak dalece dyspozycyjne, że materiały dowodowe pozbawione są większego znaczenia i że właściwie każdego można zamknąć bez zadawania sobie zbędnego trudu. Cemu więc tego nie robi? Bo to stanowiłoby w oczach aparatu przyznanie się do fiaska 5-ciu lat polityki, bo to wywołałoby sprzeciw opinii publicznej na Zachodzie i w kraju, bo to w końcu mogłoby spowodować konsolidację pozostałej niewyaresztowanej opozycji i kompletną zmianę dość w końcu dobrze rozpracowanego stanu ugrupowań i struktur.

Mamy rok 1986, od śmierci Stalina przeszło 33 lata i wbrew temu co sądzą niektórzy, system wyewoluował, a pomysł masowych aresztowań musi wszędzie budzić niepokój i odrazę. Oczywiście pewna ilość frustratów z władz bezpieczeństwa i aparatu wyobraża sobie, że „jak my byśmy im przy...” to dopiero by zaprowadził porządek, ale w to już nikt z choć trochę inteligentniejszych ludzi nie wierzy.

Czy w związku z tym wykluczam masowe represje? Oczywiście nie. Są one technicznie możliwe do wykonania, a więc w pewnych warunkach, przy pewnej sytuacji politycznej mogą być użyte i to nawet w wymiarze przekraczającym 1981 rok, ale będzie się to wiązało z zasadniczymi zmianami polityki międzynarodowej, wewnątrzobozowej i wreszcie samej władzy.

Obecna sytuacja doprowadziła do wykształcenia się zupełnie nowej koncepcji policyjno-politycznej i jej realizacja tego typu działań nie przewiduje.

Doświadczenia 5-ciu lat przekonały władzę o tym, że:

1° represje mają ograniczone znaczenie odstraszające i zawsze w każdej chwili jest co najmniej 5.000 kandydatów do więzienia,

2° represje stanowią element konsolidacji opozycji i są jednym z podstawowych elementów uzasadniających jej istnienie,

3° kompromitują władzę przed własnym społeczeństwem i światową opinią publiczną,

4° niezależnie od spadku nasilenia represji inne czynniki powodują ograniczenie wpływu opozycji na społeczeństwo.

Czy jest możliwa pełna likwidacja opozycji? Nie sądzę i mam wrażenie, że Ministerstwo jest również tego zdania. Ruch wydawniczy rozrósł się na przykład na tyle, tyle osób jest z nim związanych również materialnie, że chyba nie sposób byłoby go kompletnie zlikwidować. Na miejsce zlikwidowanych wydawnictw przychodzą nowe i tak w kółko.

Czy w związku z tym władza jest całkowicie pozbawiona możliwości wpływania na niezależny ruch wydawniczy? Też nie. Istnieją dziesiątki sposobów ograniczenia znaczenia wydawnictw. Pierwszy wróg niezależnego ruchu wydawniczego to cena książki. Tego nawet nie warto uzasadniać. Gdy ogromnej części obywateli nie stać na kupno książek czy czasopism i nakłady ograniczają się do 1.000 maksimum 2.000, a takie nakłady mogą ewentualnie liczyć na odbiorcę z określonego, zamkniętego kręgu, to problem wydawnictw przestaje być dla władz tak palący jak się wydawał kiedyś. To my musimy się martwić jak z tego wybrnąć (choć nie czytałem, żeby ktoś się tym martwił), a nie policja. Oni w razie czego zaostrzą kontrolę nad dystrybucją papieru, ewentualnie podbiją cenę na czarnym rynku i będzie to w efekcie daleko skuteczniejsze niż wysłędzenie i zamknięcie jednej drukarni a następnie urządzenie procesu, w którym cała opinia publiczna stanie po stronie oskarżonych. To nie znaczy, że wydawnictw nie trzeba pilnować, kontrolować, to się robi żeby mieć rękę na pulsie, ale wsadzać lepiej nie tyle represyjnie co fakultatywnie, tych których w danym momencie warto. Którzy coś akurat organizują, skupiają w rękę kontakty różnych środowisk, są osią wokół której obraca się jakaś inicjatywa. Areszto-

wać ich chociaż na krótko. Inicjatywa się zawali, nici poplącą i trzeba będzie następne pół roku lub rok by wrócić do miejsca startu. Wyrok mobilizujący opinię publiczną jest tu zupełnie niepotrzebny, wystarczy 3-miesięczne kolegium (patrz Ustawa), albo nawet miesięczne śledztwo, nigdy nie zakończone. Innych za to można nie ruszać. Wiadomo, że nie łatwo zebrać na nich poważny obciążający materiał, że sprawa byłaby głośna, a z drugiej strony wiadomo, że są oni nierozdzielnie związani z ruchem wydawniczym i że kiedy się już wszystkie nici pogubią, od nich będzie można zacząć do nowa penetrację.

Piszę szerzej o ruchu wydawniczym bo akurat wydaje mi się, że tutaj władza postanowiła przyjąć bardziej liberalne formy działania, ale nowa polityka odnosi się do całej opozycji. Zastąpienie taktyki likwidacji opozycji poprzez represje taktyką kontrolowania działań i ograniczenia zasięgu oddziaływania społecznego zmienia całkowicie arsenał stosowanych środków i zagrożeń. Represja karna staje się sprawą wtórną, a pierwszorzędного znaczenia nabiera infiltracja, prowokacja, dezinformacja, intryga polityczna.

Takie środki proszę państwa też istnieją, są dużo trudniej zauważalne, a w ich skuteczność trudno wątpić. Tym bardziej, że opozycja nie ma tutaj wypracowanych żadnych koncepcji przeciwdziałania. Reakcje spotkać można różne, od nazywania prowokatorami działaczy Związku usiłujących przemówić do ludzi przez pewnego księdza, aż do negowania istnienia notorycznych agentów. (Człowiek, który mnie wydał policji długo jeszcze mimo sygnałów chodził w glorii zaufanego działacza). Jeśli by sądzić z doniesień oficjalnej prasy niezależnej, to problem infiltracji w ogóle nie istnieje. Ruch dzięki swej szlachetności uniknął szpicli. Prowadząc przygotowania do stanu wojennego nie organizowano sieci wywiadowczej. Ludzie, nie dajmy się zwariować!

Łatwo jest w tej sytuacji powiedzieć nie dajmy się zwariować, ale jak to zrobić? Odpowiedzi właściwie nie ma. Każde wyjście jest złe! Rozpętywanie atmosfery podejrzliwości nic tu nie załatwia, prowadzi do atomizacji środowisk, pogorszenia stosunków międzyludzkich, stwarza dodatkowe pole do intrygi i niszczenia ludzi wartościowych. Stan taki jak obecnie pozwala na zupełnie bezkarną infiltrację i kontrolę nad ruchem, ale jest chyba lepszy niż piekło podejrzeń. W sytuacji, gdy nie powstały żadne struktury zabezpieczające podziemie przed infiltracją, jedyną obroną jest czystość metod, precyzja zasad, wyrzeczenie się intrygi, plotki, pomówienia, odróżnianie się od przeciwnika, ale na to nas nie stać. Owszem, pewnym antidotum na to jest jawność, ale nim osiągniemy ją w stopniu dostatecznym dla oczyszczenia atmosfery, nie ulegajmy iluzjom i przyjmujmy rzeczywistość taką jaka ona jest.

Należy sądzić, że czerwcowe aresztowanie warszawskiego RKW i prowadzone dalej śledztwo raczej rozszerzyły wiedzę Służby Bezpieczeństwa i pozwoliły zapełnić białe plamy, jeśli nawet nie w sferze bezpośrednich struktur, to w sferze nastrojów, stosunków itp., co przy tym charakterze działań policyjno-politycznych ma znaczenie podstawowe.

Te elementy pozwoliły władzy stwierdzić, że niezależnie od wszystkiego posiada pełną kontrolę nad działaniami opozycji i przesądzić o decyzji z 11 września. W tej „pełnej kontroli” tkwi oczywiście sporo przesady i bardzo wiele zależy od nas, ale czas najwyższy by poza brutalnymi, prymitywnymi działaniami dostrzec również te znacznie bardziej groźne, znacznie bardziej wysublimowane metody.

Na koniec prawda może najbardziej przykra. Otóż musimy sobie zdać sprawę, że sytuacja w której związek istnieje ale jest pogrążony w chaosie, ulega alienacji, nie posiada ograniczonego, ale realnego programu działania, jest dla władzy korzystniejsza niż zupełne nieistnienie związku. Taki niedziałający związek może stanowić bardzo skuteczny piorunochron na wypadek spontanicznej burzy społecznych nastrojów. Władze planują na rok 1987 szereg bardzo niepopularnych decyzji dotyczących zamrożenia płac, być może również redukcji personelu. Działania takie mogą wywołać bunt i w tej sytuacji indolentne działanie związku, kunktorstwo może stanowić skuteczny środek rozładowania napięć społecznych.

Prawda to przykra, ale jeśli chcemy działać w rzeczywistym świecie, to musimy go poznać i znaleźć rozwiązanie, a nie uciekać w sferę mitów. Bo tak być może, ale nie musi. Jeszcze ciągle bardzo wiele zależy od nas.

Ruch po 5-ciu latach

Opisując elementy decyzji podjętej przez władzę, poświęciłem już sporo miejsca sytuacji wewnątrz opozycji i tu chciałbym jeszcze powrócić do kilku generalnych kwestii.

Otóż, to co napisałem poprzednio ma również swoją pozytywną wymowę. Zarówno jeśli chodzi o zasięg, jak i o stopień zorganizowania, opozycja jest dziś zupełnie inna niż ta, która raczkowała w roku 1976. To są rzeczy zupełnie nieporównywalne i trudności o których piszę wynikają nie z tego, że opozycji nie ma, że opozycja zanika, lecz z tego, że jej zadania, struktury i cele są niedopasowane właśnie do jej wielkości. W końcu fakt, że władza decyduje się w jakiejś mierze opozycję tolerować, a jednak w tym duchu interpretowałbym ostatnie posunięcia władz, jest już sam przez się dosyć wymowny. Nie wyniknął

z dobrej lub złej woli władz, ale był wynikiem pewnej społecznej konieczności. Opozycja traci wpływy, opozycja jest kontrolowana — wszystko to prawda, ale jeszcze ten dziesięć lat wcześniej wpływów nie traciła bo ich nie miała, nie była kontrolowana, bo jak kontrolować kilku lub kilkunastoosobowe grupy nieformalne, a mimo to należało ją wytepić do cna. Wszyscy pamiętają procesy szlachetnych starców — Wańkowicza, Millera, Grzędzińskiego, Cata-Mackiewicza. Opozycja była i jest doktrynalnie niedopuszczalna, ale władza musiała mieć dużo wolnego czasu, żeby się tym tak przejmować. Dziś go nie ma i przekonawszy się o niemożności skutecznej jej likwidacji, niezmiernie powoli i nieśmiało adaptuje się do sytuacji współistnienia z „ograniczoną i kontrolowaną opozycją”. Jest to naprawdę ogromny sukces, który może w istotny sposób wpłynąć na charakter systemu.

Oczywiście trudno przesądzać, jak trwać okaże się polityka władz i w świetle tego rozumiała jest ostrożność prof. Geremka, kiedy mówi o przecenianiu i niedocenianiu, ale niewątpliwie inicjacja tego typu polityki wyznacza nowy etap w dziejach stosunków opozycja - władza i wymaga ze strony opozycji nowych koncepcji zarówno organizacyjnych jak i taktycznych.

Koncepcje te muszą jednak bazować na realnych podstawach i uwzględniać cały szereg zjawisk negatywnych, jakie można zaobserwować. A więc odpływ zainteresowania szerokich mas członkowskich, zniechęconych brakiem sukcesów ze strony związku i pochłoniętych trudnościami życia codziennego. Zwyczajne ludzkie zmęczenie aktywu związkowego. 5 lat ustawicznego działania, biegania, spotykania się, przenoszenia, uciekania przed policją, czasem więzienia i areszty, to naprawdę bardzo dużo i trudno się dziwić normalnej tęsknocie za unormowanym, mniej więcej spokojnym życiem. Jeden etat w pracy i drugi lub nawet czasem więcej w działalności opozycyjnej, to zaczyna przekraczać ludzką wytrzymałość. A ponieważ ktoś, kto raz połknął bakcyła społecznego działania jest nim chyba na zawsze zarażony, wobec tego działa się coraz mniej efektywnie, z coraz mniejszą wiarą, coraz bardziej mechanicznie, byle utrzymać jakiś wpływ na toczące się wydarzenia, byle nie wypaść z gry. Na refleksję, na dystans brakuje już czasu. Zatraca się właściwy wymiar działań.

Jeszcze można działania zaplanować, pokierować, podyskutować czy skrytykować, coś napisać, ale łatwo, szybko, żeby nie zabrakło dużo czasu, natomiast znaleźć amatorów do tego by pojechali do ludzi aby im pomóc w ich codziennych problemach, rezygnując z bezpośrednich, wymiernych efektów politycznych jest coraz trudniej, na to sił już nie starcza, a przecież w szerszej perspektywie właśnie to nieefektywne działanie stanowi o sile ruchu.

Tak jak władza pozbawiona bazy społecznej traci władzę, tak

ruch wyalienowany, elitarny, przestaje stanowić skuteczną presję na rządzących.

Jeśli działacz chce się autentycznie porozumiewać z władzami, to musi reprezentować jakieś rzeczywiste problemy, społeczne aspiracje, cieszyć się społecznym poparciem. Jeśli reprezentuje zaś tylko siebie i trochę koncepcji swoich lub przyjaciół to nie przedstawia sobą niczego poza brakiem pokory i w każdej chwili stanie się przedmiotem politycznej manipulacji.

Wydaje mi się, że nim opozycja będzie gotowa do jakichkolwiek sensownych działań w kierunku porozumienia, musi przedtem bardzo dokładnie określić swoje cele, uzgodnić strategię i poszerzyć społeczne oddziaływanie, a o tym już od dość dawna nie było mowy.

Od pewnego czasu hasła zastąpiły pozytywne działanie. Najczęstszym hasłem jest walka z czerwonym. Jeśli mowa o walce elit, może jest to zręczny slogan, tylko cóż może obchodzić społeczeństwo. To jest dobry program dla byka a nie dla działacza społecznego.

Działanie społeczne wymaga konkretnego, wymaga odniesienia do bezpośrednich społecznych potrzeb, wymaga celów pozytywnych. Jest ich bez liku i trudno tu ustalić hierarchię, ale może rozsądniej będzie to zrobić niż operować abstrakcyjnymi sloganami. Jeśli związek stać na prowadzenie tylko jednego kierunku działania, lepiej prowadzić porządnie ten jeden, niż markować działanie w kilkunastu.

W tej sytuacji niefortunne i całkowicie arbitralne decyzje różnych władz związkowych (bo jest ich teraz mnóstwo), nie tylko nie przyczyniły się do poprawienia atmosfery i nakreślenia kierunków działań, ale raczej pogłębiły frustrację, zniechęcenie, apatię i wręcz ucieczkę w domowe pielesze pozostałych jeszcze „żołnierzy”.

Potrzeba nowych form działania

Analizując sytuację powstałą 11 września uważałem że:

1. W związku z daleko posuniętą dekonspiracją struktur podziemnych i pojawieniem się na powierzchni kolejnej, znacznej grupy działaczy, należy stworzyć nowe formy działalności jawnej, bez siania dodatkowego zamętu w podziemnych strukturach Związku, a za to w ścisłej z nimi współpracy.

2. Nie należy zajmować się pokazywaniem języka władzom, bo to jest zajęcie mało twórcze i mało poważne, należy raczej jakoś odnieść się do nowej polityki władz, kontynuowanie starego pod nowym szyldem do niczego mądrego nie prowadzi. Na miejsce starego sloganu „byliśmy, jesteśmy, będziemy” trzeba

powiedzieć coś nowego, świadczącego o żywotności związku i atrakcyjnego zarówno dla społeczeństwa jak i dla naszych sojuszników — związków zawodowych z krajów zachodnich demokracji.

3. Podjęcie takich decyzji i wypracowanie nowej polityki związku wymaga szerokiej platformy społecznej i dużego autorytetu ciała podejmującego tego rodzaju działania.

4. W związku z reprezentowaną przez władze tendencją „wyrywania” poszczególnych ludzi sympatyzujących z opozycją, należy stworzyć poparte poważnym autorytetem, nowe wzorce zachowań obywatelskich. Z punktu widzenia środowisk twórczych jest to niezwykle ważne. Filmowiec, który w ciągu pięciu lat sporadycznie dotykał kamery, radiowiec, który nie dysponował studiem, reżyser, który nie miał możliwości pracy z aktorem na scenie, dziennikarz, którego artykuł może ukaże się za 3 miesiące, ale nie może przekroczyć 3 stron maszynopisu, to ludzie, którzy stoją przed dylematem zdrady przyjaciół i wartości przez siebie uznawanych, bądź też rezygnacji z zawodu i drogi samorealizacji, którą obrali. Ludziom tym należy pomóc poprzez ustalenie na nowo na czym może polegać współpraca z oficjalnymi środkami masowego przekazu, a gdzie leży granica uczciwości i godności ludzkiej. Zamiast pozwalać na łamanie charakterów i erozję środowiska poprzez pomówienie i plotkę, zająć nowe, realistyczne stanowisko, wymuszając elastyczność stanowiska władz, poprzez solidarne występowanie i solidarne przestrzeganie raz ustalonych zasad.

Właśnie konsolidację środowiska, właśnie stworzenie nowej, wspólnej, szerokiej platformy porozumienia środowisk opozycyjnych uważałem za naczelne zadanie, jakie stanęło przed nami po 11 września 1986. Przesłanki te doprowadziły mnie do projektu utworzenia instytucji pozazwiązkowej — Komitetu Społecznego lub dowolnie inaczej nazwanego ciała na rzecz legalizacji Solidarności i pluralizmu związkowego. Nazwa całkowicie prowizoryczna mogłaby ulec przekształceniom. W skład tego ciała mogliby wejść członkowie i doradcy Komisji Krajowej „Solidarności”, ujawnieni działacze podziemia, ale również przedstawiciele rozwiązanych związków twórczych czy środowisk zdecydowanych podejmować jawne działania. Pozwalałoby to na włączenie przedstawicieli mniejszych ośrodków, niezdolnych do powołania samodzielnych, liczących się ciał. Budowałoby to ich autorytet w bardzo często nie łatwej sytuacji i jednocześnie pozwalałoby na objęcie oddziaływaniem terenu całego kraju. Liczebność nie stanowiłaby tu zasadniczej przeszkody, gdyż praca mogłaby się odbywać w grupach problemowych, terenowych lub środowiskowych. Wspólne decyzje podejmowane byłyby na spotkaniach przedstawicieli grup. Drugą zaletą byłoby wyjście poza for-

mułę związku. Jest to sprawa niezmiernie ważna, bo dziś po 5-ciu latach odpowiedź na pytanie czym jest „Solidarność” wcale nie jest łatwa. Spróbuję się tym problemem zająć w dalszej części artykułu, ale z góry muszę powiedzieć, że jest to problem o podstawowym znaczeniu, który powinien być rozstrzygnięty w szerokiej dyskusji, a oświadczenia niektórych działaczy typu „Solidarność to ja” uważam za mało konstruktywne i zatrącające uzurpacją.

Tak więc uniknięcie arbitralnych rozstrzygnięć, wysondowanie szerokiej opinii ludzi identyfikujących się ze związkiem, pozwoliłoby na wypracowanie nowej, aktualnej, powszechnie uznanej koncepcji związku, pozwoliłoby na bardziej jednoznaczne określenie celów i granic kompromisu. Byłoby ponadto dowodem na to, że „Solidarność” nie jest skostniałym mitem historycznym, ale żyjącą i ewoluującą ideą społeczną. Tego nie zastąpi tupet, ani nawet najbardziej dojrzałe lecz arbitralne koncepcje przywódców. Oczywiście jest że ciało takie, działające na rzecz związku, musiałyby pozostawać w ścisłym kontakcie z podziemnym kierownictwem związku i Lechem Wałęsą, ale jako ciało pozazwiązkowe nie wchodziłoby w kompetencje i nie zaburzało działania podziemnych struktur. Sam pomysł jako taki ma zapewne dużo wad i próba jego realizacji wymagałaby całego szeregu korekt, lecz chyba nie jest to istotne, istotne jest raczej, że w gruncie rzeczy nie było z kim go przedyskutować, nikt nie miał właściwie ochoty go usłyszeć i poddać merytorycznej krytyce, natomiast dowiedziałem się mnóstwa personaliów (że pomysł jest nierealny, bo ten z tym nie będzie pracował, że ten się po prostu nie sprawdził — oczywiście rozmówca się sprawdził, ponad wszelką wątpliwość, a ja też, tylko że... Nie wiadomo co tylko że...).

Cały czas usiłując rozmawiać na temat perspektyw i dalszej polityki związku odnosiłem wrażenie, że popełniłem jakiś towarzyski nietakt, że powołując się beczelnie na stare znajomości usiłuję załatwić sobie posadę: to jednak bardzo smutny i dość znamieny przejaw zaistniałej rzeczywistości. Potem nastąpiło szereg całkowicie nieskorelowanych i zaskakujących działań, doprowadzających do pełnej dezorientacji i chaosu.

Dawar w *Przeglądzie Wiadomości Agencji* zarzuca Lechowi Wałęsie całkowitą niekonsekwencję w kolejno podpisywanych przez niego oświadczeniach i trudno się chyba z tym nie zgodzić. No bo 29 września powołuje Tymczasową Radę NSZZ „Solidarność” i tego samego dnia podejmuje decyzję o skierowaniu do Rady Państwa listu, w którym nawołuje do zniesienia przejściowych przepisów stanu wojennego, blokujących pluralizm związkowy, przewidziany ustawą o związkach zawodowych z 8 października 1982. W dwa tygodnie później 12 października we wspólnym oświadczeniu z TKK (bez przedstawiciela Mazowsza) dys-

tansuje się od powołanej poprzednio Rady i składa kierowanie działaniami związku w ręce TKK. W międzyczasie podpisuje apel w sprawie zniesienia sankcji. Rzeczywiście trudno z tego wnioskować, jakie jest naprawdę stanowisko Wałęsy, ale jedno jest jasne, że nie zachwyca go sytuacja w której (i ja zacytuję elegancką choć może nie do końca trafną formułę *Wiadomości*) „lewicowy socjaldemokratyczny nurt przejął na siebie odpowiedzialność za dalsze losy związku”, i że próbuje się z tego jak może wykręcić. W końcu dla Wałęsy związek to związek, a nie któryś z nurtów i identyfikowanie się z jednym z nich wcale nie wzmacnia, lecz wręcz osłabia spójność „Solidarności”.

Jeśli chodzi o związek, to reprezentował on zawsze ogromną rozpiętość orientacji (np. bardzo silne i przemilczane wpływy KPN) i polityka Wałęsy zawsze bazowała na ustawianiu się powyżej tarć grupowych i nieidentyfikowaniu się z żadną z grup. Tak więc owa niekonsekwencja Wałęsy nie jest wcale niekonsekwencją, ale bardzo konsekwentną realizacją raz przyjętej linii nieangażowania się w wewnątrzwiązkowe tarcia. Zamieszanie, które z tego wynika potwierdza, że może lepiej było na początek wewnątrz szerokiej, jednoznacznie nieformalnej grupy przedyskutować co i jak robić, dowiedzieć się co sądzą ludzie, a dopiero potem ustalić kto przejmie odpowiedzialność za realizację programu. Odwrotne rozwiązywanie problemu przypomina trochę budowanie domu od dachu.

W powtarzanej pokątnie plotce zarzuca mi się, że rezygnuję z „Solidarności”. Nie jest to prawda, domagam się natomiast by przestać traktować „Solidarność” jako wartość samą w sobie, jako hasło wywołujące przychylne odruchy słuchaczy, niezależnie od treści, które się pod nie podkłada. Uważam, że o żywotności „Solidarności” przesądzą nie deklaracje, polityczne demonstracje, ale elastyczny, odpowiadający społecznemu zapotrzebowaniu i sytuacji politycznej — program, autentyczne działanie, faktyczne oparcie w zakładach pracy.

Solidarność działaczy nie jest „Solidarnością” i przestańmy się oszukiwać, używając nazwy ruchu masowego dla działań pewnych związanym z nim elit.

Jacek Kuroń w wywiadzie dla *Bazy* bardzo pesymistycznie ocenia perspektywę ruchu masowego, podobne wątpliwości wyrażam również ja i wówczas najczęściej słyszę: TKZ-ty tu, TKZ-ty tam związek żyje. Rzeczywiście są żywe TKZ-ty, to jest żywy związek, jeśli nie, to przestańmy „imię Pana Boga wzywać na daremno”.

Muszę zresztą powiedzieć, że przy pełnym szacunku dla determinacji i zaangażowania ludzi ogłaszających kolejne jawne komitety, autentycznym wydarzeniem politycznym był list do sejmu

bez mała tysiąca pracowników Huty Stalowa Wola i WSK Gozycze, domagający się przywrócenia pluralizmu związkowego na terenie zakładu. Niepokojące jest przy tym to, że wiadomość ta nie została podana przez żadną agencję zachodnią, w odróżnieniu od informacji o 20-30-osobowej demonstracji na ulicy Rutkowskiego lub licznych doniesień dotyczących stanowiska rozmaitych działaczy i intelektualistów co do zakresu współpracy z władzą. Tego typu selekcja informacji sprawia wrażenie jakby autentyczne przejawy życia związku były nieco ambarasujące, a na uwagę zasługiwała jedynie jego dekadencja. To zły znak.

Tak więc stało się źle po pierwsze dlatego, że powstało zamieszanie, po drugie dlatego, że nie wykorzystano szansy budowy wspólnej konsolidującej opozycję platformy porozumienia.

Jawność czy tajność

Poza tym zaistniała sytuacja postawiła przed opozycją dwa niezmiernie ważne problemy. Pierwszy — jawność czy tajność. Drugi, który właściwie nie został jasno sprecyzowany — a który posiada jeszcze donioślejsze znaczenie — ja formułuję jako pytanie. Co znaczy „Solidarność” AD 1986? Myślę, że problem jawność czy tajność jest problemem fałszywym, wynikłym raczej z nieporozumień i nieświadomości niż z rzeczywistych przesłanek, bo odpowiedź jest tak trywialna, że trudno sądzić, aby jej ktoś nie dostrzegł: i jawność i tajność współbrzmiejące, współpracujące, podporządkowane jednemu celowi. Jeśli chodzi o tajność, to po prostu nie wyobrażam sobie nikogo przy zdrowych zmysłach, kto w obecnej sytuacji mógłby zanegować potrzebę istnienia tajnych drukarni, tajnych redakcji niezależnych pism, tajnego radia, tajnej sieci kolportażu, wreszcie tajnych struktur zakładowych — choć to sprawa najbardziej złożona. Ujawnienie tych elementów prowadziłoby po prostu do ich likwidacji. Zresztą gdyby się nawet taki wariat znalazł, to i tak nikt by go nie posłuchał i sprawa w związku z tym jest czysto teoretyczna. Wymienione elementy stanowiły stały składnik polskiego pejzażu politycznego i jedynie tak radykalne zmiany jak zniesienie ustawy o cenzurze i zapewne nie pełnej swobody zrzeszeń mogłoby tu coś zmienić. Ale ponieważ w najbliższej przyszłości tak daleko idących zmian nie przewiduję, to uważam, że sprawa jest przesądzona.

Inaczej wygląda sprawa działań jawnych, tutaj w związku z ewoluującą polityką władz sytuacja jest zmienna i warta szerszego omówienia. Otóż po pierwsze, w określonym zakresie można działać jawnie. Zaraz po wyjściu z więzienia w 1984 uznałem, że działalność tajna jest dla mnie rzeczywiście niedostępna i jedynym sensownym co mogę robić jest jawne prezentowa-

nie swych poglądów, postawy czy egzekwowanie praw obywatelskich, a ponieważ te ostatnie są przez władzę skutecznie negowane, to postawa taka pociąga za sobą oczywiście pewne ryzyko, ale nie większe niż działalność podziemna. Na dodatek postawa taka nie była moim wymysłem, tylko była wyrazem sytuacji w jakiej znalazła się część działaczy po wyjściu z więzienia. Stojąc przed alternatywą przestać działać czy działać jawnie, wybrali to drugie i chyba nikt normalny nie ma o to do nich pretensji. Tajny Rulewski, Gwiazda czy Kuroń to po prostu paranoja, a wymóg, aby porzucili domowe pielesze i ukryli się jest chyba trochę zbyt wygórowany i mało realistyczny ze względu na ograniczone możliwości techniczne i ukrywania ludzi.

Po drugie działanie jawne jest, co tu ukrywać, daleko bardziej efektywne. W działaniu tajnym 90 % całego wysiłku idzie na umawianie kontaktów, przenoszenie korespondencji, gubienie „ogona”. Wydłuża się nieskończenie czas reagowania na konkretne wydarzenia. Na przykład w roku 1984 w okresie pomiędzy porwaniem a odnalezieniem zwłok księdza Jerzego ster wydarzeń znalazł się w rękach jawnego Seweryna Jaworskiego, który na plebanii kościoła św. Stanisława odtworzył mały jawny region, a więc nie w rękach oddalonego i nieuchwytnego RKW. I tak będzie zawsze. Co do tego nie można mieć złudzeń.

Po trzecie występowanie jawne poparte nazwiskiem, wyrabia autorytet działacza i poszerza sferę jego oddziaływania.

Po czwarte — jawność zwiększa możliwość osobistych kontaktów i w ten sposób prowadzi do szybszego i pełniejszego wyjaśniania nieporozumień, oczyszcza w jakiejś mierze atmosferę. Z drugiej strony pozwala na częstszą i szerszą wymianę poglądów co jest niezwykle owocne intelektualnie. Z rozrzuśnięciem wspominam czasy KOR-owskie, gdzie każdy pomysł, każdy pogląd mógł być dyskutowany, konfrontowany z innymi, wzbogacać się i w końcu przyjmować postać akceptowaną przez przygniatającą większość.

Po piąte — ludzie chcą działać jawnie i tylko w tej postaci możliwy jest ruch masowy. Stąd naturalna tendencja grupowania się przy kościołach czy też wchodzenie do samorządów, które w niektórych instytucjach pełnią właściwie rolę komórek związkowych.

Po szóste — 3.000 rozmów to jakieś oszacowanie ilości działaczy, którzy albo muszą znaleźć formułę jawnego działania, albo powinni z tego działania w ogóle zrezygnować. Wybór jest jasny i nie może budzić niczyjej wątpliwości.

Wydaje mi się zresztą, że wszystkie przedstawione powyżej punkty są całkowicie przekonujące i że w związku z tym alternatywa jawność czy tajność nie nasuwa autentycznego problemu,

ale raczej go maskuje. Wydaje mi się, że problem nie leży w tym czy działać jawnie czy tajnie, bo należy działać i tak i tak, lecz w tym by działać lojalnie, co zostało poważnie podważone przez ostatnie wydarzenia.

Działacz jawny ma nazwisko, ma dostęp do zagranicznych dziennikarzy, ma możliwości szybszego kontaktu i oddziaływania i jego przewaga w stosunku do działacza tajnego jest tak przygniatająca, że jest w stanie w każdym momencie w dowolny sposób nim zmanipulować. Cóż może na to działacz tajny? Może się najwyżej „wypiąć”. Ale bardzo dobrze wiadomo, ile to go będzie kosztowało. 5 lat zmarnowanego zaharowanego życia, nieprzespanych nocy, strachu, ryzyka i w końcu właśnie rezygnacja z działania, które weszło mu w krew, które stało się jego drogą samorealizacji. Działacz niejawni zawsze przegra. W końcu może się okazać, że przegra na tym cały ruch. Uczciwość, jednoznaczność kryteriów, dotrzymywanie umów i ostracyzm w stosunku do prób manipulacji to jedyne gwarancje, które można dać tym, którzy zdecydowali się działać w podziemiu, to jedyne sposoby odbudowy wzajemnego zaufania. Ale znowuż pytanie czy nas na to stać? A jest to sprawa być albo nie być opozycji.

Czym jest dzisiaj „Solidarność”

Czym jest dzisiaj „Solidarność” to pytanie, które może wręcz zadziwić swą naiwnością. Słowo to jest powtarzane przez wszystkich i to tyle razy, że jego treść powinna być powszechnie znana. A ja osobiście mam poważne wątpliwości, czy aby wszyscy na pewno rozumieją przez „Solidarność” dokładnie to samo, bo w przeciwnym wypadku może to być powodem szeregu nieporozumień i zadrażeń. Najprostszym pomysłem, tzn. że „Solidarność” to związek zawodowy posiadający określony statut, program i władze statutowe, znajduje chyba najmniej zwolenników. Choć nikt tego nie wypowiedział otwarcie, to fakt iż żadne z tych pojęć nie pojawia się w wiodących oświadczeniach wydanych po 11 września jest tego jakimś dowodem (przepraszam, oświadczenie TKK z 12 października w punkcie 1 powołuje się na statut, ale za to błędnie. Twierdzenie że NSZZ „Solidarność” składa się z autonomicznych organizacji regionalnych, a więc związek nie jest jednolitym związkiem tylko federacją, nie znajduje żadnego oparcia w statucie). Nie twierdzą ani, że to dobrze, ani że to źle, ale po prostu tak jest i jeśli się uważa, że struktura organizacyjna związku, jego program i władze to historia, to trzeba mieć odwagę jasno to wypowiedzieć i złożyć propozycję, co wobec tego nazywać związkiem, jakie elementy są istotne, a jakie nie.

Na jawnie działającą przez 16 miesięcy „Solidarność” nałożyło

się 5 lat działalności podziemnej w nowych warunkach i to musi być uwzględnione. A nie jest to łatwe. Koncepcja „społeczeństwa podziemnego” powiadała: „rezygnujemy z preferowania jednoznacznych struktur związkowych, działajcie spontanicznie, autonomicznie, twórcie niezależne inicjatywy. W warunkach stanu wojennego, liderzy nie są w stanie przyjąć odpowiedzialności za kierowanie związkiem, mogą jedynie wyznaczać generalne kierunki działania i korelować w jakiejś mierze działalność spontanicznych inicjatyw”. Taka była przecież treść wywiadu Zbyszka Bujaka i Wiktora Kulerskiego, taka była treść koncepcji społeczeństwa podziemnego akceptowanego przez TKK i warszawską RKW, i o przyjęcie tej koncepcji toczył się spór w pierwszym okresie stanu wojennego.

Tak więc inicjatywy zaczęły powstawać. Z jakichś pozamerytorycznych powodów, jedne były uważane za bardziej związkowe niż inne — pozostawało to sferą dość dowolnego uznania. Tak na przykład porozumienia międz Zakładowe, mimo iż stanowiły naturalny element organizacji podziemnego związku, bardzo długo były traktowane po macoszemu. Potem podjęto próby konsolidacji struktur związkowych. Bo z jednej strony TKZ-ty prowadzące działalność na terenie zakładów pracy i w większym lub mniejszym stopniu związane z problematyką wewnątrzzakładową, z drugiej strony pozazakładowe struktury społeczeństwa podziemnego, a więc praktycznie — jeśli nie brać pod uwagę kilku struktur, które jednoznacznie określiły swój pozazwiązkowy charakter — wszystkie inicjatywy i grupy nieformalne sympatyzujące z „Solidarnością” i działające na jej rzecz. A więc redakcje czasopism, drukarnie, wydawnictwa, ale również jawne struktury przykościelne, czy grupy obrony praw człowieka.

Duża aktywność grup pozazakładowych, wynikająca zresztą z nieco mniejszego zagrożenia (grupa przypadkowa, nie wiadomo gdzie jej szukać, można zachować anonimowość wewnątrz grupy, ludzie czują się bezpiecznie poza zakładem pracy) spowodowała, że ciężar działalności związku przesunął się jeszcze bardziej w stronę problemów ogólnospołecznych na niekorzyść wewnątrzzakładowych.

Tak więc sprawa nie jest prosta. Trudno nagle w 1986 roku powiedzieć, że np. związek to tylko struktury zakładowe, a reszta to jakieś tam może i pożyteczne ale nie związkowe inicjatywy. Jednakże nie mniej groźny dla związku jest proces, gdy *gros* działalności odbywa się poza zakładami pracy i kieruje się głównie w stronę problemów ogólnospołecznych.

Rozstrzygając czy „Solidarność” to nazwa pewnego frontu narodowego, grupującego wszystkie antytotalitarne orientacje opozycji, czy też po prostu *par excellence* związek zawodowy, musimy

o tym pamiętać. Jedno jest pewne, identyfikowanie związku z ludźmi reprezentującymi jedną, choćby najwspanialszą, koncepcję działania i odmawianie tego prawa zwolennikom innych koncepcji stanowi nadużycie i jest niezmiernie bliskie praktykom niesławnej WKP(b). Działanie takie, może skuteczne i efektywne w walce o władzę, traci jednak swój sens kiedy celem jest budowa pluralizmu i demokracji.

Uważam, że rozstrzygnięcie tego problemu ma znaczenie podstawowe, decydujące o kształcie organizacyjnym związku i opozycji i dopiero na bazie tego rozstrzygnięcia mogą zapaść decyzje dotyczące władz i reprezentacji związku na zewnątrz. Sądzę także, że ponieważ w sprawy związku było zaangażowane całe społeczeństwo, decyzji takiej nie sposób podjąć na forum czy to statutowych, podziemnych czy nawet połączonych władz związkowych. Uważam, że do wypowiedzania się na ten temat mają prawo wszyscy ludzie, którzy swą postawą i ofiarnością przyczynili się do tworzenia społeczeństwa podziemnego, niezależnie od tego czy byli członkami, pracownikami, czy tylko sympatykami związku. Tym również, aby nie przesądzić *a priori* o przyszłym kształcie związku, była podyktowana moja propozycja powołania szerokiego pozazwiązkowego ciała, które w ścisłej współpracy z podziemiem dałoby odpowiedź na nurtujący problem. Jedno jest pewne: odpowiedź musi być jasna i precyzyjna, bo tylko taka odpowiedź jest w stanie oczyścić atmosferę i stworzyć warunki współpracy.

Jeśli chodzi o moje stanowisko, to jest ono następujące: uważam, że odrodzenie „Solidarności” jako związku zawodowego może nastąpić tylko w zakładach pracy i dlatego uważam, że problematyka zakładowa powinna stanowić dominujący element polityki „Solidarności”.

Problemy polityki gospodarczej, ekologii, kultury czy praworządności powinny zostać przesunięte w sferę niezależnych inicjatyw wspieranych przez związek. Był już taki precedens z Komitetem Obrony Więzionych za Przekonania, który zachowując swą niezależność (tylko statut podlegał zatwierdzeniu przez związek) został uznany przez I Zjazd za agendę związkową.

Nie uważam, że prasa związkowa powinna przestać pisać o zagrożeniu zdrowia, środowiska, kryzysie gospodarczym czy polityce międzynarodowej, i żeby na to miejsce weszły praca, płace, i BHP, bo związkowiec to nie idiota i powinniśmy mu zapewnić możliwie najpełniejszą informację o świecie, ale kiedy powstaje problem czy związek jako taki ma poświęcać swe siły, a jest ich mało, ochronie zagrożonego środowiska czy walce o nowy Kodeks Pracy, to odpowiedź wydaje mi się całkowicie jednoznaczna przy całym szacunku i poparciu dla ekologów.

Jako naczelne zadanie dla związku w najbliższym okresie uważam:

1. Podjęcie walki o pluralizm związkowy przynajmniej na szczeblu zakładu.

Przykładem tego rodzaju działania, moim zdaniem niezmiernie pożytecznego, jest inicjatywa podjęta w Hucie Stalowa Wola i WSK-Gorzyce. Trudno ocenić w jak wielu zakładach pracy możliwe jest podjęcie tego typu działań, ale wydaje mi się że stworzenie sytuacji, w której poważna część załogi jest gotowa jawnie występować o przywrócenie pluralizmu związkowego powinno być celem każdego TKZ-u, sprawdzianem jego możliwości i wpływu w zakładzie pracy. Nie jestem idealistą i nie sądzę, że w ciągu dwóch miesięcy każdy zakład wystąpi z petycją, ale stworzenie tego rodzaju atmosfery, przywrócenie ludziom wiary w potrzebę i możliwość istnienia pluralizmu związkowego (patrz ustawa 8 października 1983), oznaczałoby żywotność idei „Solidarności”.

2. Rozwinięcie działań prowadzących do stworzenia przynajmniej częściowej ochrony pracownika — członka związku.

Przyjście z pomocą konkretnemu człowiekowi, w konkretnym zakładzie pracy, to jedyny sposób uniknięcia alienacji i powrotu w bramy fabryk. Uważam, że dziś jedynym naszym argumentem wobec ludzi jest konkret.

Jednym z takich działań jest działalność interwencyjna. W sytuacji związku nieuznawanego przez władzę jest ona bardzo utrudniona i może często okazać się nieskuteczna. Sądzę jednak, że stworzenie sytuacji, w której członek związku ma dokąd zwrócić się ze swoją krzywdą jest bardzo ważne. Jakoś można mu pomóc. Można zobjektywizować sytuację, wskazać drogi załatwienia, zapewnić pomoc prawną, wprowadzić do różnych tworzonych przez władze instytucji zajmujących się tego rodzaju sprawami. Uzyskać w tych instytucjach albo rzeczywistą pomoc, albo konkretne argumenty świadczące o ich zbiurokratyzowaniu i nieprzydatności (na przykład rzecznik praw obywatelskich, godna poparcia inicjatywa, której można zapewnić mnóstwo pracy).

Na koniec oddziaływanie przez kształtowanie opinii publicznej, zarówno lokalnej jak i ogólnokrajowej. Oczywiście jest, że podjęcie tego rodzaju inicjatywy na szczeblu ogólnopolskim nie jest pełnym załatwieniem sprawy ze względu na obfitość tego rodzaju problemów. Można będzie wkra-
czać jedynie w szczególnie trudne sytuacje. Główny ciężar miałyby wziąć na siebie zakłady pracy, to byłby najlepszy sprawdzian istnienia lub nieistnienia „Solidarności” wew-

nątrz zakładów pracy. Oczywiście region powinien tu służyć pomocą, radą, pomysłem, ale w żadnym wypadku nie będzie w stanie objąć opieką wszystkich pracowników, członków i sympatyków związku.

3. Utrzymanie wszystkich niezależnych inicjatyw powstałych w ramach społeczeństwa podziemnego po grudniu 1981 i otoczenie ich pomocą i opieką.

Jednocześnie konieczne będzie stworzenie im gwarancji niezależności i szerokiego pluralizmu światopoglądowego.

4. W oparciu o szeroką dyskusję społeczną wypracowanie formalnych zasad funkcjonowania Związku na obecnym etapie.

Sądzę, że miałyby to niebagatelne znaczenie dla poprawienia atmosfery i zapewnienia poczucia bezpieczeństwa poszczególnym inicjatywom.

Nie sądzę aby istniała obecnie możliwość powołania postulowanego przeze mnie szerokiego ciała, zbyt daleko zaszyły nieporozumienia, zbyt daleko postąpiła destrukcja zaufania. Ludzie zajęli się ochroną swych inicjatyw, swych środowisk i nie bardzo ich chyba stać na realizację szerszych pomysłów. Takie rzeczy można tworzyć podczas wzlotów atmosfery, a nie kiedy ona spada.

Niezależnie od tego jestem optymistą. Sądzę, że wraz z powrotem do konkretnej działalności, wraz z rosnącym zniechęceniem, pozornie łatwymi rozgrywkami politycznymi, będzie powoli powracało zaufanie i będzie się oczyszczała atmosfera. Jednoznaczność celów i zasad, precyzja umów, solidność w połączeniu z dobrą wolą działaczy, stanowią przesłanki tego, że ewolucja potoczy się we właściwym kierunku. Może to brzmie idealistycznie, ale innego wyjścia nie ma i wszyscy musimy dołożyć wszelkich starań aby tak się stało.

Zbigniew ROMASZEWSKI

Warszawa, 25 listopada 1986

Dziennik pisany nocą

Neapol, 1 listopada 1986

Doskonały, mądry szkic Wojciecha Karpińskiego *Broń ostatnia* w *Zeszytach Literackich*. „Bój napowietrzny toczy się nie tylko i nie przede wszystkim między zwolennikami ideologii, partii czy obozów... toczy się w umyśle każdego człowieka broniącego swojej wolności, gdziekolwiek by on przebywał, w kraju czy na emigracji”.

Poprawiłbym w jednym Karpińskiego: „bój napowietrzny” toczy się jeszcze, toczyć się będzie dopóki istnieje potrzeba emigracji politycznej, ale na odcinku literatury został już w znacznej mierze wygrany. Nie ma „dwóch literatur”, oficjalne ostracyzmy i zakazy wobec pisarzy emigracyjnych stają się nie do utrzymania na dalszą metę, pisarze krajowi posyłają swoje niecenzuralne książki do wydawnictw emigracyjnych, wydawnictwa „drugiego obiegu” rozszerzają wciąż i umacniają wspólnotę między pisarzami krajowymi i emigracyjnymi, powarkiwania cerberów „ideologicznych” w Warszawie brzmią coraz bezradniej, słabiej, żałośniej. „Broń ostatnia”, „napowietrzna”, odniosła zwycięstwo w swoim naturalnym żywiole słowa. O gęsią skórę przyprowadzają mnie wszelkie triumfalizmy, tu jednak można sobie na taki akcent pozwolić. Polska, spętana politycznie pod kuratelą Wielkiego Sąsiada, posiada dziś wolną duchowo literaturę.

3 listopada

Opowiadano mi kiedyś, że zdaniem Kardynała Wyszyńskiego

„Polacy nie potrzebują Mauriaców i Bernanosów”. Uważałem to za tanią złośliwość, chociaż opowiadający nie mógł być doprawdy podejrzewany o „antyklerykalizm”. Znajduję teraz w dzienniku Kardynała z roku 1952 notatkę o spotkaniu z Bolesławem Piaseckim, a w niej wśród różnych zarzutów pod adresem *Paxu* wymówkę w związku z wydaniem po polsku *Sedna sprawy* Grahama Greene’a. Kardynał zaliczył powieść do „pozycji wydawniczych, które nie odpowiadają religijnej psychice polskiej, a są zarazem przejawem dekadencej problematyki, nieznanej w Polsce, oraz dają błędny obraz religijności francuskiej czy angielskiej”.

W wydanej świeżo książce Annie Collet *Stendhal et Milan* czytam, że w kwietniu 1842 Kardynał Lambruschini, Sekretarz Stanu, doniósł nie bez zadowolenia Ojcu Świętemu o śmierci „zbyt sławnego pana Beyle, konsula francuskiego w Civitavecchia, który rozpowszechniał swoje zdeprawowane doktryny w złych powieściach pisanych pod fałszywym nazwiskiem Frederigo (?) Stendhal”.

Ogarnia smętna zaduma nad stuletnim przeszło łukiem między „zdeprawowanymi doktrynami” i „dekadencją problematyką”.

6 listopada

Sytuacja w Polsce jest „zamazana”. Tak twierdzi przybyły do Rzymu z Warszawy przedstawiciel „kręgu wtajemniczonych” w łonie opozycji. Nie nazbyt „zamazana”, sądząc z wypowiedzi Wałęsy w tygodniku *Der Spiegel*. Przywódca „Solidarności” wyciąga rękę do zgody. Co stoi na przeszkodzie, by przeciwna strona chwyciła i uściśniła tę rękę? Na pytanie dziennikarza niemieckiego Wałęsa odpowiada, że wszystkich przeszkód wymienić nie potrafi, ale z pewnością nielegalne struktury „Solidarności” oraz wydawnictwa i drukarnie podziemne. Wałęsa jest za ich demontażem? W społeczeństwie pluralistycznym nie byłyby już potrzebne, spełniają swoje zadanie dopóki brak pewności, czy władza nie zmieni znowu zdania (w sprawie pluralizmu). Co zatem ma zrobić władza, aby tę pewność wzmocnić? Już coś niecoś zrobiła, wysuwając „interesujące propozycje” Rady Konsultacyjnej przy Radzie Państwa i urzędu na straży praw obywatelskich; trzeba jednak przedyskutować ich skład i uprawnienia; w ogóle trzeba dyskutować, dyskutować, bez przerwy dyskutować. Czy władza nie domaga się od was najpierw otwartej samokrytyki, zdystansowania się od takich ludzi jak Bujak i korowcy? Odpowiedź wymijająca. Tak czy owak, celem w sumie najwyższym jest „kolaboracja konstruktywna, autentyczna i natychmiastowa”

w imię reform; Solidarność to reformy, reszta była w niej „zewnątrzną powłoką”.

Gdzie w tym wszystkim „zamazanie”? Jasne, że władza oczekuje pełnego odwrotu „Solidarności”, nic konkretnego w zamian nie dając i nawet nie obiecując. Jasne, że „Solidarność” (przynajmniej w osobach Wałęsy i jego doradców) szykuje się do odwrotu, zadowolając się „wielkodusznymi” okrucami z pańskiego stołu (Rada Konsultacyjna czyli zalegalizowany DiP bez większego znaczenia praktycznego, przelewanie z pustego w próżne w ramach organizmu na straży praw obywatelskich). Jedyna pociecha w tym, że ewentualny „demontaż” struktur nielegalnych i wydawnictw podziemnych ma w „zamazanej” sytuacji wszelkie cechy rachunku bez gospodarza.

9 listopada

Gdybym miał napisać krótki traktat o „noweli doskonałej”, położyłbym nacisk na jej wieloznaczność, na jej podobieństwo do drogiego kamienia czy kryształu, w którym iskra zapala się i gaśnie raz tu raz tam, zależnie od oka kierowanego na załamania. W powieści taka krystalizacja jest prawie niemożliwa, powieść rośnie i rozwija się w materii zanadto obfitej i płynnej, aby pisarz mógł się zatrzymać nad jednym epizodem, nad pomysłem „wyłączonym”, i doprowadziwszy go do stanu zastygnięcia, wydobyc z niego szlifem błysk wieloznaczny. Nie jest to kwestia rytmu narracyjnego. *Vanina Vanini* ma szybki rytm stendhałowski, lecz od pierwszej chwili pióro w rozpędzie zmierza do rychłego skulminowania i zamknięcia opowiadania: jakby Stendhal wiedział, że inaczej nie uda mu się pokazać zdrady z miłości do zdradzonego. *Legenda o Świętym Julianie Szpitalniku* ma powolny rytm flaubertowski, jest opisem scen na witrażu w kościele, ale splót okrucieństwa i świętości wymaga maksymalnego zgęszczenia obrazów, bez ulegania pokusie ich ożywienia i rozdzielenia ponad miarę krótkiej powieści.

Jeżeli porównałem „nowelę doskonałą” do drogiego kamienia, to muszę również powiedzieć słowko o jej groźnym wrogu. Jest nim złudzenie albo czasem i przekonanie, że z pomocą swoistego „przepisu” da się produkować i szlifować idealne, niewykrywalne imitacje drogocennych kamieni. Otóż ze współczesnych nowelistów Borges wydaje mi się w niektórych swoich opowiadaniach imitatorem podrabiającym siebie samego, autora wielu „nowel doskonałych”. Uchodzi mu to u przysięgłych admirałów na sucho, bo zdołał im narzucić „globalny” wizerunek własny alchemika w królestwie luster, ech, labiryntów i bibliotek.

13 listopada

Dopiero dziś dowiedziałem się przypadkowo o śmierci M. przed tygodniem. Kiedy o nim myślę, o nim i o jego zmarłej dawno żonie V., przypomina mi się okrzyk Apollinaire’a: „Nasze stopy na próżno usiłują oderwać się od ziemi kryjącej zmarłych!”. Z M. było odwrotnie: jego stopy lgnęły kurczowo do ziemi kryjącej zmarłą.

Poznałem ich w Wenecji, w roku chyba siedemdziesiątym lub siedemdziesiątym pierwszym. Wybrałem się tam zimą, zatrzymałem się w małym hotelu podobnym do antykwarium, pełnym starych mebli, starych sztychów na ścianach, starych lamp z abażurami, programowo uczepionym innej epoki. Prócz mnie mieszkali w hotelu tylko M. i V. Przyjechali do zimowej Wenecji ze Sieny, gdzie M. pracował w urzędzie ochrony zabytków. V. była malarką. W pustawym hotelu zawiązała się znajomość natychmiast, pustawe miasto zamieniała ją szybko w zażyłość. Włóczyliśmy się po mieście, ilekroć kłęby mgły odpływały i odsłaniały słońce; przeczekiwaliśmy nawroty mgły w zagraconym saloniku hotelowym.

Łatwo było zauważyć ich miłość, zachłanną, konwulsyjną; nieco trudniej ciężką chorobę V. Miała organiczną wadę serca. Musiało w jej stanie nastąpić ostatnio gwałtowne pogorszenie, bo (według jej własnych słów) przyjechała „pożegnać się z Wenecją”. Ale raz, podczas wyjątkowo pięknego spaceru, szepnęła do męża z przestrachem w oczach: „Patrzę i nie widzę”. Usłyszałem ten szept. I ujrzałem w jego oczach cień rozpacz, paniki. Nie mógł nie wiedzieć, że choroba zaczęła stępiać jej wrażliwość na otaczający świat.

To był styczeń, a umarła w marcu. M. pochował ją w jej rodzinnej Cortonie. Po czym sprzedał dom pod Sieną i kupił nowy obok cmentarza w Cortonie. Odwiedziłem go tam w zeszłym roku, w dzień cortońskiego targu i winobrania w okolicy. Przez okno pokazał mi bez słowa i z dziwnym uśmiechem jej grób blisko cmentarnego muru, tak wyraźnie widoczny, że można było odczytać napis na kamiennej płycie.

Chciałbym wierzyć, że w księżycową noc przed swoją śmiercią zwałował się jeszcze z łóżka, stanął w oknie i z tym dziwnym uśmiechem utkwiał wzrok w ogrodzonym skrawku ziemi za cmentarnym murem.

15 listopada

Oznaki starzenia się. Pierwszą jest naturalnie odruchowa nie-

chęć do jego dokładniejszego rozpoznania i opisu. Drugą proces, w którym blakną, tracą ostre kontury i rozchwiewają się obrazy, zdarzenia, osoby z dalekiej przeszłości. Trzecią zanik apetytu, lub co najmniej zakłócenie smaku w recepcji bieżącej rzeczywistości. Czwartą częsta rewaloryzacja tego, co się dawniej lubiło i ceniło. Piątą (u pisarzy) rosnąca niezdolność do pisania niekiedy choćby „od pierwszego rzutu” (według Stendhala znamię prawdziwego pisarstwa, w przeciwieństwie do nieufnie przez niego traktowanej „literatury”).

Listę można wydłużać, ale tu i teraz męczy mnie pytanie, czy na karb starzenia się należy również położyć rosnącą dezorientację wobec „historii spuszczonej z łańcucha” (jak nasze czasy określił Jerzy Stempowski); czy też okazuje się ostatnio, że spuszczone z łańcucha historia nabawiła się w biegu dodatkowo wściekliwości. Taki więc jest od pewnego czasu mój dylemat codziennego czytelnika gazet: albo starzeję się po prostu, nie nadążam, cierpię na zadyszkę, padam ofiarą zagubienia; albo z pyska historii zaczęła znowu ciec złowieszczą pianą.

18 listopada

Wrzesień był w Paryżu miesiącem „araboterroryzmu”. W tych dniach odżył w Paryżu „euroterroryzm”, który Francuzi uważali zdaje się za zjawisko półmartwe u siebie w domu, za specjalność raczej włoską i niemiecką. Wraz z francuskim odżyciem „euroterroryzmu” odżyło zainteresowanie sprawą Moro, zwłaszcza że wszedł właśnie na ekrany włoski film o niej, wywołując gwałtowne polemiki, otwierając stare rany podejrzeń i pomówień. Zanim film zobaczę, postanowiłem zajrzeć do mojego dziennika z roku 1978, z okresu porwania i zastrzelenia Moro po procesie przed „trybunałem ludowym” Czerwonych Brygad.

W osiem lat później pozostają w mocy z moich ówczesnych zapisów dwa stwierdzenia, zainspirowane zresztą w jakimś stopniu przez *Tajnego agenta* Conrada. Po pierwsze, źródłem terroryzmu jest szaleństwo; bezsilne wobec niego są i zawsze będą groźby, perswazje czy próby przekupstwa. Po drugie, owocem terroryzmu jest „morowe powietrze” w zaatakowanym kraju: zatrucie świadomości obywatelskiej, skałczenie całej tkanki społecznej. Egzekucję Moro nazwał jeden z przywódców Czerwonych Brygad „aktem moralności i sprawiedliwości rewolucyjnej, najwyższym aktem człowieczeństwa w społeczeństwie klasowym”.

Gdy Moro siedział w „więzieniu ludowym”, zastanawiano się i spierano, czy w imię jego ocalenia wolno z terrorystami pertraktować, czy dopuszczalne są jakiekolwiek z nimi układy, jakiekolwiek gesty prześlągania szaleńców. Paweł VI „ukłęknał” przed

Czerwonymi Brygadystami, zaklinając ich, by uwolnili swego więźnia. Włochy były wtedy podzielone od góry do dołu. Zano-towałem w dzienniku, że terroryści włoscy mieliby prawo zachichotać i pochwalić się częściowym sukcesem.

Sprawa Moro uzmysłowiła jaskrawo konieczność jednoznacznego wyboru między nieustępliwością i tzw. „elastycznością” w obliczu paroksyzmu szaleństwa. Rząd włoski wybrał co prawda nieustępliwość, ale w atmosferze nawoływań do „elastyczności”. Skutek był taki, że Moro zginął, a w tragedii jego śmierci pojawił się odcień dwuznaczności. I trwa nadal jako resztką „morowego powietrza”, mimo rozgromienia Czerwonych Brygad w następnych latach.

20 listopada

Że trwa nadal, można się upewnić oglądając film. Jest tendencyjny i insynuacyjny. Autentyczne płytki z przebiegu wypadków układa w ten sposób, że znaki zapytania przeważają w obrazie nad pewnikami. Rzecznicy nieustępliwości zachowywali się niewątpliwie tak, jakby potracili głowy; nie znaczy to jednak, że w ich zachowaniu kryły się jakieś tajemnicze i podejrzanе motywy. Policja dała bez wątpienia dowody niewiarygodnej wprost niekompetencji i głupoty, ale daleko od tego do aluzyjnego wskazywania jakichś ukrytych sprężyn w jej chaotycznym szamotaniu się po omacku. Moro czuł się rzeczywiście w ciągu pięćdziesięciu pięciu dni uwięzienia opuszczony, z góry „odpisany na straty”, po ludzku jest to zrozumiałe, lecz jego reakcja była wyłącznie ludzka: własne zagrożenie przesłoniło mu zagrożenia o ileż większe od jego losu. Walcząc o swoje życie, wzywając do „elastyczności” i rokowań z terrorystami, umiał do końca zachować elementarną godność, trudno natomiast dostrzec rysy bohaterstwa w człowieku typowanym bądź co bądź na przyszłego szefa państwa. Pouczający jest w filmie epizod, którego nie znałem. Moro słucha przez radio apelu Pawła VI. Wzrusza go gest „ukłęknięcia” Papieża przed Czerwonymi Brygadystami. Naraz widać na jego twarzy gorycz i irytację, gdy Paweł VI błaga terrorystów o zwolnienie więźnia *senza condizioni*, bez warunków. „Nawet Ojciec Święty!”, wybucha. Innymi słowy, Papież mógł sobie darować ten końcowy akcent „twardości” w pięknym i wzruszającym apelu...

Na takim z grubsza tle terroryści. Z początku przedstawieni w filmie, zgodnie z prawdą, jako banda szaleńców we władzy zimnej furii. Potem, w miarę mnożenia się znaków zapytania nad ugodzoną demokracją parlamentarną, przeobrażają się w grupę polityczną. Prawdą że posługującą się w walce środkami skraj-

nymi, ale przecież grupę polityczną. Po jakimś szanują swego więźnia, a i Moro zdaje się na nich patrzeć innymi oczami. Czego chcą? Wymiany więźniów: Moro za więzionych i sądzonych terrorystów, oraz — co znacznie ważniejsze — „uznania statusu politycznego” Czerwonych Brygad. Z filmu nie wynika wrażenie, że warunki były nie do przyjęcia. Wynosi się raczej wrażenie, że należało okazać większą „elastyczność” i pertraktować.

Wielu Włochom trafi zapewne ten film do przekonania. Dla mnie jest lekcją pogładową na temat istnienia „impulsu kapitulacyjnego” w demokracjach. Dopóki on istnieje, terroryzm — wewnętrzny i zewnętrzny — korzysta i nie przestanie korzystać z żywego namotu dla swego szaleństwa.

23 listopada

Z podręcznego słownika wyrazów niebezpiecznych, na łączny i prywatny użytek (?) autora.

Kompromis. Kompromisy zawierane są na ogół przez silniejszych i słabszych, przy czym teoretycznie wolno mówić o szerokim wachlarzu Kompromisów większych i mniejszych. Teoretycznie, gdyż w praktyce strona silniejsza dąży z natury rzeczy do wymuszenia na stronie słabszej ustępstw jak największych i do pokrycia (chciałoby się powiedzieć: przystrojenia) słowem Kompromis operacji rzucenia kontrahenta na kolana; strona słabsza zaś stara się Kompromis przedstawić w postaci jak najmniejszych ustępstw własnych, łudząc się lub pocieszając, że zdołała uratować maksimum tego, co było do uratowania. Stąd brak precyzji w posługiwaniu się słowem Kompromis, rozciągłość jego podstawy *do ut des*. Co kto daje, aby w zamian otrzymać? Ile kto otrzymuje, w zamian dając? Do niebezpiecznych zatem i nadużywanych wyrazów zaliczyć wypada Kompromis, skoro obie strony — silniejsza i słabsza — nie tylko zamęczają, lecz i zamaskować usiłują jego prawdziwe znaczenie. Przykład klasyczny, jakkolwiek krańcowy. W powieści Kundery *Nieznośna lekkość bytu* młoda bohaterka wspomina inwazję Czechosłowacji. Przez pierwszych siedem dni okupacji trwało „pijane święto nienawiści” do okupantów. Wróciwszy z Moskwy, Dubczek przemówił przez radio jakąś się, z trudem chwyając oddech, robiąc półminutowe przerwy między poszczególnymi zdaniem. Obie strony nazwały to Kompromisem, który uratował kraj od bezkompromisowej katastrofy. Siedmiodniowa orgia nienawiści przycichła po Kompromisie i zamieniła się w codzienną, na lata rozłożoną, kropelkową nienawiść z domieszką apatii i rezygnacji. Dla strony silniejszej był to Kompromis normalny, „modelowy”. Dla strony słabszej Kompromis

o cechach rozwijającej się powoli, i nie wiadomo czy uleczalnej, choroby.

Gra. Słowo robi dziś zawrotną karierę, doczekało się nawet honoru obecności w tytule książki amerykańskiego Doradcy Króla. I znów: mamy do czynienia z polityczną Grą silniejszych i słabszych. Przeważnie Gra kojarzy nam się w polityce z szachami. Ale niekoniecznie: w kołach polskiej opozycji popularne są „zagrania pokerowe”. Rzecz jasna, silniejsi mają w Grze większe szanse, choć nie jest to regułą, kiedy słabsi grają z pozycji mniej-szych lecz suwerennych państw. Jest za to regułą, kiedy przez słabszych rozumiemy opozycje polityczne w krajach totalitarnych; „zagrania pokerowane” są wtedy czymś w rodzaju efektownych ogni bengalskich, które wypalają się szybko i gasną, przynosząc często więcej szkody niż pożytku. W każdym razie wydaje się, że do Gry zaczęto ostatnio przywiązywać przesadną wagę, pokładać w niej nadmierne nadzieje, z uszczerbkiem dla zdrowego rozsądku, poczucia miary i wierności pewnym zasadom. Dlatego należy ją także włączyć do słownika wyrazów niebezpiecznych. Za ilustrację może posłużyć Gra irańska Reagana, której koszty nie są jeszcze w pełni wymierne. Widać w niej jak na dłoni mechanizm niespożytej u zachodnich Graczy demokratycznych stawki na podział „twardzi - mniej twardzi”, „zamknięci - otwarci”, w rządach krajów dyktatorskich. Być może, Gracz amerykański został tu świadomie wyprowadzony w pole i rozegrany zręcznie przez Gracza irańskiego, co wskazywałoby że w Grze słabsi nie są automatycznie niejako narażeni na niepowodzenie. Jest to jednak tylko hipoteza, a przyzwoity słownik wnielen hipotez unikać. Wystarczy sformułować naukę ogólną przy pomocy parafrazy znanego powiedzonka Słonimskiego: Nie bierz się w polityce do Gry w szachy, ani nawet w pokera, z biegłymi w Grze w dupaka (eufemistycznie mówiąc).

26 listopada

Za dwa tygodnie zostanie otwarta w Bibliotece Polskiej na Quai d'Orléans wystawa „Kultura” i jej krąg, z okazji czterdziestolecia Instytutu Literackiego. Wiem już o niej coś niecoś od organizatorów, Grażyny i Krzysztofa Pomianów. Czterdzieści lat! Nie wypada należącemu do „kręgu” uderzać w ton laurki, laudacji. Ale czy można się powstrzymać od zwykłej, ścisłej w każdym słowie konstatacji? W ciągu czterdziestu lat Jerzy Giedroyc stworzył dzieło naprawdę wielkie, z niczym nieporównywalne, dzieło wyobraźni i inteligencji politycznej, wrażliwości kulturalnej, wytrwałości w codziennej pracy. We wstępie do pierwsze-

go, rzymskiego numeru mowa o celach *Kultury*: „Pragnie dotrzeć do czytelników w Kraju i wzmóc w nich wiarę, że wartości które są im bliskie nie zawaliły się jeszcze pod obuchem nagiej siły”. Udało jej się to? Począwszy od połowy lat pięćdziesiątych *Kultura*, dotąd z trudem wciskana przez wąskie szczeliny w murze, wtargnęła do Polski na dobre. Nie będzie przesadą powiedzieć, że się w niej zadomowiła. Dużo takich wypadków w dziejach emigracji politycznych?

W tym pierwszym numerze widać wysiłek ustalenia europejskiej „woli życia”. Dwa umieszczone obok siebie teksty — urywki *Kryzysu ducha* Paula Valéry z roku 1919 i *Zmierzch cywilizacji* Crocego z roku 1946 — zakreślają ramy: pesymizm poety francuskiego zrównoważony przez „bezużyteczność pesymizmu” filozofa włoskiego. I choć po czterdziestu latach nie mało a nawet coraz więcej powodów do zwątpienia o europejskiej „woli życia”, pamiętam jakby to było wczoraj (i na nowo przeżywam dzisiaj) wzruszenie, z jakim czytałem fragment tekstu Crocego: „Maximus, biskup Turynu, podnosił spokojnie na duchu obywateli Mediolanu, którym Atylla zniszczył domostwa i spalił kościoły, wzywając ich aby pojęli, że Bóg oddał w ręce nieprzyjaciół *non civitatem quae in vobis est, sed habitacula civitatis, non ecclesiam suam, quae vera est ecclesia, sed receptacula ecclesiae*; ale że lud Mediolanu wraz ze swym biskupem, mimo że w lęku i smutku, *tamen in libertate perdurabat*. Ów dom, ów kościół idealny, który jedynie jest rzeczywisty, człowiek posiada zawsze, i w nim wyłącznie żyje godność ludzka. Czegóż więc żądać można od człowieka?”.

Czegóż więc żądać można od człowieka? Valéry zapewniał obok, że „nadzieja jest nieufnością człowieka wobec przewidywań jego umysłu”. Błogosławiona nieufność! Pozwala żyć, pracować i walczyć, pozwala na przekór zwątpieniom i przewidywaniom umysłu *tamen in libertate perdurare*.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Inaczej

Może najbardziej pasjonujące pytanie — jedno z tych, na które nie ma jednoznacznej i prostej odpowiedzi i zarazem jedno z tych, na które odpowiedzi szukają wszyscy — brzmi: jaka jest Polska w pięć lat po stanie wojennym, jacy są Polacy, którym po raz kolejny, w sposób równie brutalny co przedtem, odebrano resztki wolności i zepchnięto ich na powrót do ponurego sowieckiego baraku? Pytanie to zadajemy sobie, kiedy szukamy nadziei w dniach rozpacz. Tej rozpacz, którą się przewycięża wiarą w możliwość zmiany, przekonaniem, że wysiłki nie były daremne. Łatwo wówczas o złudzenia, o wypęnlanie pustego, martwego czasu iluzją, o nadawanie własnym i cudzym działaniom zbyt dużego wymiaru, w rezultacie śmieszącego nieprzystawalnością intencji do skutków. To dlatego zaroziło się w kraju od kanapowych polityków, od wyżywających się na spotkaniach w ambasadach czy konsulatach działaczy, od aktywności skierowanej na zjedzenie jeszcze jednej kolacji, przy której dyskutuje się serio o sprawach, na które nie można mieć wpływu bez wysiłku i pracy. Często też bez ryzyka.

I dlatego polskie społeczeństwo podobne jest do milczącego morza — co trafnie zauważył Poleski — które nie może wypowiedzieć swojej prawdy, gdyż ci którym powierzyło swój los niezbyt są chętni do słuchania. Napętnieni ambicjami bez pokrycia, odrzucają jakiekolwiek zobowiązania społeczne, przekonani, że i tak wiedzą lepiej, że nie potrzebują się liczyć, że mogą po raz kolejny rozpocząć — skazani na przegraną — kontredans z władzą. Adorują kompromis, bo zwalnia ich od odpowiedzialności za innych, za całe społeczeństwo. Są wiecznymi zakładnikami władzy, gdyż odpychając naród, mogą już tylko oprzeć się na niej, podporządkować się jej planom. Żyć z nią w symbiozie, której warunkiem jest oddzielenie od świata zewnętrznego, od pragnień, marzeń, działań społeczeństwa.

Spółczenstwa, które jest inne i które pomimo codziennego

zmęczenia i przytwierdzenia do absurdu systemu nie zapomniało, jakim miało i jakim chce być. Pełne wiary w to, że musi być inaczej, że przyszłość jest uzależniona od zmiany teraźniejszości, wypowiedziało posłuszeństwo komunistycznemu szalbiertwu. Na razie w tej sferze, gdzie możliwość zaprzeczenia rysuje się najwyraźniej: symboliki kulturowej i religijnej. Czyli na obszarze szeroko rozumianego *sacrum*, tego co dla narodu jest święte na tyle, że broni doń komunizmowi dostęp.

A warto przypomnieć, że nie zawsze tak było, że zupełnie niedawnymi laty władcy PRL-u potrafili sprytnie manipulować ojczystymi pamiątkami, drapować się w narodowe mity, sakralizować posunięcia własne, których celem było przecież w ostatecznym rezultacie odebranie społeczeństwu suwerenności myślenia i życia, wreszcie zdeformowanie jego tożsamości historycznej. *Casus Moczara* jest najbardziej znany i opisany, chociaż kto wie czy inni z kolejnych namiestników nie robili tego umiejętniej i sprawniej od nadmiernie zdemonizowanego partyzanta-generała policji (*vide* Gomułka i Gierek).

Spółeczeństwo, które chce żyć inaczej, nie może jednak odrzucić budowanych przez czterdziestolecie struktur, gdyż poza nimi niewidoczne są inne konstrukcje. Nie zapominajmy, że w warunkach komunistycznego systemu wychowało się i wykształciło swój sposób myślenia kilka pokoleń Polaków, dla których projekt odmiennego ustroju społecznego bądź gospodarczego jest na tyle mglisty, że aż nierealny (przykładem niech będzie chociażby publicystyka tak uzdolnionego aktywisty opozycji jak Adam Michnik). Społeczeństwo więc sparaliżowane po części domniemanym (a może rzeczywistym?) straszakiem sowieckim, tkwi od lat w kwadraturze koła. Nie może ani uporać się z niewolą gospodarczą, ani zerwać politycznych kajdan. Coraz bardziej rachityczne, gdyż skazane na powolny uwiąd swoich elit politycznych i gospodarczych, które tylko zastępczo reprezentują amatorzy w tych dziedzinach, przeważnie przepojeni szlachetnością i moralizmem publicyści, młodzi (starsi także) pisarze, błyskotliwi felietoniści...

Toteż jedyną możliwością społecznej samoobrony wydawała się kultura, obrona jej wartości i zarazem przeniesienie na jej teren wszystkich napięć społecznych, całego niezrealizowania politycznego, nastrojów frustracji i poczucia krzywdy. To w kulturze zniewolony naród próbuje toczyć swoją wojnę z komunizmem, która odbiera mu urok siły, pokazuje nicość frazesu propagandowego, jałowość marksowskiego sofizmu. Pewnie, że jest to wojna zastępcza, prowadzona w miejsce tej, którą naprawdę winno się wypowiedzieć komunistycznemu systemowi, gdyby to było tylko możliwe...

Zarazem walka bezwzględna, która przy swoich dobrych stronach (utrwalonych po 13 grudnia: uzyskanie obszernej sfery wolności duchowej czyli przekreślenie totalizacyjnych zapędów władzy, przedzielenie społeczeństwa na dwie części, charakteryzujące sytuację polską stosunkowo od niedawna, a przypominające stan bezpośrednio po wkroczeniu sowieckiej armii i instalowaniu na

przełomie 1944/1945 komunizmu na ziemiach polskich) ma i złe. Te wiążą się z próbą tworzenia fikcji rzeczywistości. Wyzwolona kultura wsparta o religijne symbole i narodowe mity automatycznie rości sobie pretensje do zastępowania wszystkiego innego. Jest namiastką prawdziwej gospodarki, sensownej ekonomii, politycznego działania i myślenia. W dalszej perspektywie może przyzwyczaić do czynów pozornych, pozbawionych treści, do rewolucji na papierze, powstań bez jednego wystrzału, mających o niepodległości, za którymi nie stoi gotowość do ofiary. Widziany w skrócie dramat posierpniowej wojny w kulturze powtarza niejednokrotnie anachroniczną historię dziewiętnastowiecznej polskości, uwikłanej we własne legendy i bardziej poddanej prawom poetyckiego wzruszenia niż regułom twardego wydzierania niepodległości. Słowem za dużo Mickiewicza, a za mało Machiavellego.

I ostatecznie cierpią na tym nie tylko pozostawione sobie (czytaj komunistom) ekonomia i polityka, ale również sama kultura, która nazbyt często ociera się — bo i musi — o bogoojczyńniany frazes, upatetycznia się i przemienia w religię. Niszcząc i tę ostatnią, która — przywalona ciężarem znaczeń i mitologią kultury — traci swój sens metafizyczny.

Tę niepokojącą dwuznaczność walk społecznych toczonych na obszarze kultury uprzytomniłem sobie po raz kolejny podczas uroczystości poświęcenia 3 sierpnia we Włoszczowej symbolicznego grobu dwóch generałów i komendantów Armii Krajowej, „Grota” Roweckiego i „Niedźwiadka” Okulickiego. Ceremonia ta — w miejscowości znanej w całej Polsce ze słynnego, dziś już historycznego epizodu toczonych od kilku lat intensywnych walk społeczeństwa o niezależne istnienie — dobrze nadaje się do obserwacji wszystkich zagrożeń, jakie stoją przed myśleniem i działaniami niezależnymi w kraju.

Uroczystość we Włoszczowej pokazała dobrze, że cześć dla grobów — w tym przypadku symbolicznych, gdyż obydwaj przywódcy pochowani są gdzie indziej (Okulicki gdzieś na bezkresnym obszarze sowieckim) — znakomicie integruje społeczność wokół wspólnych wartości narodowych, uodpornia na zło teraźniejsze, ale zarazem nie pozwala spojrzeć śmielej w to, co możliwe do urzeczywistnienia. Jakby odbiera wszelką zdolność planowania, zabija każdy projekt przyszłości, który nie może wydobyć się na powierzchnię.

Przed nami wciąż stoi najtrudniejsze zadanie: pokonanie komunizmu oraz wyzwolenie społeczne i narodowe. W tym celu trzeba by na serio pomyśleć o przyszłości i możliwym za życia obecnych pokoleń urzeczywistnieniu marzeń o wolności. Nie ma jednak w kraju żadnego programu politycznego. Gorzej, brakuje nawet podstawowej analizy kwestii narodowościowej, która pozwoliłaby społeczeństwu polskiemu przemyśleć i zarazem przyzwyczaić się do przyszłości, w której sąsiadujemy z Ukrainą, Litwą, Białorusią, a także, co niby bardziej oczywiste, ale też mało zauważane, z Czechosłowacją i Niemcami.

Oczywiście wszystko to należy do przyszłości i dziś wydaje

się abstrakcyjne, jest jednak mniej jałowe od wspomniania przeszłych walk i historycznych przewag. Bardzo trudno jednak przejść od etosu kombatanta, od świata historycznych pamiętek do realnej walki o przyszłość, do wydzierania komunizmowi kolejnych obszarów życia i w ostateczności do pozbawienia go władzy. Tworzenie kultury i całej sfery duchowej opartych na kulcie przeszłości i na wspomnieniach najczęściej nie pozwala na dostrzeżenie czasu, który może nadejść, napełnia poczuciem szlachetności i w rezultacie obezwładnia, uniemożliwia jakikolwiek ruch, sprawia że każde posunięcie przeciwników jest zaskoczeniem.

Piękno uroczystości włoszczowskiej, patos przemówień, spotkanie wybitnych postaci rządu podziemnego z czasu ostatniej wojny (w tym ministra Adama Bienia) niesie w sobie także tę truciznę: napełnia poczuciem spełnionego obowiązku, gdy tymczasem żadna ze spraw polskich nie została rozwiązana i wciąż wszystko przed nami. Religijna otoczka sierpniowego zgromadzenia we Włoszczowie — poświęcenie grobów, uroczysta msza święta — podwyższała zapewne stan napięcia emocjonalnego, czasami wręcz egzaltowała płomiennymi słowami księdza celebrującego nabożeństwo, ale też zwiększała niebezpieczeństwo odwrócenia się od powinności społecznych. Stawała się ich namiastką.

Kościół może być i są wspaniałym miejscem spotkań narodowych, nie mogą jednak pozostawać jedynym terenem działań i jedynym obszarem, w ramach którego społeczeństwo może na chwilę poczuć się wolne. Nieszczęście powstałej w ostatnich latach niezależnej kultury i zarazem słabość myślenia i działania politycznego w kraju biorą się z nieumiejętności oddzielenia ich od religii i Kościoła. Trzeba o tym pamiętać, nie zapominając zarazem o potrzebie wpływania na polityczną aktywność Kościoła polskiego. Społeczeństwo wpływające na swój Kościół — wciąż niedostatecznie — zdaje sobie sprawę, że to, co najistotniejsze dla przyszłości narodu może powstać zasadniczo w tych sferach społecznych i politycznych działań, które są — a przynajmniej powinny być — poza kościelnym *universum*, zmierzającym do eschatologicznego wypełnienia. Co nie przeszkadza, że działania polityczne są motywowane religijnie i czerpią siłę z wiary.

Nie wydaje się, by organizatorzy uroczystości sierpniowej we Włoszczowie to dostrzegali. Ale na szczęście i we Włoszczowie są tacy, którzy to widzą i do nich należeć będzie zarówno tu, jak i gdzie indziej, ostatnie słowo. Do tych, którzy poza symbolami i mitami, pod stosami pamiętek narodowych widzą realne możliwości działania, a całą sferę symboliczną traktują jako przykrywkę dla własnej aktywności, dla budzenia tego, co winno nadejść by społeczeństwo mogło spełnić swoje marzenie o wolnej przyszłości.

Marek ZIELIŃSKI

Wiersze

Zbigniew HERBERT

DĘBY

W lesie na wydmie trzy dorodne dęby
u których szukam rady i pomocy
bo chóry milczą odeszli prorocy
nie ma na ziemi nikogo bardziej
godnego szacunku dlatego do was
kieruję — dęby — ciemne pytania
na wyrok losu czekam jak niegdyś w Dodonie

Lecz muszę wyznać że mnie niepokoi
wasz rytuał poczęcia — o rozumne —
u schyłku wiosny na początku lata
w cieniu konarów roi się
od waszych dzieci i niemowląt
przytułki listków sierocińce kiełków
blade bardzo blade
słabsze od trawy
na oceanie piasku
walczą samotnie samotnie
dlaczego nie bronicie waszych dzieci
na które pierwszy mróz położy miecz zagłady

Co znaczy — dęby — szalona krucjata
rzeź niewiniątek ponura selekcja
ten nietzscheański duch na cichej wydmie
zdolnej utulić słowicze żale Keats'a
tutaj gdzie wszystko zda się skłania
do pocałunków wyznań pojednania

Jak mam rozumieć waszą mroczną parabolę
 barok różowych aniołków śmiech białych piszczeł
 trybunał o zaranku egzekucja nocą
 życie na oślep zmieszane ze śmiercią
 mniejsza o barok którego nie znoszę
 lecz kto rządzi
 czy bóg wodnistooki z twarzą buchaltera
 demiurg nikczemnych tablic statystycznych
 który gra w kości zawsze wychodzi na swoje
 czy konieczność jest tylko odmianą przypadku
 a sens tęsknotą słabych ułudą zawiedzionych

Tyle pytań — o dęby —
 tyle liści a pod każdym liściem
 rozpacz

BAJKA O GWOŹDZIU

Z braku gwoźdźcia upadło królestwo
 — poucza mądrość nianiek — lecz w naszym królestwie
 od dawna nie ma gwoździ nie ma i nie będzie
 ani tych małych zdalnych by przybić obrazek
 do ściany ani dużych którymi zamyka się trumny

a mimo to lub właśnie może dzięki temu
 królestwo trwa i nawet budzi podziw innych
 jak może żyć bez gwoźdźcia papieru i sznurka
 cegły tlenu wolności i czego tam jeszcze
 widocznie można skoro trwa i trwa

ludzie mieszkają u nas w domach nie w pieczarach
 dymią fabryki w stepie przez tundrę pociąg jedzie
 i beczy statek na zimnym oceanie
 jest wojsko i policja pieczęć hymn i sztandar
 na pozór wszystko jak na całym świecie
 tylko na pozór bo nasze królestwo
 nie jest tworem przyrody ani tworem ludzkim
 niby trwałe wzniesione na kościach mamutów
 w istocie słabe jakby zatrzymane
 między czynem a myślą bytem a niebytem

upada liść i kamień to co jest realne
 lecz widma żyją długo uparcie na przekór

wschodom zachodom słońca obrotom ciał niebieskich
 na pohańbioną ziemię padają łyzy rzeczy

PRZEMIANY LIWIUSZA

Jak rozumieli Liwiusza mój dziadek mój pradziadek
 bo na pewno czytali go w klasycznym gimnazjum
 o mało stosownej porze
 gdy w oknie stały kasztan — żarliwe kandelabry kwiatów —
 a wszystkie myśli dziadka i pradziadka biegły zdyszane do Mizi
 która śpiewa w ogródku pokazuje dekolt oraz boskie nogi do
 [samych kolan]

albo Gabi z wiedeńskiej opery w lokach jak cherubin
 Gabi z zadartym noskiem i Mozartem w gardle
 czy w końcu do pocziwej Józki ucieczki strapiionych
 bez urody talentu i większych wymagań
 a więc czytali Liwiusza — poro kwiatostanów —
 w zapachu kredy nudy nafty którą zmywano podłogę
 pod portretem cesarza
 bo był wówczas cesarz
 a imperium jak wszystkie imperia
 zdawało się wieczne

Czytając dzieje Miasta ulegali złudzeniu
 że są Rzymianami lub potomkami Rzymian
 ci synowie podbitych sami ujarzmieni
 zapewne miał w tym udział łacinnik
 w randze radcy dworu
 kolekcja cnót antycznych pod wytartym tużurkiem
 więc za Liwiuszem wpajał w uczniów pogardę dla motłochu
 bunt ludu — *res tam foede* — budził w nich odrazę
 natomiast wszystkie podboje wydawały się słuszne
 znaczyły po prostu zwycięstwo tego co lepsze silniejsze
 dlatego bolała ich klęska nad jeziorem Trazyneńskim
 dumą napawały przewagi Scypiona
 śmierć Hannibala przyjęli z niekłamaną ulgą
 łatwo zbyt łatwo dali się prowadzić
 przez szaniec zdań ubocznych
 zawiłe konstrukcje którymi rządzi imiesłów
 wezbrane rzeki wymowy
 pułapki składni
 — do bitwy
 o nie swoją sprawę

Dopiero mój ojciec i ja za nim czytaliśmy Liwiusza przeciw Liwiuszowi pilnie badając to co jest pod freskiem dlatego nie budził w nas echa teatralny gest Scewoli krzyk centurionów tryumfalne pochody a skłonni byliśmy wzruszać się klęską Samnitów Gallów czy Etrusków liczyliśmy mnogie imiona ludów startych przez Rzymian na proch pochowanych bez chwały które dla Liwiusza nie godne były nawet zmarszczki stylu owych Hirpinów Apulów Lukanów Uzentyńczyków a także mieszkańców Tarentu Metapontu Lokri

Mój ojciec wiedział dobrze i ja także wiem że któregoś dnia na dalekich krańcach bez znaków niebieskich w Panonii Sarajewie czy też Trebizondzie w mieście nad zimnym morzem lub w dolinie Panszir wybuchnie lokalny pożar

i runie imperium

Zbigniew HERBERT

W A W E L PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA w Niemczech Zachodnich

Wszystko na temat Europy Wschodniej:

- Literatura piękna i fachowa,
- Albumy, plakaty, pamiątki,
- Książki antykwaryczne.

Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne oraz książki w językach obcych.

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.

Tel.: 0221/24-61-60.

Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30.

Również sprzedaż wysyłkowa.

Archiwum polityczne

Sowiecki arsenał nuklearny

Twierdzenie, że Sowiety posługują się groźbą wojny nuklearnej wyłącznie w tym celu, by podporządkować sobie zachodni świat i Japonię, ale że nigdy jej nie rozpoczną, uważało wielu ludzi, w tej liczbie i ja, za słuszne. Obecnie tezę tę wypada zakwestionować z uwagi na zmodernizowanie sowieckiego arsenału atomowego.

Teza, że groźba wojny nuklearnej była tylko szantażem, wynikała ze słusznych przesłanek, iż nie jest zamiarem Sowieców zamienienie świata zachodniego w cmentarz atomowy, ponieważ w niczym nie poprawiłoby to ich sytuacji, jako systemu chronicznie niezdolnego do zaopatrzenia swych obywateli w artykuły niezbędne do życia, z jakich korzystają wszyscy mieszkańcy krajów uprzemysłowionych. Dlatego Zachód miał być podbity, ale nie zniszczony, by z pożytkiem pełnić rolę podporządkowanego Sowiecom dostawcy. Ta część twierdzenia pozostaje słuszna. Błędne natomiast jest mniemanie, że rozpoczęcie przez Sowiety ataku nuklearnego musiałoby w konsekwencji doprowadzić do całkowitego zniszczenia krajów kapitalistycznych wraz z pozbawieniem ich zdolności produkcyjnych zarówno w przemyśle jak i rolnictwie. Dla obydwu potencjalnych adwersarzy — Sowieców i Stanów — istnieją dwa ważne pod względem militarnym cele, w które wymierzyć można pociski nuklearne: pierwszy to arsenały rakiet nuklearnych o wysokiej precyzji rażenia, których zadaniem jest nuklearne rozbrojenie przeciwnika. Nie oznacza to pozbawienia go w ogóle zdolności zadania drugiego ciosu, a więc niszczenia wielkich ośrodków miejskich, przemysłu, transportu itd. Oznacza to tylko to, że ten kto zadaje pierwszy cios rozporządza wielką ilością głowic o wysokiej celności. Te, raz wystrzelone, jeśli trafią w swój cel, pozbawiają przeciwnika moż-

liwości analogicznej kontrakcji. Unieszkodliwienie najbardziej technicznie zaawansowanych głowic, których odchylenie od celu nie przekracza kilkudziesięciu metrów wcale nie musi spowodować nuklearnego „holocaustu”. Gdyby więc Sowiety uderzyły pierwsze, niszcząc tę część amerykańskiego arsenału, która jest nerwem całego systemu obronnego i służy właśnie do sparaliżowania celów sowieckiej inwazji atomowej, konsekwencje tego byłyby dla świata i Ameryki tragiczne. Sowiety na pewno nie są w stanie zniszczyć całego arsenału nuklearnego Ameryki pierwszym uderzeniem. Ale gdyby wybiórczo unieszkodliwiły głowice odznaczające się największą celnością, uzyskałyby dwa kolosalne atuty: po pierwsze atak ich nie spowodowałby po drugiej stronie masowej zagłady ludności, czego bynajmniej nie pragną. Ofiarą ich uderzenia nie byłyby miliony ludzi, najwyżej tysiące, w czym głównie załogi amerykańskich wyrzutni lądowych i morskich. Ani przemysł ani rolnictwo nie ucierpiałyby w sposób, który by zahamował ich wydajność. Drugim atutem byłoby pozbawienie Stanów tej części arsenału, którego rakiety przeznaczone są do zniszczenia najbardziej precyzyjnych w osiąganiu celów pocisków sowieckich. To, co mogłyby Stany uczynić, to skierować rakiety o mniejszej celności przeciwko wielkim skupiskom miejskim w Sowietach. Pociągnęłoby to za sobą wielomilionowe straty w ludziach, natomiast z punktu widzenia militarnego nie dałoby Zachodowi niczego. Nienawisć ludności sowieckiej nie zwróciła by się przeciwko ich władzy, która wojnę rozpoczęła, ale przeciwko bezpośrednim sprawcom — czyli Stanom. Jeśli chodzi o przywódców sowieckich, to tego rodzaju obrotem spraw nie przejęliby się zbytnio. Znając ich szacunek dla życia ludzkiego, należy sądzić, że utrata kilkudziesięciu milionów własnych obywateli wykorzystana byłaby propagandowo do maksymalnych granic. Mogę zaryzykować twierdzenie, że w jakimś sensie bardzo by im to dogadzało. W tym wypadku nie oni byłiby barbarzyńcami — jako że oni atakowali wyłącznie cele militarne — ale Amerykanie. Z tego też powodu należy przypuszczać, że na taki krok nie zdobyłaby się również Ameryka, ponieważ dla niej cena życia ludności sowieckiej byłaby wyższa niż dla przywódców sowieckich. Właściwie w tym momencie wojna atomowa byłaby praktycznie przez Zachód przegrana i głosy za „dogadaniem” się z Sowietami — czyli kapitulacją — wzmożyłyby się kolosalnie. Użyto by argumentu, że ze strony sowieckiej groziłby obecnie odwet w postaci masowego ataku na amerykańskie metropolie. Skądinąd sędzę, że do takiej ewentualności wcale by nie doszło, ponieważ nie byłoby w interesie Sowietów w tej błyskawicznej wojnie zdeorganizowanie życia w Ameryce. Wynika stąd prosty wniosek, że życie robotników i rolników amerykańskich i zachodnioeuropejskich ma dla Sowietów większą wartość użytkową niż

swoich własnych. I tak w istocie jest, ponieważ wartość użytkowa decyduje w polityce ludnościowej Sowietów o wszystkim. Przy okazji nie omieszkaliby zareklamować swojego najwyższej klasy humanizmu, który zakazuje im odpłacać tą samą monetą za amerykańskie barbarzyństwo.

Rozważania powyższe przeprowadzam w oparciu o zupełnie niesprawdzone przypuszczenie, że nuklearne arsenały sowieckie osiągnęły wysoki stopień modernizacji i że Stany Zjednoczone nie są należycie chronione przed opisaną przeze mnie ewentualnością. Wychodzę więc z maksymalnie pesymistycznego punktu widzenia w ocenie arsenałów dwóch przeciwników. Czy tak jest w istocie — nie wiem, ale możliwości tej nie należy wykluczać, ponieważ wiele osób, dobrze znających stan amerykańskich zbrojeń i mających ułamkowe wieści o przygotowaniu militarnym Sowietów dopuszcza opisany przeze mnie w skrócie scenariusz. W świetle tego tym ważniejsza wydaje się nie tyle redukcja nuklearnych zbrojeń, szczególnie trudna do sprawdzenia w warunkach sowieckich, ale położenie nacisku na dalszy rozwój SDI (*Strategic Defense Initiative*) czyli „Wojen Gwiezdnych”. Po polsku używać będę inicjałów SIO — Strategiczna Inicjatywa Obronna.

Jak wygląda sytuacja obecna w rozwoju SIO, której celem jest całkowite wyeliminowanie broni nuklearnej? Dwa lata temu Stany Zjednoczone dokonały udanego eksperymentu zniszczenia wystrzelonej przez siebie rakiety, której tor przebiegał od wybrzeży kalifornijskich do atolu Kavalajen na środkowym Pacyfiku. Od tego czasu, według informacji prasowych, badania i eksperymenty prowadzone przez ośrodki badawcze SIO znacznie się posunęły. Spośród kilku publikacji na ten temat opierać się będę głównie na artykule opublikowanym w 56 numerze neokonserwatywnego tygodnika *Inside* z 10 listopada 1986 roku. Artykuł informuje o intensywnej pracy laboratoriów pracujących dla Pentagonu nad rozwiązywaniem problemów technicznych SIO. Problematyka ta mimo popularnego charakteru tygodnika, nie nadaje się do przedstawienia jej czytelnikom w sposób komunikatywny. Autorzy artykułu twierdzą, że w ciągu ostatniego półtora roku dokonano w rozwoju SIO „milionów kroków”. Na czym oparty jest ich optymizm? Choć głównym celem SIO jest wysyłanie w przestrzeń kosmiczną ładunków laserowych, uczeni pracujący w laboratoriach kalifornijskich nie ograniczają się tylko do tego. W kontekście prowadzonych badań należałoby wymienić eksperymenty z emitowaniem strumieni cząsteczek elementarnych, z którymi amerykańscy technolodzy wiążą duże nadzieje. Cząsteczki elementarne są to składniki jądra atomowego m.in. protony i neutrony. Strumień cząsteczek elementarnych, jak sama nazwa wskazuje, nie jest wiązką laserową i szybkość jego jest po-

niżej szybkości świetlnej. Wydaje się, że jest to główny projekt, nad którym aktualnie pracują technolodzy SIO. Strumień wysyłany jest z instalacji naziemnych i posiada zdolność uszkodzenia urządzeń sterowniczych rakiety i przebicia jej powierzchni, co powoduje eksplozję skroplonego tlenu będącego siłą napędową pocisku. Ważną przeszkodą w rozwoju SIO była dotychczas postawa wielu amerykańskich fizyków zrzeszonych w „Association of Concerned Scientists”, czyli czegoś w rodzaju „Stowarzyszenia zatroskanych uczonych”. Troska ich dotyczyła podtrzymywanej przez sowiecką propagandę atmosfery, że SIO — którą przecież sami amerykańscy dziennikarze nazwali „Wojnami Gwiezdny” — ma z przestrzeni kosmicznej uczynić poligon wojny nuklearnej. Wielu uczonych wyzwoiliło się od tej prymitywnej propagandy i przyłączyło do wysiłków uczynienia z rakiet nuklearnych sprzętu nadającego się na rekwizyty muzealne.

Oczywiście chwila ta jest jeszcze dosyć odległa. Dr Richard Williams i dr James Ionson — kierownicy laboratoriów w Kalifornii — obliczają, że badania nad tym problemem potrwają jeszcze około 3-4 lat. A więc nie dwadzieścia ani trzydzieści, jak głosili zaprzysiężeni przeciwnicy „Wojen Gwiezdnych”. Wiele oczywiście zależy od Kongresu Stanów, który może drastycznie przerwać dopływ funduszy. Pewna liczba kongresmanów obawia się, że w chwili gdy amerykańscy technolodzy będą zbliżać się do ostatecznego celu i staną u progu unieszkodliwienia wszelkich pocisków nuklearnych — właśnie w tym momencie Sowiety uderzą. I tu stosują starą i skompromitowaną zasadę: „Nie zabezpieczajmy się przed atakiem sowieckim, bo w ten sposób prowokujemy ich do uderzenia”. Sądzę jednak, że rzecznicy takich poglądów nie przeważają ani w Senacie ani w Izbie Reprezentantów. Mimo „trzęsienia ziemi”, które przeżywa obecnie administracja Reagana i sam Prezydent na skutek skandalicznej imprezy z dostawą broni do Iranu, nie wpłynęło to na sytuację SIO. Wie o tym Gorbaczow, którego niepokój o losy SIO wzrasta zwłaszcza od momentu fiaska jakiego doznał w czasie spotkania na szczycie w Reykjavíku.

W końcowych dniach listopada Stany Zjednoczone przestały oficjalnie respektować postanowienia traktatu SALT II, przeprowadzając próbne loty bombowców B-52, wyposażonych w urządzenia nośne do uzbrajania ich w „Cruise missile”, czyli rakiety zaopatrzone w system nawigacyjno-komputerowy naprowadzający je na cel. Protestując przeciw naruszeniu postanowień SALT II Gorbaczow próbował przedstawić się publiczności jeszcze raz jako Anioł Pokoju. Oświadczył, że podczas gdy Amerykanie usiłują zamienić przestrzeń kosmiczną w pobojuwisko nuklearnej wojny, on chce w kosmosie utrzymać pokój. Już przedtem Sowiety zaproponowały usunięcie przez obydwie strony rakiet średniego za-

sięgu w Europie. Tym razem propozycja ta nie wywołała wśród publiczności amerykańskiej nadmiernego podniecenia. Amerykanie zaczynają wreszcie być podejrzliwi w stosunku do Sowieców. Nie znaczy to, że przybywa im odwagi. Może wreszcie i na to przyjdzie czas. Ciężko jest ich przekonać, że ktoś przykładą im nóż do gardła. Uważają że takie wypadki zdarzają się tylko w Parku Centralnym w Nowym Jorku, ale nie w stosunkach międzynarodowych.

Pomimo niewątpliwych postępów w dziedzinie SIO, należy zaznaczyć, że uczeni amerykańscy nadal borykają się z szeregiem problemów. Do nich należy uginanie się światła, czyli w tym wypadku promieni laserowych w polu grawitacyjnym, które trzeba uwzględnić przy wysyłaniu ładunków laserowych w przestrzeń kosmiczną. Drugim — niemniej ważnym — jest fakt, że wysyłane lasery muszą „odróżnić” prawdziwe nieprzyjacielskie pociski od fikcyjnych, mających stanowić „przynętę”. Tak więc urządzenia laserowe muszą być zaopatrzone w specjalnego rodzaju czujniki. Świetnie rozwinięta komputeryzacja broni amerykańskiej czyni to zupełnie realnym. Pomimo niewątpliwego postępu w badaniach i eksperymentach SIO, należy z naciskiem stwierdzić, że wbrew niektórym superoptymistycznym informacjom ani Ameryka ani Europa Zachodnia nie dysponują dotychczas ani taktyczną ani strategiczną bronią laserową*.

Zbigniew BYRSKI

Nowy Jork, 30 listopada 1986

* Mam tu na myśli informację, którą znalazłem w artykule przesłanym mi przez redakcję *Kultury*. Według niej zachodniemiecki koncern MBB produkuje pojazdy pancerne wyposażone w broń laserową, która na odległość 6 kilometrów niszczy wszelkiego rodzaju rakiety. Wiadomość ta jest nieprawdziwa. Laser ma bardzo rozległe zastosowanie. W wymienionym wypadku wiązki laserowe służą jedynie do namiarów — czyli określenia odległości i szybkości innych obiektów. Zniszczyć nie mogą niczego. Artyleria laserowa dotychczas nie została skonstruowana.

Dwie Europy środkowe

Europa Środkowa. Czym jest? A właściwie — czy jest?

Gdyby za kryterium jej istnienia uznać częstotliwość, z jaką pojawia się w esejach, artykułach, polemikach, to chyba należałoby powiedzieć: jest, jak najbardziej jest. A może nawet: coraz bardziej jest. Jej obecność przestaje być hipotezą czy przypuszczeniem — staje się faktem.

Gdyby za kryterium uznać poglądy Miłosza, Kundery, Konrada, Kisa czy Stusa, trzeba by stwierdzić: ależ oczywiście, że jest. Oto jej obywatele. Rozrzuć ich po wszystkich kontynentach, szukający schronienia w obcych krajach, gołymi rękami wydobywający uran w syberyjskich łągach, wegetujący na marginesie real-socjalistycznego dobrobytu — są, istnieją, piszą. Dają świadectwo jej trwałości niczym Żydzi, którzy wielowiekowym uporem dowodzili istnienia Ziemi Obiecanej.

Cóż jednak począć z faktami, które wizji tej przeczą? Jak interpretować małą ententę, spór o Wilno i Lwów, jak wytłumaczyć Zaolzie, Siedmiogród, Południową Słowację? Gdzie w jej obrazie jest miejsce na setki tysięcy mogił, spalone cerkwie, wymordowane wsie?

A więc mimo wszystko — czy jest?

W odczycie wygłoszonym w 1986 roku (tekst wydrukowała *Kultura* nr 4/1986) Czesław Miłosz powiedział: „W tych dziesięcioleciach dwudziestego wieku Europa Środkowa zdaje się istnieć tylko w umysłach niektórych jej intelektualistów”. Wypowiedź ta jest znamieną dla całego nurtu myśli środkowoeuropejskiej, który można chyba określić mianem „szkoły kulturalnej”. Jej przedstawiciele — niemal bez wyjątku ludzie pióra, pisarze, filozofowie, krytycy — wierzą, że Europa Środkowa istnieje, zaś spoiwem jej jest wykształcona w toku historii jedność kultury. W znanym szkicu „Zrabowany Zachód” Kundera mówił o wspólnym środkowoeuropejskim „losie”, który — jak się wydaje — jest pojęciem szerszym niż środkowoeuropejska historia. Los ten to nie tylko łańcuch faktów — chrztów, koronacji, wojen, zdrad, rozbiorów i powstań — to także (a może przede wszystkim) wynikający z tych faktów model odczytywania świata i reagowania nań. Model utrwalaony tradycją, dziedziczony z pokolenia na pokolenie, zakodowany w specyficznym środkowoeuropejskim systemie wartości, czyli w kulturze. Tak więc i tu spoiwem Europy Środkowej jest jej kultura — odmienna zarówno od modelu zachodniego, jak i od wschodniego. Określenie specyfiki obszaru środkowoeuropejskiego jako specyfiki kulturalnej jest niewątpliwie dość przekonujące, zwłaszcza jeśli słowu „kultura” nadamy możliwie najszersze znaczenie. Charakter społeczeństw tego rejonu, ich mentalność i sposób emocjonalnego reagowania są rzeczywiście zasadniczo odmienne od analogicznych cech społeczności zachodnioeuropejskich. Złożyło się na to wiele czynników, m.in. stosunkowo późne ukształtowanie się świadomości narodowej, inny przebieg procesów społecznych, znacznie większy zakres i inny rodzaj zagrożeń, powodujący powstanie swego rodzaju „świadomości kresowej”. Niemal każdy ze środkowoeuropejskich narodów poczuwa się do roli przedmurza chrześcijaństwa i niemal każdy z nich odczuwa z tego powodu taką samą mieszaninę dumy i rozgoryczenia wobec obojętności Zachodu, którego dostatek i bezpieczeństwo od stuleci okupowane są krwią i poświęceniem Europy Środkowej. A jednak, mimo wszystko, nie sposób wyzbyć się wątpliwości: czy rzeczywiście ten jakże spójny obraz nie jest nieco wyidealizowany? Czy owa

jedność środkowoeuropejska nie jest w znacznej mierze złudzeniem wynikłym z naszych marzeń i pragnień? Wystarczy bliżej przyrzeć się historii poszczególnych narodów, by tego typu podejrzenia ugruntowały się. Oto bowiem Polska: kraj szcycący się mocarstwową przeszłością i odwieczną nieustępliwością wobec Moskwy. Tuż obok Białoruś — posiadająca znikomą tradycję własnej państwowości i przez wieki zagrożona polonizacją. Ich społeczeństwa nabrały cechy narodów w XIX wieku. Polska przywiązana do swych tradycji szlacheckich (niech nie zmylą nas propagandowe slogany o prywatnie, anarchii i braku patriotyzmu — przeciętny Polak wysoko sobie ceni rycerską przeszłość symbolizowaną przez odzież wiedeńską) i społeczeństwo Białorusi pochodzenia plebejskiego. Nienawidzący Rosji Polacy i przez wieki sympatyzujący z nią Czesi. Węgry, które w czasach Macieja Corvina były jednym z głównych europejskich centrów kultury renesansowej i obok nich Słowacy — naród, którego literatura powstała w XIX wieku. Czy na podstawie samych tych faktów nie moglibyśmy zakwestionować jedności Europy Środkowej?

Moglibyśmy. I sądzę, że popełnilibyśmy błąd.

Bowiem jedność — ta, o której mówił Miłosz, o której pisali Kundera i Konrad — jest faktem. Fragment jednego z wierszy Wasyła Stusa brzmi:

*Mało nas. Drobną szczeliną czy szczyrbą
zostanie po modlitwie, po nadziei.*

Wiersz ten mógłby powstać w Polsce, w Czechosłowacji, na Litwie lub na Węgrzech. Jest to wiersz środkowoeuropejski. Wyraża podstawowe lęki i emocje mieszkańca tej części kontynentu. „Mało nas” — pisze Stus. (Charakterystyczne to zresztą poczucie wspólnoty. Czyż poeta francuski bądź angielski nie napisałby raczej „mało mnie”?). Kogo ma na myśli? Ukraińców? To chyba niezbyt prawdopodobne — wszak jest ich ładnie kilkadziesiąt milionów. „Mało nas, Środkowoeuropejczyków” — zdaje się mówić. Faktycznie, nie jest ich aż tak wielu — obywateli elitarnej Europy Środkowej ducha. Jednakże dzięki nim ona istnieje — uwieczniona w dziełach sztuki, w architekturze, utrwalaona męczeństwem swych obywateli. Stus zginął zadrażniony przez nadzorców gułagu, lecz pamięć o nim jest właśnie tą drobną szczeliną czy szczyrbą w murze sowieckiego imperium, przez którą widać zarysy Europy Środkowej.

Mówiąc o wspólnym losie Kundera miał na myśli dziedzictwo kulturalne, a właściwie te jego elementy, które zbliżają do siebie narody Europy Środkowej. Lecz przecież wspólny środkowoeuropejski los zaowocował także ukształtowaniem się hataśliwych i agresywnych nacjonalizmów, wymierzonych głównie w społeczeństwa ościenne. Poza spokojną, sielską Europą Środkową kultury istnieje też Europa Środkowa historii politycznej, pełna sprzeczności, krwawych walk, nienawiści i zwykłej głupoty. To właśnie jej obraz wysuwa się na plan pierwszy i skłania nas do kwestionowania jedności tego obszaru. Z oczywistych wzglę-

dów winę za to ponoszą głównie narody duże i silne. A więc Polacy, którzy uważali, że naród ukraiński jest wymysłem Moskwy czy Austrii. A więc Węgrzy, odmawiający w przeszłości prawa do miana narodu Słowakom, Rumunom i Serbom. Ale nie tylko. Także Chorwaci, Serbowie, Słowacy i Rumuni, którzy zdecydowali się na udział w krwawym tłumieniu węgierskiej rewolucji 1848 roku. Także Czesi, którzy w 1920 roku blokowali dostawy broni dla polskich wojsk i wspólnie z Rumunami i Serbami oraz Chorwatami montowali małą ententę.

Powiada się, że polityka nie zna ocen moralnych. Z punktu widzenia historyka — być może, choć moim zdaniem nie jest to powód do dumy. Jednakże osoby pragnące politykę prowadzić (a czym, jeśli nie polityką, jest szukanie zgody z przeciwnikiem) muszą od czasu do czasu uderzyć się w piersi i powiedzieć: „wybaczamy i prosimy o wybaczenie” — co, rzecz jasna, możliwe jest tylko w przypadku uznania kategorii moralnych, takich jak wina, zbrodnia, niesprawiedliwość. Sądzę, że problem istnienia Europy Środkowej jest w gruncie rzeczy kwestią kategorii moralnych. Ta pierwsza Europa Środkowa — wzniosła i elitarna, zapisana w książkach i wierszach, zawarta w dziełach sztuki i architekturze, dostępna jedynie wybrańcom — był swój zawdzięcza moralności. Ta druga — strasząca wymarłymi wioskami w Bieszczadach i pozamykanymi szkołami węgierskimi w Siedmiogrodzie — jest efektem odrzucenia kategorii moralnych i manipulowania nimi. Koniec XIX i pierwsza połowa XX wieku były okresem, kiedy hasła typu „za wolność waszą i naszą” zostały złożone do lamusa historii. Moralność ostatecznie wypchnięto do życia prywatnego, zaś w sprawach publicznych miejsce jej zajął interes polityczny, usurpujący sobie prawo do tytułu racji narodowej. Pod takim właśnie szyldem dokonywało się niszczenie tego, co w przyszłości mogło być Europą Środkową. Spustoszeń tych nie da się usunąć za pomocą środków politycznych. Federacyjne plany Piłsudskiego czy Sikorskiego nie powiodły się nie tylko dlatego, że stosunek był niesprzyjający. Powodem porażki był także fakt, że celowość obu tych przedsięwzięć uzasadniana była jedynie w kategoriach interesu politycznego, który w zależności od chwilowej koniunktury mógł być dowolnie interpretowany. W pierwszym przypadku interes ten nakazał podzielić Ukrainę pomiędzy Polskę a Sowiecką Rosję, później zaś odmówić wchłoniętym terenom prawa do autonomii. W drugim przypadku interes polityczny skłonił Benesa do ustąpienia przed sowieckimi naciskami. Jest rzeczą bezdyskusyjną, że międzynarodowy stosunek sił sprawiał, iż plany zjednoczeniowe nie miały szans na realizację. Jednakże winą polityków było to, że dokonując swych wyborów kierowali się wyłącznie racjami polityki bieżącej i nawet nie starali się stworzyć psychologicznych i ideologicznych podstaw, które umożliwiłyby powrót do tych projektów w przyszłości — w momencie, gdy polityczna koniunktura ulegnie zmianie. Nieliczne próby zjednoczenia Europy Środkowej nie stanowią w świadomości tutejszych społeczeństw symbolu, do którego można by się odwołać. Są mało znanymi faktami historycznymi, których wspo-

mnienie nie budzi żadnych emocji i do niczego nie inspiruje. Dzieje poszczególnych narodów obfitują w mity — takie chociażby, jak mit polskich walk narodowo-wyzwoleńczych, insurekcji, powstań. Mitologia Europy Środkowej jako całości — o ile w ogóle istnieje — jest niezwykle uboga. Sądzę, że decyzje, jakie zapadły w Wersalu i Jałcie były w znacznej mierze pochodną postawy zajmowanej przez polityków z Europy Środkowej. Tak więc jedynie w części mają rację ci, którzy winą za istniejący stan rzeczy obarczają wielkie mocarstwa.

Okres, jaki upłynął od roku 1948, jest dla Europy Środkowej epoką szczególną. Ta odmiennność od lat międzywojennych czy nawet od okresu 1945-1948 wynika ze zjawiska, które określiłbym jako śmierć polityki. Tradycyjnie pojęta polityka w Europie Środkowej umarła — nie istnieją partie dążące do udziału w sprawowaniu władzy, grupy pragnące prowadzić „grę polityczną” z komunistami stanowią margines, zaś ogół niezadowolonych obywateli formułuje swe skargi w kategoriach ekonomicznych i moralnych. Naturalnie jest to cnota z konieczności — śmierć polityki nie była zjawiskiem samoistnym, lecz wynikała z komunistycznego monopolu, nie dopuszczającego, by osoby niepowołane wtykały nos w sprawy zarezerwowane dla partyjnej elity. Co więcej, jest rzeczą pewną, że wraz z upadkiem czy nawet poważnym osłabieniem komunizmu polityka musi zmartwychwstać. Niemniej jednak obecnie pozbawiona jest w życiu społecznym swej dominującej roli, zaś jej miejsce zajmuje — od niemal czterdziestu lat — moralność. Wszystkie odruchy buntu i sprzeciwu, jakie w Europie Środkowej miały miejsce po roku 1948, wyrosły z pobudek moralnych. Nawet węgierskie powstanie 1956 roku, które na krótko wprowadziło system wielopartyjny, spowodowane było społeczną niezgodą na zło i niesprawiedliwość. Komuniści wypędzeni zostali nie jako zwolennicy określonej doktryny, lecz jako ludzie odpowiedzialni za zbrodnie i krzywdy doznane przez naród. Dwanaście lat później zwolennicy tej samej doktryny przeprowadzali w Czechosłowacji reformy i cieszyli się pełnym poparciem społeczeństwa, bowiem ich działania uznawane były za *dobro* w odróżnieniu od *zła* popełnianego przez ich poprzedników (i następców). Przyjście Gierka witane było entuzjastycznym „pomożemy!”, pomimo że należał on do tej samej partii komunistycznej, co Gomułka. Jednakże ten ostatni uosabiał wszystkie krzywdy minionego okresu, zaś Gierek zdawał się zapowiadać powrót sprawiedliwości. Środkowoeuropejskie ruchy dysydenckie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych były objawem buntu moralnego, nie politycznego. Nawet Solidarność, tak usilnie (i szczerze) podkreślająca swą apolityczność, nie jest niczym innym, jak instytucjonalną formą rewindykacji zasad moralnych. Ludzie wychodzący na ulice, odmawiający złożenia upokarzającej przysięgi wojskowej, zgłaszający chęć odsiedzenia wyroków wydanych na przywódców związkowych nie kierują się kalkulacjami politycznymi. Ich motywacją jest ludzka godność i uczciwość. Zdają sobie sprawę, że tak zarysowana dychotomia polityka — moralność jest rzeczą kontrowersyjną. Szeroko poję-

ta działalność polityczna wymaga uwzględnienia kategorii moralnych. Niezgoda na bezprawie, w chwili gdy przybierze formę publiczną, staje się faktem politycznym. To prawda. Niemniej jednak istnieje zasadnicza różnica między gestem sprzeciwu wyrosłym z pobudek moralnych a postawą opozycyjną spowodowaną, na przykład, interesem ekonomicznym czy chęcią dojścia do władzy. Po czterdziestu latach komunistycznej hipokryzji i dwójmyślenia przeciętny mieszkaniec Europy Środkowej instynktownie szuka trwałych wartości, które mogłyby stanowić dlań odtrutkę na moralny relatywizm głoszony przez propagandę. Tym właśnie tłumaczy się chyba nagły nawrót do religii oraz niezwykła kariera słowa „wiarygodność”. Wiarygodność staje się podstawowym kryterium oceny postaw. Wiedzą o tym opozycjoniści, jak ognia strzegący się metod manipulacyjnych i spiskowych. Wie o tym także władza — obraz państwowo-partyjnych dygnitarzy tworzony przez propagandę przedstawia ich jako ludzi skromnych, uczciwych, prowadzących wręcz ascetyczny tryb życia. Ich poprzednicy, wymanewrowani w czasie kolejnych przewrotów pałacowych, ukazywani są jako dziwkarze, łapownicy i kombinatorzy. Nawet polska prasa niezależna — zwłaszcza pisma zakładowe — roi się od informacji o tym, ile przepił szef neozwiązków i kto mu towarzyszył w czasie libacji. Podstawą oceny człowieka jest jego postawa moralna, zaś kryterium polityczne pełni rolę pomocniczą (znajduje to potwierdzenie w często występującym zjawisku określanym słowami: „komunista, ale przyzwoity człowiek”).

Przejściowa detronizacja polityki w publicznym życiu Europy Środkowej może mieć doniosłe konsekwencje dla tego obszaru. Sądzę, że stwarza ona — być może niepowtarzalną — szansę zaistnienia drugiej Europy Środkowej, która — w odróżnieniu od tej pierwszej, elitarniej i wzniesionej na wyżyny kultury — będzie dostępna dla każdego mieszkańca tej części świata. Prymat moralności nad polityką pozwala na znalezienie wspólnego języka. Jak długo wszystkie zwaśnione strony operowały pojęciem „naszych praw historycznych i narodowych”, porozumienie było niemożliwe. Jednakże hasło naszych „praw ludzkich i obywatelskich” ma dokładnie taką samą wymowę w Warszawie i Kijowie, w Budapeszcie i Bukareszcie. Stanowi pewną podstawę, na której można się oprzeć próbując nawiązać dialog.

Błędem byłoby jednak sądzić, iż uzgodnienie stanowisk w kwestii praw ludzkich ostatecznie położy kres wszystkim sporom. Prawa narodowe, które przez wieki stanowiły kość niezgody, nie są urojeniem czy wymysłem nacjonalistów. One istnieją. Konflikty, jakie wybuchały wokół ich interpretacji, wynikały nie tylko ze złej woli czy głupoty, lecz nader często powodowane były rzeczywistą rozbieżnością interesów.

Pomimo to zjednoczona Europa Środkowa ma szansę zaistnieć. Doświadczenia cywilizowanego świata wskazują, że nawet skrajnie odmienne interesy dają się uzgodnić. Warunkiem osiągnięcia

kompromisu jest nie tyle nawet dobra wola, ile raczej wzajemne zaufanie. Jego właśnie zabrakło w ostatnich stuleciach. Fakt ten sprawił, że najbardziej życzliwe i pojednawcze kroki — przyznając, że nieliczne — odczytywane były jako puste gesty.

Być może środkowoeuropejska solidarność w obronie praw ludzkich zmniejszy nieufność co do intencji strony przeciwnej i pozwoli na rzeczowe przedyskutowanie kwestii spornych w atmosferze wolnej od resentymentów i podejrzeń. Gdyby nadzieja ta spełniła się, zasypana zostałaby przepaść między obiema Europami Środkowymi — tą elitarną i tą powszechną, zaś prawo do obywatelstwa, przysługujące dotąd wybrancom, zyskaliby także robotnicy z Kijowa i chłopci spod Mławy.

Wiesław SZUKALSKI

LIBELLA

12, Rue Saint-Louis-en-l'Île, 75004 Paris, France.

Métro: Pont Marie.

Telefon: 43-26-51-09.

KSIAŻKI POLSKIE • KSIAŻKI FRANCUSKIE
DOTYCZĄCE POLSKI I EUROPY WSCHODNIEJ •
PRZEKŁADY Z JEZYKA POLSKIEGO NA
FRANCUSKI.

KATALOGI BEZPŁATNE WYSYŁAMY NA KAŻDE
ŻĄDANIE.

KSIAŻKI WYSYŁAMY NA CAŁY ŚWIAT

WSPÓŁCZESNE MALARSTWO POLSKIE I OBCE W SĄSIEDNIEJ

GALERIE LAMBERT

Zapraszamy wszystkich przejeżdżających przez Paryż, by odwiedzić
najpiękniejszą polską księgarnię i polską galerię na historycznej
Wyspie Świętego Ludwika.

O religii bez namaszczenia

Kościół ubogich

WYWIAD Z O. LEONARDO BOFFEM, OFM

O. Leonardo Boff stał się ostrożny, jeśli idzie o słowo pisane. Woli najpierw rozmawiać i dopiero później sam przygotować tekst swojego wywiadu. Spędziliśmy razem przedpołudnie 17 października 1986 w klasztorze OO. Franciszkanów, gdzie mieszka — wysoko w górach Serra do Mar, w Petrópolis, mieście stanu Rio de Janeiro. Mówił On i mówiliśmy my (Henryk Siewierski i ja) — O. Leonardo chciał bowiem dowiedzieć się czegoś więcej o polskich adresatach tego wywiadu. Polska jest dla niego krajem dalekim, sławnym i osobliwym, a także niełatwym do zrozumienia.

Przy końcu rozmowy sformułowaliśmy kilka pytań i po dwóch dniach otrzymaliśmy gotowy maszynopis. Wprowadziliśmy w nim jedynie podtytuły w miejsce pytań. Jest to tekst prosty, kolokwialny, taki o jaki prosiliśmy. Pragnęliśmy również, niezależnie od kwestii teologicznych, przybliżyć samą postać naszego Rozmówcy.

Rubem Cesar FERNANDES

Ojciec

Moi dziadkowie, rolnicy z północnych Włoch, przyjechali do Brazylii pod koniec ubiegłego wieku. Ojciec uczęszczał do szkoły prowadzonej przez jezuitów, później seminarium, które porzucił, stając się wielkim wychowawcą ludowym. W moim regionie mówiło się wyłącznie po niemiecku i po włosku. Było też dużo alfabetów. Ojciec uczył dorosłych portugalskiego. Udało mu się nakłonić wszystkie rodziny do zakupu aparatów radiowych i w ten sposób wszyscy mogli osłuchać się z portugalskim i stopniowo porozumiewać w tym języku. Później założył szkołę rachunkowości, kształcą pierwszych księgowych na tym terenie, gdzie wciąż przeważała puszczka i gdzie nie dotarła jeszcze systematycz-

na kolonizacja. Założył też bibliotekę i zmuszał wszystkich do czytania powieści i w ogóle książek o Brazylii.

Moja rodzina była głęboko religijna. Ojciec znał grekę i łacinę z seminarium. Czytał ciągle Biblię. Jednakże jego postawa chrześcijańska nacechowana była dużą dozą antyklerykalizmu. Księża, wyłącznie niemieccy, byli surowi dla włoskich emigrantów. Dziesięciny egzekwowali z dużą skrupulatnością. Ojciec, jako nauczyciel, cieszył się dużym szacunkiem wśród miejscowej ludności. Chciał aby dziesięcina była przeznaczona dla rodzin biednych, Indian i Murzynów. Wielu kolonistów tak uczyniło i spotkało się z zakazem ze strony księży niemieckich.

Ojciec zaszczerpił całej rodzinie wielki zmysł sprawiedliwości i miłość do Jezusa. Już wtedy ukazywał nam Jezusa jako wyzwoliciela i przyjaciela ubogich. Było nas w domu jedenaścioro rodzeństwa. W szkole kazał nam ojciec zawsze siadać obok uczniów murzyńskich, nikt bowiem nie chciał zajmować obok nich miejsca. Był ojcem chrzestnym prawie w każdej rodzinie murzyńskiej i indiańskiej. Zawsze bronił ich ziem przed włoskimi i niemieckimi kolonistami. Z tego powodu niektóre włoskie rodziny groziły mu nawet śmiercią. Lecz biedni (Murzyni i Indianie) mówili: „Mamy Pana Boga w niebie i na ziemi pana Mansueto”. Mansueto — to nazwisko mojego ojca. Był człowiekiem, który wywarł największy wpływ na całe moje życie. Odnaczał się niezwykłą mądrością. W brazylijskim interiorze, w stanie Santa Catarina, przy granicy z Argentyną i Paragwajem, z dala od cywilizacji, czytał Hegla, greckich filozofów, św. Bonawenturę i Boską Komedie. Przekazał nam wszystkim głód wiedzy i miłość do ubogich. Jego dewizą, którą umieściłem jako motto mojej rozprawy doktorskiej w języku niemieckim, było: „Kto nie żyje by służyć, nie nadaje się do życia” (*Quem não vive para servir, não serve para viver*).

Rodzeństwo

Jest wśród nas dwóch księży teologów i jedna zakonnica. Mój brat, Clodovis Boff, jest serwitą. Studiował w Louvain. Napisał kilka książek, z których jedna należy już do klasyki teologii wyzwolenia: *Teologia i praktyka. Teologia polityczna i jej pośrednictwo*. Jest to tekst niezwykle trudny i poważny, stanowi bowiem próbę stworzenia w sposób krytyczny dyskursu teologii wyzwolenia, połączenia dyskursu wiary z dyskursem społecznym w perspektywie uciskanych. Moja siostra, która jest zakonnicą, pracowała przez 15 lat w Amazonii, w samym sercu puszczy. Kiedy znalazłem się tam przed laty, byłem do głębi poruszony tym jej wyborem. Teren dziki, odległy od wszelkich połączeń komunikacyjnych, z drogami przejezdnymi zaledwie przez 6 miesięcy w ciągu roku. Żyła tam wśród biednych, Metysów z Indian brazylijskich, Boliwijczyków i białych, prowadząc małą szkołę i głosząc Ewangelię w głębi puszczy. Przemierzała pieszo leśne drogi przez 5-8 godzin dziennie lub szlaki wodne przez kilka kolejnych dni.

Nasze powołanie zakonne kształtowało się w atmosferze życia religijnego rodziny, atmosferze naznaczonej zarazem politycznym krytycyzmem. Nie wszyscy uchronili jednak tego ducha wiary. Jedna z sióstr jest niewierząca, odznacza się jednak głębokim humanitaryzmem; prowadzi szpital, przyjmując bezpłatnie wszystkich chorych biednych. Jeden z braci studiował ekonometrię i ekonomię w Louvain. Wykładał i prowadził badania naukowe na Uniwersytecie. Nagle porzucił wszystko i zaczął pracować jako konduktor autobusu. Obecnie pracuje na niewielkiej plantacji. Nie chce brać udziału w procesie kapitalistycznego wyzysku. Zdecydował żyć na marginesie kultury dominującej. Nie wierzył w nic. Został dopiero nawrócony przez chrześcijan baptystów i dzisiaj tylko studiuje Pismo Święte i stara się żyć w harmonii z naturą, pracując, modląc się i będąc przyjacielem biednych chłopów.

Ja wstąpiłem do seminarium franciszkanów mając 11 lat. Studia odbyłem w Brazylii, po czym w wieku 26 lat wyjechałem na studia podyplomowe z teologii i filozofii na Uniwersytet Monachijski. Tym, który w okresie studiów wywarł na mnie największy wpływ był obecny kardynał Sao Paulo, Paulo Evaristo Arns. Był on moim profesorem patrystyki i pedagogiki, gdy studiowałem teologię w Petrópolis, koło Rio de Janeiro. Zawsze dopinguje mnie do pracy intelektualnej i nawet dzisiaj, gdy jestem już dorosłym teologiem, ten doping nie ustaje. Zechciał mi towarzyszyć w mojej podróży do Rzymu, gdy zostałem wezwany przez kardynała Josepha Ratzingera. Zdołał uzyskać zezwolenie na wejście do Kongregacji Doktryny Wiary i tam, w mojej obecności, razem z kardynałem Lorscheiderem, rozmawiał z kardynałem Ratzingerem, broniąc słuszności teologii wyzwolenia.

Próbuję dzielić swój czas między nauczanie teologii, pracę duszpasterską na peryferiach miasta Petrópolis, koordynację publikacji religijnych w Wydawnictwie *Vozes* (głosy) — największym wydawnictwie katolickim w Ameryce Łacińskiej — i pisanie. Jest nas mało w Brazylii. Powinno nas być co najmniej 100 tys. księży, na ogólną liczbę 120 milionów katolików, a jest nas zaledwie 13 tys., w tym połowę stanowią księża cudzoziemcy. Jest wśród nas sporo księży polskich, którzy przybyli tu w ciągu ostatnich lat, niosąc nam swą duszpasterską pomoc.

Teologia i praktyka duszpasterska

Z powodu braku księży każdy teolog jest zarazem duszpasterzem. Jest nie do pomyślenia, aby profesor teologii nie był związany z duszpasterstwem jakiejś parafii lub jakiegoś ruchu chrześcijańskiego. I właśnie teologowie wyzwolenia posiadają ten głęboki związek z życiem środowisk ludowych. Związek ten jest bowiem podstawowym warunkiem teologii wyzwolenia. Nie jest to teologia w sensie akademickim, to znaczy uprawiana na wydziałach teologicznych. Tworzy się ją, wychodząc od praktyki duszpasterskiej w środowiskach ludzi biednych. Ja na przykład pracuję od lat w jednej z dzielnic ubogich (*favela*), gdzie mieszka

230 rodzin, żyjących wyłącznie z tego, co znajdują na śmietnikach. Ludzie miesza się z sępami, świniami, psami, wybierając ze śmietników to wszystko, co można jeszcze jakoś spożytkować: papier, pudełka z kartonu, sztuczne tworzywa, puszki po konserwach, resztki żywności i odzieży. Spotykam się z tymi ludźmi w każdy piątek wieczorem. Czytamy Pismo Święte, komentujemy i śpiewamy. Później omawiamy problemy, jakimi żyje wspólnota i staramy się razem znaleźć ich rozwiązanie. W ten sposób własnymi siłami zbudowaliśmy szkołę, świetlicę i uruchomiliśmy niewielką produkcję konfekcji. Na każdą niedzielę odprawiana jest msza święta. Odpowiedzialni za mszę przygotowują pieśni, przystrajają salę i prowadzą katechizację dzieci. Jest to wspólnota skazańców tej ziemi. Gdy ich widzimy jak razem ze zwierzętami, sami podobni do zwierząt, walczą o resztki tego co inni wyrzucili, ogarnia nas wielkie współczucie. Rozumiemy wtedy, co mógł czuć Jezus gdy mówił: „*Misereor super turbas*” — żal mi tego ludu. Jednakże dzisiaj nie uważają się już oni za śmieciarzy. Uważają się za robotników, którzy godnie, swoją własną pracą zarabiają na chleb dla swoich rodzin i własne utrzymanie. Protestują, gdy w prasie pojawiają się fotografie ukazujące warunki w jakich żyją, bez pokazania pracy, jaką wykonują. Kiedy mam gości z zagranicy i przyprowadzam ich do tej „Wspólnoty śmieci” (tak jest nazywana), muszę zawsze spytać wcześniej o zgodę na filmowanie i robienie zdjęć. Przyjmują wszystkich serdecznie, ale chcą być traktowani jak osoby ludzkie, uciskane, ale świadome swej godności.

Jestem w kontakcie z kościelnymi wspólnotami podstawowymi (*comunidades eclesiais de base*) na szczeblu ogólnonarodowym. Mam okazję poznać wiele sytuacji wyzysku i nędzy. Wstarczy wspomnieć, że mamy około 32 milionów nieletnich porzucanych, co odpowiada liczbie ludności całej Argentyny. Co robić, aby wiara chrześcijańska, tak bardzo wrośnięta w żywą tkankę społeczeństwa brazylijskiego, stała się czynnikiem humanizacji i wyzwolenia? To właśnie poprzez doświadczenie społecznego i ekonomicznego wyzysku można zrozumieć teologię wyzwolenia. Tak więc jedynie biedni i ci, którzy odczuwają głód i pragnienie sprawiedliwości, rozumieją tę teologię. Jest nie do pojęcia między nami, by teolog zajmował się wyłącznie teologią. Jest on działaczem chrześcijańskim, który stara się pracować razem z ludem, organizując grupy „Refleksja/Działanie”, kółka biblijne, kościelne wspólnoty podstawowe, ośrodki związkowe, centra obrony i upowszechniania praw człowieka. Z tych doświadczeń wyrasta nasza refleksja teologiczna. Jest to refleksja, która musi objąć wiedzę z zakresu socjologii, polityki, ideologii, pedagogiki — tak, aby można było zrozumieć rzeczywistość nędzy i niesprawiedliwości i szukać, z perspektywy samych uciskanych, możliwych dróg przezwyciężenia tego stanu.

Zawsze w styczniu i lutym, to jest w okresie naszych wakacji letnich mogę włączyć się w życie któregoś z Kościołów lokalnych. I tak, w ostatnich latach przebywałem w Acre, stanie położonym w Amazonii, na granicy Peru i Boliwii. Za każdym razem spe-

dzam dwa miesiące wśród wspólnot podstawowych, przemierzam zielone piekło lasów amazońskich, odwiedzając kościelne wspólnoty. Niesie to za sobą niesamowite zmęczenie, lecz wynagradza nam je — dzięki kontaktowi z ludem — doświadczenie egzystencjalnego sensu wiary, nadziei, radości z jaką można żyć, posiadając tak niewiele rzeczy. Bezpośredni kontakt z naturą, jescze nie skażoną naukowo-techniczną ekspansją człowieka, posiada wielką siłę terapeutyczną, daje poczucie integracji i równowagi. Kiedy przemierza się te lasy, mając nad głową 80-metrowe drzewa czuje się kruchość ludzkiej egzystencji: czujemy się jak małe zwierzątka, bez żadnego znaczenia. Możemy zostać pożarci przez byle jakie zwierzę, byle jaki owoc może nam spaść na głowę, byle jaki wąż może ukąsić nas śmiertelnie. I mimo to tylko my myślimy, kochamy, podziwiamy wspaniałości ziemi, zwracając się ku Autorowi wszystkich rzeczy, Ojcu Niebieskiemu, który swym planem pełnym chwały wszystko to obejmuje.

Kim są biedni?

Teologia wyzwolenia posiada własną definicję biednego. W pierwszym rzędzie jest to biedny w sensie społeczno-ekonomicznym, to znaczy pozbawiony niezbędnych środków utrzymania. Nie chodzi tu tylko o proletariat. W Brazylii, tak jak w innych krajach Ameryki Łacińskiej, jest przywilejem móc być proletariuszem i brać udział w procesie kapitalistycznego wysysku. W tym wypadku człowiek przynajmniej otrzymuje wynagrodzenie podstawowe, posiada świadczenia socjalne, prawo do leczenia i emerytury. Większość biednych nie uczestniczy w procesie produkcji, nie posiada stałego wynagrodzenia ani żadnych świadczeń, żyje na marginesie społeczeństwa. W Brazylii jest ich ponad 30 milionów. Do liczby tej należy dodać ofiary różnych rodzajów dyskryminacji, jak Murzyni (w Brazylii żyje około 40 milionów Murzynów), Indianie, kobiety. Kiedy teologia wyzwolenia mówi o biednych, obejmuje całą tę gamę uciskanych, którzy mają prawo do życia i wolności, bo są synami i córkami Boga, jego dziećmi upokorzonymi, zdeformowanymi i znieważonymi w swych ludzkich uczuciach. I tutaj pojawia się znów pytanie, które jest ciężarem sumienia całej naszej generacji: jak żyć po chrześcijańsku w świecie nędzy? Oczywiście jedynie w sposób odpowiedzialny i wywołicielski. Biedni zazwyczaj nie ufają jednemu drugiemu. Są oni utwierdzeni w przekonaniu, że nic nie ma znaczenia, czy też że bieda jest miłą Bogu lub że jest ona dziełem samej natury. Poprzez uczestnictwo w działalności kół biblijnych i kościelnych wspólnot podstawowych, biedni dowiadują się że Bóg nie miłuje biedy, że jest ona ucieleśnieniem niesprawiedliwości i więcej — że to oni, biedni, są przez Ojca umiłowani, że to oni, biedni, byli pierwszymi adresatami wyzwalającego przesłania wszystkich ludzi. Jest taka ulubiona pieśń wspólnot, często śpiewana przez wiernych kościoła ludowego: „wierzę, że świat będzie lepszy, kiedy biedni i cierpiący zaufają jedni drugim”.

Dzisiaj Kościół obejmuje duszpasterstwem wyzwolenia zarówno prostytutki, nieletnich porzuconych, żyjących na ulicy, jak i mieszkańców *slums'ów*. Istnieje ruch kobiet z marginesu popierany przez Konferencję Episkopatu. Każdego roku zbiera się około 70 prostytutek, przybyłych z całej Brazylii, i przez tydzień, razem z opiekunami społecznymi dyskutuje swoje problemy w świetle wiary i teologii wyzwolenia. W spotkaniach tych uczestniczą biskupi, księża i teologowie. Ja sam uczestniczyłem dwa razy w tego rodzaju spotkaniach. Robi duże wrażenie, gdy się widzi jak te kobiety z marginesu społecznego uczestniczą w zajęciach grup refleksyjnych, jak się modlą i przygotowują do mszy świętej. Jest coraz bardziej oczywiste, że kwestia prostytucji jest kwestią polityczną, zależną od formy społeczeństwa w jakim żyjemy. Wyzyskuje ono nie tylko siłę roboczą, wyzyskuje także ludzki erotyzm. Wiele, znaczna większość kobiet, uprawia prostytucję nie z wyboru, ale dlatego że nie ma innego wyjścia aby utrzymać się przy życiu i wykarmić swoje dzieci. W wielu brazylijskich diecezjach istnieje dobrze zorganizowane duszpasterstwo kobiet z marginesu społecznego; mają one własne koła biblijne, gdzieśkolwiek istnieją nawet kościelne wspólnoty podstawowe utworzone przez prostytutki. Poprzez doświadczenia tego rodzaju można dopiero lepiej zrozumieć słowa Chrystusa, gdy mówił, że nierządnicę, która ma wiarę wyprzedzą nas wszystkich w Królestwie Niebieskim.

Kiedy zostałem wezwany przez kardynała Ratzingera, aby odpowiedzieć w Rzymie na pytania związane z książką *Kościół: charyzmat i władza*, dziwnym trafem zbiegły się daty: w tym samym czasie co wyznaczone w Rzymie spotkanie miało się odbyć spotkanie kobiet ze społecznego marginesu, na które byłem zaproszony jako asesor. Napisałem do kardynała Ratzingera, że w tym czasie nie mogę wyjechać, gdyż muszę się spotkać z tymi kobietami. To one przecież posiadają ewangeliczny przywilej, który przewyższa każdy inny w Kościele. Dlatego nie stawiałem się wówczas w Rzymie i pojechałem wysłuchać te kobiety. Kardynał Ratzinger w liście dał wyraz swemu niezadowoleniu i ubóstwu zmysłu ewangelicznego. Takie rzeczy stanowią wyzwanie dla myśli teologicznej i duszpasterskiej. Jak włączyć w ten wielki proces wyzwolenia również owe „ekonomiczne zera”, które nie znaczą w ludzkiej historii, a są tak bardzo umiłowane przez Boga? Wyzwolenie, które nie służy tym ostatnim, nie może być pełnym chrześcijańskim wyzwoleniem.

Już od pięciu lat, wspólnie z około stu teologami i specjalistami od nauk społecznych z Ameryki Łacińskiej, pracujemy nad ponad 50-tomową serią wydawniczą pt. „Teologia i Wyzwolenie”. W zbiorze tym próbuje się usystematyzować dyskurs wiary w powiązaniu z całą tradycją i w perspektywie wyzwolenia uciskanych. Do chwili obecnej (połowa października) zostało wydanych 6 tomów, a teraz co miesiąc będzie się ukazywał jeden tom w języku hiszpańskim (Buenos Aires i Madryt) i portugalskim (Petrópolis), łącznie z przekładami na inne języki.

Kościelne wspólnoty podstawowe

Wiara chrześcijańska jest głęboko zakorzeniona w duszy brazylijskiego ludu. Ludowa wizja świata ma charakter religijny. Lecz jest to chrystianizm kolonialny, przywieziony tu jako podstawa planu europejskiej ekspansji i reprodukcji duchownego personelu Kościoła europejskiego. Zarazem jednak, z biegiem czasu, religia chrześcijańska zyskała tutaj swój własny wyraz, wchłaniając elementy religii Indian i Murzynów. Później, przy końcu XIX wieku, pojawił się inny typ chrystianizmu, oparty na rzymskiej centralizacji i wprowadzający nowe formy kultu, takie jak Chrystusa Króla, Najświętszego Serca, św. Teresy od Dzieciątka Jezus etc. Doprowadziło to do rozbitcia poprzedniej, kolonialnej i średniowiecznej formy chrześcijańskiej religijności. Z powodu mocno sklerykalizowanej struktury Kościoła świeccy nie mieli w nim nigdy większego znaczenia. Dopiero z początkiem lat 60-tych, zarówno w Brazylii jak i w innych krajach Ameryki Łacińskiej zaczęła wzrastać rola świeckich w duszpasterstwie robotników, studentów, społeczności wiejskich. Z uwagi na chroniczny brak księży, funkcje koordynacji i animacji życia parafialnego musieli przejąć świeccy. Nie należą dziś do rzadkości całe parafie, kierowane przez zakonnice, które spełniają wszystkie funkcje religijne z wyjątkiem konsekracji eucharystycznej i udzielania sakramentu pokuty. Liczba koordynatorów kościelnych wspólnot podstawowych wyraża się w tysiącach, z przeważającą większością kobiet. Obecnie mamy w Brazylii około 180 tys. kościelnych wspólnot podstawowych. W ich obrębie istnieją różne rodzaje służb świeckich — jedne, związane z wewnętrznymi potrzebami wspólnoty, takimi jak przygotowanie do sakramentów, katecheza, duszpasterstwo młodzieży etc. i drugie, związane z działalnością wychodzącą na zewnątrz, jak alfabetyzacja, uświadamianie polityczne, współpraca ze stowarzyszeniami dzielnicowymi i związkami zawodowymi, obrona praw człowieka etc. Tutaj właśnie otwierają się nowe pola działania dla świeckich, kobiet i mężczyzn.

Biskupi brazylijscy zawsze uznawali kościelne wspólnoty podstawowe. W ten sposób wyłonił się Kościół podstawowy (*Igreja de base*) w podwójnym sensie, tworzą go bowiem osoby stanowiące podstawę społeczeństwa (biedni i ludzie pracy) oraz podstawę kościoła, tj. świeccy. Istnieje szczęśliwa zbieżność między Kościołem - wielką instytucją i Kościołem - siecią wspólnot. Biskupi i księża potrzebują wspólnot i wspólnoty pragną mieć wśród siebie biskupów i księży. Ten Kościół podstawowy posiada swój własny profil: jest wcielony w kulturę ludową i stąd odznacza się jej cechami, takimi jak dramatyzacja lektury biblijnej, stosowanie symboliki zaczerpniętej z życia, duże znaczenie strony cielesnej, uwydatnienie aspektu wspólnotowego oraz duża rola pieśni, w których biedny i głęboko wierzący lud wyraża swoje chrześcijańskie doświadczenie. Kościół ten nie chce być rodzajem Kościoła paralelnego, lecz nową formą Kościoła-wspólnoty, zespalającego wiarę z życiem, wyzwolenie z Ewangelią.

Księża i biskupi w odnowionym Kościele

Kościół ludowy, czy mówiąc inaczej Kościół podstawowy, obejmuje wszystkich. Osoba świecka uczestniczy w sposób bardziej aktywny w jego życiu, wyznacza bowiem kierunek wspólnoty, poszerza ją i, w duchu misyjnym, tworzy nowe wspólnoty. Przed kilku dniami, na brzegu jednej z rzek Amazonii spotkałem starsze małżeństwo, które w ciągu ostatniego roku założyło 18 wspólnot podstawowych i nie ukrywało swej radości z tego powodu. Kupili łódź i szczęśliwi wędrują w dół i górę rzeki, odwiedzają wspólnoty, utwierdzając je w wierze i entuzjazmie.

Nawet biskupi, którzy obejmują pieczę nad Kościołem podstawowym zmieniają swój styl. Porzucają tytuły honorowe, symbole władzy duchownej i stają się podobni do chłopów. W kołach biblijnych zajmują miejsce obok innych i czekają na swoją kolej, aby komentować odpowiedni fragment z Pisma Świętego. Duże wrażenie zrobił na mnie kardynał Aloisio Lorscheider, kiedy pewnego razu znaleźliśmy się wspólnie w wielkiej, liczącej 120 tys. mieszkańców dzielnicy ubogich. Przyszliśmy do jednej ze wspólnot w czasie, gdy komentowano fragment Ewangelii. Kardynał zajął miejsce wśród zebranych, czekając aż przyjdzie kolej na niego. Gdy skończył, przekazał głos osobie siedzącej obok. Dopiero na końcu zebrani poprosili o błogosławieństwo. Nie należą do rzadkości biskupi, którzy zawdzięczając biednym swoją przemianę, swoją ewangelizację, przejęli Ewangelię bardziej profetyczną, bardziej prostą i stali się bardziej pasterzami niż przedstawicielami władzy kościelnej. Jest również wiele zakonnic i zakonników, którzy włączają się w życie środowisk ludowych. Żyjąc w wielkim ubóstwie, modląc się razem z ludem i służąc pomocą w organizacji wspólnot, pobudzają ich społeczną aktywność i uświadamiają przysługujące im prawa. Nie brak teologów żyjących skromnie, w dzielnicach ubogich i w tej sytuacji próbujących stworzyć swoją teologię. Są też tacy, którzy przez pół roku wykładają na Wydziale Teologicznym i drugie pół roku poświęcają pracy duszpasterskiej z ludem. Właśnie z tego spotkania duszpasterstwa z teologią powstaje teologia zaangażowana w wyzwolenie. Zwraca uwagę wielka świętość polityczna tych ludzi, wyrażająca się w ich ewangelicznym i profetycznym oskarżaniu ciemności ludu, w sposobie w jaki wspólnie bronią osadników, we wspomaganiu Indian w ich walce o zachowanie swojej kultury, wreszcie w tworzeniu duszpasterstwa ludowego w środowiskach biednych, ewangelizacji skromnymi środkami i próbie budowania życia wspólnoty na zasadach sprawiedliwości, której tak bardzo brakuje w społeczeństwie. Ten Kościół podstawowy liczy zastępy męczenników i proroków na skalę nieznaną jak dotąd w historii Brazylii.

Wspólnoty, instytucja i kościelna tożsamość

Kościelne wspólnoty podstawowe nie zamierzają ani też nie

mogą stanowić alternatywy *Kościół-a-wielkiej instytucji*. Próbuja one odnaleźć tego ducha wspólnoty, który był tak wyraźnie obecny w pierwszym tysiącleciu chrześcijaństwa. Oczywiście, że istnieje pewna instytucjonalizacja w obrębie wspólnot. Ich siła polega jednakże na połączeniu elementów tradycyjnych z elementami nowymi. Zaczniemy od tych nowych: świeccy przyjmują na siebie zadania wynikające z ich powołania w Kościele; wzbogacają życie wiary poprzez twórcze wprowadzanie nowych elementów religijnej obrzędowości; pojmują wiarę jako wyzwolenie od wszystkich historycznych ucisków a Jezus Chrystus jest dla nich tym, który w pełni wyzwala; nowe funkcje świeckich ukazują ich nowe miejsce w Kościele, jako współodpowiedzialnych za wszystko co odnosi się do życia wspólnoty. Z drugiej strony, kultywowane są formy tradycyjne, takie jak droga krzyżowa, różaniec, święta ludowe o charakterze religijnym — na sposób mniej dewocyjny a bardziej profetyczny i bardziej związany z kulturą lokalną. I tak, dla przykładu, droga krzyżowa należy do ulubionych form ludowej religijności — obok umęczonego Jezusa zajmują miejsce wszyscy męczennicy, którzy w danym regionie cierpieli za wiarę. Także procesje i pielgrzymki kultywowane są przez lud z zamiłowaniem. W ten sposób, poprzez dramatyzację życia i Ewangelii aktualizowane jest Słowo Boże zawarte w Piśmie Świętym. Nikt nie chce zrywać z tym Kościołem, który przekazany nam został przez Tradycję, i którego symbolem jest Papież, tak bardzo drogi całemu ludowi. Tożsamość wspólnot w sensie kościelnym zostaje zachowana w miarę jak wszystko jest widziane i odczytywane w świetle wiary i Pisma Świętego. Swoją tożsamość wspólnoty odnajdują w Słowie Bożym, czytanim i rozważanym w każdych okolicznościach, w odniesieniu do innych wspólnot z ich pasterzami i zawsze, w miarę możliwości, w połączeniu z praktyką sakramentalną. Nie zawsze jest możliwe przyjęcie eucharystii. Mimo to lud nie przestaje rytualizować swoich spotkań poprzez symbolikę komunii, która nadaje wspólnocie zwartość i sens uniwersalny. Co ciekawe, stare pieśni religijne pochodzenia gregoriańskiego zostają przejęte i wypełnione nową treścią, tak że zrozumiałe jest zarówno to co stare, jak i nowe. W ten sposób odzyskiwana jest także religijna pamięć Murzynów, ich pieśni wolnościowych, miejsc związanych z ich ruchem oporu a także tradycji przechowanej w miejscach tradycyjnych pielgrzymek, gdzie lud zawsze posilał się w wierze. Brazylijski katolicyzm ludowy odznacza się szczególnym bogactwem, bowiem w stosunkowo niewielkim stopniu poddany był kontroli kleru. Ukazuje on w sposób szczególnie wyrazisty obecność Boga cierpiącego, który bierze na siebie sprawy i cierpienia niewolników (w roku 1852 ponad połowę ludności Brazylii stanowili niewolnicy), Maryi Dziewicy i świętych opiekunów, jak św. Franciszek z Asyżu, św. Jerzy, św. Kosma i Damian i inni. Religia Murzynów i wspaniały synkretyzm który stworzyli, łącząc elementy tradycyjnego katolicyzmu z własnymi elementami afrykańskimi, ukazują w szczególny sposób siłę oporu przeciwko dominacji białych panów. Dzięki religii, Murzyni

potrafiли zawsze zachować swą godność i nie utracić nadziei, wiedzieli bowiem, że Bóg jest Bogiem ponizonych, i że słyszy wołanie niewolników.

Przed Prefektem Kongregacji Doktryny Wiary (7 września 1984 r.)

W 1981 roku ukazała się moja książka pt. *Kościół: charyzmat i władza*. Była to próba przemyślenia kwestii wyzwolenia wewnątrz Kościoła. Centralizacja władzy duchownej jest w Kościele zjawiskiem powszechnie znanym. Nie ma również wielkiej wrażliwości na sprawę praw człowieka. W obrębie kościelnych wspólnot podstawowych utrzymuje się obraz Kościoła bardziej jako służby niż władzy, bardziej jako wspólnoty niż społeczności. Opisałem nowy typ kapłana i biskupa oraz proces wzajemnego przekazywania sobie wiedzy, przewyciężając klasyczny podział na Kościół nauczający i Kościół nauczany. Niektóre grupy skrajnie konserwatywne, skoncentrowane w diecezji Rio de Janeiro, zwłaszcza wokół biskupa pomocniczego, Szwajcara, bp. Karla Josepha Romera, teologa lęklivego, gorliwie przestrzegającego litery prawowierności, potępiły moją książkę w Brazylii, ale nie wystarczyło im to i przedstawili ją kardynałowi Josephowi Ratzingerowi. Bez jakiegokolwiek wcześniejszego dialogu zostałem wezwany, aby odpowiedzieć na sześć stron oskarżeń, z których tylko niektóre oparte były na tekście książki, inne zaś zmontowane ze zdań wyjętych z kontekstu. Książka w rzeczywistości nie ma charakteru usystematyzowanego traktatu, lecz jest zbiorem studiów i propozycji kościelnej odnowy, wychodzących od podstaw i intuicji II Soboru Watykańskiego. Chciano osiągnąć nie tyle moje własne idee, ile kościelny ruch wspólnot podstawowych, w którym uczestniczy większość brazylijskich biskupów, i który zmierza do wielkiej kościelnej odnowy. Mam wrażenie, że władze rzymskie obawiają się rozwoju tego modelu Kościoła, który zakłada nową formę współuczestnictwa, to znaczy zdefiniowania na nowo kwestii władzy duchownej. Pojechałem do Rzymu w duchu dialogu. Konferencja Episkopatu Brazylijskiego uznała, że nie chodzi tu tylko o sąd nad jednym teologiem, lecz nad całą linią duszpasterską i teologiczną, przyjętą przez Kościół brazylijski. Dlatego też zechciał mi towarzyszyć Przewodniczący Konferencji Episkopatu bp Ivo Lorscheiter wraz z dwoma kardynałami, kardynałem Aloisio Lorscheider i kardynałem Paulo Evaristo Arns. Rozmawiali nawet z Papieżem w celu uzyskania zgody na obecność w czasie dialogu i przesłuchania. Nie był to krok łatwy. Było przecież czymś zupełnie niezwykłym, by osoby tak wysoko postawione w hierarchii kościelnej towarzyszyły podejrzanemu teologowi. Ostatecznie, po rozmowie z kardynałem Ratzingerem uzyskali zgodę na wejście do Kongregacji i mogli brać udział w spotkaniu. Rozmowa dotyczyła bardziej możliwości opracowania nowego dokumentu na temat teologii wyzwolenia, bowiem pierwszy z nich, *Libertatis Nuntius*, wydawał się nam niezadowolający z południowoamerykańskiego punktu widzenia.

Sprawa mojego wezwania do Rzymu wzbudziła duże zainteresowanie środków masowego przekazu na świecie. W rzeczywistości jednak prasa nie traktowała tego jako tematu ekologicznego, ale jako sąd nad teologiem utożsamionym z teologią wyzwolenia. Kwestia wyzwolenia interesuje nie tylko Kościół, lecz w ogóle opinię światową i stąd wielki rezonans, jakiego nabrało moje wezwanie do Rzymu.

Osobiście myślę, że była to niezwykle okazja ewangelizacji, ukazania poprzez świeckie środki przekazu misji ewangelizacyjnej we współczesnym świecie: na rzecz biednych i przeciwko ich biedzie, ku pełnemu wyzwoleniu.

Kara i postuszeństwo

Brazylijska opinia kościelna odczuła ten gest Rzymu jako skandal. Przez 20 lat Kościół występował przeciwko cenzurze narzuconej opinii publicznej przez wojskowych, zamykających usta dziennikarzom i politykom. I teraz Rzym w podobny sposób ucisza jednego ze swych teologów. Fakt ten zadziałał w pewien sposób demoralizująco na Kościół brazylijski, jeśli idzie o jego postawę wobec reżimu wojskowego. Doszło do wielkiej mobilizacji opinii publicznej, a zwłaszcza kościelnych wspólnot podstawowych, oburzonych formą, w jakiej zostało narzucone milczenie i publicznym skandalem, jaki oznaczało to w brazylijskim kontekście. Otrzymałem tysiące listów z wyrazami solidarności z całego świata. Otrzymałem także wiele listów od wspólnot z Polski. Nie krytykowano Rzymu, lecz wyrażano poparcie dla Kościoła budowanego we wspólnocie, którego nie można poniżać ani podejrzewać z powodu jednego teologa, zaangażowanego po stronie tego typu Kościoła.

Osobiście podporządkowałem się nakazowi milczenia. Uważałem, że należy raczej strzec jedności Kościoła z ludem niż odmówić posłuszeństwa i zaszkodzić w ten sposób kościelnym wspólnotom podstawowym. Wolę — powiedziałem — iść razem z Kościołem niż sam ze swoją teologią. Konferencja Episkopatu Brazylijskiego wzięła na siebie moją sprawę, zwracając się do Rzymu z prośbą o ponowne jej rozpatrzenie. Przed upływem roku, w Wielką Sobotę roku 1986, zostałem całkowicie uniewinniony. Fakt ten, z pewnego punktu widzenia godny pożałowania, sprawił jednak, że wielu chrześcijan zwróciło uwagę na kwestię praw człowieka wewnątrz Kościoła i zainteresowało się teologią wyzwolenia, która stała się tematem publicznych dyskusji, nie wyłączając rozmów w barach.

Socjalizm i demokracja

W naszych środowiskach kościelnych nie używamy zbyt często słowa „socjalizm”. Wynika to z krytyki, jakiej poddajemy — i musimy to czynić — różne formy realnego socjalizmu, które

z południowoamerykańskiego punktu widzenia nie zaspakajają w sposób wystarczający aspiracji i potrzeb ludu. Dostrzegamy postępy socjalizmu w zakresie infra-struktury wyżywienia, budownictwa mieszkaniowego, szkolnictwa, zdrowia i wypoczynku, jednakże człowiek jako istota ludzka posiada inne podstawowe potrzeby. Realny socjalizm, tak jak mi się wydaje, dokonał rewolucji w zakresie problemu wyżywienia; w rzeczywistości w krajach socjalistycznych nie ma, ogólnie rzecz biorąc, głodu. Lecz nie dokonał rewolucji wolności. Totalitarny charakter partii, która zajmuje całą przestrzeń społeczną (ekonomia, polityka, szkolnictwo, kultura, wypoczynek, sport i w ogóle wszystko), ogranicza niesłuchanie możliwości objawiania się społecznego charakteru człowieka, działa na ludzi uniformizująco, produkuje przeciętność. Powinniśmy przyjąć to wszystko, co socjalizm przyniósł dobrego, lecz w żadnym wypadku nie zaniechać praktyki współuczestnictwa w każdej dziedzinie życia społecznego. W naszych wspólnotach wolimy mówić o demokracji podstawowej, demokracji o charakterze ludowym, różniącej się od liberalnej demokracji burżuazyjnej, która jest wykluczająca, ogranicza bowiem udział zorganizowanego ludu. W Brazylii mówi się dużo o wspólnocie i współuczestnictwie jako podstawowych celach duszpasterstwa i działalności społecznej chrześcijan. Chodzi o to, by duch demokracji był obecny w życiu rodziny, szkoły, w codziennym współżyciu, w polityce, ekonomii, twórczości kulturalnej i organizacji wypoczynku. Demokracja zawsze zakłada współuczestnictwo, które z kolei umożliwia postępującą równość między ludźmi i wykorzystanie ich społecznych możliwości. Można by powiedzieć, że ten typ demokracji to innymi słowy socjalizm natury demokratycznej. Istnieje on jeszcze w niewielkim stopniu, lecz powinien być budowany w oparciu o doświadczenia wypracowane przez ruchy ludowe i wspólnoty wewnątrz ich własnych struktur. Myślę, że ten typ pełnej demokracji jest bliższy pierwotnemu chrześcijańskiemu ideałowi niż jakakolwiek współczesna wersja demokracji burżuazyjnej, czy też którykolwiek z realnych socjalizmów. Uważam, że chrześcijanie mogą przyczynić się w sposób oryginalny do budowy takiej społeczności ludzkiej, która byłaby otwarta, tolerancyjna, religijna i zdolna do przybierania coraz to doskonalszych form.

O. Leonardo BOFF, OFM

(Z portugalskiego przełożył Henryk SIEWIERSKI)

NOTA BIOGRAFICZNA

O. Leonardo BOFF: profesor teologii systematycznej w Petrópolis (Rio de Janeiro); koordynator publikacji religijnych w Wydawnictwie VOZES (Petrópolis); redaktor wersji portugalskiej *Concilium*; asesor Konferencji Episkopatu Brazylijskiego oraz Kościelnych Wspólnot Podstawowych na szczeblu ogólnobrazylijskim; autor ponad 30 książek. Urodzony 14 grudnia 1938 roku.

Kościół i państwo

Polacy, bici i potracani z lewa i z prawa, mają i zawsze mieli skłonność do gloryfikowania samych siebie. Z namaszczeniem mówią o Wielkiej Emigracji, z nabożeństwem o powstaniach, przemilczają natomiast mniej chlubne momenty naszej historii. Wydaje się jednak, że dla narodowo-społecznej higieny trzeba czasem przypominać i mniej chwalebne elementy naszych dziejów, po prostu po to, byśmy znów nie przysnęli w samouwielbieniu i przekonaniu, że Opatrzność za nas wszystko załatwi. Jest samo przez się zrozumiałe, że uczestnicy niedawnej a prehistorycznej już Wielkiej Kolaboracji wolą tamtych kart swego życia publicznie nie otwierać. I nie żeby ich zawstydząć trzeba o tej epoce przypominać, ale po to, by wysnuwać stąd nauki. Jak niezwykle mało — a już w szczególności wśród młodych — było wówczas tych, którzy — jak opowiedział to Herbert w jednym z wywiadów — wybierali trud milczenia i godzili się na anonimowość po to, by mieć ręce i sumienia czyste. W tamtej epoce wydawało się jednak, że noc komunistyczna będzie trwała jeśli nie wiecznie, to w każdym razie bardzo długo i że może nie warto marnować życia dla pryncypiów, skoro ostatecznie można dosiąść się do tego suto zastawionego stołu, chociaż stał on na tle „krajobrazu po bitwie”.

Kolejne wstrząsy wyrzywały ze zwartych, zdawałoby się na pierwszy rzut oka, szeregów Wielkiej Kolaboracji coraz to nowych ludzi kultury. To samo działo się na Węgrzech czy w Czechach. Wielka Kolaboracja w późnych latach 70-tych była już tylko cieniem samej siebie, fata morgana ery „pryszczatych”, niemniej posiadała jeszcze pewne bastiony, czy to wierzących w ewolucyjną odnowę (dziennikarstwo), czy też oswojonych z „wielką, małą stabilizacją”, do której już przywykli. Dopiero przy eksplozji „Solidarności” zawalił się ostatecznie gmach pozorów. Sierpień rozbił i złudzenia, i zasiedzenie, zdemolował umysły, zdewaloryzował korzyści materialne płynące z posłuszeństwa. A nawet więcej, bo tak zwani ludzie kultury nagle poczuli się blisko społeczeństwa. Proszę bowiem pamiętać, że naukowcy i wszelkiej maści twórcy choć tworzą (automatycznie niejako) pewne elity społeczne, równocześnie chcą być w samym środku społeczeństwa. Chcą mieć słuchaczy, czytelników, widzów. I nagle stali się namiętnie potrzebni — mogli wreszcie stanąć pośród strajkujących czy wiecujących robotników i dać im to, co posiadają najcenniejszego: słowa i obrazy.

Junta Jaruzelskiego, a przede wszystkim tacy jej reprezentanci jak Nawrocki, przez szereg lat kierownik wydziału kultury KC, oraz Kazimierz Żygulski — minister kultury i sztuki, dwaj najbardziej zasłużeni niszczyiele kultury, wyrażali przekonanie, że zasłużeni twórcy i uczeni wcale nie są niezbędni: jeśli odeszli, to łatwo jest ubytek wypełnić nowymi kadrami, zachowując jako dekorację kilku ostatnich kolaborantów-uczonych, jak Suchodolski czy Sandauer lub kolaborantów-twórców jak Żukrowski czy Poręba. Tacy jak oni, funkcjonariusze „od kultury”, to znaczy sami przez się nic z nią nie mający wspólnego (obaj są niedoukami i w dziedzinie wiedzy niczego społeczeństwu nie przysporzyli), rozumują bowiem pojęciami partyjnymi. Tworzenie kultury to nie dar dany niektórym (by nie rzec: wybranym) ludziom, ale zwyczajna produkcja, do której werbuje się „kadry”.

Rozbrat pomiędzy kulturą akceptowaną i kulturą autentyczną, niezależną i samoistną nigdy nie był tak drastyczny jak obecnie. Ponieważ zaś kulturą akceptowaną, w przeważającej mierze pozorną, kulturą produkowaną w pośpiechu i na siłę przez ludzi kolejnej ekipy, zajmować się w ogóle nie warto, trzeba się będzie skupić na tej drugiej, która założywszy veto znalazła się nagle w sytuacji, z którą nie bardzo może sobie dać radę.

Państwo bardzo skutecznie położyło łapę na kulturowych „środkach produkcji”, oczywiście po to, by móc twórcami kierować. A jednak wymknęli się spod kurateli. I nie chodzi tu o to, jak i dlaczego tak się stało, ale o to, by zastanowić się, dokąd to prowadzi. Nie dość bowiem stwierdzić, że miejsce Wielkiej Kolaboracji zajął Wielki Protest, ale — póki czas — przemyśleć trzeba następstwa i środki ochronne. Ludzie kultury zaprotestowali odchodząc z obszarów kultury sterowanej. Okazuje się jednak, że łatwiej było protestować, niż się ponownie zorganizować. I niełatwo przychodzi też wielu prowadzić działalność poza ramami instytucjonalnymi. To już owoce państwowego ubezwłasnowolnienia psychicznego.

Ponieważ jednak trudno marzyć, przynajmniej obecnie, o utworzeniu nowych form samoorganizacyjnych grup twórczych, należy zastanowić się, jakie istnieją inne formy ratowania kultury polskiej. Oczywiście natychmiast pojawia się Kościół jako instytucja, która jedyna potrafiła w całym powojennym okresie utrzymać odrębność i niezależny byt pomimo tak licznych, a w dobie stalinizmu brutalnych prób rozsadzenia tej „najstarszej na świecie firmy”. Zdawałoby się też, że Kościół posiada w tym względzie szczególne posłannictwo i szczególną orientację. W ciągu długich stuleci był najpierwszym i najświetniejszym mecenasem (oczywiście przez swych najwyższych reprezentantów, a nie jako instytucja), a pomimo ubiegowiecznego kryzysu zdołał się podźwi-

gnąć i „zrównać krok” ze swoim czasem. Jan Paweł II jest żywo problematyką kulturową zainteresowany, złożył w tej mierze kilka niezwykle ważnych oświadczeń (na pierwsze miejsce wysuwa się przemówienie wygłoszone na zebraniu plenarnym UNESCO), a sprawy te nie schodzą w jego nauczaniu nigdy z eksponowanego planu, o czym dowodnie świadczą encykliki, zwłaszcza dwie ostatnie, mówiące wyraźnie o niezbędnym w praktyce Kościoła szacunku dla kultur z ich wszelką odrębnością.

To jedna strona zagadnienia. Drugą jest bieżąca praktyka Kościoła w Polsce, której jednoznaczna ocena nie jest w ogóle możliwa, bowiem z jednej strony mamy dowody głębokiego i aktywnego zainteresowania, z drugiej natomiast występują zadziwiające zaniedbania. Troska i opieka przejawia się w rozmaitej pomocy, tak indywidualnej, jak i grupowej, w interwencjach czynionych niemal zawsze w przypadku aresztowań i rozmaitych form państwowego bezprawia wobec jednostek, w rozwijaniu inicjatyw wydawniczych itd. Nie jest zasadne rozwijanie tu owych dokonań, są bowiem dobrze znane tak w kraju, jak i za granicą. Zresztą nawet niepotrzebne i szkodliwe byłoby szczegółowe wyliczanie działań, które są solą w oku władz, a więc podawanie tym ostatnim gotowego „spisu potraw”. Może tylko warto podkreślić jedną z licznych form kulturowego oddziaływania Kościoła, mianowicie Tygodnie Kultury Chrześcijańskiej. Jest w tych inicjatywach coś zdumiewającego. Po pierwsze to, że organizują je niejednokrotnie całkiem małe środowiska, nieomal miasteczkowe. Proszę pamiętać, że centralizujący i totalizujący wszystko socjalizm sprawił, iż nastąpiła nieopisana pauperyzacja kulturowa prowincji. Dawniej na prowincji mieszkali i działali ludzie wybitni, tworzyły się małe środowiska („Okolica poetów” w Ostrzeszowie, nie mówiąc o takich środowiskach, jak zamojskie, nowosądeckie czy leszczyńskie), życie było bogate i społeczeństwo w dużej mierze samo (to znaczy poprzez samorodne a nie mianowane „grupy inicjatywne”) inicjowało wiele przedsięwzięć, wciągając w nie wcale szerokie kręgi społeczności. Dziś marazm prowincji jest przerażający. Jest ona skazana na „kulturę” sąconą przez środki masowego przekazu i jakieś zupełnie efemeryczne inicjatywy. Obecnie pojawił się nowy element: prelegent z owych kilku krajowych centrów, poruszający temat z bardzo szerokiego wachlarza tematów prezentowanych na Tygodniach Kultury Chrześcijańskiej. Bardziej aktywne parafie dbają też o występy o charakterze artystycznym, a pomimo wszelkiego rodzaju ostracyzmów artyści chętnie biorą udział w wystawach, spektaklach czy wieczorach autorskich.

Po drugie zdumiewający jest odbiór: ludzie zmęczeni po swej pracowitej codzienności przybывая na tego rodzaju spotkania

masowo, słuchacze są autentycznie zainteresowani, choć wielu prelegentom przemawianie do tak zróżnicowanego audytorium sprawia zapewne wielką trudność. A więc są dwa czynniki ogromnie sprzyjające krzewieniu kultury — znaczny popyt i niemała podaż.

Jeśli by jednak szukać dziury w całym, to można by zauważyć, iż zbyt często powtarzać się zaczynają niektóre nazwiska, a więc że powstał jakby klub zawodowców obsługujących imprezy organizowane w różnych częściach kraju, a po drugie, że coraz większy jest udział w nich księży. To nie znaczy, by księża nie mieli być doskonałymi prelegentami, wielu z nich jest wybitnymi specjalistami w rozmaitych dziedzinach, chodzi wszelako o to, że księża są już niejako zawodowo związani z Kościołem i że właśnie zawodowo głoszą kazania, natomiast Tygodnie Kultury Chrześcijańskiej powinny dawać okazję prezentacji wiernym tych świeckich, którzy mają ograniczony, jeśli w ogóle nie uniemożliwiony kontakt z odbiorcą-słuchaczem.

I tu może okazja, by przejść do uwag krytycznych. Kościół przez bardzo długi okres przełamywał pewnego rodzaju niechęć, jeśli tak wolno powiedzieć — „zawodową”, w stosunkach duchownych ze świeckimi. Jeśli przyjąć, że partie polityczne, a już w szczególności komunistyczne, bardzo często wzorowały się na systemie organizacyjnym Kościoła jako „najstarszej firmy” o ogromnym zasobie doświadczenia, to istotnie da się zaobserwować ową jeśli nie niechęć, to wstrzemięźliwość w stosunku do instytucjonalnie niezrzeszonych. Partia stara się działać w miarę możliwości wyłącznie przez swych członków, do nich tylko (a i tak nie do wszystkich!) mając zaufanie jako do posłusznych. Podobnie działał i poniekąd działa jeszcze Kościół: niemal zawsze ksiądz jest pewniejszy od świeckiego, jest kimś wypróbowanym i podporządkowanym. I znowu zastrzeżenie: powyższe zestawienie nie ma prowadzić do wniosku o karierowiczostwie duchowieństwa ani o jego ślepym podporządkowaniu. Księża nie są ową masą rwących się do żłobów partyjniaków, choć oczywiście sporo, zwłaszcza ostatnio, obserwuje się nażyty ostantacyjny dobrobytu w tej warstwie społecznej. Przedstawione analogie dotyczą sfery działania w obrębie społeczeństwa. Do PZPR ludzie dawno już przestali przystępować z pobudek ideowych, do stanu duchownego nadal ściągają ci, którzy kierują się tu z powołania. A jednak w sferze realizacji zadań społecznych w jakimś sensie można mówić zarówno o czerwonej, jak i o czarnej nomenklaturze.

W ostatnich latach, dokładnie — od Soboru Watykańskiego II, udział świeckich w Kościele wzrósł niepomiernie. A jednak... Przykładem najbardziej oczywistym jest brak dotychczas Rady Kultury przy episkopacie polskim, chociaż wzorzec funkcjonuje w Rzymie, i to w skali międzynarodowej. O ile można są-

dzic z tego, co się w środowiskach katolickich mówi, powołania takiej rady bardzo by sobie życzył Jan Paweł II. Natomiast realizacja tego zamierzenia natrafia w kraju na przeszkody, chyba największe w Warszawie. Czy chodzi tylko o to, że powołanie takiej rady byłoby jeszcze jedną kością niezgody pomiędzy Kościołem i juntą, czy też w grę wchodzi swoista nieufność „zrzeszonych” do „niezrzeszonych”? Prawidłowa odpowiedź leży zapewne gdzieś pomiędzy: i jedno i drugie stanowi czynnik współtworzący opisaną sytuację.

Naiwni stawiają wówczas retoryczne pytanie: dlaczego papież nie każe prymasowi? Naiwność polega tu na tym, że zaznaczając się już wcześniej autonomizacja Kościołów Narodowych w rzeszonym Soborze została oficjalnie jakby potwierdzona i w praktyce doprowadziła do tego, iż poszczególne episkopaty mogą się dość samodzielnie rządzić, zwłaszcza w problemach pozadogmatycznych. Powołanie Rady Kultury przy Kościele w Polsce zależy wyłącznie od dobrej woli prymasa i episkopatu. Widać nie wydaje się potrzebna. Tymczasem chyba jest więcej niż potrzebna, jeśli Kościół chce zachować ową niezwykłą więź z kulturą narodową, a przez nią z całym społeczeństwem. I hierarchowie nie powinni zapominać o niezbyt wesołych doświadczeniach minionego stulecia, kiedy to wytworzyły się rozliczne i długo funkcjonujące bariery i obciążenia w rozmaitych grupach społecznych, a więź Kościoła z narodem utrzymała się nieraz o wiele mocniej dzięki działalności księży „szeregowych”, działających nieraz wbrew zbyt ugodowo nastawionym biskupom.

Potrzeba zaistnienia ciała doradczego i koordynującego jest tym większa, że zdać sobie trzeba trzeźwo sprawę z tego, iż Kościół nie jest w stanie przejąć wszelkich agend w dziedzinie funkcjonowania kultury. Kościół nie stworzy sieci teatrów, nie założy sieci telewizyjnej, a nawet w zakresie wydawnictw nie zastąpi oficyn państwowych ani sieci czasopiśmiennej. Wprawdzie pojawiły się w ciągu ostatnich kilku lat pisma wydawane pod egidą Kościoła, a reprezentujące wysoki czy nawet bardzo wysoki poziom (miesięczniki: *Przegląd Powszechny*, *W drodze*, tygodniki: *Powściągliwość i Praca*, a nawet uciskany papierową kurtyzają *Przegląd Katolicki*), ale nie zastąpią one, zastąpić bowiem nie mogą, pism literackich czy naukowych, w których często nie wypada dziś drukować, bo je urzędnicy od kultury PZPR zeszmacili. Kościół nie jest więc w stanie zastąpić instytucjonalno-państwowego oparcia dla kultury, ale jest w stanie zrobić bardzo wiele.

A przede wszystkim powinien nie tylko pomóc materialnie, ale przede wszystkim wykorzystać tych ludzi, którzy dla pryncypiów zrezygnowali z państwowej marchewki. Nie chodzi wy-

łącznie o parasol. Chodzi przede wszystkim o — jak to papież sformułował — inkulturację Ewangelii. Proces ten bowiem nie odbywał się raz, kiedyś, na samym misyjnym początku, ale dokonuje się nieustannie, codziennie.

Tymczasem obserwuje się w tej dziedzinie obok sukcesów także wiele zaniedbań, wyczuwa sporą dozę obojętności. 2.000 kościołów na dwutysiąclecie, obok zaś 2.000 plebanii z odpowiednio pakownymi garażami, to przecież nie może być wyłączna troska Kościoła, budynki bowiem bez ludzi nic nie znaczą. Dziś są pełne, ale przypomniane wyżej doświadczenia uczą, że mogą się niespodziewanie opróżnić, a stanie się tak wówczas, gdy zachwiana zostanie więź kleru ze społeczeństwem. Ta więź nadbudowuje się zaś na kulturze narodowej i bez niej po prostu nie jest możliwa.

Są też dość niepokojące wieści o działaniu instytucji związanych z Kościołem, a funkcjonujących w sposób niezbyt jakoby pomyślny. Katolicki Uniwersytet Lubelski, który powinien być chlubą tak katolickiego społeczeństwa jak polskie, ponoć nie cieszy się dostateczną estymą naukową i pozostaje w ogonie uniwersytetów państwowych. Mówi się o wymieraniu dawnej elity profesorskiej i o niedostatkach kadrowych, które przecież można było doskonale uzupełnić w sytuacji, gdy zaczęto, choć ostrożnie, brać się w PRL do czyszczenia uczelni i w instytucjach naukowych. Mówi się... ale o tych sprawach powinien się wypowiedzieć specjalista dobrze znający historię i współczesność KUL-u.

W tych zaś rozważaniach nie chodzi w żadnym wypadku ani o odgrazanie się, ani o straszenie, ani o „szycie butów”. Chodzi o troskę o dobro wspólne, zagrożone w obecnej sytuacji zerwaniem więzów pomiędzy twórcami kultury a społeczeństwem. Można było zrozumieć wstrzeźliwość Kościoła w stosunku do owych twórców w okresie Wielkiej Kolaboracji, ale w epoce Wielkiego Protestu stanowisko to nie jest zrozumiałe. Piszący te słowa nie zna recept i nie proponuje jakichś rozwiązań na dłuższą metę, a tylko sygnalizuje zjawiska i sądzi, że problem jest większy niżby się zdawało. A ponadto piszący te słowa pragnie podkreślić, że kultura — co jednak łatwo udało się komunistom wmówić bardzo wielu mieszkańcom PRL — to nie jest ten jakiś 1 % czy 0,5 % budżetu państwowego, ale że jest to istotny współczynnik życia narodowego, bez którego życie to prawdopodobnie szybko by uszło i roztopiło się w ogromach innych, obcych kultur.

Józef SZRETT

Korespondencja z Rzymu

SKONFISKOWANY WYWIAD*

PYTANIE: — *Na czym może polegać miejsce Polski w obecnej Europie, a w szczególności we Włoszech?*

ODPOWIEDŹ: — Sądę, że termin, jaki w latach 50-tych (po październiku 1956) ukuł Stanisław Stomma, a mianowicie „scena obrotowa”, właściwiej oddaje sens funkcji, jaką Polska może, a nawet powinna, spełniać w dzisiejszej Europie. Z jednej strony reprezentując wobec Zachodu oblicze ukształtowane również na kulturalnych pierwiastkach i tradycjach wschodnich (co zbyt często się ignoruje!), a do czego doszły ustrojowe doświadczenia doby powojennej. Z drugiej zaś strony — reprezentując wobec Wschodu czerpane z Rzymu walory chrześcijańskiej kultury. „Scena obrotowa” zawiera w sobie twórczy i wciąż aktualny sens, ale stanowi potencjał niewykorzystany. Brzmi trafniej niż „pomost” pomiędzy Wschodem i Zachodem, termin często używany (i nadużywany), który sprowadza rolę Polski do łącznika i sugeruje jej funkcję mediacyjną, co jest sprzeczne z poczuciem realizmu. Widać to w Rzymie lepiej niż gdzie indziej, bo ten pontyfikat nie jest eurocentryczny tak jak w przeszłości.

P.: — *Czy pontyfikat Jana Pawła II wpływa decydująco na obecność polską? Czy można powiedzieć, że w Rzymie odczuwa się większe zainteresowanie naszym Krajem i jego problemami?*

O.: — To co wyżej powiedziałem odnosić się powinno do recepcji polskiej problematyki we Włoszech, zwłaszcza w obecnym pontyfikacie. Niestety wielka szansa historyczna, jaką ten pontyfikat otworzył, nie jest podejmowana. Po pierwszych latach pontyfikatu Jana Pawła II zainteresowanie dla naszego kraju wyraźnie spadło. Obraz Polski w odbiorze Włochów był i jest nadal dość jednostronny, wyidealizowany i równocześnie pełen pobłażliwości. Dotyczy to także misji Kościoła, odbieranej w sposób selektywny, uproszczony i niemal wyłącznie w kategoriach politycznych. Polska problematyka jest na ogół traktowana stereotypowo, według utrwalonej kliszy. Ciekawość włoskiej opinii publicznej na pewno wzrosła pod wpływem początkowej fascynacji osobą Papieża — z naszej jednak strony nie potrafiłszy zaspokajać tej potrzeby i podtrzymywać jej poprzez inteligentne, dalekowzroczne inicjatywy. Od czasu do czasu wprawdzie odby-

* Od Redakcji: tekst wywiadu z D. Morawskim, przeprowadzonego przez Marka Zielińskiego, był przeznaczony dla miesięcznika katolickiego *Więź* w Warszawie.

wają się w Rzymie sympozja z udziałem przedstawicieli polskich środowisk katolickich, nie znajdują jednak żadnego odbicia w prasie. Te imprezy ograniczają się wyłącznie do tematyki historycznej i wciąż do tych samych osób (z małymi wyjątkami), zarówno z kraju, jak i z włoskiego środowiska, dobieranych pod kątem wąsko pojmowanej prawomyślności katolickiej i związków personalnych z papieskim dworem. A przecież zdrowy i polityczny rozsądek nakazywałby poszukiwania sojuszników dla naszych interesów nie według szablonowych miar ortodoksji i stopnia entuzjazmu dla pontyfikatu. Efekt dotychczasowych, skromnych zabiegów przysporzenia nam sympatii i zainteresowania oddaje cierpka uwaga wybitnego włoskiego historyka: „Projekcja Polski na terenie włoskim w dużej mierze na skutek triumfalizmu i zaciętrzewienia integrystów (idzie o katolicką, kontrowersyjną organizację *Comunione e Liberazione*, instrumentalizującą pontyfikat i jego polski wątek w rozgrywkach wewnętrznych), sprowadza się do manichejskich schematów i ograniczonego geograficznie wizerunku Kościoła polskiego. Wszystko zaczyna się i kończy na papolatrii”.

P.: — *Znaczenie Polonii włoskiej, emigrantów, tych przebywających od dawna, jak i najświeższej daty?*

O.: — Powojenna emigracja we Włoszech jest nie tylko bardzo nieliczna (kilkaset osób), ale rozproszona i praktycznie niezorganizowana. Większość jest zresztą zintegrowana i nie wykazuje woli działania dla kraju. Obecność polską reprezentuje przede wszystkim środowisko duchowne ściśle związane z Kościołem w Polsce. Składają się nań kapłani zatrudnieni w Kurii Rzymskiej, studiujący młodzi księża lub klerycy oraz zakonnicy i zakonnice, których domy generalne lub ośrodki mieszczą się w Rzymie i na terenie Włoch. Emigrantów z ostatniej fali (obecnie około 3 tysięcy) nie można brać pod uwagę — przebywają bowiem jedynie czasowo w obozach dla uchodźców w oczekiwaniu na wyjazd do krajów stałego osiedlenia (Włochy są stałym rezerwuarem emigracji zarobkowej i rynek pracy wchłania obcokrajowców tylko przejściowo na „czarną robotę”). W sumie znaczenie Polonii włoskiej w sensie oddziaływania na kraj jest równe zeru i ogranicza się do kontaktów kilku osób z włoskim światem politycznym i kulturalnym.

P.: — *Wzajemne związki między prasą a obecnym pontyfikatem?*

O.: — Zachodnie *mass media* od pewnego czasu poświęcają mniej miejsca bieżącym sprawom pontyfikatu. Nie odnosi się to do prasy, radia i telewizji włoskiej, których główne organy posiadają stałych korespondentów w Watykanie (tzw. watykanistów czyli specjalistów akredytowanych przy watykańskim ośrodku prasowym). Sprawozdania i komentarze zachodniej prasy są dziś na ogół bardziej wnikliwe i zróżnicowane niż w pierwszych latach pontyfikatu. Stosunki między Watykanem i międzyna-

rodowym środowiskiem *mass mediów* od wielu już lat nie układają się przyjaźnie. Niektórzy uważają, że dawne niezrozumienie pomiędzy prasą i władzami watykańskimi pogłębiło się. Wydaje mi się, że nie jest tak źle — od roku nawet widzę znaczną poprawę. Układ tych wzajemnych stosunków nie zależy jednak od samego Papieża, lecz od jego otoczenia, od pewnych gestów wynikających głównie z nadgorliwości wykonawców. Ze strony watykańskiej słychać nieraz skargi na powierzchowne, zniekształcające naświetlanie magisterium papieskiego. To prawda, ale odpowiedzialność trzeba rozłożyć na obie strony. Mają bowiem rację także dziennikarze narzekający na podejrzliwość, hermetyczność, alergię na wszelką krytykę oraz na „dowartościowanie laikatu” nieraz tylko w teorii. Rzecznicy Kościoła — oświadczył w czasie ostatniego, nadzwyczajnego Synodu biskupów biskup Foley, przewodniczący Papieskiej Komisji dla Społecznych Środków Przekazu „wykazują nieraz zbyt dużą tajność, ducha defensywnego i strach przed prawdą... Kościół pozostaje wciąż w tyle w dziedzinie *mass mediów*”. Dziekan zaś watykanistów, 80-letni francuski dziennikarz Max Bergerre, autor znanej książki „Six Papes, un journaliste”, przypomniał niedawno, że 25 lat temu kardynał Sekretarz Stanu Tardini powiedział mu: „W rzeczy samej, nie potrafimy posługiwać się prasą”. Komentarz Bergerre’a brzmiał: „Pytam się, czy nie jest to prawdą, przynajmniej w dużej mierze, także i dzisiaj?”.

P.: — Czy można sformułować ogólnie wpływ obecnego pontyfikatu na działania polityczne na świecie?

O.: — Jest rzeczą trudną ustalić jaki jest ten wpływ. Sądząc po trwającym wciąż zainteresowaniu mężów stanu, polityków i kancelarii dyplomatycznych dla stanowiska Stolicy Apostolskiej i samego Papieża wobec najważniejszych problemów międzynarodowych, wpływ taki na pewno zachodzi, choć jest na ogół nieuchwytny. Nie ulega jednak wątpliwości, że da się wymierzyć zarówno przez bezpośrednie działanie samego Papieża, jak i pośrednio przez wzmocnioną rolę Kościołów lokalnych, na niektórych obszarach Trzeciego Świata. Świadczą o tym wydarzenia na Haiti, a zwłaszcza na Filipinach oraz ewolucja na Kubie i w Chile, jak i w ogóle rosnące znaczenie funkcji Kościoła w przemianach społeczno-gospodarczych i politycznych w Ameryce Łacińskiej. Rzecz w tym, że prasa międzynarodowa ocenia dość prawidłowo ten wpływ przy okazji otoczonych rozgłossem podróży papieskich lub kiedy dochodzi do przełomowych wydarzeń (*post factum*, tak jak na Filipinach); nie docenia natomiast cichej i mrówczej, ale jakże często skutecznej, akcji dyplomacji watykańskiej. Dochodzi nawet do tego, że nieraz przeciwstawia się „linię” Papieża rzekomo odmiennej „linii” watykańskiego aparatu. Jest to zasadniczy błąd (popęniany zwłaszcza w środowiskach polskich), wynikający z fałszywej optyki: dyplomacja watykańska działa bowiem lojalnie i w pełnej harmonii z przewodnimi liniami pontyfikatu i dyrektywami papieskimi. Bez jej pomocy Papież byłby bezradny.

P.: — Jak na tym tle wypada ocena polskiej publicystyki zarówno pisanej w kraju jak i na emigracji?

O.: — Uwypukla ona — moim zdaniem — jedynie wypowiedzi Papieża z uszczerbkiem dla działalności różnych dykasterii Kurii Rzymskiej. Zajmuje się za mało refleksami papieskiego magisterium w działaniach Kościołów lokalnych. Wydaje mi się, że jest zabarwiona emocjami i euforycznymi nawykami, co nie przynosi prawdziwego pożytku wiernym i pozornie tylko dodaje blasku pontyfikatowi. Funkcja pokrzepiająca, kompensacyjna pontyfikatu w odniesieniu do Kraju bywa wyolbrzymiana na niekorzyść funkcji racjonalnej, stymulującej. Publicystyka ta nie bierze bowiem dostatecznie pod uwagę relacji zachodzącej pomiędzy wyzwaniem Papieża i jego recepcją, pomiędzy sygnałami jakie rzuca i ich oddźwiękiem. Zbyt małą wagę przykładą się do tego, czego Papież od ludzi się spodziewa, do czego ich nakłania. Ten pontyfikat w odróżnieniu od poprzednich (lub przynajmniej silniej od nich) nastawiony jest przeciw receptę treści papieskiego nauczania, tzn. wyposażenia w podmiotowość, uaktywnienie tych, co mają je odbierać, uzdolnienie ich nie do jakiegokolwiek aktywności, lecz do rozsądnej, odpowiedzialnej akcji. W myśl dewizy: *Nec timide nec temere* (ani bojaźliwie, ani zuchwale).

„DOWARTOŚCIOWANIE ŚWIECKICH”

W jezuickim *Przeglądzie Powszechnym* (nr lipiec/sierpień 1982) znany socjolog, ks. prof. W. Piwowski, pisze m.in.: „W Kościele ludowym w Polsce laikat od najdawniejszych czasów nie widział swego miejsca i roli... Realizacja uchwał Soboru Watykańskiego II, który położył nacisk na aktywizację świeckich, napotkała na 'pustą przestrzeń' między katolikami i parafią”. Wskazując na niebezpieczeństwo „utrwalania klerykalizmu w Kościele”, ks. Piwowski nawołuje do przełamania wzajemnego braku zaufania pomiędzy duchowieństwem a inteligencją, od czego zależy przyszłość Kościoła w Polsce. Mimo niewątpliwych postępów, o czym świadczy w ostatnich latach rozwój niektórych duszpasterstw środowiskowych, opory przeciwko autentycznemu zaangażowaniu i udziałowi świeckich w życiu Kościoła nie znikły. Obawiam się, że jedną z przyczyn tego stanu rzeczy są być może luki w formacji seminaryjnej duchowieństwa.

Nawiązując do soborowej konstytucji *Gaudium et Spes* o roli świeckich w Kościele, różni autorzy w krajowej prasie katolickiej apelują o rzeczywiste „dowartościowanie” laikatu i wprowadzanie w życie wytycznych Komisji Episkopatu d/s Apostolstwa Świeckich w sprawie tworzenia parafialnych rad duszpasterskich. Zachodzi nieraz obawa, że klerykalny i przedsoborowy w tym zakresie model Kościoła polskiego, wynikający częściowo z „autokratyzmu” duchowieństwa — co przyznaje ks. prof.

W. Piwowarski — może się nawet poniekąd utrwalić na skutek skłonności do traktowania rzeczowej i udokumentowanej krytyki jako szargania rzekomych świętości narodowych. Zjawisko istnienia niedomagań w tej dziedzinie wymaga zaś otwartej dyskusji w imię troski o dobro sprawy, nie mówiąc już o konieczności respektowania soborowej zasady „subsydiarności” świeckich.

Utkwiło mi w pamięci, że kiedy kardynał Glemp przybył do Rzymu na jesieni 1981 roku (po swym prymasowskim ingresie), powiedział mi w pierwszym spotkaniu: Kościół nasz żyje w społeczeństwie pluralistycznym, nie jesteśmy wolni od błędów i podlegamy, tak jak inni, również krytyce (nie jest to cytata — oddaję jednak wiernie myśl Ks. Prymasa). Chodziło mu naturalnie o krytykę rzetelną, opartą na dobrej wierze. Dyskusja na temat wzajemnych stosunków pomiędzy duchowieństwem i świeckimi jest dziś tym bardziej aktualna, że najbliższy Synod biskupów — jesienią 1987 roku — będzie poświęcony laikatowi. Dyskusja ta rozwija się we Włoszech, gdzie laikat jest zróżnicowany: składa się z licznych ruchów i stowarzyszeń, obejmuje rozmaite orientacje polityczne. Łączy je wspólna cecha: tradycyjna, włoska kultura współżycia i wzajemna tolerancja, czyli te znamiona, których tak bardzo potrzeba współczesnej społeczności polskiej. Moim zdaniem jest to brak zasadniczy, który należałoby leczyć, by przeciwstawić się uprawianiu manichejskich podziałów i zacząć wreszcie respektować pluralizm u siebie, a nie domagać się uznawania go jedynie od władzy.

W serii artykułów na temat współpracy kapłanów i świeckich biskup F. Tagliaferri, asystent kościelny włoskiej Akcji Katolickiej, pisze o rozgraniczeniu sfer odpowiedzialności i kompetencji („duszpasterze nie zawsze są ekspertami”) i o konieczności „ocyszczania zarożumiałości pokorą”. Trzeba tu zaznaczyć, że we Włoszech zachodzi powszechnie uznany stosunek partnerstwa między kapłanami i świeckimi w zorganizowanym laikacie. Zasada partnerstwa w praktyce polskiej, przeniesionej także do Wiecznego Miasta, jest wciąż jeszcze czymś nieosiągalnym lub przynajmniej trudnym do przyswojenia. Zdarza się, że kapłani nadmiernie uczuleni na krytykę, reagują na nią z rozdrażnieniem, choć lekceważąc świeckich nie mogą przecież liczyć na taryfę ulgową.

Z okazji obchodzonej piątej rocznicy ufundowania przez emigrację Domu Polskiego Jana Pawła II urządzono w tym domu 8 listopada uroczysty obiad z udziałem przebywającego właśnie w Rzymie Prymasa Polski, biskupów i kilkudziesięciu kapłanów różnej rangi. Kilku świeckich umieszczono przy drugim stole jak przysłówiowe rodzyнки w cieście. Drobną i tylko anachronistycznym epizodem, czy symbol czegoś poważniejszego? Nie chodzi tu jedynie o brak taktu i ogłady towarzyskiej. Dom Polski powstał dzięki ofiarom świeckich i jak sam Jan Paweł II określił jego zadanie — ma służyć przede wszystkim promieniowaniu polskiej kultury chrześcijańskiej. Twórcami zaś i jej odbiorcami są świeccy, którzy przy tej okazji mieliby na pewno coś do powiedzenia również cudzoziemcom.

Przemawiając na hipodromie w Sydney, Papież wskazał ponownie na winy i błędy samego Kościoła, co powoduje „oddalanie się” wiernych („są osoby — powiedział — zranione na skutek szorstkości swych kapłanów, skandalicznego postępowania innych chrześcijan”). Ta szorstka, solenna samowystarczalność niektórych polskich kapłanów, piastujących nieraz odpowiedzialne funkcje, doprowadza do sytuacji absurda. 15 i 16 listopada ub. roku odbyła się tu jubileuszowa sesja z referatami z okazji stulecia śmierci ks. Piotra Semenienki, współzałożyciela i dwukrotnie generała Zmartwychwstańców, pierwszego rektora Papieskiego Kolegium Polskiego. Ten wybitny konwertyta, kapłan pochodzący ze zruszczonej szlachty polskiej, utworzył w Paryżu w 1835 roku Bractwo Służby Narodowej, a potem misję dla opieki nad polskimi emigrantami. Był wielkim orędownikiem patriotycznej i kulturalnej działalności, rzecznikiem zbliżenia z Rusinami (dziś powiedzielibyśmy — Ukraincami), obrońcą unitów i cenionym w Stolicy Apostolskiej rzecznikiem spraw Polski pod zaborami. Na fotokopii zaproszenia, wręczonej mi przez delegata biura prasowego Episkopatu, znalazłem literki R.S.V.P. (był przewidziany obiad). Zatelefonowałem więc do gospodarza, prokuratora generalnego zgromadzenia Zmartwychwstańców. Otrzymałem odpowiedź: „spotkanie jest tylko dla księży, pan redaktor może przyjść do kościoła jako obserwator”. Wypadała niedziela, pomiędzy referatem a obiadem i „programem muzyczno-wokalnym” była przewidziana msza święta koncelebrowana z kazaniem kardynała Gulbinowicza. Na mszę świętą zwykłym uczestnicząc nie jako „obserwator”. Także inne osoby świeckie (wśród nich pewien pracownik naukowy KUL-u) otrzymały analogiczną odpowiedź: sesja jubileuszowa jest wyłącznie dla kapłanów. Trzeba zaznaczyć, że w ramach tej sesji odbyło się spotkanie w Papieskim Kolegium Polskim z referatami przygotowanymi przez dwóch księży zmartwychwstańców. Według opinii niektórych uczestników tego spotkania czymś jaskrawym był zupełny brak wystąpień poświęconych kontekstowi społeczno-kulturalnemu tego wielkiego przedsięwzięcia, jakim była działalność ojca Semenienki. Czy nie można było zaprosić wybitnych ekspertów świeckich jak np. B. Cywińskiego, autora „Rodowodów niepokornych” czy też prof. E. Jabłońskiej-Deptułowej? Trudno odgadnąć, jakim kryterium kierowali się organizatorzy tej imprezy, nadając jej wyłącznie klerikalny charakter i ignorując świeckich i to na dobitkę zainteresowanych przedstawicieli prasy i świata naukowego. Czy można się dziwić, że Włosi wypominają Polakom „nieokrzesanie” (rozzezza) w sposobie bycia i umysłowy prowincjonalizm? Tu jednak nie chodzi — powtarzam — jedynie o brak ogłady, lecz o absolutny brak słuchu na zjawiska kulturowe, o społecznie szkodliwe w swych konsekwencjach „niedowartościowanie” świeckich.

O samej pięknej postaci ojca Piotra Semenienki przeczytałem w tekście opracowanym przez kardynała Gulbinowicza: „Był jednym z duchowych przywódców polskiej emigracji... Zmartwychwstańcy w XIX-wiecznym Rzymie byli stałymi i zaufanymi

rzecznikami spraw Ojczyzny nie tyle może z racji przynależności do tego polskiego zgromadzenia, ile raczej jako jednostki o nieprzeciętnej umysłowości i kulturze duchowej. Wśród tych nieprzeciętnych jednostek (autor ma na myśli Bogdana Jańskiego, Aleksandra Jełowickiego, Hieronima Kajsiwicza) nazwisko Sługi Bożego ojca Piotra Semenenko (jego proces beatyfikacyjny jest w toku) zajmuje zdecydowanie pierwszą lokatę". W zbiorowej refleksji nad tak wybitną postacią i jej dziełem nie mogli uczestniczyć świeccy reprezentujący polskie środowisko kulturalne. Dzieje się tak w sto lat po śmierci ojca Semeneki w dziewiątym roku pontyfikatu Papieża-Polaka, który tak wielki nacisk kładzie na kulturę i jej oddziaływanie na krzewienie wiary oraz na niezastąpioną rolę świeckich w życiu Kościoła.

Dominik MORAWSKI

Pisane 2 grudnia 1986 r.

Jedyna w Bawarii **POLSKA Drukarnia Offsetowa**

KONTRAST

BREITENSTEINSTRASSE 33 · D-8209 SCHLOSSBERG-ROSENHEIM
TELEFON 08031/7777

wykonuje:

książki, broszury, czasopisma, katalogi, plakaty,
odezwy, prospekty, karty świąteczne, ulotki, blankiety
oraz wszelkie inne
organizacyjne, społeczne, przemysłowe i prywatne druki.
Skład elektroniczny we wszystkich językach europejskich.
Solidne wykonanie — ceny umiarkowane!

tych okolic Europy trzeba przypomnieć, na czym ten model polega.

Podstawą jego była feudalna władza sędziów nad całą ziemią w opłacie jego dominium; nad gruntami, łąkami, lasami, wodami, wsiach i ich podległymi i pługami. On jeden miał prawo decydować o wszystkim i wszelkiej działalności gospodarczej, jego wola była wyznacznikiem i kołkiem szewskiego na jego woli zależało wydanie i coścież szewskiego. Chłopi i handel oraz rzemiosło ustalało warunki. Chłopi byli przypięci do ziemi, której nie wolno im było opuścić. A ponieważ żyli na ziemi sędziów, więc musieli płacić mu za to, że im żył na ziemi (czyli) byli odpowiadali za to, że im żył na ziemi.

Kraj

O leniwych Polakach

Wszystko to rozumiemy — mówią życzliwi nam cudzoziemcy — waszą tragiczną przeszłość, kompleksy, sowiecką dominację, brak demokracji, konflikt wartości i aspiracji z systemem. Czy przy tym wszystkim jednak nie moglibyście choć trochę więcej i lepiej pracować? Przecież jakiś tam w końcu potencjał macie: fabryki, koleje, grunty uprawne... Czy to wszystko, nawet przy biurokratycznym zarządzaniu, musi być aż tak niewydolne? Wiemy, że nie dacie sobie rady bez pomocy, lecz czy ze swej strony zrobiliście już wszystko co można było, by wyjść z kryzysu?

Oczywiście: moglibyśmy choć trochę, nie musi być aż tak, nie wszystko jeszcze... ale przecież zupełnie nie o to chodzi, nie na tym polega problem i nie tu znajduje się klucz do niego, choć w samej Polsce wielu ludzi — i to nie tylko we władzach — zgadza się, że gdyby tak wszyscy raźniej się wzięli do pracy, to przecież jakoś by się ruszyło. Tyle tylko, że było już parę takich ostrych startów, ostatni po kolejnym wstrząsie 1970 roku, i to był początek najbardziej zwariowanego i marnotrawnego okresu, zakończonego obecnym kryzysem, którego końca nie widać.

F o l w a r k

Żeby nie przytaczać dziesiątków przyczyn, dlaczego jest tak jak jest — a ich ilość budzi aż podejrzenie — spróbujmy znaleźć jakiś klucz, jakiś model, który by nam tłumaczył istotę tego systemu. Niechby nawet wydawał się wręcz fantastyczny.

Otóż wyobraźmy sobie, że współczesna Polska jest jednym wielkim feudalnym majątkiem, takim jakie dominowały na naszych ziemiach jeszcze półtora wieku temu. Cudzoziemcowi z dal-

szych okolic Europy trzeba przypomnieć, na czym ten model polegał.

Podstawą jego była feudalna władza seniora nad całą ziemią w obrębie jego dominium: nad gruntami, łąkami, lasami, wodami wraz z ich bogactwami i płodami. On jeden miał prawo użytkowania tego wszystkiego i wszelkiej działalności gospodarczej. Od jego woli zależało wydanie i cofnięcie zezwolenia na produkcję i handel oraz arbitralne ustalenie warunków. Chłopi byli przypisani do ziemi, której nie wolno im było opuścić. A ponieważ żyli na ziemi seniora, więc musieli płacić mu za to tyle, ile uznał za słuszne (czynsz) bądź odpracować to na ziemi, którą on bezpośrednio użytkował (pańszczyzna) w wyznaczonym przez niego wymiarze i w określony przez niego sposób. Wszelkie towary spożywcze i przemysłowe, których chłopi nie produkowali sami, musieli kupować od seniora bądź za jego pośrednictwem. Przez niego też mogli zbywać ewentualne nadwyżki. W obu wypadkach senior dowolnie ustalał ceny. Chłopi byli przy tym osobie od niego zależni (poddąństwo) gdyż senior sprawował nad nimi władzę policyjną i sądową, zaś przed jej nadużyciem nic nie było w stanie chłopu uchronić.

System ten był uznawany za opiekuńczy, gdyż to senior wydzielał chłopom kawałki swojego gruntu do uprawy, bądź rozdzielał produkty. On więc określał rozmiar i charakter spożycia, gdyż wszystko co chłop spożywał było pańskie.

A teraz przenieśmy się do kraju, w którym komuniści — siłą własną bądź cudzą, bo inaczej to się nigdzie nie udało — zdobyli pełnię władzy politycznej. Ich podstawowym celem jest całkowite przekształcenie stosunków społecznych i gospodarczych. Ogólny kierunek zmian to uspołecznienie środków produkcji, co przede wszystkim oznacza odebranie ich z rąk prywatnych. A ponieważ cały dotychczasowy porządek jest z definicji zły, przeto im dalej pójdą te zmiany, tym lepiej.

Zaczyna się od upaństwowienia banków, wielkich fabryk, kolei, wprowadzenia państwowego monopolu handlu zagranicznego. Odbiera się też wielkie majątki ziemskie, a ziemię ich przeważnie rozdaje się chłopom. Na tym etapie, abstrahując od konfliktów politycznych, zmiany te mogą liczyć na dość szerokie poparcie.

Szybko jednak przychodzą dalsze. Władza przejmuje coraz mniejsze zakłady produkcyjne, aż do rzemieślniczych warsztatów i małych sklepików oraz odbiera ziemię chłopom, tworząc na niej wielkie gospodarstwa, bądź jawnie państwowe, bądź — co częściej — fikcyjne spółdzielnie, będące *de facto* własnością państwa. Chłopom wydziela się kawałki ziemi, działki, które mogą upra-

wiać na własny użytek, po odrobieniu tego, co trzeba w gospodarstwie zwanym uspołecznionym.

W ten sposób władza staje się właścicielem praktycznie całego majątku produkcyjnego w kraju i ma faktyczny, bądź również formalny monopol na wszelką działalność gospodarczą. Tam, gdzie — jak w Polsce — istnieją w ograniczonym zakresie i rozmiarze prywatne placówki produkcyjne i handlowe, prowadzenie ich jest możliwe tylko na podstawie indywidualnie wydawanych i cofanych koncesji. Do władzy, a nie do przedsiębiorcy i klientów, należy ocena celowości tego przedsięwzięcia. Ona też pilnuje, by robiono tam tylko to, co jest przewidziane w koncesji i aby zakłady te nie rozrastały się i nie zwiększały obrotów ponad założony limit, by nie zwiększały zysków korzystając z koniunktury itp. To samo wykonywał... feudalny nadzór cechowy.

Polska jest w obozie komunistycznym krajem o tyle jeszcze wyjątkowym, że na skutek przemian politycznych 1956 roku, które wyeliminowały brutalny terror fizyczny w wielkich wymiarach, nie udało się skolektywizować, a właściwie upaństwowić rolnictwa, które w większości zostało własnością indywidualnych rolników. By już nie wracać do tego ważnego skądinąd tematu, przypomnijmy, że władza ustaliła swój faktyczny monopol na dostawę środków produkcyjnych dla rolnictwa i na skup większości jego produktów, jedno i drugie po cenach przez siebie wyznaczanych. Arbitralnie też prowadzi ona politykę podatkową i ustala przepisy regulujące obrót ziemią. Generalnie w ciągu trzech dziesięcioleci polityka rolna państwa przy licznych wahanach zmierza do tego, aby rolnictwo produkowało pewne minimum żywności i aby przy tym dochodowość jego była raczej niska, by dostawy środków produkcji i obrót gruntami nie prowadziły do powstawania wielkich i silnych gospodarstw rolnych, by praca w rolnictwie nie była atrakcyjna i aby ludzie zeń odchodzili, ułatwiając jego ewentualne przejmowanie przez sektor państwowy w przyszłości. W każdym razie niesocjalistyczne rolnictwo nie ma faktycznie prawa prosperować przy rozkładającej się gospodarce państwowej.

Wszelako ten niesocjalistyczny charakter rolnictwa sprawia, że jest ono, pomimo wszystkich trudności, tą częścią gospodarki, która jeszcze stosunkowo najlepiej wywiązuje się z podstawowych swych zadań — w Polsce bardzo wielu ludzi bardzo źle i biednie się odżywia, lecz nikt nie umiera z głodu — zaś wieloletnia polityka władz jest przyczyną stałego niedorozwoju rolnictwa i niedoboru żywności w kraju, który ma obiektywne warunki, aby być jej wielkim eksporterem (i bywał nim w przeszłości).

Ogólną zasadą socjalizmu przyjętą werbalnie przez komunis-

tów było uspołecznienie środków produkcji. Pod rządami komunistów, niezależnie od posługiwania się gdzieś sztydem spółdzielczym, jest to praktycznie upaństwowienie. Państwo jest absolutnie niedemokratyczne. Nie pochodzi z wyboru, nie znajduje się pod żadną kontrolą ze strony społeczeństwa, które na żadnym szczeblu i na żadnym odcinku nie ma praktycznej możliwości wpływania na sposób zarządzania gospodarką, na alokację środków, podział produktu itp. Gospodarka uspołeczniona jest zatem fikcją. Jest praktycznie zbiorową własnością rządzącej oligarchii, przy czym od miejsca zajmowanego w aparacie władzy zależy stopień wpływu na decyzje i wysokość udziału w spożyciu.

To samo państwo, które jest właścicielem gospodarki (całej, bądź prawie całej i kontrolerem reszty) oraz ma monopol na wszelką działalność gospodarczą na swym terytorium jest zarazem, z własnej nominacji, nieusuwalną władzą: ustawodawczą, wykonawczą i sądowniczą nad swoimi pracownikami, którym do ich statusu doprawdy bardziej pasuje nazwa poddanych niżli obywateli.

W krajach konsekwentnego komunizmu, jak ZSSR, Bułgaria — wszyscy, zaś w takich jak Polska, ogromna większość ludzi może i musi pracować u praktycznie jedynej pracodawcy, który dowolnie i jednostronnie określa warunki tej pracy w różnych swoich agendach, jakimi są fabryki, spółdzielnie, placówki handlowe, usługowe, świadczenia społeczne itd. W dodatku są oni przypisani do dominium swojego seniora. On decyduje — w większości krajów odmownie — czy, dokąd, po co i na jak długo mogą jego poddani wyjechać za granicę. Zmiana pana i pracodawcy praktycznie nie wchodzi w rachubę...

Mechanizm

Jeśli właściciel folwarku przerzuca swój owies ze swojej stodoły do swojej stajni, to nie występuje tutaj akt kupna-sprzedaży, jako że nie następuje zmiana właściciela. Skoro produkt, jakim jest owies, nie zostaje wystawiony na sprzedaż, nie staje się towarem. Tak samo jest, kiedy państwowy węgiel jedzie z państwowej kopalni do państwowej elektrowni, z której państwowy prąd płynie do państwowej fabryki. W obrocie między jednostkami będącymi własnością tego samego podmiotu nie następuje zmiana właściciela, obrót ten nie odbywa się na rynku, nie występuje łańcuch: towar — pieniądz — towar, ani też pieniądz — towar — pieniądz.

Na początku komunistyczna doktryna odrzucała wszystkie

kapitalistyczne kategorie, w tym rynek, pieniądz i cenę. Pieniądzy nawet miało nie być, lecz wkrótce okazało się, że konieczny jest jakiś wspólny przelicznik dla porównania i zestawienia kilowatogodzin, dniówek roboczych, tonokilometrów i metrów biegnących. Tę właśnie funkcję pełni pieniądz w komunistycznej gospodarce. Kiedy jednak zaczyna się oficjalnie przywracać do łask rynek, wartość, cenę, to można — niczego nie zmieniając — twierdzić, że mamy rozrachunek ekonomiczny, skoro fabryka płaci za prąd, elektrownia za węgiel, a kopalnia za maszyny. Jeśli jednak cena ta kiedykolwiek zbliżona jest do wartości, to tylko przypadkiem, a po drugie — nikt tego nie wie. Albowiem wszystkie ceny w oficjalnym obrocie są ustalane przez państwo zupełnie dowolnie i wyrażają nie wartość, nie stosunek podaży i popytu, lecz preferencje państwa, które chce, żeby pewne dobra były tanie, a pewne drogie, bo w ten sposób udaje mu się wykazać opłacalność rabunkowego wydobycia węgla w epoce taniej ropy i nieopłacalność lokali gastronomicznych cieszących się wielkim powodzeniem.

Przy najistotniejszych dla gospodarki produktach i przedsięwzięciach — węgiel, energia, stal, cement, ważne budowy i wszelka produkcja uznana za ważną — plan określa, która jednostka ma zaopatrzyć którą, ewentualnie co i kiedy ma dla niej wykonać. Każda ma mieć tyle pieniędzy, aby po wyznaczonej cenie opłacić wyznaczoną ilość produktu albo usługę. Gdy to się nie bilansuje, jednostka dostanie w tej czy innej formie (ulga podatkowa albo dotacja, albo upust w cenie) pomoc z centrali, a jeśli zostaną jej nadwyżki, to w taki czy inny sposób centrala zabierze jej ponad dziewięćdziesiąt pięć procent zysku. Jest to schemat, skryty za masą zróżnicowanych przepisów i zagmatwany masą wyjątków, ale taka jest ciągle istota tej ekonomiki, w której to co nazywa się przedsiębiorstwem jest w gruncie rzeczy oddziałem produkcyjnym czy handlowym jednego państwowego przedsiębiorcy.

Mimo to komunistyczne państwo ciągle bliższe jest wielkiego feudalnego latyfundium niż kapitalistycznego koncernu, do jakiego się je porównuje. Dla właścicieli koncernu podstawowym kryterium jest zysk, on warunkuje wszystko inne, zaś dla posiadacza dominium — czy jest nim historyczny książę, czy współczesne państwo — liczy się władza i splendor oraz trwałość tego statusu. W demokratycznym państwie cele te muszą jakoś odpowiadać większości wyborców, jeśli cały ten układ ma się okazać trwały. Im jednak władza jest mniej zależna od rządzonego społeczeństwa, tym większa jest autonomia jej celów i ich rozbieżności z interesami większości.

Ustrój komunistyczny, będący próbą realizacji utopii, musi stale wykazywać swą doskonałość, a w każdym razie wyższość nad

formacją kapitalistyczną. Zważywszy jego zdecydowanie niższą efektywność, której przyczyny usiłujemy tu właśnie przedstawić, podstawowym sposobem owego wykazywania się jest ekspansja. Na inne kraje, w ramach imperialnej potęgi bloku sowieckiego, oraz wewnętrzną. Ta wewnętrzna to właśnie wspomniane już niszczenie i przejmowanie (bądź częściowo — jak w Polsce — ograniczanie) innych, niepaństwowych sektorów społeczno-gospodarczych oraz monstrualna rozbudowa własnego, kosztem całego społeczeństwa.

Przeważnie każda władza lubi demonstrować i uwieczniać swój splendor przy pomocy budowli publicznych. W komunizmie zalicza się do nich również wielkie huty, kopalnie, zakłady przemysłowe. To też własność państwa, widomy dowód jego potęgi, troski o gospodarkę, a zatem i o potrzeby ludności, a zarazem przez siebie samego stwarzany dodatkowy obszar władzy. A każdy lubi być demiurgiem, gdy może nie liczyć się z kosztami.

Tu zaś, gdzie wyeliminowano stosunki rynkowe, z kosztami nie można się liczyć, bo nie można ich znać. Pozostaje tylko obrót rzeczowy: produktami, mocami przerobowymi, energią i siłą roboczą. Na zasadzie prostych bilansów: przy pomocy tych środków możemy zrobić albo nową hutę, albo dom starców — co ważniejsze? Zawsze znajdują się eksperci, którzy tak dobiorą dane, aby ważniejsze okazało się to, czego chce władza. Przy czym z reguły będzie ona wolała hutę. Albowiem tam, gdzie nie ma rachunku ekonomicznego, lansuje się prymitywny racjonalizm, że wpiery musi powstać przemysł środków produkcji, aby mógł powstać przemysł środków spożycia, że wpiery potrzeba węgla, stali, cementu, aby mogły być zrobione tkaniny i samochody. Te abstrakcyjne schematy nie mogą być skonfrontowane z rzeczywistością ekonomiczną, bo zostały odrzucone kategorie poznania i regulacji.

Państwo komunistyczne nie jest pierwszym, które stawia na ekspansję i na własne pomniki. Jednak dotychczas nawet najbardziej niedemokratyczne państwo, nie liczące się z interesem poddanych, musiało się liczyć ze środkami na prowadzenie swej polityki. — By wygrać wojnę — mawiał ks. Eugeniusz Sabaudzki — trzeba pieniędzy, pieniędzy i jeszcze raz pieniędzy. Te pieniądze władza ściąga z gospodarki, której — choćby z tego powodu — winna zapewnić warunki rozwoju i egzystencji. Komunistyczne państwo, stając się właścicielem gospodarki, nie wymaga od niej dochodów, gdyż samo ma wszystko co trzeba do odlewania armat, robienia prochu, szycia mundurów i butów, a także do budowy pałaców, placów i wszystkiego co uzna za nieodzowne.

Działanie się upraszcza: nie trzeba z jednych przedsiębiorców

ściągać podatków, aby u innych składać zamówienie, licząc się z jakimś interesem po drodze. Władzy nie limituje dochodowość gospodarki, lecz jej fizyczna wydolność, którą należy maksymalnie powiększać, by mogła sprostać stawianym celom. A więc maksymalny wzrost, ograniczany z kolei również fizycznym rozmiarem dóbr, a nie niemożliwą wszak kalkulacją efektywności, staje się naczelną zasadą komunistycznej gospodarki. Wzrost ten jest w odczuciu jej właścicieli darmowy. Tak naprawdę kupuje ona tylko za granicą, co sprawia, że dominuje przeważnie autarkia. Na miejscu państwo ma swoje surowce, swoją strukturę przemysłową i infrastrukturę, swoje środowisko naturalne i swoich ludzi do pracy. A w sprzyjających okolicznościach może jeszcze naciągnąć na kredyty naiwnych kredytodawców z Zachodu, którzy widząc ten dynamiczny wzrost, sądzą że warto weń zainwestować. Tymczasem jest to coś w rodzaju huty, która się stale rozbudowuje, zużywając na to całą produkowaną przez siebie stal. Produkcja stali rośnie, lecz ani kilogram nie wychodzi na zewnątrz. Trzeba więc... rozbudować hutę. Oto model takiego wzrostu!

Jako przyczynę niewydolności aparatu produkcyjnego w komunizmie wymienia się przede wszystkim biurokracji — i słusznie. Lecz jeszcze ważniejsza jest monopolizacja całej prawie gospodarki oraz brak rynku. Gospodarka limitowana nie ilością pieniędzy, które każdy ma w ograniczonym wymiarze, lecz fizycznym rozmiarem dóbr nigdy nie jest w stanie sprostać potrzebom, które każdy ma przeważnie nieograniczone i niedobór — praktycznie wszystkiego — jest jej immanentną cechą. W tej sytuacji nie ma mowy o konkurencji, nawet na tych obszarach gospodarki, gdzie centralny plan nie przewiduje kto komu, czego i ile ma dostarczyć, gdzie istnieje więc jaki taki wybór kontrahenta. Brak konkurencji, prawie zawsze zapewniony zbyt na wszystko — jeden odbiorca musi odebrać, bo mu to przepisano w planie, a drugi, bo nie ma wyboru — sprawia, że producent nie ma żadnej potrzeby wysilania się, aby wytwarzać produkt sprawny, nowoczesny, estetyczny, trwały. I aby obniżyć koszty wytwarzania. Nie mogąc maksymalizować zysku, minimalizuje wysiłek, przede wszystkim obniżając jakość produktu, a potem dopiero ilość, gdyż w ilości plan jest trudniej oszukać. Takie jest główne, choć nie jedyne, źródło coraz większego zacofania gospodarki komunistycznej, jej malejącej konkurencyjności w świecie.

Tego rodzaju gospodarka może rosnąć (w socjalistycznej ekonomii politycznej nie ma — co charakterystyczne — rozróżnienia między rozwojem (*development*) a wzrostem (*growth*) tak długo, dopóki ma zapewniony dopływ nowych środków — surowców, kredytów zagranicznych, pracy — i dopóki starcza wytrzymałość środowiska oraz zaniedbywanej infrastruktury. Po przekrocze-

niu pewnego progu przyrosty stają się mniejsze, potem zaczyna się dekapitalizacja, gospodarka pożera samą siebie.

Wydaje się, że wszystkie kraje bloku sowieckiego, z hegemonem na czele, przekraczają ten próg. W Rumunii i Polsce kryzys przybrał najbardziej spektakularne formy. Na Węgrzech i w Czechosłowacji regres jest widoczny, lecz jeszcze umiarkowany, zaś nietypowym krajem jest NRD, podtrzymywana ekonomicznie przez dopływ środków z Niemiec Zachodnich. Nie widać obecnie żadnych szans na to, by komunistyczna gospodarka, nie zmieniając swego charakteru i sposobu funkcjonowania, była w stanie odwrócić postępujący proces upadku.

Praca

Co w tej sytuacji może zmienić zwiększony wysiłek Polaków? Na ile jest w ogóle możliwy?

Komunistyczna władza realizuje zasadę Piotra I, „by ani jedna ręka w państwie nie próżnowała”, ponieważ czuje się nie tyle pracodawcą, kalkulującym kogo i za ile warto mu zatrudnić, lecz naturalnym dysponentem całej siły roboczej, która i tak je na państwowy rachunek. Stąd liczne elementy przymusu pracy w gospodarce komunistycznej, łącznie z systemem obozów (*gulag*), a także przymus ekonomiczny, na zupełnie innym poziomie niż w kapitalizmie.

W Polsce obecnie przeciętna płaca miesięczna wynosi ok. 22 tys. złotych, przy czym dwie trzecie pracujących jej nie osiąga. Minimum socjalne na jedną osobę oficjalne związki zawodowe nieoficjalnie szacują na 11 tys. złotych miesięcznie. Pozwala ono na bardzo biedną egzystencję, bez uwzględnienia środków na urządzenie się. Wynika z tego, że zatrudniony w pełnym wymiarze godzin pracownik, przeważnie wykwalifikowany i to należący do wyżej zarabiającej mniejszości, nie jest w stanie ze swych regularnych zarobków za regularną pracę utrzymać nawet na poziomie minimum socjalnego żony i dziecka! Nie jest to rezultat obecnego kryzysu — choć pogorszył on znacznie sytuację materialną większości ludzi — tak było przez całe z górą czterdzieści lat komunistycznej władzy.

Z jej punktu widzenia posunięcie to było celowe, gdyż zmuszało do pracy wszystkich, w tym kobiety, łącznie z tymi, które wychowują małe dzieci — specyfika komunistycznej gospodarki we wszystkich krajach. Ekstensywnej gospodarce potrzeba dużo taniej siły roboczej. Pozwala to jednocześnie pochwalić się likwidacją bezrobocia i objąć kontrolą całą ludność również z pozycji pracodawcy. W systemie komunistycznym, którego głównym ce-

lem jest sprawowanie władzy, jest to względ bardzo istotny: zaszeregowanie człowieka do jakiejś grupy pracowniczej, przeważnie zorganizowanej na paternalistycznych zasadach.

Pojedynczy kapitalistyczny pracodawca traktuje płace jako koszt i skłonny jest je obniżyć, lecz cała klasa pracodawców i producentów zarazem musi uwzględniać fakt, że płace w rękach pracowników stanowią podstawowe narzędzie popytu, gwarantującego zbyt ich towarów. Stąd optymalizacja — nieraz burzliwa — relacji płac, kosztów i cen. W socjalizmie jedyny pracodawca jest zarazem jedynym producentem i dostawcą wszelkich produktów i usług.

To prawda, że wypłaca on ludziom pieniądze, lecz pieniądź w tym ustroju nie tworzy popytu. Zrobi się i zbuduje nie to, co ludzie byliby skłonni za swe pieniądze kupić, lecz to, co państwo uzna dla nich za konieczne, przy czym spożycie ludności, w ramach fizycznego limitu środków, pozostaje konkurencyjne dla celów, które sobie to państwo stawia. Ustalając rodzaj i ilość produkcji, ceny i płace, reguluje ono spożycie ludności na poziomie, który uznaje za właściwy. W NRD na przykład, gdzie poziom ten jest jak na kraj komunistyczny dosyć wysoki, świat pracy zdyscyplinowany, a machina urzędnicza w miarę sprawna, udaje się utrzymywać płace i ceny na zbilansowanym i prawie niezmiennym poziomie. W Polsce władza, która stale obawia się wybuchu społecznego, przekupuje najgroźniejszych dla niej robotników wielkiego przemysłu, płacąc im coraz więcej coraz mniej wartych pieniędzy, gdyż w ślad za tymi wypłatami nie następuje zwiększona odpowiednio produkcja dóbr. Stąd się rodzi — między innymi, bo jest jeszcze parę innych źródeł — inflacja. Służy ona władzy następnie jako argument przeciw podnoszeniu płac tym, których się nie boi, oraz za podnoszeniem cen.

Przy pomocy takiej polityki udało się doprowadzić do stanu, w którym koszty pracy w przemyśle wynoszą 12-13 % kosztów własnych. W tej sytuacji praca jest najbardziej marnotrawionym czynnikiem produkcji. W przemyśle maszynowym np. — jak wykazała ankieta — tylko 1 robotnik na 10 uważa, że ma dobrze zorganizowaną pracę. Zatrudnia się ludzi na zapas, toleruje niezliczone przestoje, pijaństwo, złą pracę, a do pewnego stopnia nawet kradzieże (wiadomo, że pracownicy zarabiają mało i że pewnych rzeczy nie kupią za żadne pieniądze).

Przed wszystkim jednak w tej sytuacji nie opłaca się postęp techniczny. Nowe maszyny, mniej pracochłonne technologie podnoszą koszty, bo są z reguły droższe od pracy, którą zastępują. Tam gdzie ten postęp w jakimś stopniu, na przekór wszystkiemu, ma miejsce, tam wzrasta koszt produkcji. Do utrzymania tego stanu przyczynia się polityka gospodarcza, polegająca na stałym

windowaniu cen na wszystkie produkty i pilnowaniu, przy pomocy opodatkowywania zakładów pracy, aby nie podnosiły płac w dążeniu do pozyskania i utrzymania pracowników.

Praca na państwowej posadzie — a pracuje tak ok. 12 milionów ludzi — zapewnia w wielu wypadkach tylko minimum biologiczne i świadczenia socjalne na bardzo niskim poziomie; lecz pewne. Z dostaniem i utrzymaniem marnej pracy nie ma też na ogół większych trudności, aczkolwiek przy pełnym zatrudnieniu bywa niekiedy trudno znaleźć pracę, zwłaszcza wyżej kwalifikowanym, tam gdzie oni mieszkają. Wielogodzinne dojazdy do pracy są więc regułą dla więcej niż połowy zatrudnionych. Praca jednak w bardzo niewielkim stopniu załatwia podstawowe problemy życiowe. Poziom życia zależy w większym stopniu od stosunku pracujących i niepracujących w rodzinie niż od zarobków jej zatrudnionych członków. Urodzenie kolejnego dziecka może zatem przekreślić skutki wieloletniego awansu. Tym bardziej, że w większości rodzin większość wydatków przeznacza się na jedzenie.

Cena rynkowa — czyli z drugiej ręki — najgorszego samochodu, Fiata 126, stanowi równowartość prawie trzechletnich przeciętnych zarobków. Koszt kupionego prywatnie niewielkiego (ok. 50 metrów kwadratowych) niewygodnego i niezdrowego mieszkania w betonowych blokach, o standardzie *slums'ów* już w chwili ich zbudowania, wynosi obecnie ok. 5-6 milionów złotych. Jest to więcej niż większość pracowników zarobi przez całe swoje życie, od stażu do emerytury. Zaś na takież mieszkanie spółdzielcze, skalkulowane w sposób możliwy do wytrzymania przez większość pracujących, czeka się 15 i więcej lat.

Wydaje się, że jak na te warunki stosunek do pracy większości pracujących jest jeszcze zadziwiająco dobry. Trzeba przy tym sobie zdawać sprawę, że źle zorganizowana praca jest bardziej męcząca i że nie niwelują tego zmęczenia przestoje. Przeważnie odbywa się ona w złych warunkach, jeśli chodzi o higienę i bezpieczeństwo. Liczba wypadków jest bardzo duża, mimo fałszowania statystyki.

Ogół pracujących jest też zmęczony dojazdami do pracy i powrotami, przeważnie w tłoku i brudzie, wielogodzinnym chodzeniem po sklepach i wystawianiem w kolejkach — przy czym kupienie po oficjalnej a nie czarnorynkowej cenie jakiegoś produktu daje niekiedy większą korzyść niż wynosi płaca za tygodnie czy nawet miesiące pracy — zmęczony jest także czasem traconym w urzędach, w przychodniach lekarskich o skandalicznie niskim standardzie, korzystaniem z usług — w tym z gastronomii — spędzaniem urlopu w niewygodnych warunkach itd. Wszystko to, wraz z niewygodnymi mieszkaniami, męczy i powoduje stressy,

wyczerpując tę samą pulę energii i odporności życiowej co praca. A w dodatku niemożliwa do ustalenia część zatrudnionych musi podejmować dodatkowe wysiłki celem dodatkowego zarobienia. Jest to praca w nadgodzinach, w innych zakładach, pokątne rzemiosło, prywatnie świadczone usługi.

To przepracowane, przemęczone i zabiedzone społeczeństwo jest poddawane nieustannym oskarżeniom o lenistwo i złą pracę oraz apelom, by pracowało więcej i lepiej, jeśli chce podnieść swój poziom życiowy. W obecnych warunkach może to praktycznie oznaczać jedynie intensyfikację wysiłku, zaś wzrost spożycia nie jest bynajmniej pewny.

Udział płac w produkcji sprzedanej przemysłu wynosi obecnie w Polsce ok. 10 %. W przedwojennej Polsce, pół wieku temu, w kraju nisko uprzemysłowionym, trapionym przez strukturalne bezrobocie, udział ten wynosił 21 % i był uznawany za niski, zaś stopa wyzysku za wysoką. Wbrew temu co oficjalnie się twierdzi, pracownicy nie dostają tego co wypracowują, lecz to, co władza im do spożycia przyznaje, przy czym nie ma tu stałego mechanizmu, który zapewniałby chociaż te dziesięć procent i pozwalał pracą wpływać na ich konkretną wysokość. Stąd powszechność postaw roszczeniowych u pracowników, na co uskarża się władza, i stąd nieskuteczność polityki — nieudolnej i niekonsekwentnej — różnicowania płac. Badania ankietowe wykazują, że większość społeczeństwa nie wyznaje już prymitywnego egalitaryzmu i zgadza się na lepsze wynagrodzenie za lepszą pracę. Nie ma jednakże zgody na manipulowanie głodem, poniżej uznanego minimum. W tej sytuacji nawet znaczna, bo kilkunastoprocentowa podwyżka traktowana jest jako należyty zwrot zaledwie części tego, co się już dawno zapracowało, a nie zobowiązanie do lepszej pracy.

Z a m a c h

Kiedy komunistyczna władza nie może już udawać, że nie ma kryzysu, musi podać jakieś jego przyczyny. Tak było, kiedy w 1956 roku dochodził do władzy Gomułka, tak w 1970 roku, gdy władzę obejmował Gierek i w 1981, kiedy objął ją Jaruzelski. Zawsze wówczas podaje się jako główną przyczynę błędy poprzedniej ekipy, choć nowa w dużej części uczestniczyła i w starej, a z przywódców tylko Gomułka nie był członkiem najwyższych władz w okresie bezpośrednio poprzedzającym przełom polityczny. (Generał Jaruzelski został członkiem najwyższej władzy partyjnej, Biura Politycznego i rządu jeszcze za Gomułki i był nim przez cały czas rządów Gierka).

Woluntaryzm ekipy gierkowskiej polegał głównie na tym, że lekkomyślnie przyspieszony wzrost gospodarki na wszystkich praktycznie odcinkach przyspieszył wyczerpywanie rezerw, których przedtem ostrożnie używał Gomułka. Sięgnięto też po dodatkową rezerwę w postaci kredytów zagranicznych. W ten sposób doszło do gwałtownego załamania na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych oraz do zadłużenia wynoszącego obecnie ponad 31 miliardów dolarów, które się z roku na rok powiększa. Jednakże charakter systemu doprowadziłby zapewne do załamania i bez tego, tyle że później i może w mniej dramatycznej formie.

Oprócz woluntaryzmu Gierka przyczyną kryzysu miała być, w równym co najmniej stopniu, anarchizacja gospodarki spowodowana przez legalnie działającą „Solidarność”, co było jedną z przyczyn skłaniających władzę do przeprowadzenia zamachu wojskowego 13 grudnia 1981 roku. Po pięciu latach nieustannego powtarzania skłonna jest w to wierzyć nawet spora część społeczeństwa. Tymczasem z oficjalnych roczników statystycznych wynika, że jeden pracownik w sferze produkcji materialnej przestrajkował w 1980 roku 4 godziny i 54 minuty, zaś w roku następnym 4 godziny i 24 minuty, z czego zapewne sporą część już po wprowadzeniu stanu wojennego 13 grudnia. W tych samych latach przypadało na niego po 125 i 137 godzin absencji chorobowej. Tak wyglądał ów „pistolet strajkowy”, który miał paraliżować gospodarkę.

Sytuacja między podpisaniem porozumień ze strajkującymi 31 sierpnia 1980 roku a wprowadzeniem stanu wojennego 13 grudnia w roku następnym wyglądała tak, że społeczeństwo wraz ze swymi organizacjami zwiększyło znacznie swój zakres podmiotowości w polityce, życiu społecznym, kulturze. W gospodarce natomiast władza zachowała wszystkie swoje pozycje. Dopiero 25 września 1981 roku uchwalono kompromisową — między władzą i „Solidarnością” — ustawę o samorządzie pracowniczym w państwowych zakładach, która nie zdążyła do grudnia wejść w życie. Jednakże władza w tym okresie zachowywała się tak, jakby została z niej zdjęta odpowiedzialność za funkcjonowanie gospodarki. Procesy destrukcyjne trwały w dalszym ciągu, lecz władza była zainteresowana w tym, aby w okresie uszczuplenia jej prerogatyw kryzys przekształcał się w katastrofę i aby miał on spektakularny i odczuwalny charakter, w postaci załamania zaopatrzenia ludności. Stwarzało to rezerwy dla pewnej poprawy już po zamachu wojskowym.

Generałowie u władzy, odsunięcie rozpolitykowanych działaczy, spacyfikowane związki zawodowe z ich roszczeniami, skończona destrukcyjna rola prasy, powszechna dyscyplina — taki

obraz po zamachu wojskowym budził niekiedy nadzieje. Na to liczył zapewne generał Jaruzelski i tak był odbierany przez niektóre koła interesu na Zachodzie, które może i żałowały Polaków, lecz uważały, że od ich wolnościowych aspiracji ważniejszy jest porządek i praca. Tak też odebrała to część społeczeństwa polskiego.

Sam początek stanu wojennego z jego restrykcjami, zastraszaniem i przerwaniem łączności był okresem największego paraliżu gospodarki. Ale też usuwanie kolejnych ograniczeń stanu wojennego już zaczęło dawać widome efekty. W drugiej połowie 1982 roku odnotowano pewien wzrost produkcji przemysłowej i poprawę zaopatrzenia ludności. W roku 1983 wzrost produkcji przemysłowej i dochodu narodowego wyniósł 6,4 % i 6 %. W roku 1984 był nieco niższy, ale nadal wysoki. W roku 1985 wzrost wynosił już: 3,2 % — dochód narodowy, i 4,4 % — produkcja przemysłowa. Nadal poprawiało się zaopatrzenie ludności, lecz w jeszcze większym stopniu rosła inflacja i zapasy tzw. gorącego pieniądza. Przeciętna wysokość płac realnych miała pozostawać bez zmian, jeśli zgodzić się z oficjalnymi danymi na temat wzrostu cen, który faktycznie był większy. Zdecydowanie pogorszyły się natomiast relacje w handlu zagranicznym, szczególnie z krajami kapitalistycznymi.

Po przewrocie władzy zależało przede wszystkim na wzroście bieżącej produkcji i poprawie zaopatrzenia, to znaczy na zmniejszeniu tych najbardziej widocznych i bezpośrednio odczuwalnych objawów kryzysu, co się po części udawało do 1985 roku. Robione to było i jest bez liczenia się z możliwościami i perspektywą gospodarki. Nakłady inwestycyjne na jednego mieszkańca w 1982 roku wyniosły 35,2 % nakładu przedkryzysowego roku 1977, zaś w 1985 roku — 44 %. Zgodnie z planem na drugą połowę lat osiemdziesiątych proces dekapitalizacji majątku trwałego ma ustać dopiero po 1990 roku. Wówczas też ma być osiągnięty przedkryzysowy poziom produkcji i dochodu narodowego na jednego mieszkańca. Oznacza to zatrzymanie na nie mniej niż dwanaście lat historii gospodarczej Polski, przy jednoczesnym zubożeniu jej i zwiększonym zadłużeniu po upływie tego okresu. Z tym że większość ekonomistów, wypowiadających się w jak najbardziej legalnej prasie, nie wierzy, aby przy tym sposobie gospodarowania było to wykonalne. Plany bowiem są ogłaszane w taki sposób, że to a to — np. zmniejszenie energo- i materiałochłonności — trzeba koniecznie zrobić, w takim a takim wymiarze, do takiego to czasu, że nie ruszymy bez poprawy eksportu o tyle i tyle, bez wzrostu wydajności pracy itp. Te postulaty przedstawiane są jako zadania, które mają być wykonane, mimo że nie widać po temu środków i możliwości.

Reforma

1 stycznia 1982 roku zaczęto realizować reformę gospodarczą. Gdyby faktycznie oznaczała ona istotną zmianę sposobu gospodarowania, byłoby to, wraz ze znaczącymi efektami, widoczne po prawie pięciu latach i perspektywy na przyszłość byłyby inne. Z szeroko zamierzonej reformy zrealizowano właściwie jedno posunięcie. Zakładom produkcyjnym zwiększono uprawnienia, zmniejszając możliwości korzystania z nich.

Gospodarka polska reformuje się właściwie już od 1956 roku i jedynym kierunkiem w jakim to czyni jest decentralizacja. Polega ona na delegowaniu przez wyższe ogniwa pewnych uprawnień w dół, przy czym decyzje tych niższych mogą być zawsze zmienione czy odwołane. Nie tworzy się nowych podmiotów w gospodarce, w niczym nie zmienia się jej istoty. W jakiś czas po każdym kolejnym kroku decentralizacyjnym stopień faktycznej centralizacji okazuje się większy niż przedtem. Ten sam proces ma miejsce obecnie.

System gospodarowania w Polsce nazywa się nakazowo-rozdzielczym. Obecna zmiana polega na tym, że staje się on na pewnych odcinkach mniej nakazowy, a bardziej rozdzielczy. Z tym, że dziedziny gospodarki, które władza uznaje za najważniejsze, a które są najdroższe i najmniej wydajne, nadal pozostają w obrębie systemu nakazowego, pod zmienionymi nazwami: „zadania operacyjne”, „zamówienia rządowe”. W pozostałej sferze centrum nie wyznacza już tak bezwzględnie zadań rzeczowych, lecz zabiera praktycznie całą akumulację, nie dając nie tylko możliwości rozwoju, lecz nawet reprodukcji prostej. Zakłady mają się samofinansować, lecz dotyczy to tylko produkcji bieżącej i to nie wszędzie. Wiele działów produkcji jest dotowanych przez centrum, które nadal działa jako pompa ssąco-tłocząca, niwehując ewentualne zyski i straty. Od centrum zależy dopływ środków inwestycyjnych i możliwość ich wykorzystania w postaci przyznania materiałów, maszyn, mocy wykonawczych w budownictwie. A wszystko to odbywa się na podstawie tak licznych i zagmatwanych oraz sprzecznych ze sobą przepisów, że praktycznie każdy zakład kierowany jest indywidualnie, tak jakby w stary, wypróbowany sposób dostawał zadania planowe.

Nie została nawet ruszona podstawowa część reformy, jaką miała być redukcja centralnej administracji gospodarczej i jej bieżącego kierowania gospodarką. Było to zresztą utopią. Ta struktura nie służy zarządzaniu, lecz jest miejscem samoorganizacji klasy posiadającej. Jej członkowie nie są nadzielani hutami, fabrykami i ziemią, lecz otrzymują miejsce w strukturze władzy,

będącej czymś w rodzaju rządzącego Zakonu Krzyżackiego w Prusach. Ministerstwo nie jest dla fabryk, to fabryki mają zapracować na ministerstwo i uzasadnić jego istnienie!

Wyzysk, jak twierdził jeszcze de Tocqueville, nie na tym polega, że bogaci zabierają biednym, lecz że mogą być bogatymi tylko wówczas, gdy biedni pozostają biednymi. Konsumpcję elity zgromadzonej w strukturach władzy gospodarka jakoś by zniosła. Nie jest w stanie natomiast znieść jej zarządzania i aktywności. Przez całe czterdzieści lat, na kolejnych dziesięciu zjazdach partii, na setkach posiedzeń jej Komitetu Centralnego, na tysiącach narad zapadają przełomowe decyzje o sposobie gospodarowania w całości, o problemie wyżywienia narodu, o rozwiązaniu kwestii mieszkaniowej. Robi się ekspertyzy, wprowadza ustawy, opracowuje plany.

Jeśli zaś wychodzi to co jest, winne jest społeczeństwo, które nie może bądź nie chce zdobyć się na potrzebny wysiłek, a wysuwa nieustanne roszczenia, które chciałoby żyć jak społeczeństwa zachodnie, a nie chce tak jak one pracować.

Nie wiadomo, na ile jest to ze strony władzy cyniczna manipulacja propagandowa, a na ile wierzą w to jej przedstawiciele. Wierzy w to jednak duża część społeczeństwa, w którym w ostatnich latach o dwa lata skróciło się już średnie trwanie życia mężczyzn i o pół roku kobiet. Wierzą w to również nasi przyjaciele zza granicy, pytający nas, czy nie moglibyśmy pomimo wszystko nieco więcej i lepiej pracować...

Ernest SKALSKI

POLNISCHE BUCHHANDLUNG KSIEGARNIA POLSKA

1070 Wien, Burggasse 22
Tel.: 0222/93 87 222

GODZINY OTWARCIA / ÖFFNUNGSZEITEN:
CODZIENNIE / TÄGLICH 10.00 - 18.00
SOBOTA / SAMSTAG 9.00 - 12.00
SPRZEDAŻ WYSYŁKOWA / BUCHVERSAND
KONTO POCZTOWE PSK 7227.556

APEL O POMOC CHORYM W POLSCE

Drodzy Przyjaciele,

Od maja 1985 roku działa w Paryżu Fundusz SOS Pomoc Chorym w Polsce. Fundusz powstał, by pomagać chorym Polakom, których szanse wyleczenia w kraju są minimalne lub żadne. Nadal bowiem brak podstawowej aparatury medycznej i lekarstw. Niejednokrotnie postawienie prawidłowej diagnozy czy przeprowadzenie skomplikowanego zabiegu jest niemożliwe. Dysproporcje między poziomem lecznictwa w Polsce i jego stanem na Zachodzie stale się powiększają.

Dotychczas z pomocy medycznej Funduszu skorzystało 75 osób: 17 hospitalizowanych w wyspecjalizowanych ośrodkach (w tym 3 poważne operacje) 5 otrzymało protezy, 2 wózki inwalidzkie. Kilkadzieści osób skorzystało z konsultacji medycznej. Wielu chorych systematycznie otrzymuje leki niedostępne w kraju.

Zdajemy sobie sprawę, że jest to kropla w morzu potrzeb.

Zgłoszenia napływają każdego dnia.

Obecnie na naszą pomoc oczekuje kilkunastu chorych. Czekają chorzy na serce, na choroby nowotworowe. Czekają dzieci.

10-miesięczna dziewczynka Gabrysia z wadą naczyń krwionośnych wątroby czeka na możliwość operacji w Paryżu, która w Polsce w jej wieku jest niemożliwa do wykonania.

58-letni mężczyzna po dwóch zawałach serca przyjechał do Francji, gdzie jego stan się gwałtownie pogorszył. Konieczna jest natychmiastowa interwencja chirurgiczna.

Koszta leczenia na Zachodzie są duże. Pobyt chorego w szpitalu kosztuje często 30 do 40 tysięcy franków. Zabiegi chirurgiczne są jeszcze droższe. Operacja małej Gabrysi będzie kosztować kilkadziesiąt tysięcy franków. Nie możemy jednak zostawić jej bez pomocy.

Pragniemy pomóc wszystkim chorym, którzy się do nas zgłaszają.

Dlatego liczymy na Waszą ofiarność. Każda kwota przekazana na Fundusz może mieć wartość życia.

Dr Alina MARGOLIS-EDELMAN

Ks. Eugeniusz PLATER

Dyrektor Biura Koordynacyjnego
z Komisją Charytatywną Episkopatu Polski

Lech WAŁĘSA

FUNDUSZ SOS POMOC CHORYM W POLSCE

27, RUE DR. POTAIN, 75019 PARIS

Czeki wystawiać na konto: SOS COORDINATION POLOGNE
lub CCP 1336936 X PARIS

Sąsiedzi

W sowieckiej prasie

W języku rosyjskim istnieje zwrot „szaleństwo administracyjne”. Oznacza on upojenie władzą, wyrażające się w wydawaniu niezliczonych ustaw, rozporządzeń, dyktaw i nakazów. W toku ostatnich miesięcy „szaleństwo administracyjne” w ZSSR doszło do szczytu: gazety roją się od ustaw, dekrétów i rezolucji KC. Największe zainteresowanie wzbudziła — zwłaszcza na Zachodzie — ustawa o „indywidualnej działalności zawodowej” z 19 listopada ub. roku. Dziennikarze zachodni rozpisywali się na temat projektu tej ustawy w czasie „wszechzwiązkowej” dyskusji nad nią, interpretując ją jako zmianę kursu i powrót do NEP-u. *Le Monde* z 18 listopada ub. roku zatytułował artykuł o nowej ustawie „Drugi NEP?”. Ostrożna redakcja opatrzyła tytuł znakiem zapytania. Słusznie.

Po ustawie spodziewano się zalegalizowania inicjatywy prywatnej w sowieckiej gospodarce socjalistycznej. Ustawa reglamentuje rzeczywistość, legalizuje pewne formy „gospodarki równoległej”. Przewodniczący Państwowego Komitetu Pracy i Spraw Socjalnych I. N. Gładkij powiedział to wyraźnie: „Ustawa jest instrumentem prawnej regulacji indywidualnej działalności, której dotychczas nie popierano, która jednak mimo to istniała” (*Izwestia* z 29 listopada 1986).

Nowa ustawa odznacza się tym, że na „indywidualną działalność” zezwala tylko ludziom, „uczestniczącym w produkcji państwowej, w czasie wolnym od pracy”. Słowem, „indywidualna działalność” nie może być głównym zajęciem, a tylko dodatkowym. Czymś w rodzaju hobby. Kto ma ochotę po pracy strzyc lub golić chętnych, produkować telewizory lub buty, remontować mieszkania albo sprzedawać na targu marchewkę własnej produkcji, ten musi się zarejestrować, wyrobić sobie patent, a potem płacić podatki.

Zatrudnianie pracowników najemnych jest surowo zabronione. Pomocnikami mogą być wyłącznie członkowie rodziny. Usta-

wa wylicza, co wolno robić, a czego nie wolno pod żadnym pozorem. Wolno na przykład szyc odzież, produkować meble i zabawki, nie wolno natomiast sporządzać wyrobów z metali i kamieni szlachetnych, maszyn do liczenia, kopiarek itd. Wolno udzielać korepetycji, nauczać stenografii czy gry na instrumentach muzycznych, a nie wolno „prowadzić zajęć z przedmiotów nie wchodzących w zakres programów szkół i wyższych uczelni”.

Ktoś gdzieś powiedział, że różnica między „naszym” światem wolności i socjalizmu a „ich” światem ucisku i wyzysku polega na tym, że u nich dozwolone jest wszystko, co nie jest zakazane, a u nas zabronione jest wszystko, co nie jest dozwolone.

Ustawa o „działalności indywidualnej” wygodna jest przede wszystkim dla państwa. Niewykluczone, że pozwoli ona ulżyć nieco sowieckim obywatelom w ich niezmiernie ciężkim życiu codziennym. Charakterystyczne jest jednak, że ustawa ta budzi w ludziach sowieckich wrogość. „Wystarczy wspomnieć o prywatnej inicjatywie — pisze dziennikarz sowiecki — a już z głębin świadomości społecznej wyłania się karykaturalna i złowieszcza postać kułaka, wyzyskiwacza, sklepikarza, mordziastego karczmara, nadskakującego z lokajską skwapliwością krawca, jednym słowem, wroga ideowego, objętego ogólnym mianem 'prywaciarza'” (*Niedziela* nr 46 z 10-18 listopada 1986). Kto wątpił w skuteczność wychowania sowieckiego, w możliwość przerobienia człowieka na *homo sovieticus*, ten musi przyznać, że się mylił. Po siedemdziesięciu latach obróbki materiału ludzkiego wystarczy wymówić słowo „prywaciarz”, by człowiek sowiecki zareagował jak pies Pawłowa. U psów Pawłowa dzwonek wywoływał ślinotok, w ludziach sowieckich „prywaciarz” budzi niechęć.

Kierownictwo sowieckie odkryło, że „nowy człowiek” jest aż za dobrze wytresowany. Z drugiej strony wypada przyznać, że wciąż jeszcze nie jest doskonały. Idealny człowiek sowiecki powinien natychmiast zapomnieć o swoim poprzednim odruchu i pokochać prywaciarza, skoro władza tak każe. Tymczasem obywatel sowiecki jest niezadowolony — zapewne dlatego, że ideał jeszcze nie został osiągnięty, a może i dlatego, że za długo był bity, by wierzyć w szczerze uczuć kierownictwa do „prywaciarzy”. Agitatorzy przekonują go: „Czyżby nasza ideologia, która zjednoczyła miliony ludzi wokół przebudowy świata, wokół budowy niesłychanego przemysłu, wokół tworzenia nowych stosunków międzyludzkich, miała uciec na prywatnej działalności zawodowej ślusarza, malarza i szofera, czyżby mogło jej zaszkodzić, że inżynier-elektronik, zamiast w wolnych chwilach stać w kolejce do sklepu monopolowego, naprawi w okolicznych domach telewizory czy magnetofony?” (*Niedziela* nr 46). Autor doskonale wie, że człowiek sowiecki gwizdże na ideologię, natomiast oburza go, że sąsiad dzięki „indywidualnej działalności zawodowej” stanie się bogatszy od niego. „Nowe stosunki międzyludzkie” w społeczeństwie socjalistycznym tego nie ścierpią.

Wiadomo doskonale, że podstawowym warunkiem stabilności ustroju socjalistycznego jest prawo do złej pracy. Aforyzm „oni

udają, że płacą, a my udajemy, że pracujemy” powstał w tym samym czasie we wszystkich krajach socjalistycznych. Przywilej złej pracy zaczął w Związku Sowieckim zagrażać katastrofą gospodarczą. Ostatnia ustawa próbuje rozwiązać ten problem.

Przemawiając na forum Komitetu Centralnego KPZS, Gorbaczow wspominał, że gdyby sowieckie przedsiębiorstwa przestały produkować na rynek zewnętrzny, natychmiast by się rozpadły, „bo ich złej jakości produkcja nikomu nie jest potrzebna”. Na rynku wewnętrznym znajduje zbyt i wyniki są widoczne gołym okiem. Postanowiono więc podjąć „kroki”. Charakter tych „kroków” wymownie świadczy, że poważne reformy są niemożliwe i że nikt ich nie chce. Jedyń sposob na polepszenie jakości, jaki znaleźli sowieccy władcy, polega na stworzeniu nowego systemu kontroli. Od 1 stycznia 1987 roku wprowadzono państwowy urząd „nadrzędnej kontroli jakości”: będzie on kontrolował pracę wszystkich — niezliczonych — już istniejących instancji kontrolnych.

W tym samym przemówieniu w KC Gorbaczow dokonał wstępnego podsumowania. W niektórych przedsiębiorstwach już wprowadzono „nadrzędną kontrolę państwową”. Generalny sekretarz stwierdził ze smutkiem, że „mamy sygnały, że organy kontroli państwowej, ledwie powstały, już tu i ówdzie ugrzęzły w biurokratyzmie i papierowej jałowiznie” (*Prawda* z 16 listopada 1986). Dziwne byłoby, gdyby nie ugrzęzły. Dlaczego „kontrolerzy państwowi” mieliby pracować lepiej od kontrolerów fabrycznych? Już starożytni Rzymianie zastanawiali się, kto ma strzec strażników. To trudne pytanie rozwiązuje ostatnia uchwała KC o „dalszym umocnieniu praworządności socjalistycznej, zwiększeniu ochrony prawa i prawnych interesów obywateli”.

Sama nazwa tej ustawy wskazuje, że nie ma się czego bać — wszystko zostaje po staremu. KC uchwała „kroki” celem „dalszego umocnienia” (gdyby nie przymiotnik „dalszego”, ktoś gotów by pomyśleć, że praworządność socjalistyczna nie była „mocna”; gdyby nie czasownik „zwiększać”, ktoś gotów by pomyśleć, że prawo nie było chronione). Długi tekst uchwały sprowadza się do jednego zdania: „Komitety partyjne wespół z radami przedstawicielskimi ponoszą pełną odpowiedzialność za stan praworządności na swoim terenie”. Pilnować stróżą będzie partia. Do tego sprowadza się cały sens „ustawodawczej” działalności Gorbaczowa, całe jego „szaleństwo administracyjne”.

Wspominanie raz jeszcze o roli partii może się wydawać zbyteczne — jest ona jasno zdefiniowana w konstytucji. Powtarzanie jednak jest niezbędne, bowiem jest ono — jak uczą w szkole — matką nauki. Powtarzanie jest też przydatne, bo stwarza pozory ruchu tam, gdzie go nie ma. Powtarzanie pozwala poza tym stwierdzić, że całe nieszczęście jest winą poszczególnych ludzi, biurokracji, które przeszkadzają partii w doprowadzeniu państwa i narodu do celu.

Wszystko to można było przeczytać w *Prawdzie* już sześćdziesiąt dwa lata temu (3 stycznia 1924): „Powiadają, że aparat partyjny jest zbiurokratyzowany... Co więc należy zrobić, aby

to zmienić? Gdzie są praktyczne propozycje? Unicestwić aparat partyjny? Zmienić kadry? Znaleźć mniej biurokratycznie nastawionych ludzi?... Nie w ludziach rzecz, a w systemie, w strukturze aparatu". Autorem tych słów jest Nadieżda Krupska, która osiemnaście dni po opublikowaniu tego artykułu została wdową po twórcy systemu, Leninie.

Sowieccy ideolodzy i przywódcy coraz częściej dziś wspominają o Leninie. Ale o ściśle określonym Leninie — ojcu Nowej Polityki Ekonomicznej, NEP-u. Kanclerz Kohl zapewne wciąż jeszcze żałuje porównania Gorbaczowa do Goebbelsa, które mu się wyrwało w rozmowie z amerykańskim dziennikarzem. Nie było to nawet porównanie. Kohl po prostu powiedział, że Gorbaczow „nieźle się zna na reklamie. Goebbels też był ekspertem w tej dziedzinie". W Moskwie obrażono się nie na żarty. Może i nie bez podstaw: jakby nie było, minister propagandy i generalny sekretarz KC KPZS to nie ten sam szczebel hierarchii. Gorbaczowa należało porównywać do kanclerza Rzeszy. Najsprawiedliwsze jednak byłoby porównanie go do pierwszego generalnego sekretarza. To od Stalina uczy się Gorbaczow sztuki reklamy, propagandy, umiejętności przedstawiania pozorów za rzeczywistość.

Doskonałym przykładem tych umiejętności są moskiewskie dyskusje o NEP-ie, które znajdują tak życzliwe echo na Zachodzie. Kiedy w 1921 roku X Zjazd partii odzegnał się na życzenie Lenina od natychmiastowej budowy komunizmu i uchwalił Nową Politykę Ekonomiczną, świat uznał to za początek radykalnej zmiany w partii bolszewickiej. Wtedy istniały podstawy do nadziei. Nowa Polityka Ekonomiczna przewidywała zamianę kontyngentów (tj. konfiskat całej produkcji rolnej chłopów) na podatki żywnościowe, przy których chłopci mogli zachowywać dla siebie część produkcji. Wprowadzono wolność handlu. Chłopi mogli sprzedawać pozostałe po zapłaceniu podatków nadwyżki jak chcieli. W przemyśle zezwolono na drobne przedsiębiorstwa prywatne, pozwolono im zatrudniać robotników najemnych, prywatnym ludziom pozwolono na przejmowanie w dzierżawę dużych przedsiębiorstw, a cudzoziemcom wydawano koncesje na zakłady przemysłowe i wydobywcze bogactw naturalnych. Bardzo ważna była zmiana stosunku do pracy. Program „wielkiego skoku" w komunizm wziął się stąd, że trzeba było zmusić robotników do pracy. „Czyżby to była prawda, że praca pod przymusem jest zawsze nieproduktywna?" — zapytywał Trocki, który niejednokrotnie raz twierdził, że człowiek z natury nie lubi pracować. — „Moja odpowiedź brzmi: jest to najniebezpieczniejszy i najwulgarniejszy przesąd liberalizmu". Nowa Polityka Ekonomiczna zrehabilitowała pojęcie „bodźca materialnego", żądanie równej płacy dla wszystkich uznano za drobnomieszczański przesąd. Wprowadzono zasadę „własnego rozrachunku", czyli samofinansowania przedsiębiorstw. Jeśli przedsiębiorstwo nie zarabiał na sobie, zamykano je.

Gorbaczow wraca do niektórych haseł NEP-u: bodźce materialne, rozrachunek ekonomiczny, związanie płacy z wydajnością pracy. Stwarza to złudzenie „powrotu do NEP-u" i budzi raz

jeszcze nigdy nie wygasłe marzenie Zachodu o „zmianie reżymu" i przekształceniu się państwa sowieckiego w normalne państwo.

W rzeczywistości nie ma żadnej paraleli między polityką Gorbaczowa i NEP-em. W roku 1921 Lenin zrozumiał, że władza partii wisi na włosku. Chłoptwo było zrewoltowane — bunt chłopów wybuchł we wszystkich rejonach republiki sowieckiej. Marynarze kronsztadzcy, chłopscy synowie, podnieśli bunt u wrót Piotrogradu, żądając zniesienia kontyngentów i wyrzucenia komunistów z sowieców. Lenin cofnął się w obliczu siły. Dawid Riazanow, jeden z głównych marksistów partii bolszewickiej, bar-dzo trafnie nazwał NEP „chłopskim Brześciem". W 1918 roku, kiedy armia niemiecka nie napotykała sprzeciwu posuwała się coraz dalej na wschód, Lenin zażądał zawarcia pokoju w Brześciu Litewskim; w 1921 roku, zdając sobie sprawę, że wojna chłopska grozi rewolucji śmiertelnym niebezpieczeństwem, wy-mógł na partii przyjęcie NEP-u, czyli zawarcie pokoju z przeciwnikami, których w tym momencie nie mógł zwyciężyć. Dziś nie ma w Związku Sowieckim sił, zdolnych przeciwstawić swoje re-windykacje planom partii. Partia sama, zgodnie z własnymi inte-resami, wybiera linię i decyduje, co robić, a czego nie robić. Nie może być polityki tam, gdzie istnieje tylko jedna, generalna linia, w którą wątpić jest przestępstwem.

NEP skończył się pod koniec lat 1920-tych, kiedy partia — już pod przewodnictwem Stalina — zrozumiała, że wróg, wobec którego poczyniono ustępstwa, może stać się zbyt silny. Robert Conquest twierdzi w swej książce o kolektywizacji, że Lenin skończyłby z NEP-em jeszcze szybciej niż Stalin. Kolektywizacja i wyniki z niej, zorganizowany przez państwo głód, kosztowały życie 14,5 milionów ludzi i raz na zawsze złamały chłopstwo. Wróg został starty z powierzchni ziemi. Partia mogła bez przeszkód budować Nowy Świat.

Dopóki uchwała się praca i podejmuje uchwały, dopóki toczą się dyskusje o pseudo-NEP-ie, ludzie żyją, martwią się lub cieszą, chorują i umierają jak zawsze i wszędzie. Te pseudo-filozoficzne rozmyślenia zawdzięczaam lekturze licznych artykułów na tematy medyczne, często publikowanych w prasie sowieckiej. Ponieważ partia zwraca dziś główną uwagę na „czynnik ludzki", a głównym jej celem jest zmuszenie człowieka do lepszej i wydajniejszej pracy, pozwolono na „jawność" w kwestiach dotyczących ochrony zdrowia. Po raz pierwszy od ponad dziesięciu lat ogłoszono statystyki śmiertelności w ZSSR. Czytelnik odkrywa przede wszystkim, że „utajnienie" danych statystycznych nie zmniejszyło śmiertelności. Zarówno śmiertelność dzieci jak ogólna śmiertelność ludności wzrosły między 1970 a 1985 rokiem o jedną trzecią. Podaję dla przykładu trochę cyfr: w 1970 roku umarło 103 tysiące dzieci, w 1985 — 140 tysięcy. W Stanach Zjednoczonych odpowiednie liczby wynosiły: w 1970 roku 75 tysięcy, w 1985 — 39 tysięcy. Budżet poświęcany w obu supermocarstwach na ochronę zdrowia tłumaczy te różnice. W 1983 wydatki na ochronę zdrowia wynosiły w Stanach Zjednoczonych 1.495 dolarów na głowę, a w Związku Sowieckim

77 rubli czyli 93 dolary (według oficjalnego kursu; p. *Wall Street Journal* z 31 października 1986).

Są i inne przyczyny. W artykule „Droga do zdrowia” akademik Burakowski, dyrektor instytutu kardiologii ZSSR, z nadzieją pisze o „przejściu do współczesnych zasad planowania i zarządzania medyczną” (*Prawda* z 5 listopada 1986). Nowe plany, nowe kierownictwo mają jak widać w przyspieszonym tempie wyleczyć wszystkich sowieckich chorych. Jednak na drodze do realizacji tych marzeń jeżą się liczne przeszkody. Na przykład trzeba realizować plan.

Latem 1986 roku w *Literaturnoj gazecie* (nr 31 z 30 lipca 1986) pojawił się artykuł, który przeraziłby zapewne czytelników, gdyby nie byli od dawna do wszystkiego przyzwyczajeni. Katastrofa czarnobylska uchodzi za jedną z najstraszniejszych katastrof naszego wieku. Jednak o Czarnobylu i następstwach wybuchu zaczęto mówić tylko dlatego, że radioaktywna chmura przetoczyła się nad całym światem. Straszna katastrofa w Uzbekistanie do dziś jest mało komu znana, bo wszystko dzieje się na stosunkowo niewielkim terytorium republiki, obejmującej 405 tysięcy km² i zamieszkanej przez 20 milionów ludzi.

W Uzbekistanie uprawia się bawełnę. Dużą jej część zbierają maszyny. Liście przeszkadzają maszynom wybierać kłaczki bawełny z torebek nasiennych. Dlatego przed zbiorami spryskuje się dwa miliony hektarów pól bawełny defoliantem „Butifos”, wyjątkowo szkodliwym dla zdrowia. Liście opadają, maszyny mogą zbierać bawełnę. W 1964 roku pola spryskano „Butifosem”, ustalając bardzo niebezpieczną dopuszczalną dawkę — 1,2 kg na hektar. W rzeczywistości na każdy hektar spada od 3 do 3,5 kilogramów defoliantu, żeby liście szybko opadały. „Substancja ta — twierdzą eksperci — poraża centralny układ nerwowy człowieka, serce, wątrobę, nerki, system immunologiczny (zwłaszcza u dzieci)”. Na spryskanych polach wymierają żmije, jaszczurki, gryzonie, ptaki. *Literaturnaja gazeta* pisze o tym dziś. Akademik Sacharow pisał o strasznej szkodliwości „Butifosu” w 1974 roku. We wrześniu 1986 roku, podczas zbiorów bawełny w Uzbekistanie, pola jak zawsze spryskano tym samym preparatem. „Przyspieszenie”, o którym tyle mówi Gorbaczow, obojętuje.

Adam KRUCZEK

9 grudnia 1986

Kronika niemiecka

W 1986 roku Polska wyeksportowała do RFN pierze wartości 295 tys. dolarów i mrożone porzeczki za 425 tys. dol. ■ Handel PRL-NRD w

1986 roku wyraźnie przekroczył granicę 2 mld rubli. Ograniczono udział surowców i paliw o niskim stopniu przetworzenia na korzyść maszyn, urządzeń i specjalistycznych usług, szczególnie budowlano-montażowych. Wywóz maszyn, urządzeń i usługi stanowią już 70 % całego polskiego eksportu do NRD. Funkcjonuje 130 umów o współpracy kooperacyjnej, zarówno dwustronnych jak i wielostronnych w ramach RWPG. ■ W 1986 roku znacznie wzrosła liczba obywateli NRD, nie będących jeszcze emerytami, którzy wyjechali do Niemiec Zachodnich w tzw. pilnych sprawach rodzinnych. ■ Liczba katolików w NRD wynosi ok. 1,5 mln. Kościół katolicki we Wschodnich Niemczech prowadzi aż 33 szpitale i 108 domów starców, 21 domów dla upośledzonych fizycznie i umysłowo oraz 27 domów wychowawczych. W wymienionych placówkach zatrudnionych jest 7,5 tys. osób, z tego 1.300 zakonnic. ■ Kolejne, tendencyjne pozycje książkowe nakładem poznańskiego Instytutu Zachodniego: *Stosunki polsko-niemieckie w historiografii* (część II). Są to studia z dziedziny historiografii polskiej i niemieckiej pod redakcją Jerzego Krasuskiego, Gerarda Labudy i Antoniego W. Walczaka; Anny Wolff-Paweskiej — *Polityczne i filozoficzne nurty konserwatyzmu w RFN i Republika Federalna Niemiec w dobie rządów koalicji socjaldemokratyczno-liberalnej (1969-1982)* pod redakcją Antoniego Czubińskiego (dyr. Instytutu Zachodniego; studia doktoranckie na Uniwersytecie Moskiewskim) i Lecha Janickiego. Warto jeszcze nadmienić, iż PZPR-owska *Książka i Wiedza* wypełniła w szczególności sensowności (nie bez winy Episkopatu i KUL-u!), wydając pracę Zenona Fijałkowskiego pt. *Kościół katolicki na ziemiach polskich w latach okupacji hitlerowskiej* („część duchowieństwa żywiła różne złudzenia co do sensowności lojalizmu, a nawet ograniczonej współpracy z okupantem, a paru biskupów wykazało postawy naganne z patriotycznego punktu widzenia” — tyle z recenzji Marka Jaworskiego, ogłoszonej na łamach *Trybuny Ludu*). ■ W więzieniu w Barczewie zmarł w wieku 90 lat Erich Koch, skazany w Warszawie w 1959 roku na karę śmierci. „Satrapa Hitlera” (*Die Zeit*) był gauleiterem i nadprezydentem Prus Wschodnich z siedzibą w Królewcu. Z jego rozkazu wymordowano ok. 4 mln ludzi — w większości Żydów i Ukraińców i wywieziono na roboty przymusowe do Rzeszy 2 mln Polaków i Rosjan. Koch dorobił się podczas wojny ogromnego majątku; z jego osobą wiąże się podobno tajemnica słynnej carskiej *Komnaty Bursztynowej*, której dotąd nie odnaleziono. Koch został przypadkowo schwytany przez policję niemiecką i oddany do dyspozycji okupacyjnym władzom brytyjskim. W 1950 roku przekazano zbrodniarza do Polski. Wyroku śmierci nie wykonano „ze względu na stan zdrowia Kocha”. W rzeczywistości podobno chroniony był przez władze sowieckie z racji zasług „na polu współpracy”, która sięgała roku 1933, kiedy to Koch objął funkcję nadprezydenta Prus Wschodnich (dostawy broni i żywności do Związku Sowieckiego?). ■ Niemcy z RFN — Alf Welski (Bad Oeyenhausen) i Dieter Trecek (Bergkamen) przebywali w Krakowie z kolejną wizytą. Obydwaj są koordynatorami działalności komitetów pomocy dla Krakowa (odnawianie zabytków), które zawiązały się w miejscowościach zamieszkania przyjaciół Polaków i sympatyków Krakowa. ■ Gen. Otto Ernst Remer (lat 75), b. komendant *Batalionu Obrony Berlina*, m.in. odpowiedzialny za wykrycie i aresztowanie przywódców antyhitlerowskiego spisku (20 lipca 1944 roku), został pozbawiony renty za prowadzenie w ostatnich latach działalności o charakterze skrajnie prawicowym. Już w 1959 roku gen. Remer utracił prawa do renty zawodowej i innych przysługujących mu świadczeń socjalnych z racji przynależności do zakazanej *Socjalistycznej Partii Rzeszy (SRP)*. Dodatkowym obciążeniem był wyrok wydany przez sąd niemiecki (1950), udawający Remerowi świadome i notoryczne obrażanie pamięci członków niemieckiego ruchu oporu. Gen. Remer należy do... „prosowiecko usposobionych niemieckich nazistów” (*DID*, Bonn, nr 1666/1986). ■ Po

dłuższej przerwie wznowiono wydawanie *Polskich Perspektyw* w języku niemieckim (*Polnische Perspektiven*), tym razem wychodzą jako kwartalnik (do 1980 roku PP były miesięcznikiem). Po Arturze Starewiczu redakcję objął Stanisław Milc. Dziwna operacja z dublowaniem: numery PP są następnie powielane i wydawane w formie roczników przez bliżej nieznaną organizację z siedzibą w Wiesbaden pn. *Arbeitskreis „Polen berichtet in deutscher Sprache“* (Koło Robocze „Polskie sprawozdania w niemieckim języku”). Tomy noszą bombastyczny tytuł — *Bibliographisches Jahrbuch Polen* (Bibliograficzny Rocznik — Polska). W ostatnim numerze *Polnische Perspektiven* (lato 1986) tasiemcowy artykuł Artura Sandauera pt. *Gombrowicz i polityka*. ■ „Rozmowy polsko-ukraińskie podczas drugiej wojny światowej” — były tematem wieczoru urządzonego przez *Towarzystwo Polsko-Ukraińskie w RFN na Ukrainiskim Wolnym Uniwersytecie* w Monachium. Prelegentem był ks. prof. Iwan Hryniach, jedyny żyjący uczestnik tych rozmów. Nasświetlił on między innymi sylwetki polskich delegatów, których tożsamości dotychczas nie zna i których znał tylko pod pseudonimami, i podał skład delegacji ukraińskiej, który ulegał zmianom podczas prowadzenia rozmów. Ks. Hryniach występował w imieniu kierownictwa *OUN*, i stale referował przebieg rozmów Mykole Łebediowi, oraz czasami też dowódcy *UPA*, Romanowi Szuchewyczowi. Podczas wieczoru została zaprezentowana obecnym fotokopia protokołu jaki po zakończeniu rozmów w dniu 10 marca 1944, podpisali obie strony. Oryginał zachował się w archiwach ukraińskich. Przed rozpoczęciem prelekcji ks. Hryniacha odbyło się spotkanie zarządów *Towarzystwa Polsko-Ukraińskiego* i *Klubu Niezależnej Myśli Politycznej im. Juliusza Mieroszewskiego*, w celu wzajemnego poznania się i omówienia współpracy na przyszłość. ■ W Neumünster k/Hamburga (Altonaer 59) próbuje działać *Stronnictwo Chrześcijańskiej Demokracji (Rada Zagraniczna)*. Prezesem jest G. Jakubek, a sekretarzem E. Michalska. Podobno organizację założono w celu szybszego uzyskania azylu przez 40 członków *SChD*. ■ Rząd bński ogłosił raport — *O zaśluszczeniu i odszkodowaniach za narodowo-socjalistyczne bezprawie*. Dotychczas — jak głosi raport — przeznaczono w formie odszkodowań indywidualnych — 77 mld marek na te cele. Do końca 2000 roku kwota urośnie do ok. 100 mld marek. Rząd RFN nie widzi powodu, by nowymi aktami prawnymi poszerzyć krąg osób uprawnionych. ■ 50 nowych wagonów sypialnych, jakie krajowy *WARS* otrzymał w 1986 roku z *NRD* zostanie przeznaczonych do obsługi pociągów w ramach sieci *Interexpress* (linie wschodnioeuropejskie) oraz do zaopatrzenia składów kursujących na trasach łączących Polskę z krajami Europy Zachodniej. Wprowadzono nową linię kolejową Warszawa-Monachium. ■ Nowe prawo azylowe w RFN: kto nie poda natychmiast po swoim przybyciu do Niemiec powodów politycznych w celu uzyskania azylu, lecz w terminie późniejszym — nie zostanie uznany jako azylant. Odrzucone będą wnioski osób, które zechcą powoływać się na ewentualne prześladowania w kraju, w związku z działalnością polityczną, prowadzoną w czasie pobytu w RFN. Uchodźcom, którzy znaleźli wcześniej ochronę przed prześladowaniami np. we Włoszech, Francji, Austrii lub innym kraju trzecim — nie wolno w RFN wystąpić o azyl. Wnioski o azyl zostaną odrzucone w przypadku, jeśli osoba zainteresowana przybyła do Niemiec Zachodnich tylko z powodów ekonomicznych lub w celu uniknięcia wojennych rozruchów. Uchodźcy z krajów bloku wschodniego mogą otrzymać pozwolenie na pracę po rocznym pobycie w RFN. Uchwalona w *Bundestagu* nowa ustawa w sprawie zmian przepisów azylowych spotkała się z krytyką. Herbert Schnoor (*SPD*), minister Spraw Wewnętrznych Nadrenii-Północnej Westfalii stwierdził, iż większość z 300-400 tys. Polaków przyjeżdżających rocznie do RFN chce tylko popracować i wrócić do Polski. Minister Schnoor zaproponował nawet, by rząd RFN podjął oficjalne rozmowy na temat zalegalizowania dłuższych pobytów i pracy Po-

laków w RFN z władzami PRL. Konieczność uregulowania problemu motywowaną potrzebą kontroli rynku pracy oraz szczególnymi zobowiązaniami jakie Niemcy mają wobec polskiego narodu. ■ Do połowy 1986 roku w Niemczech Zachodnich mieszkało 50 tys. osób z polskimi paszportami konsularnymi. Podobno zabiega o nie dalszych 25 tys. osób. Obecnie przy wyjeździe do Polski trzeba określić „swoją stosunek do posiadanego dotąd obywatelstwa PRL”; albo zezwolenie na zmianę obywatelstwa (za grube pieniądze) albo paszport konsularny. Większość wybiera więc drugą możliwość. Edmund Męclewski na łamach *Odrodzenia*: „Właśnie tak, jak występuje emigracja zarobkowa, nie wyrzekająca się kraju, ba, emigrująca — by zarobić i wrócić do ojczyzny z jakimś tam uciulanym groszem, czy i majątkiem. ■ W Monachium odbyło się uroczyste odsłonięcie wykonanej w brązie płaskorzeźby, przedstawiającej Brata Alberta — błogosławionego ojca Adama Chmielowskiego, polskiego malarza, zakonnika, uczestnika Powstania Styczniowego. Płaskorzeźba Brata Alberta została wmurowana w ścianę jednego z domów w centrum miasta, w którym mieszkał w okresie studiów w latach 1870-1874 (należał do tzw. *sztabu* z Brandtem i Gierymskim). ■ W RFN głośna afera z polskimi paniami, szukającymi dobrze płatnej pracy. Policja zachodnoniemiecka prowadzi śledztwo w sprawie handlu żywym towarem i stręczycielstwem. Okazało się, że ponad 40 Polek w wieku 19-35 lat zostało po przyjeździe do Republiki Federalnej „zmuszonych” do uprawiania prostytucji. Zostały one zwabione przez obrotnych naganaczy posiadających dobrze rozbudowane kontakty w warszawskim półświatku. Kilkadzieści pań po przyjeździe do punktu rozdzielczego w Bielefeld (Nadrenia-Północna Westfalia), rozwieziono do domów publicznych na terenie całej RFN i zmuszano do świadczenia stosownych usług. Importerzy „Wand, co nie chciały Niemca” załatwili formalności związane z przyjazdami w konsulacie PRL w Kolonii. Paszporty konsularne? ■ Polacy zamieszkali w Berlinie Zachodnim dopuścili się 1665 przestępstw (statystyka za 1985 rok). ■ W Oświęcimiu otwarto wybudowany za zachodnoniemieckie pieniądze *Dom Spotkań Młodzieży*. ■ *Moskiewskiemu Patriarchatowi* rosyjskiego Kościoła prawosławnego podlegają trzy diecezje w RFN. Łączna liczba wiernych owych diecezji nie przekracza tysiąca. ■ Księgarnia *WAWEL* w Kolonii urządziła wieczór literacki Leszka Szarugi. Polski poeta i eseista mówił na temat *Wpływu podziemia na kształtowanie się oficjalnego życia kulturalnego w Polsce*. Po wykładzie wywiązała się gorąca dyskusja. ■ W *Bawarskim Muzeum Narodowym* w Monachium otwarto wystawę krakowskich szopek. 49 najpiękniejszych, nagrodzonych na różnych konkursach obiektów przywieziono wprost z Krakowa, z tamtejszego muzeum etnograficznego. Z okazji ekspozycji wydano ilustrowany katalog. Wystawie patronuje książę von Hohenzollern. ■ Raty niespłacone polskiego zadłużenia globalnego wobec Republiki Federalnej oblicza się obecnie na ok. 4 mld marek. Od 1980 roku Polska spłacała RFN na podstawie układów prolongacyjnych prawie 460 mln marek. Na podstawie tych umów, pozostaje do uiszczenia suma przekraczająca 400 mln marek, z czego znaczną większość stanowi spłata oprocentowania. Najpoważniejszym aspektem sprawy są gwarancje kredytowe udzielone w przeszłości przez Bonn bankom i firmom prywatnym zawierającym transakcje handlowe z rządem PRL. Odszkodowania wypłacone przez Bonn zachodnoniemieckim bankom i firmom prywatnym wzrosły w międzyczasie do sumy 9 mld marek. Obecnie gwarancje rządu RFN na kredyty udzielane Polsce zostały praktycznie wstrzymane. W przyszłości dalsze gwarancje będą udostępnione dopiero po spłaceniu przez PRL należności wynikających z układów o prolongacji spłaty długów. ■ Obrazy olejne Andrzeja Piwarskiego wystawiono w galerii *Uniwersytetu Powszechnego* w Essen. Wystawa ma spore powodzenie i dobre recenzje. Piwarski jest jednym z najbardziej znanych polskich malarzy, mieszkających na stałe w Republice Federalnej. ■ *Sender*

Freies Berlin (SFB) nadał godzinną audycję radiową — *Mordercy ks. Popiełuszki przed sądem*, według dokumentacji Ewy Audyckiej i w reżyserii Wacława Stawnego. ■ *Ośrodek Badań Europejskich* we Vlotho nad Wezerą wraz z *Instytutem d/s Europy Wschodniej Uniwersytetu w Bremie*, byli organizatorami kilkunastego seminarium poświęconego tradycjom literatury niezależnej w krajach Europy Wschodniej, ze szczególnym uwzględnieniem Polski, Związku Radzieckiego, Czechosłowacji i Niemiec Wschodnich. Zagadnienia związane z Polską omawiali: Ewa Maria Ślaska, Leszek Szaruga i Grzegorz Ziętkiewicz. Polscy referenci nie ograniczyli się do przedstawienia stanu niezależnej literatury w Polsce, lecz mówili również o problemach wzajemnych stosunków polsko-niemieckich. O sprawach polskich mówił także dr Wolfgang Schlott, znany specjalista od zagadnień Europy Wschodniej bremeńskiego uniwersytetu. Ważny był udział w seminarium Ukrainki — Olgi Denissowej (od trzech lat na emigracji w RFN).

Andrzej CHILECKI

Moja odpowiedź

Jak mam Panu to opisać? Te szesnaście miesięcy szaleństwa i anarchii, jak nazywali to oni? Dla mnie sprawa jest jasna. Mogę to powiedzieć najkrócej tak: jak do tej pory, żyłam naprawdę przez te szesnaście miesięcy, ani dnia przedtem, ani dnia potem. Na trzydzieści parę lat życia to pewnie niewiele, choć inni i tego nie mają, ci tam na wschodzie. To dosyć, żeby zobaczyć w nowym świetle wszystko, co było przedtem, a także żeby się dowiedzieć, kim się jest. Przez długie miesiące miałam wtedy uczucie, że „Solidarność” to prawdziwy ruch socjalistyczny, rozumiejąc przez to wszystko dobre, co kojarzy się z tym słowem: równość praw, szans, sprawiedliwość, szacunek dla każdego człowieka i tak dalej. Między prawdziwym socjalizmem, myślałam sobie, a real socjalizmem, jest różnica jak między być a nie być. Bo żeby pojawiło się pytanie „jak być?”, trzeba najpierw zaistnieć. A nas przecież tak naprawdę wcale nie ma. Otóż okres „Solidarności” to był czas, kiedy zaczęło się nagle i gwałtownie być (to najbardziej przeraziło naszych partyjnych władców). I natychmiast pojawiło się pytanie: jak? Więc, jak mówiłam, z początku wydawało mi się, że to ruch socjalistyczny, że wszystkim nam chodzi o prawdziwy socjalizm. Zabawnie, paradoksalnie, bo i religii w tym było sporo, a w niektórych kręgach aż dewocji, i tyle barw politycznych, tyle utopii, mrzonek... Ale po jakimś czasie stwierdziłam, że nie, tu nie chodzi o socjalizm, to jest ruch narodowy. Pojawiły się te wszystkie nacjonalizmy i posttendencje, nagle jacyś liberałowie, fundamentaliści i tysiące innych odcieni od prawa do lewa, tyle nazw, tyle pojęć, które tak naprawdę mało kto u nas rozumie, bo ich nie uczą nawet na uniwersytetach. A wszyscy ci wyznawcy Dmowskiego, studenci pił-

LEKARSTWA

Przodujących fabryk Europy, Ameryki i Japonii

WYSYŁAMY BEZ ZWŁOKI.

— Recepty i zamówienia realizujemy do wysokości \$ US 50,00 natychmiast — nie czekając na wpłatę. ● Odczytywanie recept krajowych ● Wszelkie aparaty medyczne ● Okulary ● Aparaty słuchowe ● Preparaty dentystyczne.

Cenniki i wyceny przesyłamy natychmiast.

Największy Polski Dom wysyłkowy

TAZAB LTD.

Tazab House, 273 Old Brompton Road,
London SW5 9JB, England.

Tel.: (01) 373 48 81

oraz

Madame C. Piquard-Zabłocki,
12 rue Condorcet, 75009 Paris, France.

Tel.: 42 85 79 45.

sudczycy, neofici z krzyżami wielkości lewarka samochodowego na szyjach i Matkami Boskimi jak talerzyk deserowy w klapach swetrów (marynarki nosili tylko rządowi) i dzieci socjalistów, i Żydzi, nagle dumni i jawnie obnoszący swoje pochodzenie, jedni i drudzy nieporadnie redagujący w biuletynach doniesienia o miłości narodu do Najświętszej Panienki, wszyscy ci kręcący się w ciasnych korytarzykach lokalików związkowych, wydobytych niemal cudem od władz miejskich, zaferowani, dyżurujący, pędzący naprzód, dźwigający stosy papieru i maszyny drukarskie, po nocach składający egzemplarze wydrukowanych półdomową metodą gazetek, obliczający, czy taniej wypada dokupywanie kleju do wybrakowanych jak wszystko w tym kraju kopert, czy zszywanie ich metalowymi zszywkami, bo przy tej ilości wysyłek to była różnica, każdy nagle mający własne, choć wspólne, bardzo ważne sprawy, nareszcie naprawdę ważne — ci wszyscy ludzie byli w moim wieku mniej więcej, trochę młodszy, niewiele starsi. I co dla mnie było zaskakujące i zabawne, że strasznie dużo tych ludzi znałam. Kiedy przeglądałam listy wyborcze na pierwsze walne zjazdy delegatów regionów, okazało się, że jeżeli z jakiegoś okręgu znałam choćby jedną osobę, nawet jeżeli był to ktoś przypadkowo poznany na campingu, pani K-O z wczasów, na których byłam tylko raz w życiu — to właśnie ich spotykałam teraz na tych listach jako kandydatów, czy jako członków poszczególnych komisji. Dosłownie w każdej komisji był ktoś taki. Opowiedziałam to komuś, śmiał się, teraz już wiadomo, skąd się biorą ludzie w „Solidarności”, to po prostu twój znajomi, powiedział, już wiemy, jaki to klucz. Śmiałam się także, był to czysty przypadek, a jednak nie dawało mi to spokoju, myślałam, jak to się dzieje, że mój najmilszy kolega szkolny, z którym nie widziałam się z piętnaście lat, właśnie został delegatem na walny zjazd ze swojej instytucji, przecież tyłu ich tam pracuje, tyłu ich tam było, ale wybrali właśnie jego. I po długich rozmyśleniach — wiem, że mogę się Panu wydać śmieszna, nie dawało mi to spokoju — wymyśliłam wreszcie, na czym to polega. To byli ludzie z mojego, szeroko rozumianego pokolenia. Ludzie bliscy nie tylko wiekiem, ale podejściem do rzeczywistości, czymś charakterystycznym dla nich i dla mnie. Bo przecież z dziesiątków osób poznawanych na wczasach zapamiętałam właśnie tamtą panią K-O nie dlatego, że mam taką dobrą pamięć do nazwisk osób pełniących jakieś funkcje, tylko dlatego, że rozumiałyśmy się, miałyśmy podobny stosunek do rzeczywistości, byliśmy nastrojeni na ten sam ton. Tak samo z kolegami ze szkoły. Większości wcale nie pamiętam, zwłaszcza, że te szkoły często zmieniałam, przenosił się do kilku kolejnych miast, a tego pamiętam świetnie, był mi bliski, byliśmy jakoś podobni. Banalna rzecz,

chodzi o jakąś wspólnotę doświadczeń. Te doświadczenia były tak strasznie powszechne, ci dziadkowie z legionów, ci wujkowie i matki z AK i Powstania, potem ktoś, kto siedział w latach '50-tych, jakiś zapomniany wujek wywieziony na wschód i to, co pamiętaliśmy sami: euforia u dorosłych w '56 roku i tak dalej, dalej to już my.

Różnice w poglądach ludzi, którzy przyszedli do „Solidarności” brały się raczej z drobnych, może i nie takich drobnych, ale ustępujących sprawom najważniejszym różnic w doświadczeniach i w rodowodzie, czasem jako kontynuacja tradycji rodzinnej — największy znany mi tu „narodowiec” miał ojca w NSZ, dzieci dawnych bonzów partyjnych żydowskiego pochodzenia były laickie — a czasem jako bunt przeciwko tej tradycji, ale zawsze jakoś w związku z nią.

No dobrze, jeżeli Pan sobie życzy, najpierw powiem, co właściwie w „Solidarności” robiłam, a dopiero potem, skąd się tam wzięłam. Wyniosło mnie, dosłownie wyniosło na redaktora biuletynu środowiskowego. Jednego z tych, o których w oficjalnej prasie pisano, że jątrzą i szczują. Nawiasem mówiąc, po ogłoszeniu stanu wojennego powołano specjalną komisję partyjną w celu zbadania treści tego biuletynu. Zwołał ją grupowy partyjny, mój rówieśnik, uważany za paskudnego faceta (po stanie wojennym zauważyłam kiedyś, że nosił w portmonetce naszą zakładową plaketkę „Solidarności”), obejrzelikilkanastę numerów tego biuletynu i stwierdzili, że nie ma tu „treści szczególnie antysocjalistycznych”. Ale mnie z pracy zwolniono, podobno na żądanie komisarza wojskowego, tylko nie udało im się tego zrobić w trybie dyscyplinarnym. Wtedy to się odbywało bardzo prosto, niemal automatycznie, jakbyśmy mieli, jak zwierzęta, zakodowane programy zachowań i postępowania, każdy wiedział „sam z siebie” co ma robić i czym się zająć, i co ciekawsze umiał to zrobić. Nagle wszystko stało się jasne. Przecież już od miesięcy czuło się, że tak dalej być nie może i coś musi się stać. Sierpień '80 roku spędzałam w sanatorium na Ziemiach Zachodnich, gdzie trzydziestoparoletnie deszcze i śniegi zmyły prapolskie napisy naabytkach, odsłaniając czarny, dobrą niemiecką farbą malowany goetyk, dla jednych groźne memento, dla innych przypomnienie, że te ziemie — może i słusznie — są Zabrane, a nie Odzyskane.

Atmosfera gęstniała od początku lata, coś się szykowało. Wybrzeże było odcięte jak w roku 1970, ludzie z Gdańska denerwowali się strasznie, że nie mogą dodzwonić się do domów. Jedynym sposobem, żeby się czegoś dowiedzieć było radio zagraniczne, toteż wieczorami sanatorium się wyludniało, a z pokoi dobiegały charakterystyczne gwizdy zagłuszanych stacji zachod-

nich. W sanatorium obok zwykłych kuracjuszy było sporo prominentów, jakiegoś wiceministra leczącego swój zapasiony brzuch sadzano przy osobnym stole, a mieszkał w dwupokojowym apartamencie z kolorowym telewizorem. Mieliśmy okazję obejrzeć ten apartament, kiedy przemawiał Gierek, chyba 21 sierpnia: wiceminister wpadł w nastrój populistyczny i zaprosił do siebie wszystkich z naszego piętra. Nastroje takie pogłębiały się z dnia na dzień. Szła wielka niepewność dla władzy i po paru dniach nawet siedzący przy moim stoliku przewodniczący rady zakładowej związków zawodowych jakichś dużych zakładów we Wrocławiu zaprzestał swoich monologów wygłaszanych nad przynoszonymi mu osobno kotletami schabowymi (dla reszty był tłusty gulasz), monologów sławiących umiejętność życia i urzędowania się. Przestał też chwalić się sukcesami na polu zdobywania dobrej herbaty, prawdziwej oliwy i turystycznych butli do gazu, które to sukcesy odnosił dotąd jako społeczny kontroler handlu. A w oczach zwykłych ludzi wysłuchujących dotąd w milczeniu jego przechwałek, jak wpada do sklepu i wymusza od ekspedientki sprzedanie mu bez kolejki tych luksusowych towarów („nie przecież tak, żebym się nie miał do niej o co przyczepić”), w ich oczach było coraz mniej rozpacz i nienawiści, a coraz więcej nadziei, aż wreszcie jedna z kobiet powiedziała: niech pan tego nie opowiada, wstyd słuchać, za takie rzeczy to ludzie linczuja, i wtedy przewodniczący popatrzył na nią nowym wzrokiem i ostatecznie zamilkł, aż do swojego przyspieszonego wyjazdu („tam może się coś dziać, a mnie tam nie ma, czy ja w ogóle jeszcze jestem przewodniczącym?” — mruknął nam na pożegnanie). Nawet tam, w tej odległej miejscowości na krańcach Polski, w szczególnych warunkach udzielały się ludziom te wszystkie nastroje, właściwe już całej Polsce. Jak wszędzie ciężko było z żywnością, do tego stopnia, że w jadalni przestano rankami wywieszać jadłospis, ponieważ w kuchni nie było nic do obiadu i zaopatrzeniowiec wyruszał na resztkach zaoszczędzonej benzyny w rajd po okolicznych miejscowościach w poszukiwaniu jakichś kurczaków czy choćby konserw. Obsługa sanatorium poparła strajki gdańskie, odmawiając specjalnej obsługi dla bonzów, a zwykli kuracjusze dziękowali Bogu, że w ogóle są obsługiwani i że ktoś ich karmi. Wszyscy wyjechali stamtąd wcześniej, bonzowie o parę dni, pozostali na dzień przed końcem turnusu. Głośno mówiło się o możliwości strajku powszechnego. Ach, wzdychano, żeby ich tak raz wreszcie docisnąć do końca, żeby wreszcie dali nam spokój! Przedostatniego sierpniowego wieczoru z tej cichej miejscowości uzdrowskiej wyruszył w podróż załadowany do granic możliwości pociąg, który miał być ostatni. We Wrocławiu na stacji kolejarze potwierdzili, że jeżeli jutro rząd nie podpisze po-

rozumienia z robotnikami w Gdańsku, przystępują do strajku generalnego. Jechaliśmy w tę noc niewiadomą, śpiewając piosenki legionowe, których dotąd nie było słychać w publicznych miejscach, sławiąc rozmaryny i Jąsków, którym na grobie zakwitały róże, jakby w przeczuciu, że zaczynają się czasy naszej niepodległości. Pociąg dudnił, ludzie leżeli pokotem na korytarzach i na podłogach przedziałów, obcy kładli sobie wzajemnie głowy na ramionach. Wśród zacichających późną nocą rozmów słychać było monotonny głos młodego mężczyzny, który z korytarza tłumaczył coś siedzącej w przedziale staruszce. „Nie, babciu, oni nie będą już nami rządzić, babciu, my jesteśmy w robotniczym państwie, babciu. To nie żadni anarchiści, babciu, to my, polscy robotnicy, babciu, my teraz będziemy rządzić sobą, babciu, zobaczysz, babciu, będzie wolna Polska, babciu...”. Kołysani tym głosem jechaliśmy na spotkanie „Solidarności”.

Po dwóch dniach już miałam swoje środowisko związkowe, już zastanawiałam się, jak uruchomić pisemko. Wystarczyło, że na zebraniu zgłosiłam gotowość do takiej działalności. Miałam od razu mnóstwo materiałów, ludzie stale coś wtedy pisali, zapisywali choćby przebieg zebrań, notowali pomysły, robiło się z tego komunikaty, było co drukować. W tydzień później powstał początek naszej redakcji, przystąpiliśmy do wydawania biuletynu. Chodziłam na możliwie wszystkie zebrania, poznawałam ludzi i ich problemy, zamawiałam artykuły. Jeden z kolegów redakcyjnych nadawał temu wszystkiemu ostateczny kształt i przepisywał na maszynie, ja uzupełniałam kroniką ostatnich wydarzeń, a potem znajomy drukarz podjeżdżał do mnie i zabierał makietę, przeważnie w sobotę albo w niedzielę rano. W poniedziałek po południu przywoził do punktu informacyjnego gotowy nakład i rozpoczynaliśmy kolportaż. Początkowe numery drukowaliśmy gdzie indziej i wtedy stosy zadrukowanych przywożono do mnie, gdzie kilka osób do późnej nocy składało je w gotowe egzemplarze, bo intrologatorka była bardzo droga. Wydrukowanie 1 numeru kosztowało dwa tysiące, ostatniego — po trzynastu miesiącach — 20 tys. złotych. Tak wtedy leciały wszystkie ceny. Nasza gazetka z 2 zł podróżowała do 10 zł. Nie miałam nigdy poczucia, że działam w „Solidarności”, tylko że w niej uczestniczę. Ludzie, jakby powodowani wzajemnym, wspólnym impulsem gromadzili się blisko siebie, ciągnęli ku sobie, panowała mania zebrań; mówiono czasem o byle czym, byle wreszcie poczuć wolność słowa i zadokumentować wspólną poglądów. Ruch opanował wszystkich i wszystko, mrowiący się, nieustanny ruch, w którym nie zawsze z bliska można było dostrzec logikę, ale jakąś wewnętrzną logikę posiadał, bo fale zbierały się jednocześnie w różnych miej-

scach i waliły się z hukiem na opierającego się przeciwnika. Wi-
działam, jak falują ich i nasze nastroje. Nasze od radosnej, bez-
rozumnej nadziei po rezygnację i bezgraniczne zmęczenie, ich od
napiętego strachu i skupienia po arogancki rechot zwycięzców
z cudzego nadania. Z czasem wśród nas było coraz mniej nadziei,
a coraz więcej zmęczenia, bo kolejne rozmowy i umowy do ni-
czego nie prowadziły, rząd wciąż stosował wypróbowane chwyt, a
przetrzymywał, usiłował coś urwać, oszukać, przekłamać, prze-
inaczyć. Przez wiele miesięcy uczestniczyłam w negocjacjach na
szczeblu ministerstwa, widziałam po stronie rządu niezliczone
kłamstwa, wybiegi, przekręcanie zapisanych już słów, fałszowa-
nie komunikatów, przemilczanie spraw. A ludzie czasów „Soli-
darności” kochali prawdę, kochali ją aż do głupoty, aż do uja-
wnienia swoich planów i pozycji. Te kłamstwa, te oszustwa, to
wszystkich najbardziej bolało. Niektórzy dostawali czegoś w ro-
dzaju lekkiego pomieszczenia zmysłów; zbierali nieustannie do-
wody przeciwko rządowi, śledzili nieścisłości w wypowiedziach,
sprzeczności, cieszyli się, kiedy udało im się coś tamtym „udo-
wodnić”. A tamci gwizdali na to i spokojnie kłamali dalej. Sta-
rałam się wtedy zapisać wszystko, stenografowałam zebrania i
rozmowy z rządem, wszystkie te nasze beznadziejne — jak się
potem okazało — walki o to *jak być*, gdy trzeba było walczyć,
aby być w ogóle. Wszystkie te materiały do dziś przechowuję
w ukryciu, może kiedyś powstanie jakaś książka z tego, co się
działo w tamtych czasach. Chciałam wszystko zapisać i zapa-
miętać, bo wydawało mi się, że długo to nie potrwa. Często
mówiliśmy sobie, że to nie może potrwać, jakbyśmy chcieli zakłąć
rzeczywistość; tak samo jak w grudniu '80 roku, gdy mieli wejść
Rosjanie, gdy Dobrynina kilka razy dziennie wzywano do Białe-
go Domu, a jakaś radiostacja kanadyjska podała późną nocą, że
rozpoczęły się w Polsce sowieckie działania interwencyjne. Baliś-
my się wtedy okropnie i ciągle na głos o tym mówiliśmy, bo
wydawało nam się, że jak będziemy się tak mocno i jawnie bać,
to oni może właśnie nie wejdą, los często bywa złośliwy i nie
robi tego, czego się wszyscy spodziewają. No, w tym wypadku
mieliśmy szczęście. Pamiętam te straszne, długie noce grudnio-
we, kiedy stałam w oknie i patrzyłam, czy jadą czołgi; było dużo
ubitego śniegu na jezdniach i wypatrywałam, czy już i c h widać,
tak jakby nie byli po prostu na miejscu. A jeden z moich przy-
jaciół powiedział wtedy: poczekaj, jeszcze MO i SB nie powie-
działy swojego, Rosjanie będą potem, jak ci sobie z nami nie
poradzą. Tego nie mogłam sobie zupełnie wyobrazić: Polaków
prześladujących swoich braci. Choć raz, w Marcu, już widziałam
jak potrafią bić rodaka. Już po wszystkich mąż mojej znajomej,
nie związanej z „Solidarnością”, na moje westchnienie: kiedy

włączą te telefony? powiedział z zaciętością: jak ich wszystkich
wyłapią. To był jeden z nich.

Więc właściwie trudno nawet powiedzieć, że działałam w „So-
lidarności”, ja w niej po prostu byłam i byłam świadkiem. Czym
dla mnie była „Solidarność”? Zadaje Pan takie pytania... niby
łatwe, a z drugiej strony jakoś mnie drażnią. „Solidarność”...
„Solidarność”, czuję, że zadowoli Pana odpowiedź, że była dla
mnie tym, czym dla prawie wszystkich ludzi w Polsce — jak już
mówiłam — ruchem ogólnonarodowym, społecznym, socjalistycz-
nym dla socjalistów, nacjonalistycznym dla nacjonalistów i ich
wrogów, liberalnym dla liberałów i lichu wie jeszcze czym dla
kogo, chyba tylko komunistycznym ruchem nikt jej nie nazwał,
na to już jest uczulenie, na tę nazwę, w naszym kraju. „Solidar-
ność” mogę porównać tylko z Polską, tak jak ją rozumieli nasi
ojcowie i dziadkowie. Dlatego śmiesz mnie zawsze pretensje
pod adresem „Solidarności”: a tu była nie taka, a tam ktoś zro-
bił nadużycia, a miała być prawda, a jednak ktoś kogoś okłamał,
miała być sprawiedliwość, a gdzieś o nią niedostatecznie walczono,
a gdzie indziej ktoś jeszcze nakradł... Niektórzy jak gdyby
wymagali od ofiary, żeby sprawiedliwość oddała katu, że tylko
trochę dręczył! Albo że nie dręczył więcej, niż miał obowiązek.
Odwracali się od niej i od wszystkich wartości, o jakie walczyła,
jakie ze sobą niosła — ci perfekcyjniści spod znaku zająca. Cza-
sem takie krytyki wynikały z zawiedzionych nadziei, że „Solidar-
ność” wprowadzi w nasz świat sprawiedliwość i to już, zaraz.
Więc powiem Panu tak: „Solidarność” to ja sama. Wiem, że
to czy tamto było nie tak jakby się chciało, ale uważałam i nadal
uważam, że „Solidarności” trzeba bronić i trzeba o nią walczyć
tak jak nasi ojcowie i dziadkowie walczyli o Polskę, niezależnie
od tego, że Polacy bywali złodziejami i bandytami, jak bywa w
każdym narodzie i mimo że Polska jak już była, tyle razy nie
spełniła pokładanych w niej przez pokolenia nadziei. A jednak na-
wet ci najzgorzalsi przeciwnicy ustroju przedwojennego, zwal-
czający go czynnie, ryzykujący więzieniem i prześladowaniem za
swoją walkę socjalną, nie wahali się ani minuty, kiedy Niemcy
napadli na Polskę. No tak, z wyjątkiem komunistów, a i ci
dopiero po 17 września się zawahali. Więc uważam, że o „So-
lidarność” trzeba walczyć, bo była, jest i będzie szansą i nadzieją
dla milionów Polaków, a jeżeli jej nie będzie, to nie będzie dla
nas ani szans, ani nadziei.

A przecież ta cała ideologia socjalistyczna, która okazała się
tylko fasadą, nie pozostała bez śladu i jestem pewna, że gdyby
Polska mogła się sama rządzić, byłaby krajem sprawiedliwości
społecznej, bo naszego pokolenia nie da się już przekonać, że
ludzie nie muszą mieć równych praw. Widać było w czasach

„Solidarności”, jak ludzie z wielkim trudem zdobywają podstawy demokracji, z jakim wysiłkiem uczą się samorządności, jak im trudno po tej szkole realnego socjalizmu, przez którą przeszli.

Więc tak wyglądała moja działalność w „Solidarności”, jeżeli chce Pan koniecznie nazwać działalnością to świadkowanie i rzeczywiście starałam się, żeby żaden dzień nie poszedł na marne.

Zainteresowało Pana słowo „pokolenie”. Czyli jednak chce Pan wiedzieć, jak do tego doszło, do tego rzucenia się głową w dół, w „Solidarność”. To może zacznę w ogóle od tego, jak skończyłam z polityką, od mojego własnego rodowodu.

Właściwie zawsze byłam przeciwna polityce od pewnego dnia, gdy miałam osiem lat i moja rodzina, zebrana z jakiejś okazji, dostała kolejnego ataku upolityczniania młodego pokolenia. Myśmy stawiali zawsze temu opór, ale wynikał on nie z poważnego protestu czy niechęci, a raczej z niepewności i buntu przeciwko temu, co mówią starsi. Zarzucali nam — oczywiście mam na myśli czasy nieco późniejsze — że nie interesujemy się historią, że nie chcemy z niej czerpać nauk. Byłam wychowana w bardzo patriotycznej rodzinie, dziadek był legionistą i działaczem politycznym sprzed wojny, bliskim sprawie robotniczej, choć nie komunistycznym w żadnym wypadku, a babcia do śmierci oglądała w TV pochód 1-majowy i opowiadała, że oni przed wojną zawsze szli na pochód z robotnikami. Kiedyś nawet zarzuciła mojej siostrze, że nie idzie na pochód 1-majowy: nie jesteś w takim razie patriotką! zawołała, a był to rok '79 i nawet mój ojciec wtedy się obruszył, co też mama opowiada, co to ma wspólnego z patriotyzmem. Babcia opowiadała, że jej matka nauczyła ją jednego, że ma umrzeć za Polskę i babcia właściwie ten program sumiennie wykonała, tyle że fizycznie przeżyła, co bywa kwestią przypadku. Kiedy byłam na studiach, często siadywaliśmy z kolegami słuchać jej opowieści o pierwszej wojnie światowej i wojnie polsko-moskiewskiej, jak mówiła. A ona czasem nas pytała: no dobrze, a wy jesteście gotowi umrzeć za ojczyznę? Moi współszcześni koledzy uśmiechali się niepewnie, po czym odpowiadaliśmy coś w tym sensie, że mamy nadzieję, że nie będzie okazji, bo prawdę mówiąc nie byłoby za co. Jak to? Za Polskę! Ale za jaką Polskę, mówiliśmy, za tę pod sowiecką kontrolą, w tym wojsku polskim, w którym składa się przysięgę na wierność obywateli socjalistycznemu? Babcia ciężko wzdychała i ze smutkiem powtarzała, wiedziałam, nie jesteście jednak patriotami... A myśmy czuli, że przecież może się zdarzyć jakaś wyimaginowana zupełnie sytuacja, trudno ją sobie wyobrazić, bo niby jak: Niemcy na pewno nas w przewidywalnej przyszłości nie napadną, Czesi obojętni i w ogóle po co, Rosjanie nas i tak mają, zresztą przeciw nim? Z czym? Z gołymi rękami? Szwedzi za morzem,

więc właściwie... jakaś taka sytuacja, że będzie nam chodziło o to samo, co jej, tylko nie o tę Polskę, którą mamy na co dzień.

Słowo Katyni usłyszałam po raz pierwszy, gdy miałam siedemnaście lat. Przy pomniku Bohaterów Westerplatte. Kolega powiedział wtedy: tym postawili, ale do Katynia ciągle nie chcą się przyznać, a w Katyniu zginęło masę znajomych mojej rodziny.

No, więc miałam powiedzieć, jak skończyłam z polityką. Miałam osiem lat i mój dziadek opowiadał, jak wyglądała wojna polsko-sowiecka, w czasie której był rotmistrzem ułanów, jak jechali oddziałkami konno po lasach nadgranicznych, jak kochał swoje konie, i kolejno je dokładnie opisywał, jak śpiewali przy ognisku pieśni legionowe, a Moskale — bo dziadek innego określenia nigdy nie używał — Moskale ich tropili i gnębili. Kiedy doszedł do momentu, w którym jego przyjacielowi Moskale wydarli na nogach lampasy z żywej skóry, dostałam ataku hysterii i trzeba było mnie położyć do łóżka, a potem starałam się o tym nigdy nie myśleć i w ogóle byłam przeciwna całemu patriotyzmowi, walce o niepodległość, nie chciałam więcej o tym słyszeć. A czytać nie było co. Właściwie jedyną dostępną nam lektura z tych czasów to „Armia konna” Babla. Babel opisywał niestychanie — jego zdaniem — wysoką, europejską kulturę Polaków i okropne postacie polskich szlachciców skazujących swoich głodnych, wyzyskiwanych chłopów na tortury, fajdaków spod ciemnej gwiazdy, jednak patriotów, bo przecież walczyli o tę Polskę, ale Polskę „panów”, w której miało być miejsce dla ich panowania i właściwe miejsce dla ich gnębionych poddanych w czworakach.

Trudno jednak było mi uciec od polityki. Chodziłam do bardzo szczególnej szkoły. Było tam sporo dzieci dawniejszych (z lat '50-tych) prominentów i w ogóle byliśmy za socjalizmem. Mieliśmy kluby wolnościowe, w których zwalczałyśmy szkolną, nauczycielską konserwę, własne piosenki, hymny, kabaret itd. Masa młodzieńczego buntu i protestu. A jednocześnie pamiętam przypadek, kiedy poszliśmy całą grupą na węgry i wydało nam się to tak dramatycznym wykreśleniem, że zbiorowo przyznaliśmy się do tego w dyrekcji. Nie mogliśmy wytrzymać tak złego postępu, a przecież mieliśmy już po 15-16 lat!

Wróćmy do pokolenia, które — jak Pan wie — robiło potem „Solidarność”. Było bardzo liczne, byliśmy bowiem tzw. wyżem demograficznym i wszystkiego zawsze dla nas brakowało. Uczono nas na każdym kroku oszczędności i do dzisiaj nie jestem w stanie wyrzucić do połowy zapisanej kartki papieru; oddzieram czystą połówkę i zostawiam na zapas. Jak widać, nasi nauczyciele mieli pewne sukcesy wychowawcze.

Do mojego pokolenia zaliczyłabym ludzi urodzonych między '43-cim-'44-tym rokiem a powiedzmy '53-cim najwyżej. Dlaczego akurat tak? Ci trochę starsi wyraźnie się od nas różnili, oni już w pełni świadomie przeżyli Październik, poddawali się płynącym wówczas świeżo z Zachodu prądom. To była tzw. „dzisiejsza młodzież”, o której nieustannie pisano w gazetach i mówiono w radiu; hłaskowcy, egzystencjaliści, czarne swetry, trumniaki na nogach, tańczyli rock and rolla i nie ustępowali podobno miejsc starszym w tramwajach, co im miano za złe. Myśmy patrzyli na nich z dołu, nie marząc specjalnie, żeby się do nich upodobnić, tańczyliśmy twista, ekscytowaliśmy się Konwickim (wczesnym) i Hemingwayem. Chcieliśmy świat raczej zmieniać niż odwracać się do niego tyłem, a w tramwajach w ogóle nigdy nie zajmowaliśmy miejsc siedzących. Młodszy, już z kolejnego pokolenia, to ci, co w czasach Marca '68 nie byli nawet w liceum. Jednym z zakłęb naszego pokolenia była „nowoczesność”. Nowoczesność... wiele nas kosztowała. Przede wszystkim w planie tzw. moralności. Było to pokolenie tzw. prywatkowe, ale chyba bez niepohamowanego przesypiania się na prawo i lewo i może bez takiej determinacji, jaką spotykało się u trochę starszych, tych z „dzisiejszej młodzieży”, tam podobno to rozpasanie było znacznie większe, oni podobno nie wierzyli w miłość, my natomiast wierzyliśmy w nią i marzyliśmy o niej, ale uważaliśmy, że jedno nie ma nic do drugiego. Za to nowoczesność miała swoje wymagania. Znam dziewczyny, które oddawały się jakimś okropnym facetom z „dzisiejszej młodzieży” przeważnie tylko dlatego, żeby się nie okazać nienowoczesne. Późniejsze pokolenia były chyba pod tym względem spokojniejsze, przynajmniej tak mi się wydaje z obserwacji i np. z opracowywania różnych ankiet. A może tylko z czasem przestano to uważać za tak straszny skandal. Może ludzie się przyzwyczaili.

Wspominałam o literaturze. W dużym stopniu nas wychowywała. Hemingway uczył nas zaciskania zębów w każdych okolicznościach i przyjmowania wszystkiego bez zmruczenia powiek. Ale jednocześnie dużo później zrozumiałam, że czytaliśmy z nabożeństwem i przyjmowaliśmy jak Biblię książki czy filmy, które w istocie krytykowały nasze snobizmy, nasze fałszywe pojęcia o życiu, myśmy zaś przyjmowali je jako podręcznik życia właściwego. Wie Pan, pamiętam dwa takie filmy, które dobrze to oddają. Pokolenie o oczko wyżej oglądało „Eroicę” itp., ale dla nas to już były tylko starocie. Myśmy zresztą mieli serdecznie dosyć nieustannego słuchania i czytania o wojnie, o Żydach, o zagładzie, o obozach koncentracyjnych itd. Bynajmniej nie z powodu wrodzonej zatwardziałości czy cynizmu, albo braku zainteresowania. Nie wiem, czy ktokolwiek zdaje sobie sprawę, jak

bardzo nawet lektury szkolne w owych czasach były zdominowane przez tego rodzaju literaturę, a filmów chyba 3/4 było o wojnie. Kiedy dzisiaj czytam np. o tym, że dotąd nie powiedziano tego co trzeba o zagładzie Żydów albo całej prawdy o bestialstwach niemieckich, otwieram oczy ze zdumienia. Mam bowiem wrażenie, że od jedenastego roku życia słyszę o tym bezustannie, czytam i patrzę na to tak, że trudno już lepiej sobie to wszystko wyobrazić, chyba żeby tam być. Być może nie wiedzieli o tym ci, co teraz tak piszą, ale to są ludzie koło 50-tych; nie zauważyli, że młodsze pokolenia ssali to, że tak powiem, z mlekiem matek. Inna rzecz, że w historii i literaturze zdarzały się zafałszowania i brakowało jakiegoś oficjalnego zadośćuczynienia np. Żydom. Ale przecież myśmy czytawali „Medaliony” Nałkowskiej do poduszki, uczyli się miłosnych zakłęb z opowiadań Borowskiego. Pamiętam jak ważnym celem było skompletowanie książek o obozach koncentracyjnych! Więc naprawdę wojny mieliśmy już zupełnie dosyć i interesowały nas sprawy życia bieżącego, nasze perspektywy, nasze miejsce przede wszystkim w planie osobistym, bo plan społeczny był czymś tak naturalnie splecionym z życiem osobistym, że nie przychodziło nam do głowy, by traktować te dwie dziedziny osobno. Te dwa plany rozdzieliły się zupełnie dopiero po zniszczeniu „Solidarności”, kiedy trzeba było zawiesić sobie na ścianie dewizę „rób swoje” i robić swoje niezależnie od wszystkiego.

Dwa filmy, o których wspominałam. „Nóż w wodzie” Polańskiego — pokaz rzekomo właściwego stylu bycia, właściwego naszym zdaniem „oszczędnego” stosunku uczuciowego do wydarzeń osobistych. Nie sądzę zresztą, żeby ktoś z moich rówieśników naprawdę wtedy zrozumiał, o co w ogóle chodzi w filmie, przynajmniej dla mnie po latach treść jego była pewnym zaskoczeniem. Pełno snobizmów: superszybkie, najlepiej zachodnie samochody, piękna naga dziewczyna (pierwsza nagość w polskim filmie!), jachty itd. Te snobizmy reżyser najwyraźniej kupił za swoje i sprzedawał w dobrej wierze. Z jego późniejszych pamiętników można sądzić, że pokazywał szczerze swoją hierarchię wartości w tym filmie. Był on właśnie z pokolenia „dzisiejszej młodzieży”. Widać w tym filmie prowincjonalne tęsknoty polskiego reżysera, tak silne, że w końcu ziścił się jego sen, wylądował w Hollywood.

I drugi, nieco późniejszy film — „Polowanie na muchy” Wajdy. Wydawał nam się szkołą dobrego smaku, przyjmowaliśmy go zupełnie dosłownie. Każda dziewczyna marzyła, żeby wyglądać jak bohaterka, żeby mieć wspaniałe, muchowate okulary, sukienkę rozpinaną od góry do dołu na suwak jednym ruchem

przez zagarniętego z Hybryd kochanka-bruneta, do tego wysokie boty — symbol seksu lat 60-tych, i rozczarowanie — białe, zwykłe majtki. Bal pod Warszawą był przeglądem marzeń zarówno ówczesnych środowisk młodzieżowych jak i nowego drobnomieszczanstwa. Oglądając ten film po dziesięciu latach zauważyłam, że wszystkie marzenia reżyser w gruncie rzeczy bezlitośnie wykiął. Marzenia nie tylko konsumpcyjne („Cześć, jak się masz, jaki masz samochód, czy już z nią spałeś, kiedy byłeś ostatni raz na Zachodzie?”), ale i dotyczące właściwego naszym zdaniem stylu bycia, noszenia się, rozmawiania, przeżywania namiętności, dokonywania wyborów. Dopiero po dziesięciu latach zrozumiałam, jak zostaliśmy wykpieni!

Myślę, że realnemu socjalizmowi udało się z nami w paru sprawach. Oprócz tego, co już powiedziałam, żywiliśmy przekonanie, że cokolwiek zdarzało się w niedawnej jeszcze historii, to przecież teraz Polska, ta socjalistyczna Polska, naprawdę już dąży do pokoju, do prawdy, jest w miarę, ale jednak suwerenna. Nie wiem, czy starsze pokolenie zdawało sobie w ogóle sprawę, że przekazując nam wiedzę o czasach stalinowskich, dawało nam mandat zaufania władzy gomułkowskiej. Zawsze przecież w podtekście, również w wypowiedziach oficjalnych w prasie, ale i w tym, co mówili rodzice i dziadkowie było: teraz już przecież tego nie ma, teraz nie jest aż tak źle. No i nie było, fakt.

Wiedzieliśmy, że teraz jest inaczej, że teraz jest nowocześnie, że pewne rzeczy mogą się zdarzyć tylko gdzieś daleko, na świecie w porównaniu z nami zacofanym, że przecież nie u nas. U nas nigdy. No i Marzec był takim momentem, kiedy to się zdarzyło. Wszystko, co nie miało prawa.

Marzec '68 z pewnością ukształtował w ogromnej mierze nasze pokolenie, w każdym razie pokolenie inteligenckie. Pewnie w innych środowiskach nie miało to aż takiego znaczenia, albo wcale. Oczywiście, byliśmy już wstępnie ukształtowani przez wszystko, o czym powiedziałam. A w Marcu najistotniejsze było to przebudzenie, że u nas też, że świat nigdzie nie poszedł, tylko ciągle trwa w tym samym miejscu, gdzie biedni stają się jeszcze biedniejsi, gdzie za prawdę można dostać po twarzy, a sprawiedliwości można się spodziewać dopiero po śmierci i jeżeli ma się wrażenie, że coś idzie naprzód, to wynika to tylko z kręcenia się w kółko, w bardzo dużym kole, które za życia jednostki zdąży obrócić się najwyżej dwa, trzy razy.

Trzydzieści lat później obchodzono rocznicę wydarzeń marcowych. Pomysł wmurowania tablicy wydał się mnie i wielu moim znajomym dziwny i przesadny. Mieliśmy uczucie, jakby oto ktoś nieco przedwcześnie stawiał pomnik na naszym grobie. Było rów-

niez samo południe, pełnia „Solidarności”. Wszystkie bramy uniwersytetu zamknięte z obawy przed ubecką prowokacją, wpuszczano tylko za specjalnymi zaproszeniami. Z nawału pracy nie miałam czasu zainteresować się, skąd się bierze takie zaproszenie, ale sądziłam, że bez trudności wejść na własne święto kombatanek. Pełna emocji, opłataną nawracającymi wspomnieniami, zbliżałam się do jedynej otwartej bramy, tej samej, przez którą przed laty ubecy wywieźli naszą delegację na rozmowy z prorektorem. Bezduszne, podejrzliwe twarze młodziutkich „bramkarzy” w każdym widziały prowoka, każdy przecież może być ubeikiem. Tam ktoś już przemawia, słysząc okrzyki, a mnie tam nie ma! Jak mam udowodnić, że mam prawo się tu znaleźć, czy mam biec do domu po stary indeks? Zbliży się ktoś z moich przyjaciół, też był wtedy z nami, teraz jest pracownikiem UW, ma prawo wejść, ręczy za mnie. Bramkarze niechętnie nas wpuszczają. Wchodzę z poczuciem, że tę rocznicę legalnie obchodzimy po raz pierwszy i po raz ostatni.

Bardzo szybko okazało się, wtedy w '68-ym, że moja edukacja polityczna idzie we właściwym kierunku. 3 sierpnia '68 przejeżdżałam z rodziną przez Czechosłowację w drodze do Bułgarii. Widzieliśmy szczęśliwych, uśmiechniętych ludzi, rozśpiewaną młodzież, długo wieczorem wystającą na placykach Pragi, zadowolonych sprzedawców, którzy zapewniali nas, że za rok tu będzie Ameryka. Patrzyliśmy na mnóstwo artykułów importowanych w sklepach, świetny nastrój. Ze straganów zsypywały się ku klientom mandarynki i pomarańcze, francuskie oliwki i łososie zdobitych wystawy sklepowe. W kioskach leżały stosy pornograficznych kalendarzy, co krok afisze zapraszały do *variété* ze strip-teasem, a narożniki ulic okupowane były przez długowłosych konstatorów, pojawili się jak spod ziemi hippisi. Jakikolwiek było, było to z pewnością życie. Ulice tętniły przelewającym się tłumem, znikła prząsna komunistyczna pruderia, podobnie jak solenna postawa policjantów i nadęty styl z gazet. Trzeciego sierpnia patrzyłam na to wszystko i powiedziałam: czuję tu zapach prochu, widzę jadące czołgi. Tak dalej być nie może, to zaprzeczenie socjalizmu. Jakże się wtedy ze mnie śmiali! Co ty, mówił mój ojciec, Europa poszła naprzód, minęło dwanaście lat od Węgier, po co niby mieliby wchodzić, Ruski się ucywilizował, a w każdym razie nie będzie ryzykował, reszta Europy na to nie pozwoli, gdzie tam! W trzy tygodnie później w Budapeszcie Cześć rzucali się nam na szyję na ulicach i płacząc zapewniali: nie mamy do was pretensji, przecież my wiemy, że wy, Polacy, zawsze jesteście za wolnością, was zmusili... W Budapeszcie na campingu rozdawano Czechosłowakom i Polakom (była pora powrotów znad czarnomorskich plaż) darmową zupę, ambasada wydawała

po 150 forintów pożyczki na osobę, a Rosjanie nie puszczali przez Czechosłowację do Polski, tylko przez swoje terytorium, do czego wymagali wizy przejazdowej. Pamiętam, jak po całym dniu stania przed ambasadą sowiecką, kiedy dostaliśmy już kwestionariusze na wizę, kiedy wypowiadaliśmy się na piśmie ze wszystkich krewnych aż do pradziadków, ach! wtedy się dopiero wiedziało, jak każdy jest podejrzany! Te majątki na Wołyniu czy innych „terenach obecnie w ZSSR”, ci rodzice wychowani na wschodzie, nawet tam urodzeni, ileż tu było punktów zaczepienia, ileż to mogło wywołać podejrzeń, dociekań, rozważań! A pierwsi, co pojechali, jechali na stopniach wagonów napchanych do niemożliwości, pociągami puszczanymi przez Lwów i Przemyśl, podobno bez zatrzymywania, nikt ich tam nie sprawdzał, bo i sprawdzać nie był w stanie. Więc wieczorem, kiedy ambasada zmobilizowała wszystkie swoje siły i nawet woźni wbijali wizy do paszportów, wyszedł do ogródka oblężonego przez tłum, sięgający na całą szerokość ulicy i przez dwie przecznice dalej, urzędnik umundurowany w czapce z czerwoną gwiazdą, który popatrzył na nas wszystkich tam sfłoczonych z jakąś rozpaczą pomieszaną z nienawiścią, ale przede wszystkim z rozpaczą człowieka, który nie może wypełnić swojego najświętszego zobowiązania: sprawdzenia wszystkich i wszystkiego. Urzędnik ten wyskandował bardzo donośnym, zafamizowanym głosem: *możecie projechać czerwiec terytorium Sowietowsko Sojuza...* zawahał się i dokończył z łkaniem w krzyku: bez wiz! A potem ten przejazd absolutnym fuksem przez terytorium okupowanej przez Rosjan Czechosłowacji (na osiem godzin otwarto granicę, żeby przepuścić autokarowe wycieczki z Polski i myśmy się doczepili do jakiegoś autokaru), to lotnisko w Bańskiej Bystrzycy, otoczone transporterami tak dokładnie, że człowiek by się nie przecisnął, te koszary w miastach wypełnione żołnierzami słowackimi, pilnowane przez wojska sowieckie, te pługi rzucone w polu, przewrócone traktory, drogowskazy, wszystkie skierowane w jedną stronę, zasłonięte płachtami z wypisanym „Moskwa — 1800 km” i te demonstracje w każdej najmniejszej wsi, ten strajk powszechny, powszechnie radosny, i powitania naszego autokaru, który pomalowany był w charakterystyczne dla czeskich autobusów niebieskie pasy, a potem kamienie rzucone za nami, gdy już zauważono nasze znaki rejestracyjne, i te czołgi z czerwonymi gwiazdami na rozstajach, które wodziły łufą za nami i wydawało się nam, że w każdej chwili mogą wystrzelić, bo i mogły. I potem Kraków, gazeta, a w gazecie: w Czechosłowacji pełna normalizacja, ludność z pogodą i godnością wita radzieckich przyjaciół, którzy pośpieszyli bratniemu narodowi z pomocą przeciwko kontrrewolucji. Szok nawet dla wprawionych już w tej propagandzie. I tej lawinie kłamstw,

puszczanej na głowy całego społeczeństwa, które pewnie w to nawet nie uwierzyło, ale przecież nie miało pojęcia, jak tam jest naprawdę, tej lawinie przeciwstawialiśmy się tylko my, pojedynczy, bardzo nieliczni, którzy to widzieli na własne oczy. W Krakowie przesiedliśmy się na pociąg do Warszawy. Na dworcu stłukła się nam butelka z Sopicą wiezioną z Bułgarii (tam była cztery razy tańsza), a mieliśmy domowe uroczystości w planie. Odpękała tylko szyjka, trochę się wylało, więc wyjęliśmy ją delikatnie z siatki, postawiliśmy obok kosza na śmieci. Podszedł jakiś gość i zapytał, czy można. Kiedy zdziwieni zrozumieliśmy o co chodzi, skinęliśmy głowami, a on pieczołowicie rozlał część wódki do musztardówki, napił się trochę, rozjaśnił twarz i wtedy podszedł do niego paru facetów spod ścian dworcowych i bardzo uprzejmie zwrócili się do mnie, wykonując coś w rodzaju muszkieterskich ukłonów, z zawijaniem kapeluszy, które zdjęli z głów i jeden z nich zapytał: czy możemy się też poczęstować? Zostawiliśmy ich potem nad tą potłuczoną butelką wódki, pierwszych słuchaczy naszej opowieści o tym, jak naprawdę jest w Czechosłowacji.

Wie Pan, tym się tak jakoś nasiąkało od początku, od wczesnej młodości, tym przekonaniem, że jest sprawiedliwość, że musi być sprawiedliwość i że nam się to właśnie uda. Przynajmniej mnie i moim kolegom, znajomym. Przeszłam w dzieciństwie wyjątkowo dobrą szkołę samorządności i demokracji. Byłam w różnych samorządach szkolnych, kolonijnych, obozowych i tak dalej, to były prawdziwe samorządy, nie udawane, nie rekomendowane, a potem zaklaskiwane. Zajmowałam tam różne pozycje, zawsze wybierana przez kolegów, co najwyżej zatwierdzana przez nauczycieli. W sporym zakresie byliśmy rzeczywiście samorządnymi. Tym skorpuka za młodu nasiąkała i tym na stare lata trąci, nie potrafi już inaczej. W tej sprawie nigdy nie potrafiłam iść na żaden kompromis, co oczywiście mnie kosztowało nieraz sporo, przydając mi opinię osoby „konfliktowej”. Zawsze lubiłam mieć uzasadnienie wszystkiego, co mi się każe robić i lubiłam, żeby słuchano argumentów na rzecz innych rozwiązań. Uważałam, że musi rządzić wola większości, że trzeba robić wszystko, żeby większość potrafiła ukształtować swoje opinie według zasady dobra powszechnego i wartości w rodzaju takich, że człowiek ocenia się na podstawie jego czynów, że każdy powinien mieć prawo się bronić, siebie i swoich racji, że trzeba dotrzymywać słowa w najszerszym zakresie spraw, nawet zupełnie mało istotnych, tak samo jak w wielkich, że prawda to prawda i to wyklucza wszelkie dyalektyczne twierdzenia, jakoby prawda to jednak był czasem fałsz. I że trzeba robić wszystko, żeby większość mogła tę swoją wolę wyrażać. *A propos* tego prawa do obrony.

Byłam bardzo młoda, miałam siedemnaście lat, kiedy znajomy adwokat powiedział, że broni człowieka, który brutalnie pobił swoją matkę. Wstrząsnęło mną, że on chce bronić takiego. Powiedziałam, że taki człowiek w ogóle nie powinien mieć prawa do obrony. Uderzyć swoją matkę, pobić ją? Adwokat przez chwilę żartował: a może ona w dzieciństwie dała mu klapsa, albo nie kupiła mu lodów? Musiał się dobrze bawić powagą, z jaką przyjmowałam to co mówił. Wydawało mi się to bzdurne. Wtedy wyjaśnił mi, że te argumenty, chociaż niepoważnie przedstawione, wcale nie muszą być takie błahe, że sąd nie tylko skazuje albo uniewinnia, ale że pozostaje jeszcze kwestia wysokości kary i te zabawne okoliczności, które zresztą mogły być o wiele poważniejsze, wcale tamtego nie zwalniają z całej odpowiedzialności, ale mogą zmniejszać jego winę. Chyba mnie wtedy przekonał.

Wie Pan, z tą prawdą to wcale nie było takie proste. I to wcale nie dlatego, że nam wmawiano tę dialektykę w szkole i na studiach, to pojęcie prawdy jako wartości skrajnie względnej, skrajnie pragmatycznej, a względnej dlatego, że jest odbiciem rzeczywistości, która przecież jest względna, niepewna, płynna, zmienna, więc i prawda być taka musi — wsączano nam to wszelkimi drogami. Nie, to nie tylko dlatego. Raczej z powodu trudności z dotarciem do pewnych prawd, nawet pewnych wiadomości po prostu. Co innego było w domu, co innego w szkole. To znane, ale jakże brzemienne w skutki! Niektórzy nazywali to schizofrenią społeczną, a myślę, że w gruncie rzeczy źródło to charakterystyczny dla wszystkich, o których myślę (moje pokolenie) pluralizm. Niemal wrodzony pluralizm. Poczucie, że wszystko jest i bywa różne, że ma różnorakie uwarunkowania i przyczyny. Ale właśnie, nie popadanie w relatywizm, ten wygodny parawan dla wszystkich chwiejności moralnych, raczej poczucie wielkiej złożoności świata, niemożliwości znalezienia prostych, bezpośrednich odpowiedzi. Daleko odeszliśmy od Chrystusowego „tak-tak, nie-nie”, ale nie tak daleko, żeby odrzucić przekonanie, że prawda w gruncie rzeczy jest jedna. Trudno mi się porozumieć z wieloma ludźmi, mającymi skłonność do uproszczeń, zbyt wiele widziałam spraw, które naprawdę były zupełnie inne niż wyglądały na pierwszy rzut oka, a w ten sposób osądza wielu ludzi. Pamiętam jak nam opowiadano, jak to było dawniej, przed wojną, na wojnie, potem matka opowiadała, jak było dobrze i że wszyscy mieli swoje domy i w bród jedzenia, butów itd. (Boże, te nasze już wtedy biedniutkie problemy!). Ojciec opowiadał, jak uczestniczył w akcji dokarmiania dzieci ludzi bezrobotnych, a w pamiętnikach sprzed wojny czytywałam, że ludzie ze wsi jadali trzy razy dziennie kartofle i byli szczęśliwi, jeżeli mogli je okraszyć

słoniną na Wielkanoc. Wujek był połem, a czytałam gdzieś, że wybory tamtego roku sfałszowano, chyba to był 1929 rok. Jak zapytałam o to ciotkę, powiedziała, że to brednie, nic nie sfałszowano, to komunistyczna propaganda, ale żebym o tym nie przypominała wujkowi, bo mu będzie przykro, on wierzy, że jego na pewno wybrano uczciwie. I tak dalej.

Więc przebijaliśmy się z trudem ku prawdzie, krytycznie przyjmując prawdy jednej strony i zakłęcia drugiej. To często denerwowało starszych, zwłaszcza że mimo wszystko wiedzieli pewne rzeczy, choć nie potrafili nam ich przekazać. Wiele spraw wydawało im się oczywistych, tak oczywistych, że chyba jeszcze bardziej nam mieszały w głowach. Pamiętam, jak w przedszkolu widziałam portret Stalina trzymającego na rękach małą polską dziewczynkę z warkoczykami. Dziadkowi, który zawsze mnie uczył, że Moskale są źli dla Polaków, powiedziałam triumfalnie, że nie, bo właśnie u nas jest taki portret, a na nim dobry Stalin. Wtedy dziadek powiedział: on wziął ją na ręce, żeby jej rozbić głowę o ścianę. Dzisiaj rozumiem, co chciał powiedzieć i przyznaję mu rację, ale wtedy nie było to najfortunniejsze powiedzenie. Uznałam, że dziadek nie ma o niczym pojęcia, że jego świat minął i teraz jest nowy, inny świat, którego on nie rozumie. Oczywiście wtedy tego tak nie formułowałam, ale potem w stosunku do dziadka zawsze dźwięczało mi to przekonanie, kojarząc się między innymi z tą rozmową o portrecie Stalina.

Dosłownie z kilkadziesiąt razy słyszałam opowieść rodzinną o ucieczce ze Lwowa w 1940 roku, jak to o trzeciej nad ranem, w szlafrokach, bez niczego, cudem, w oranżerii, gdzie nie zajrzeli w ostatniej chwili — tego dnia wywieziono 17 tys. Polaków — jak się potem przedzierali do granicy, a potem przez granicę, jak dotarli do Warszawy brudni i głodni. Tylko jednego nie powiedzieli, że to była ucieczka przed Rosjanami. Nigdy nie przyszło im do głowy powiedzieć, kto tam wtedy był i skąd się wziął. Długo byłam przekonana, że Niemcy, bo przecież wojna była z Niemcami. W szkole historii nie nauczono nas praktycznie wcale. Gorzej, zrobili coś takiego, że nie możemy się jej nauczyć (oczywiście byli maniacy, albo ludzie inaczej wychowani, dzisiaj nawet wybitni historycy, ale to wyjątki). Byliśmy pokoleniem głuchych nie tylko na muzykę, ale i na historię. Może dlatego wydawało nam się, że wszystko jest po raz pierwszy, że stare i zgniłe odpada, a teraz buduje się nowe, inne i świeże. Może stąd wziął się nasz intensywny i chyba w młodości zupełnie bezrefleksyjny stosunek do życia, to znaczy wiele rozmyślaliśmy nad charakterami ludzi, zdarzeniami i przypadkościami, ale wcale nie nad logiką tego wszystkiego, chyba że w sensie marksistowskim, to tak, nad związkami z tradycją. Nie było refleksji nad powi-

zaniem naszych losów z losami ogółu. Wydawało nam się, że jesteśmy zupełnie wyjątkowi, nie jako poszczególne osoby, ale jako etap w historii. Myśmy jako pokolenie nabrali chyba takiego przekonania, że jedno życie to za mało, tak byliśmy zachłanni a jednocześnie naiwni. Każdy z nas istotnie przeżył już ich kilka i to poczynając od wydarzeń politycznych a kończąc na życiu osobistym. Znam ludzi, którzy emigrowali i wracali, zakładali sutannę, rzucali ją i znowu zakładali, żenili się, kochali, kłócili, rozwodzili, znowu pobierali. I to nie z powodu niepewności, niemożności zdecydowania się na coś. Nie, to z zachłanności, z obawy, że coś nas ominie. Nie znam już prawie małżeństwa, które przetrwałoby więcej niż 8-10 lat. Moi rówieśnicy rozwiedli się prawie wszyscy. I oczywiście następowało to przykre zderzenie ze światem, kiedy okazywało się, że pewne rzeczy są na jeden raz, że tylko raz się traci cnotę, bo raz się jest dziewicą. Że jak się opowiesz po tamtej stronie, to już nie będziesz kimś, kto był zawsze po tej — znany dramat tych wszystkich, co „zrozumieli”, „zawrócili”. Chwała im moralna, jeżeli udało im się to zrobić bez krzywd, ale nigdy nie będą już tymi, co od początku wiedzieli, tylko tymi co się przekonali.

Więc zależało nam bardzo na prawdzie, tak bardzo, że słuchaliśmy uważnie i bezlitośnie obu stron. Pamiętam dyskusje o wojnie w Wietnamie. Powtarzaliśmy wtedy jeszcze historyjki z naszej prasy, potępialiśmy Amerykanów. A co na to potrafili nam odpowiedzieć starsi? A Rosjanie to... i tak dalej. Potyczki na krzywdy i zasługi. To nie była dobra droga. Myślę, że dzięki temu właśnie uczyliśmy się złożoności widzenia rozmaitych spraw i braliśmy to, co dobre z tej ale i z tamtej strony, nawet jeżeli nie wszystko mówili w dobrej wierze, np. o równości wszystkich ludzi, ich prawie do życia, zdrowia, prawdy, itd. Wcale nie byliśmy zwolennikami powrotu do prywatnych fabryk, do „uzdrawiającego” bezrobocia i do tego, żeby każdy znał swoje miejsce. Nie uważaliśmy się — przynajmniej ci, których znałam — za lepszych z powodu pochodzenia, urodzenia i tego typu okoliczności. Teraz czasem spotykam się z przekonaniem, że czyjaś rodzina jest „lepszą”, bo się jakoś nazywa. Zatraciło to już dawno charakter przywiązania do dobrej tradycji rodzinnej, a pozostało zaśłanianie się rekwizytami, które dzisiaj już nic nie znaczą. Zawsze mnie to razi i śmieszy, a nawet odczuwam coś w rodzaju wstydu za kogoś, kto tak mówi. Czy czuliśmy się wyobcowani? Chyba nie. Chociaż to było wyjątkowo modne w naszych czasach określenie. Na pewno czuliśmy się wszyscy samotni, wielu pisało na ten temat wiersze, książki, sztuki teatralne, ciągle o tym rozmawialiśmy. O tym się wszędzie słyszało, to się czuło. Pamiętam bal zapoznawczy na pierwszym roku studiów, z naszych wydziałów

nie przyszła ani jedna osoba! Asystenci mówili, że studenci schodzą na psy, że to kolejny rocznik, który nie umie się bawić, bo nawet nie próbuje. Tyle było tego mówienia o samotności i opuszczeniu, że w końcu zaczęłam dochodzić do wniosku, że to poczucie nie jest związane z rzeczywistością, bo zwieramy się z niego tylu ludziom, że już to samo przeczy, abyśmy byli aż tak samotni. Ale to jakoś wisiało wtedy w powietrzu; wielkie przyjęcia, tłumy siedzących po kątach w oparach papierosów i wódki — marihuany jeszcze się wówczas nie paliło — przy dźwiękach muzyki Beatlesów, opowiadające o tym, jak bardzo ludzie są sami i jak tęsknią do wspólnoty.

Myślę, że przyczyniała się do tego sprawa emigrantów. Niedawno mój brat, młodszy o wiele lat, powiedział mi z rozpaczą, że nie ma żadnych znajomych, bo wszyscy jego koledzy ze studiów wyjechali po 1981 roku za granicę. Nasi wyjeżdżali w kilku rzutach. Po 1968, w latach '70-tych, kiedy w ogóle było łatwo wyjechać, po 1981, teraz. Są na świecie miasta, w których mam więcej znajomych niż w Warszawie, przynajmniej długoletnich znajomych. Oczywiście nasze więzi słabną, niektórzy gdzieś się podziałli, niektórzy już nawet poginęli w wypadkach, większość zniknęła z oczu. Pozostali powariowani, pokręcani, tam nieprzy stosowani, tu już wykorzeni, czasem porobili duże kariery. Większość zaczynała od zmywania garów w knajpach i nikt już tego od dawna nie robi. Jak się do nich przyjeżdża, namawiają żeby zostać, ale jak im powiedzieć, że się zostaje — kiedyś, ot dla żartu czy eksperymentu tak robiłam — wpadają w przerażenie i starają ze wszystkich sił odwieść od takiego pomysłu. Dworzec Gdański pozabierał nam masę przyjaciół po '68 roku. Kupowali sobie ciepłe kożuchy, które rzadko im się potem przydawały, leczyli zęby — to były czasy, kiedy można było jeszcze wyleczyć zęby w Polsce — pakowali się i jechali z Dworca Gdańskiego na Berlin, Wiedeń, do Izraela, do Szwecji, do Francji, Danii, potem do Kanady i Australii, i Stanów. Potem był rzut tych z czasów Gierka, przypadkowych albo, jak to się na Zachodzie mówi, ekonomicznych. Wtedy rzeczywiście się jeździło za granicę, widziało, porównywało. Jedni zostawali, inni nie. A potem '80 i '81 rok. Otworzyły się możliwości wyjazdów, wszyscy jeździli, wielu nie wróciło. Kiedy na początku roku akademickiego 1981/1982 rozpoczęliśmy zajęcia na uczelni, okazało się, że grupy studenckie z 25-30 osób zmalały do 8-12. Czekaliśmy parę tygodni, potem trzeba było te grupy łączyć, zdawało się, że została na Zachodzie jedna trzecia studentów. Szło to wtedy w setki tysięcy z całej Polski. Powoli, powoli traciło się z emigrantami kontakt psychiczny. I to na tle jakichś drobnych spraw, np. nie pamiętali, że w Polsce nie ma bananów, że mamy bez przerwy

problemy finansowe („to wasze wieczne polskie dziadostwo”), że wiecznie brak nam elementarnych rzeczy. Drażniło ich nasze nieustanne zobaczyć wszystko, zrobić co się da, kupić na zapas, bo drugi raz może nie być okazji, bo nie dadzą paszportu, bo się coś zmieni. Ale kiedy zaczęła się „Solidarność”, a potem stan wojenny, biegli pomagać, popierać, sterowali wysyłką paczek, podtrzymywali przez polskojęzyczne radiostacje. I kiedy się spotykamy, natychmiast ta głęboka nuta porozumienia, jesteśmy z jednego gniazda, z jednego ziarna zasiani. Kiedy wyjeżdżamy na Zachód i znajdziemy wdzięcznego jak Pan słuchacza, gadamy, gadamy, opowiadamy o naszym życiu, o sposobach poruszania się w tej dżungli komunistycznej, o naszym codziennym polowaniu, o tym, co nam grozi i od czego nie ma wytchnienia w najciemniejszej kryjówce. O tym polskim życiu, życiu w komunizmie, które polega na tym, że trzeba, jak w „Alicji z krainy czarów”, biec ze wszystkich sił, aby zostać w tym samym miejscu, albo tylko trochę się obsuwać. Przeważnie nas nie rozumiecie, a my, my dzielimy was na tych, którzy jeszcze coś rozumieją i na tych, co nie rozumieją już nic. Wy możecie iść już sobie zwykłym krokiem. Tak naprawdę wasz wybór to był wybór życia, w którym nie trzeba gnać. My tutaj musimy ciągle biec do utraty tchu, jeżeli chcemy codziennie zjeść, dojechać i wrócić z pracy, dostać papier toaletowy, owoce dla dziecka, kupić jakieś odzienie, bo trudno to nazwać ubraniem, naprawić w domu to, co zepsute; tego biegu nie można przerwać ani na chwilę, bo się upadnie i zostanie przez ten ustrój stratowanym. On zmusza do nieustannej ucieczki przed swoim strasznym, trupim obliczem, zawsze tuż za nami jego kły i to nie są żarty. Szarpnie każdego, kto się potknie, wykańcza pracą, dojazdami, zatrutą wodą i zatrutym powietrzem, wykańcza w przychodniach, szpitalach, osamotnieniu, z braku lekarstw, braku pomocy; rodzinę podgryza, Kościół niszczy, żeby nie było takiego, co upadającemu poda rękę, żeby każdy upadający był groźnym memento: widzisz, co będzie, jak przestaniesz biec z nami... „Solidarność” to był ten moment, kiedy na chwilę przestaliśmy biec, kiedy chcieliśmy zrobić ostatni wysiłek, żeby móc iść normalnym krokiem. Nie musieliśmy wtedy ani jeść, ani czegokolwiek kupować, delegowaliśmy kogoś, kto kupował ciastka i tak przeżywaliśmy dzień po dniu przygotowując to lepsze życie, o którym i tak wiedzieliśmy, że nigdy nie nastąpi. Ale troszeczkę, troszkę mieliśmy nadziei, może się zdąży zrobić tyle, że potem — po czym właściwie? — coś jednak zostanie. Może.

Więc inni wyjeżdżali, a my zostawaliśmy na miejscu, wciąż przymierzając się do siebie nawzajem i do tamtych, co zostali na Zachodzie. Pokolenie wcześniejsze mówiło: wybrać wolność.

Myśmy zawsze mówili: zostać. Nie wiem czemu, to „wybranie wolności” zawsze mnie drażniło. Przecież wiemy dobrze, że nie taka to znowu wolność, i że w gruncie rzeczy nie o to chodzi. Wiem, jak u nas gloryfikuje się sytuację na Zachodzie, są jej liczne dowody w postaci doskonałych przedmiotów użytkowych, dla nas jeszcze w postaci bajkowego przeliczenia dolarowego, jeżeli komuś uda się tam popracować. Przy naszej nieustannej nędzy to właściwie dla większości jedyna droga, aby stworzyć sobie elementarny standard życia, kupić trochę potrzebnych do życia sprzętów, mieć jakiś zapas na czarną godzinę. Tam jest dobrze w porównaniu z naszym zmarnotrawionym na każdym kroku życiem, nam tu po prostu starannie przez komunistów podtrzymywane warunki życiowe odbierają samo życie, każdą energię trzeba spożytkować na uganie się za jakimś niezbędnym drobiazgiem, zamiast zająć się własnym rozwojem, pracą, wypoczynkiem, byciem z rodziną czy pomaganiem innym ludziom. Byłam na Zachodzie dość długo, pracowałam również w knajpie przy zmywaniu garów, w czym polska publicystyka zawsze widziała powód do wstydu, nie widząc, że wstyd przynosi raczej naszemu krajowi żenująca nędza ciężko pracujących, wykształconych ludzi. I kiedy zmywałam te gary za płacę, która pozwalała całej naszej rodzinie spokojnie żyć, kupować wszystko co potrzebne i odłożyć jeszcze na parę lat dokładania do pensji w Polsce, widziałam nienawiść tamtejszych pracowników do naszej właścicielki, osoby aroganckiej, piegowatej, młodszej ode mnie, która przechadzała się po knajpie popołudniami, żeby dojrzeć interesu, na której każdy ciuch kosztował trzy razy tyle, co nasza dzienna stawka. I we mnie budziła się ta nienawiść klasowa, wszystkie te uczucia, opisywane od czasów Dawida Copperfielda, zaczynałam rozumieć w naszych polskich oczach anarchistów, socjalistów i diabli jeszcze wiedzą kogo, ich bezradną nienawiść do własnego bytu. Ale — jak już mówiłam — tam była to kwestia jak być, a nie żeby w ogóle być, jak u nas w Polsce realnego socjalizmu, w świecie, który nie jest, jak nasz, szwankującym łaగrem, gdzie to co dla człowieka, dla jego zdrowia, przyjemności, za jego własną forszę wreszcie, nie będzie stratą dla państwa. Wychowali nas w poczuciu winy, że to co jemy, w co się ubieramy i to, czego z siebie nie wyprujemy, to strata dla naszej ojczyzny.

Lata 70-te to dla mnie były trochę lata błakania się, trudno było zaczepić się o jakąś pracę, wszędzie witały ironiczne uśmiechy, pytania o protekcję, lęk, że się odbierze pozycję. Moi powyrzucani koledzy robili inne studia i spóźnione magisteria, już teraz cisi — do czasu — cisi i potulni, chcieli nadrobić te szalone lata sześćdziesiąte ósme. Powoli, powoli, poprzez rok 1976 i późnego Gierka, płynęliśmy ku „Solidarności”.

Zadał Pan to pytanie tak samo, jak doktor-ubek u mnie w pracy, kiedy wezwano mnie w styczniu 1982 na tzw. rozmowę weryfikacyjną, a raczej przedweryfikacyjną, bo właściwa weryfikacja odbyła się nieco później, kiedy miałam już zakaz wstępu na uczelnię. On nie zapytał: czy była pani w KOR-ze, tylko od jak dawna tam byłam. Muszę przyznać, że mało co mnie w owych tygodniach rozśmieszyło tak jak to pytanie. Nie, nie byłam oczywiście, przecież członkowie KOR-u byli jawni, co nie znaczy, że nie sympatyzowałam, trochę też czasem pomagałam jeszcze na początku jego istnienia, ale nie była to żadna współpraca, a raczej coś w rodzaju drobnych uprzejmości. To mi wystarczało, im widocznie również. Okropne słowo „sympatyk”, rozpowszechnione teraz w zachodniej prasie: „Aresztowano grupę sympatyków 'Solidarności'”. Wziąwszy pod uwagę to, co powiedziałam przedtem, czym dla mnie i dla mojego pokolenia była „Solidarność”, przyzna Pan, że słowo „sympatyk” może co najwyżej rozśmieszać do łez. A więc, jak powiedziałam, lata '70-te były to trochę lata błakania się dla mnie. Jakoś nic nie było prawdziwe, nie mogłam się nigdzie zakorzenić. Pracowałam w jakichś pseudonaukowych instytutach, na uczelni, wykładając pseudonaukę, wciąż jednak chciałam zostać dziennikarzem. Interesowały mnie sprawy społeczne, chciałam pisać, angażować swój zmysł społeczny. Nie, nie miałam złudzeń co do politycznego oblicza tych instytucji, aczkolwiek wtedy może nie do końca zdawałam sobie sprawę z bezpośredniości ich powiązań z ubecją. Ciągle nie mogłam zatrudnić się na stałe. Jeszcze za Gomułki nie dostałam się na studia dziennikarskie w radiu. Przez osiem lat byłam pierwsza w kolejce do etatu, którego się nigdy nie doczekałam i nie tylko ja. Dopiero w czasach „Solidarności” i później, po przeczytaniu niezależnie wydanych książek opisujących ówczesną sytuację w środowisku dziennikarskim, zrozumiałam jak bardzo wszystko tam było zależne od ubecji, co oznaczały ironiczne uśmiechy wymieniane między dyrektorami, z którymi rozmawiałam w sprawie zatrudnienia, podkreślając z pewnym zażenowaniem swoje przygotowanie fachowe i spory dorobek; uśmiechy, z których należało odczytać wtedy: idiotka, naprawdę nie wie, co jest grane, czy beczelna? A tacy jak ja, jak my po '68 roku byliśmy niepewni, zostały gdzieś w ubeckich archiwach nasze podpisy pod niezliczonymi rezolucjami i protestami. Szybko, choć boleśnie uczuliśmy się, że tu, w Polsce coś umieć i chcieć, to nie wystarcza. Tu trzeba mieć całkiem inne kwalifikacje, ale tych zdobywać nie miałam ochoty. I nagle, gdy przyszła „Solidarność”, okazało się, że można było robić to, co się chce naprawdę, że można stać się tym, kim się jest. I ten strasznie trudny, pełen nieustannego wysiłku, napięcia, obaw i lęków, a zara-

zem nadziei, pełen sprzeczności okres stał się okresem spełnionych marzeń. Tyle się przedtem mówiło o podmiotowości, o byciu sobą, ciągle trudno było do końca uchwycić, o co to chodzi właściwie. Człowiek był spętany taką ilością zależności, tyloma koniecznościami, że to co mógł, było malutkie i jakieś niewłaściwe. Tymczasem tutaj, w czasie „Solidarności”, niemal wszystko zależało od ciebie. Oczywiście nie „wszystko” w takim sensie, żeby np. komuniści dali nam spokój, ale wszystko na małym, a czasem dużym odcinku codzienności. Ze wprowadzić nie można nic kupić, ale jeżeli już coś się uda, to nikt ci nie będzie dyktował, jak gotować ideologiczną zupę. Wiedziało się, że dobre jest to, co dobre zgodnie z własnymi pojęciami na ten temat, podobnie jak to, co sprawiedliwe i słuszne, i można było o to walczyć, przedstawiać swoje racje, nikt nie mógł już narzucać swojego punktu widzenia, co najwyżej przedstawiać go i przekonywać. I można było tego nie przyjąć. Przestała rządzić fałszywa dialektyka, że najlepiej jest wtedy, kiedy ludziom jest gorzej, żeby im kiedyś było lepiej. Czułam, robiąc moje pismo, że robię nie tylko to co chcę i lubię, ale że jest to potrzebne innym i pożyteczne dla całego środowiska, ba, dla całego kraju. Czułam, że moje praca służy czemuś prawdziwemu, a nie tylko zaspokojeniu moich potrzeb i odfajkowaniu wykonania planu. I robiłam ją zgodnie z moim sumieniem i wiedzą, wkładając w to wszystkie moje umiejętności. Kiedy dzisiaj oglądam kilkanaście wydanych przeze mnie numerów pisemka, trudno mi uwierzyć, że dokonaliśmy z przyjaciółmi takiego dzieła. Wszędzie w „Solidarności” spotykałam takich ludzi jak ja, przeważnie moich rówieśników, choć oczywiście było bardzo wielu ludzi jak ja w najróżniejszym wieku, bardzo młodych i zupełnie siwych, dla których, jak twierdzili, był to ostatni zryw... Spotkałam wszystkich moich przyjaciół i znajomych, tych nawet najbardziej przelotnych i przypadkowych, na wszystkich szczeblach „Solidarności”, w komisjach zakładowych, w agencjach prasowych, na dyżurach prawniczych u robotników, jako członków różnych ciał doradczych. Z wieloma spotykaliśmy się po raz pierwszy od wielu, wielu lat, od razu rozumieliśmy się i cieszyliśmy się wzajemnie swoją obecnością, mieliśmy od razu do siebie zaufanie. Niektórzy zarzucali nam, że stanowimy „sitwę”. Śmieszne określenie. Wiedziałam np. przecież, że jeżeli trafiam na dyżurze na człowieka, którego bito przy mnie na dziedzińcu uniwersyteckim w '68 roku, to mogę mu ufać, nie muszę mu wiele tłumaczyć i wiem, że robi na pewno, o co poproszę. I on wiedział to samo o mnie. W tym sensie była to „sitwa”. Ale przecież inni tak szybko wchodzili w nasze grono, nie było tu żadnego zamknięcia, może na początku czasem chwila rozmowy, może w niektórych środowiskach. Zdarzające się przypadki

nieufności wobec nieznanym, zamykania się w sobie były zresztą zrozumiałe, stanowiły element samoobrony przed infiltracją przez ubecję. Ja tylko zawsze podkreślałam w sporach i dyskusjach na temat, że należy dać z naszej strony absolutny kredyt zaufania ludziom pochodzącym z wyboru, delegatom, bo jeśli wśród nich były wtyczki, to wyborcom się to należy mimo wszystko: to wtyczki miały postępować fałszywie, a nie my. W gruncie rzeczy zresztą niewiele mieliśmy do ukrycia, chodzi mi tu raczej o postawę, o pierwszy odruch wobec swoich i obcych. Powiedziałabym, że nawet czasem mnie bolało, gdy widziałam, że coś się ułatwia mnie lub komuś podobnemu, nie dlatego, że robimy to co robimy, ale że jesteśmy „chłopcy z lasu”. Uważałam, że to jest duże niebezpieczeństwo, to kombatanctwo znaleźliśmy w wydaniu komunistów, moczarowców i im podobnych. Przyjemnie było wszędzie spotykać tylu ludzi, do których można było mieć zaufanie. Zdawało się, że udało się odwrócić bieg naszego przegranego losu. Mieliśmy pierwszą, prawdziwą, prawdziwie demokratycznie wybraną reprezentację. Mieliśmy swoje państwo w państwie, w którym co prawda przymusowi współlokatorzy przeszkadzali nam jak mogli, ale gdzie naprawdę rządzyliśmy się sami. Marzyliśmy o jednym: niech sobie będą (niektórzy chcieli im dać po willi i samochodzie) byle tylko się do nas nie wtrącali, byle dali nam żyć, tak jak chcemy. Byle w ogóle dali nam żyć prawdziwym życiem.

13 grudnia przed 8-mą rano mój mały synek usłyszał pukanie i otworzył drzwi. Wpadło ich dwóch. Ślaniali się na nogach, jeden nawet padł z wyczerpania na krzesło. Gdybym chciała, bez trudu stawiałabym tzw. czynny opór. Nie wierzyłam, kiedy oznajmili mi, że jest stan wojenny (co takiego?). Otworzyłam radio i usłyszałam słowa Jaruzelskiego i dźwięki hymnu. Od tej pory Mazurek Dąbrowskiego wywołuje u mnie lekkie mdłości. Chwilę nie rozumiałam, czego właściwie chcą: internowanie? To jakiś termin z drugiej wojny światowej, dotyczący jakichś łodzi podwodnych, oficerów, całkiem innych ludzi i innych sytuacji. Podsuwali kwitek, że zaprzestane działalności szkodliwej dla państwa polskiego. Proszę pani — powiedział starszy — Własek internowany, pani znajomi też, region Mazowsze nie istnieje. Rzuciłam się do telefonu — nie działał. Ośłupiałam. Więc to już? Naprawdę wszystko już się skończyło? Przecież nie wszystko jeszcze zrobiliśmy, nie wszystko poszło tak jak trzeba. Boże daj nam jeszcze poprobować! Bóg milczał pełen troski, jak zawsze, gdy w grę wchodzi wolna wola złego człowieka. Mój synek zrozumiał, że chcą mu zabrać mamę, dał się jak opętany. Chciałam kalkulować, nie kalkulowałam. Chciałam obliczać szanse, nie obliczałam. Patrzyłam na mojego synka i myślałam: czy dać mu

przykład, jak się powinno potępować, żeby pamiętać, że jego matka nie ugięła się przed przemocą, czy...? Czy raczej spełnić ich śmieszne żądania i zostać z małym? Jego rozpaczliwy krzyk utwierdził mnie w decyzji, która właściwie nie była nawet decyzją. Wytargowałam drobne zmiany w tekście lojalki i podpisałam ją. Poszli sobie obaj, jeden dziwnie znajomy z widzenia, pewnie od czasu do czasu mnie śledził, drugi strasznie młodziutki, chyba nie więcej niż 19-letni zapatrzony wytrzeszczonymi oczyma w mój dom i we mnie, w moje dziecko, pochłaniający widok emblematów „Solidarności” na ścianach i sprzętach. Poszli, a mój synek przez okrągły rok pytał przed zaśnięciem, ale nie przyjdą jutro rano i nie zabiorą ciebie, mamusiu?

Poszli, a we mnie brzmiało coś w rodzaju żałobnej melodii: ...odebrali nam naszą „Solidarność”! Odebrali nam naszą „Solidarność”! Jak niedobre zakończenie tej bajki, opowiadanej sierpniową nocą w pociągu: będziemy wolni, babciu. Wszystko się skończyło. Są tacy, co się czują wciąż wolni; ja nie. Przeszła „Solidarność”, ale została świadomość, co robić, jak postępować. Czasem wydaje mi się, że perspektywy nie są najlepsze, ale czy mamy rezygnować?! Jak powiedział Santayana: trudne jest to, co można mieć zaraz; niemożliwe to, na co trzeba trochę dłużej czekać. Czasem jest bardzo trudno, czekamy przecież już tak długo! Ale trzeba żyć i coś robić niezależnie od tego, czy świat potrwa trzy tygodnie. Trzeba tak żyć, bo a nuż jednak przetrwa? A nuż się jednak doczekamy? Nie robiłam w porę tylu rzeczy, bo byłam pewna, że niedługo już koniec wszystkiego. Od czasu śmierci księdza Popiełuszki wiem, że powinnam zrobić tyle, ile się da, tak prędko, jak się da. To moja, nasza powinność za Jego śmierć i za to, żeby inni nie musieli umierać. Albo żeby wiedzieli, że co umierają. To bardzo górnolotne słowa. Pan się uśmiecha. Nie, myślę, że nasze pokolenie tyle się naczytało o bohaterach na barykadach i tyle razy przeżyło cudzą śmierć, że nie ma wśród nas amatorów poświęcania życia. O nie. Może dlatego „Solidarność” miała tak mało ofiar. Bo przecież tak naprawdę — wiem, że wielu się oburzy — mało kto miał ochotę oddawać życie. To odebrałoby szansę prowadzenia dalej tej gry. A my nigdy nie lubiliśmy, żeby coś było naprawdę i ostatecznie. Tym się pewnie różni ten nasz patriotyzm wobec „Solidarności” od patriotyzmu naszych walczących o Polskę ojców.

Więc nie mówiąc górnolotnie, tylko zwyczajnie, chciałobyś my zostać w Europie, mieć normalne życie cywilizowanego człowieka. Młodszy od nas już właściwie nie wiedzą, jak powinno wszystko wyglądać, nie wiedzą, że Polska nie leży już w Europie. Więc ważne jest, żeby przekazywać im jak się żyje, jak powinno być nawet w sprawach tak elementarnych jak ubieranie się, urzą-

dzanie świąt itd. Przecież u nas nikt już nie umie przyzwoicie nakryć do stołu! Sprawy zupełnie mało ważne same w sobie, ale stanowiące świadectwo istnienia kultury życia codziennego, ciągłości tradycji w najdrobniejszych nawet jej przejawach. My już znamy to głównie ze słyszenia, albo z krótszych czy dłuższych pobytów w krajach cywilizowanych. Więc wcale nie jest nam łatwo to przekazywać. Ale jednak powinniśmy to chronić, przynajmniej kulturowo trzymać się Europy. Pamiętam, jak kiedyś na imieninach mojego małego, w pokoju dzieci zapadła głucha cisza. Zaniepokojeni dorośli zobaczyli tam następującą scenę: dzieci w milczeniu stały pod ścianą rzędem, przestępując z nogi na nogę, co pewien czas wykrzykując: nie wypychać się! Bawiły się w kolejkę do sklepu mięsnego. Przypomina mi to jeden z najlepszych dowcipów 40-lecia PRL, wyczytany w podziemnej książeczce „Kawał polski”: Gdzie stanie pomnik Matki-Polki? W kolejce. A jaki będzie miał napis na cokole? — Pani tu nie stała. Na ten dowcip wybucha się tym samym zrozpaczonym śmiechem, co na widok dzieci wypisujących pracowicie, z wysuniętym z wysiłku języczkiem, kartki na mięso: dyrektor — 10 kg, sekretarz — 15 kg, mama — 2,5 kg. Czy rzeczywiście widok dzieci bawiących się w czasie wojny w naloty czy łapanki był okropniejszy? Przecież one tam miały jasno określonego wroga, wiadomo było, kto był zły i co go miało za to spotkać. A tu nie wiadomo, kto właściwie jest zły. Poprzez zabawę dzieci uczą się sposobów dobrego urzędnika świata. Trzeba więc uczyć je właściwej hierarchii wartości, dawać im punkty pewności. Przede wszystkim dbać o ich poczucie rzeczywistości, którą komuniści tak chętnie zamulają swoimi dialektycznymi teoriami i mitologiami. Trzeba uczyć je świadomości, że naprawdę jedynym kryterium wszystkiego jest człowiek. W socjalizmie, naszym socjalizmie, jak wiadomo, również najwyższą wartością jest człowiek, tylko że człowiek sowiecki, a ten się jeszcze nie wychował, więc wszyscy inni muszą póki co ponosić ofiary w oczekiwaniu na jego nadejście. Jeżeli Bóg nie zawsze jest pewny, jest Go tak mało i nie wszędzie, jedynym stałym, niedialektycznym punktem świata jest prawda. Ona daje m.in. odporność na propagandę, to co na co dzień jest jedną z najważniejszych umiejętności. Czyż nie warto być odpornym na przysięgi Jaruzelskiego i Kiszczaka, że czynią wszystko „ku chwale ojczyzny”? Trzeba, trzeba, trzeba... Przed nami góra, na którą wspinać się jest naszym losem. Czy ja rzeczywiście widzę sens tego chwytania się za brzytwę, jak Pan to określił, tego gnania do ostatniego tchu? Widzi Pan, życie nauczyło mnie jednego, że sens jest zawsze, tylko my nie zawsze go widzimy.

Maria SZERSZEŃ

Kronika kulturalna

Nędza literatury

W majowym numerze *Kultury* ukazał się ciekawy szkic Leszka Szarugi pt. „Wielkie oczekiwanie”, poświęcony kulturze niezależnej w Polsce, jej przemianom, jej uzależnieniom wewnętrznym i zewnętrznym oraz jej najbliższej przyszłości. Ze względu na zainteresowania Szarugi — krytyka i poety — większą część tekstu wypełniają uwagi o literaturze. Jej to zaangażowaniem w życie społeczne, jej porażkami i sukcesami mierzy Szaruga stan kultury niezależnej w Polsce.

Kulturę niezależną ogranicza — zdaniem autora — jej zaangażowanie po jednej stronie władza-antywładza. Nietolerancyjne, nadmiernie upolitycznionej, „szlachecko-inteligenckiej” literaturze polskiej stawia Szaruga za wzór tolerancyjną, ironiczną wobec natury rzeczy, „plebejsko-mieszczańską” literaturę czesko-słowacką. „Polskie piśmarstwo jest zniewolone także przez to, że wolność redukuje do sfery politycznej, że zwęża granice tolerancji, że zubaża pole widzenia ludzkich spraw”.

W tym oskarżeniu kryje się tęsknota za dziełem powstałym w uniwersalnym języku, dziełem na miarę kilkadziesiąt lat trwającego wysiłku w obronie niezależności i rodzimego ducha kultury polskiej. Jego współczesne podstawy stworzyła literatura polska w okresie międzywojennej niepodległości; po wojnie jego nowe warianty formułują zarówno pisarze krajowi jak i emigracyjni, ci ostatni — według oceny krytyka — przede wszystkim. „Jednakże wszystkie te próby są od siebie izolowane, istnieją w rozproszeniu, brak dla nich interpretacyjnego centrum w zatomizowanej kulturze”. Wypada tylko zdać się na dobrą wolę krytyka i uznać, że scalenie „rozproszonych języków” nie groziłoby nadmiernym ich ujednoliceniem i nie skierowałoby ich przyszłego,

syntetycznego wcielenia na drogę afirmacji elementów jednorodnych kulturowo.

W dziejach kultury powojennej „punktem zwrotnym” stać się miał dopiero debiut pokolenia '68, które jako pierwsze „odbudowywać poczęło przestrzeń wspólnoty kulturowej”. To dzięki etycznemu zorientowaniu ich poezji, której głównym zadaniem stało się ocalenie prawdy o świecie, powrót do wspólnoty stał się znowu możliwy. Twórcy tego pokolenia nie tylko potrafiały „syntetyzować nasze doświadczenia”, nie tylko umiejętnie opisują rzeczywistość, ale, co więcej, czynią to „przede wszystkim w warstwie 'głębokiej’, w warstwie życia duchowego”. Oczywiście — dodaje z uroczą nonszalancją krytyk — trzeba także pamiętać o przeciętnym czytelniku, dla którego ważny jest opis codziennej rzeczywistości, ten zaś dawały kiedyś debiutanckie tomiki pokolenia '68 i poezja Białoszewskiego (!), wciąż brak go natomiast prozie.

I. ROZPROSZENIE JEZYKÓW

1. Miłość sąsiadów

„Wolność artysty oznacza prawo schylania się nad różą, gdy płoną lasy. Tu granice społecznej tolerancji w Polsce są niezwykle ciasne” — pisze Leszek Szaruga, wskazując jednocześnie, że tę wolność, wolność artysty do własnych, niezależnych od politycznej postaci świata sposobów jego widzenia zachowały literatury czeska i słowacka. Obecny w nich dystans wobec świata podzielnego na tych, którzy mają i nie mają racji, poczucie humoru i wrażliwość na prywatność podstawowych wymiarów życia każdego człowieka stanowi o trwałości ich artystycznych osiągnięć. Twórczość Kundery i Havla, Hrabala i Seiferta, Kohouta, Mnacki, Halasa i Simecki zwiększa liczbę zwolenników obu literatur w Polsce. Wskazanie więc dziś na obie te literatury jako na pewien wzór artystyczny, a także wzór odmiennego, wartościowego widzenia problemu współczesnego upolitycznienia wymiarów życia obywatela Europy Środkowej — tak jak to czyni Szaruga — jest na pewno pożyteczne. Nie można jednak zgodzić się z dalszymi wnioskami, jakie krytyk ów wyprowadza z własnych uwag. Po pierwsze stan zniewolenia polskiej literatury nie jest bynajmniej spowodowany redukowaniem własnej wolności do wymiarów wolności politycznej (o czym później), po drugie nieporozumieniem jest twierdzenie, że jesteśmy świadkami otwarcia kultury polskiej na problematykę Europy Środkowej, czego wyrazem miałyby być obecne wyczerpanie na kulturę czeską i słowacką.

Złośliwie można by napisać, że obecne zainteresowanie kulturą południowych czy wschodnich sąsiadów Polski nie jest spowodowane niczym innym jak *upolitycznieniem* i rozrostem form kultury niezależnej w Polsce, oraz faktem istnienia opozycji politycznej i związanej z nią kultury niezależnej w Czechosłowacji. Pokażcie mi dysydenta Bułgara, a zajmę się kulturą bułgarską, moglibyśmy zapewne usłyszeć z ust krytyka myślącego podobnie do autora „Wielkiego oczekiwania”. Utrzymując ton umiarkowania należy chociażby zaznaczyć, że przywoływanie zainteresowania literatury polskiej problematyką dawnej, wielonarodowej Polski, jej kresami a nawet życiem Galicji z czasów *Austriae felix* jako przykładu otwarcia na Europę Środkową jest subtelnym wprowadzeniem, ale wyraźnym myślowym nadużyciem. Pisarze emigracyjni, na których powołuje się Szaruga — Vincenz, Stempowski, Miłosz, Odojewski, Mackiewicz — czy krajowi — Buczkowski, Kuśniewicz lub Konwicz — opisują przede wszystkim świat, który ukształtował ich młodość, w którym żyli ich bliscy, rodzina i przyjaciele, świat, który wycisnął na nich swe niezatarte piętno. Wileńszczyzna, Wołyń czy Podole to ojczyzny, w których bohaterowie ich książek, podobnie jak oni sami, pobierali także pierwsze lekcje patriotyzmu i umiłowania polskości. Wzmoczone dziś zainteresowanie twórczością tych spośród wymienionych autorów, do których książek dostęp był przez wiele lat utrudniony, świadczy przede wszystkim o próbie odnalezienia wszystkich odcieni wielowątkowej kultury dawnej Rzeczypospolitej, ojczyzny wielu narodów, odnalezienia zarodków nowych sił w inaczej rozumianej tradycji. Przeszłość polskiej kultury przeciwstawiana jest dotychczasowym, popularyzowanym bądź narzucanym przez władzę postawom, które musiały mieścić się w ramach powrotu do „idei” Polski piastowskiej, z jej „pokojuowymi i sprawiedliwymi, *etnicznymi* granicami”. Literatura pierwsza podjęła się obrony zagrożonej pamięci kulturowej i między innymi dzięki wyżej wymienionym pisarzom zadanie to spełniała i spełnia dobrze, tworząc nurt najwartościowszy chyba i najciekawszy artystycznie w polskiej prozie i esejistyce ostatnich kilkudziesięciu lat. W tej kresowej orientacji literatury pięknej i esejistyki tkwi jedno ze źródeł sukcesów publicystyki niezależnej — proces „odzyskiwania pamięci”, któremu one służyły, pozwala dziś bez wyrzutów sumienia odrzucać oskarżenia o nacjonalizm bądź sentymenty rewindykacyjne w niepodległościowych dyskusjach, prowadzonych na łamach podziemnych czy emigracyjnych wydawnictw.

Stąd jednak do bliższego zainteresowania naszą częścią Europy jest jeszcze dość daleko — Polska w granicach swych dawnych ziem i wpływów kulturalnych to nie Europa Środkowa! Błędnie dobrane przykłady, co jest zresztą zapewne spowodowane brakiem innych dowodów, przeczą postawionej wcześniej przez kry-

tyka tezie. I znów, przez paradoks, o wiele bardziej wyczulona na tę problematykę jest publicystyka *stricte* polityczna, istnieją nawet pisma całkowicie tej części świata poświęcone jak *Obóz* czy *ABC*. Inaczej też, z dala od lirycznych wizji i stereotypów historycznych, przedstawia problem współzycia Polaków z narodami, które niegdyś zamieszkiwały Rzeczpospolitą Obojga Narodów, Kazimierz Podlaski w ważnej książce: „Białorusini, Litwini, Ukraińcy. Wrogowie czy bracia?”. To raczej tej książce, nie wymienionej przez Szarugę, należy przypisać „szczególną rolę” wewnątrz rozwijanego w naszej kulturze wątku stosunków Polski z jej sąsiadami, aniżeli podawanej za przykład eseistyce Włodzimierza Paźniewskiego czy, tym bardziej, Adama Zagajewskiego, nie umniejszając wartości tekstów tych ostatnich. Ponadto, wracając do samego problemu intelektualnego „wyczulenia” na kulturę czeską i słowacką — jak nazywa to Szaruga — można powątpiewać, czy jest ono obecnie wyższe niż było w drugiej połowie lat sześćdziesiątych, czy nawet jeszcze w początkach lat siedemdziesiątych, w okresie fascynacji nową falą w kinie czeskim, filmami Formana, Menzla czy Chytilovej, twórczością Hrabala, Skvoreckiego, Parala, pierwszymi tłumaczeniami Kundery, w tym słynnym „Zartem”, wciąż chyba najlepszą powieścią tego pisarza.

Jest to niezależnej krytyki choroba pierwsza: przypisywanie sobie zasług i odkryć, należących do innych lub do niedalekiej wcale przeszłości, przypisywanie sobie zasług i odkryć także wówczas, gdy zdołano uczynić zaledwie kolejny, skromny krok naprzód.

2. Człowiek to jednak zwierzę polityczne

Obok niezbyt trafnie opisanych źródeł wzrostu zainteresowania problematyką środkowoeuropejską we współczesnej kulturze niezależnej — Szaruga pomija w opisie kresowego wątku tak ważne nazwiska jak Melchior Wańkowicz czy Paweł Jasienica, bez wątpienia istotniejszych dlań pisarzy od np. niejakej twórczości Kuśniewicza — znajdziemy w „Wielkim oczekiwaniu” szkicowy opis innych wątków i problemów, ważnych dla przyszłych losów literatury polskiej. I tym razem zastanawia dobór materiału i nazwisk. Gdy autor wspomina o nierozpoznanej jeszcze tradycji literatury polskiej okresu międzywojennego, ogranicza się do „szkolnej” listy autorów, największych spośród tych, którzy byli bliscy awangardzie, bez zastanowienia zresztą umiejscawiając w niej Tadeusza Micińskiego, zamordowanego na kresach w 1918 roku. Gdy pisze o literaturze współczesnej, wbrew zasadniczej tezie własnej krytyki skupia się w zasadzie na nazwiskach związanych dziś mniej lub bardziej z opozycją wobec kultury ofi-

cialnej. Kryterium polityczne? Może, wyjątki w rodzaju Leopolda Buczkowskiego potwierdzają tylko regułę. Ten sposób myślenia należałoby pokrótce tak scharakteryzować: z drugiej strony „barykady” wybierzmy sobie najlepszych, jeżeli tylko zbyt wyraźnie po niej się nie opowiadają, ale bliżej zajmijmy się tylko swoimi. Ilość nieporozumień w takim wypadku oczywiście wzrasta. Gdy krytyk śledzi wątek katastroficzny we współczesnej literaturze polskiej, nie wiadomo dlaczego łączony z fascynacją śmiercią w poezji polskiej, czyni to tak, że nie można weni wpisać do brych, lecz dawniejszych powieści Konwickiego, a jedynie nowsze i słabsze, jak chociażby „Rzeka podziemna, podziemne ptaki”. Można wówczas wymienić słaby poemat Pawlaka „I śmierć, wiele śmierci”, ale nie zmieści się tu poeta, który był problematyką tą opętany — Rafał Wojaczek. Pasują także ostatnie książki Jarosława Marka Rymkiewicza, spośród którego zbiorów poetyckich wymienienia zostaje tylko „Mogiła Orzona” (!), nie pasują natomiast ostatnie powieści zafascynowanego światem w stanie rozkładu Buczkowskiego, mimo iż wcześniej jest on, gdzieś po przelocie, wymieniony.

Porzucając ten wymyślony wątek katastrofizmu kawałkowa-nej przez krytyka literatury, spojrzmy na nurt wierności tradycji i podstawowym wartościom kultury zachodniej. Klasycystyczne idee będą reprezentować Przybylski, Rymkiewicz (w latach sześćdziesiątych — w tym wypadku warto cofnąć się w odległą przeszłość!), jako książka niezwykle ważna dla konstruowania nowego, poszukiwanego w tej sferze wartości języka będzie wymieniony „Barbarzyńca w ogrodzie” Herberta, ale, cóż, pamięć jest krótka, nie znajdzie się w tym wątku miejsca dla równie ważnych i kto wie czy nie piękniejszych, zakamuflowanych esejów Jacka Bocheńskiego: „Nazo poeta” i „Boski Juliusz”. Swoi i obcy? Nie chcę myśleć w ten sposób, chociaż gdy Szaruga mówi o wątkach romantycznych potrafi odwołać się tylko do Marii Janion — którą również bardzo cenię — zaczynam się rozpaczliwie rozglądać, czy naprawdę już nikt inny nic ciekawszego o kulturze romantycznej poza „Czasem formy otwartej” w ciągu, cytuję, „ostatnich kilkunastu lat” nie napisał?

Przytoczone sztuczne podziały na „wątek romantyczny” i „wątek klasyczny” zostały dokonane według ukrytych, współczesnych kryteriów politycznych. Bezpośrednio po ataku na nadmierne upolitycznienie literatury krytyk z całym namaszczeniem dzieli jej bogate wnętrza według miary jej i jej autorów zaangażowania w sprawy polskie i Polaków. Fascynacja śmiercią może być ważna dla literatury, ale tylko wtedy, gdy mowa o „śmierci Polski i Polaków”, katastrofizm wtedy istnieje w literaturze polskiej, gdy jego autorzy zastanawiają się nad możliwym, przyszłym unicestwieniem „Polski i Polaków”. Twórczość Grynberga, rozpacz-

liwie przywołującego tragizm polskich Żydów, poety, który oskarża człowieka o zezwierzęcenie i okrucieństwo, nazywając go „eksperymentem, który wysunął się komuś z rąk” — nie pasuje, chociaż jest on pisarzem emigracyjnym, przedrukowywanym w podziemiu i chyba najkonsekwentniejszym katastrofistą, opisującym świat już po zagładzie! A gdzie znaleźć miejsce dla tak nieprzejednanych, żarliwych wyznawców wolności jak Marek Hłasko, wspomniany Rafał Wojaczek czy Edward Stachura? Czy nie zadziwia łatwość, z jaką można dziś w niezależnej krytyce odwoływać się do wzorów czeskich lub, pisząc o prozie „małego realizmu”, wskazywać w kółko na Marka Nowakowskiego i Janusza Andermana jako przykłady „dobrej roboty”, tak jakby nigdy nie powstały np. „Wirówka nonsensu” czy „Nowy taniec la-ba-da” Janusza Głowackiego?

W tym sporze naprawdę nie chodzi o licytowanie się nazwiskami ani o odmienne gusty. Chodzi o sposób myślenia, który do krytyki literackiej i literatury wniosło pokolenie '68, a który prezentuje w omawianym artykule Leszek Szaruga. Temu to pokoleniu, jak wcześniej wspomniałem, przypisuje on rolę punktu zwrotnego w odbudowywaniu „przestrzeni wspólnoty kulturowej”, jakby nie dostrzegając, że język, który temu zadaniu kiedyś służył, dziś już nie jest nośny, na co styl jego własnej krytyki jest najlepszym przykładem.

Oto krytyki niezależnej choroba druga: podporządkowanie kryteriów z roku 1986 sposobom myślenia o literaturze i jej wartościowaniu wypracowanym już dość dawno, przez pokolenie '68.

3. Winni i niewinni

Czas zdać sobie wreszcie sprawę — także w piśmach niezależnych — że minęły już piękne czasy walki wierszem o imponderabilia, a także przyjęty wówczas dość bezpośredni sposób jej prowadzenia (choć trwa ona w innych formach). Można się jednakże zgodzić z poglądem, że język krytyki o wiele wolniej oczyszcza się ze starych przyzwyczajęń, podczas gdy poezja zwycięża często dla dobra wszystkich samego poetę, który wyzwalając się wówczas z doktryn młodości, unika szczęśliwie losu samoepigonizmu, który niejednokrotnie już za życia kieruje autorów do archiwów (los np. Stanisława Grochowiaka czy Jerzego Harasymowicza). Rzecz w tym, że siła etosu godności i wytrwania, który przypisywany jest pokoleniu '68, siła jego dawnych osiągnięć poetyckich oraz fakt, że kilku jego przedstawicieli jest aktywnymi krytykami powodują, że jego zejście ze sceny odbywa się powoli, z bólami, a co gorsza ze świadomym zamiarem nadania dalszemu biegowi literatury polskiej kształtu takiego, jaki jest

mu bliski. Jesteśmy dziś świadkami jego właściwie „konserwatywnego” oporu wobec nowych zjawisk w literaturze oraz prób uporządkowania jej bieżących dziejów w myśl własnych kryteriów estetycznych.

„Sztuka wyzbyta radości tworzenia, zredukowana do powinności, sztuka, która ma 'reprezentować' zamiast poszukiwać, musi w efekcie zwyrodnąć” — pisze Szaruga pod koniec swego artykułu. Twierdzenie oczywiste, a przecież zadziwiające w ustach autora „Wielkiego oczekiwania”. Wynika bowiem z niego, że Bogu ducha winni spadkobiercy, zapatrzeni niekiedy bezkrytycznie w swego poprzednika, winni odpowiadać obecnie za jego grzechy. Autorzy zaliczani do pokolenia '68 od początku swej kariery poetyckiej odznaczali się wysoką świadomością krytyczną i autokrytyczną. Najwybitniejszy spośród nich, Stanisław Barańczak, ostrzegał przed nadużywaniem „cudzego słowa” już w okresie pierwszych podsumowań osiągnięć własnego pokolenia, pisząc w słowie wstępnym do „Wierszy” Jacka Bierezina w lipcu 1974 roku: „Słabością (...) jest przede wszystkim fakt, że atakując skostniały język 'oficjalny', poezja ta nie zawsze potrafi przeciwstawić mu swój w ł a s n y język”. Barańczak zakładał jednak, że ta słabość wstępnej, kontestacyjnej formy zostanie wkrótce przezwyciężona, twierdząc dalej, że poeci krytyczni wobec rzeczywistości są na ogół krytyczni także wobec własnych osiągnięć. I tu chyba zawiodły krytyka zdolności nie tyle przewidywania, ile oceny uwikłania poezji własnego pokolenia w grę z rzeczywistością, z jej politycznym obliczem, kosztów jakie trzeba za takie zaangażowanie płacić, jakie przyszło zapłacić wszystkim właściwie jego reprezentantom. W „pojedynku z Gazetą” zwyciężyła wprawdzie poezja, ale na placu boju dziś pozostała już tylko Gazeta. Rola poezji dość dawno już przejęła prasa niezależna. Słabości wyzyskiwania wielogłosowości języka i metody lingwistycznej w sporze z językiem „oficjalnym” wynikały z samej podstawy działania przy pomocy broni przeciwnika. Ubóstwo języka „oficjalnego” nie zostało dobrze ocenione; obnażano przede wszystkim jego kłamliwą naturę, cytując, drwiąc i przetwarzając, gdy tymczasem pomieszanu uległy dwie różne rzeczy. Kłamstwu wystarczy przeciwstawić prawdę (choć brzmi to tak nieprzekonywująco!) i nie trzeba czynić tego wyłącznie na poziomie sporu z jego aktualnym, zmiennym w końcu językiem. Poeci pokolenia '68 weszli w ów spór z językiem jako materia, siłą rzeczy najbardziej im bliską, w debiutanckich książkach od razu osiągając maestrię dzięki zastosowaniu ironii. Następne książki okazały już sporą bezradność ich autorów, którzy sami powstrzymali się od ewentualnych poszukiwań. Być może ulegli presji zmieniającej się sytuacji społecznej, a także dość powszechnym wówczas nadziejom, że twórczość ich z tym większą determina-

cją będzie tym zmianom towarzyszyć, a być może własnemu przekonaniu, że należy dalej pełnić tak rozumianą misję. Gdy Kornhauser uczynił „krok w bok”, został zaatakowany przez Barańczaka recenzją pod wymownym tytułem „Sztuczny spokój”. „Zjadacze kartofli” — to nie była książka dobra, ale Barańczak zarzucał Kornhauserowi przede wszystkim rezygnację z walki, rezygnację z etycznego niepokoju, „wyrzeczenie się pewnych tematów i pewnych problemów”. Tymczasem sam Barańczak, konsekwentnie wierny moralistycznemu stosunkowi do świata, napisał w końcu tekst „Przywracanie porządku” skupiający wszystkie słabości dotychczasowej poetyki, bardzo krytycznie przyjęty w kraju nawet przez stałych, wiernych czytelników autora.

Z jednej strony mamy więc do czynienia z podziwu godną samoświadomością pokolenia '68, któremu myśl krytyczna towarzyszyła prawie od samego początku, z drugiej z wyraźnymi objawami samozadowolenia i swoistym, podświadomym dążeniem do monopolu na rację, ułatwionym przez niewątpliwie, powszechne uznanie jego licznych przeciwieństw. Poezja pokolenia '68 była poezją redukowaną do powinności, brakowało jej od lat oddechu i swobody. Najbardziej zastanawia dziś ewolucja Ryszarda Krynickiego, który po 13 grudnia rozpaczliwie odzierał swe teksty z obecnej w nich dotąd metafizyki, jakby nagle chciał, po czasie, zawrócić bieg poezji. Ten najbardziej moralistyczny ze swej grupy poeta zmienia się w sposób najmniej oczekiwany, Barańczak zaś i Zagajewski — że poprzestaną na najważniejszych nazwiskach — odrywają się powoli od dawnych technik i dawnych zaangażowań, tak jak oddalają się powoli od realiów życia w Polsce, żyjąc od kilku lat na emigracji. Nowe wiersze Barańczaka, opublikowane w 14 numerze *Zeszytów Literackich*, podobnie jak kilka wcześniejszych, przejmują autentycznością, wyraźnie widoczną walką autora o życie swojej poezji w emigracyjnym osamotnieniu — wspomnienia, które w nich dochodzą do głosu, toczy nostalgia; nowe wiersze Zagajewskiego, często wirtuozerskie, nawiązujące do wczesnych dokonań Krynickiego, rażą wymysłem i nadmierną skłonnością do erudycji, ale o tym pisałem już gdzie indziej.

Przedstawiciele pokolenia '68 nie chcą zejść ze sceny. Nie dziwny się temu, przetrwali zeń poeci najlepsi. Z sympatią można więc przyglądać się wysiłkom Barańczaka, Zagajewskiego czy Krynickiego, ale nie można zgodzić się na kształtowanie obecnych ocen życia literatury polskiej, jej przeszłości i nadziei z nią związanych tylko według kryteriów przesłania, powinności i zaangażowań w życie narodu, jak czynią to liczni krytycy pism niezależnych w kraju, wciąż te same nazwiska stawiając za wzór. Leszek Szaruga, poeta o własnej drodze lecz o wspólnym z Barańczakiem czy Bieżyńskim stosunku do przeznaczeń poezji, dokonuje w

„Wielkim oczekiwaniu” wyczynu iście cyrkowego. Oskarża literaturę o nadmierne „upolitycznienie”, każe jej patrzeć na lepsze wzorce, aby następnie wszystkie zasługi ocalenia i odbudowania wewnętrznej spójności kulturowej przypisać pokoleniu '68 i na końcu stwierdzić spokojnie, że „już dawno nasza sztuka nie przeżywała tak silnego i głębokiego kryzysu”. Oto się nazywa odwrócić kota ogonem! Rzecz cała w tym, że winę za ów „kryzys”, wbrew przekonaniom krytyka, ponosi w dużym stopniu właśnie pokolenie '68!

Wydawnictwa stanu wojennego zostały zalane tekstami postlingwistycznymi, naśladowano chwytły i język, odwoływano się do techniki „cudzych słów” i wznowiono pojedynek z *Gazetą*, rozpisywano się bez końca na temat powinności etycznych literatury. Barańczak odpowiedział na ówczesne wydarzenia nie tylko „Przywracaniem porządku”, ale także antologią poezji „Świadczenia i sprzeciwu”, obejmującą całe czterdzieści lat powojennej poezji polskiej, gdzie kluczem wyboru było zaangażowanie poezji w sprawy „niepoetyckie”, antologią ciekawą, ale wzmacniającą myślenie o literaturze właściwe pokoleniu '68. Czy można mistrzów atakować za twórczość epigonów? Można, gdy oni sami lub ich uczniowie decydują w obiegu niezależnym od drukowaniu tych a nie innych utworów, można, gdy oni sami nie potrafią fali naśladownictwa powiedzieć — nie! Co więcej, ci spośród młodszych poetów, którzy bliscy są pokoleniu '68, nie tylko są uprzywilejowani w obiegu niezależnym, ale co wybitniejsi spośród nich są także dokooptywowani do tego ruchu, mimo iż doń nie należą. Leszek Szaruga wprost obok Krynickiego stawia wśród poetów „syntetyzujących nasze doświadczenie” Jana Polkowskiego, a *Zeszyty Literackie* stały się w zasadzie pismem pokoleniowym, o różnych preferencjach i zamkniętym kręgu publikowanych autorów krajowych i emigracyjnych.

Kryzys literatury współczesnej, jeżeli już przystaniemy na to idiotyczne określenie, które jest właściwie używane bez przerwy od czasu jego przeniesienia z ekonomii na grunt sztuki, zrodził się w wyniku próżni, jaka powstała na skutek wysokich wymagań etycznych i szczególnych zadań, jakie postawiło sobie w literaturze i krytyce pokolenie '68 (co jest jego niewątpliwą zasługą) przy jednoczesnym ograniczeniu i słabości jego artystycznych osiągnięć. Żądanie od literatury ciągle tego samego, (mimo pozornych zastrzeżeń) jak czyni Szaruga, niczego nie ułatwia, a dodatkowo wnosi zamieszanie do toczących się na ten temat dyskusji. Oskarżenie polskiej literatury współczesnej o redukcję swych zaangażowań do wymiaru politycznego, a następnie wskazywanie na przykład pokolenia '68, które miałyby jako jedyne posiadać umiejętność opisywania rzeczywistości „w jej warstwie głębokiej”, to najzwyczajniejsze nieporozumienie. Problem polega na

tym, jak ocalić szlachetne dążenia krytykowanego przeze mnie pokolenia, jego największe osiągnięcia i jak, zarazem, uwolnić się od jego przemożnego wpływu, kierującego każdego prawie młodego, poszukującego wzorów poetę w stronę widocznej dziś o wiele wyraźniej barykady.

I jeszcze jedno. Wpływ pokolenia '68 nie jest wpływem zgubnym, nie przesadzajmy, i zawsze może pozostać wzorem w sensie postawy osobistej. Musi jednak zostać złamany. Jeżeli młodzi literaci i poeci nie potrafią tego dokonać, będzie to tylko i wyłącznie ich wina, nie wina ich poprzedników.

II. NĘDZA LITERATURY

*„W płytkim morzu polskiej inteligencji
każdy głębszy okręt osiada na mieliźnie...”.*

Tadeusz Miciński

Obecność lub brak zaangażowania politycznego w literaturze zdaje się nie mieć, tak naprawdę, istotniejszego znaczenia dla jej rozwoju, poziomu czy wewnętrznego samopoczucia. Zarzuty Leszka Szarugi powtarzane są w kraju w wielu dyskusjach o literaturze współczesnej. Jednak to, co jest użyteczne jako pewien upraszczający schemat w dyskusji, nie służy dobrze analizie krytycznej na użytek szerszego grona potencjalnych czytelników. W tym jednym, czego wyrzeka się nagle Szaruga, pokolenie '68 miało przecież rację: obrona własnej wolności i wolności innych, obrona własnych przekonań i prawa do głoszenia ich przez innych były zawsze składnikami literatury i współtworzyły jej rangę w życiu wielu kulturowych wspólnot. Lepiej znoszą ją, oczywiście, proza i dramat, lecz też one gorzej się czują obecnie w Polsce niż poezja. „Lucjan Leuwen”, „Biesy” czy „Czarodziejska góra” to, choć w różnym stopniu, powieści polityczne, polityczny charakter ma twórczość nie tylko wielkich romantyków polskich (czy możemy wyobrazić sobie współczesny odpowiednik rozmowy cara z Konstantym z „Kordiana”?) ale także Żeromskiego, Struga, Kadena-Bandrowskiego, Andrzejewskiego, Mackiewicz. Nadmierne zaangażowanie po jednej stronie przynosi szkodę literaturze, mówi Leszek Szaruga. Czy naprawdę? Może zaszkodzić każdemu mało utalentowanemu artyście, podobnie jak każdy inny temat, może także obniżyć loty tego, kto porzuca wypracowany przez siebie warsztat i sięga w nieznane, kierując się emocjami, jak stało się w przypadku ostatnich powieści Tadeusza Konwickiego. Może jednakże przynieść efekty zaskakująco ciekawe, jak w przypadku najlepszej książki politycznej ostatnich lat, mianowicie „Rozmów polskich latem 1983” Jarosława Marka Rymkiewicza.

wicza. Winny nie jest temat ani problem, „winna” jest, jeżeli można to tak przenośnie wyrazić, raczej nędza polskiej literatury współczesnej jako całości. A także nędza jej krytyki.

Tekst Szarugi wskazuje mniej lub bardziej bezpośrednio na wiele schorzeń i poplątań w tej sprawie. Próba uporządkowania wątków dominujących obecnie w literaturze polskiej jest wyrazem bezsilności krytyka zarówno wobec jej teraźniejszości, jak i najbliższej przeszłości. Wątki, nurty, tematy, zaangażowania — wszystko to mogłoby złożyć się na sprawny opis jakiegokolwiek literatury pięknej poza literaturą polską! Tę rzecz trzeba wreszcie sobie uświadomić i zacząć myśleć o wszystkim inaczej. Aby określić najprościej sens tego, co kryje się za tym niewątpliwie prowokacyjnym stwierdzeniem, wystarczy powiedzieć, że nie ma polskiej powieści współczesnej. Nic nowego, może ktoś zacząć zżymać się na te słowa. To prawda, ale czy chodzi o to, że nie ma powieści, która oddawałaby sens problemów życia codziennego w Polsce przed- i posierpniowej, ilustrowała nasze spory i niepokoje, dokumentowała nasze doświadczenia? Nie. Chodzi o to, że takiej powieści nie ma od lat prawie czterdziestu, gdyż nie ma powieściopisarza, który zdołałby osiągnąć coś ponad stworzenie jednej w miarę interesującej książki. Żyjemy w świecie „autorów jednej książki” i nic na to nie poradzimy, że nie ma wśród nich kogoś na miarę Prousta. Andrzej Kijowski pisał kiedyś, przed laty, w felietonie „Adwent” o stanie literatury polskiej: „Czekam na definicję i samookreślenia, czekam, aż skończy się gra półśłówek i min, aż ustaną westchnienia i stękania gór rodzajnych myszy”. Niestety, nic się nie zmieniło, tyle tylko, że westchnienia i stękania stały się głośniejsze, a gryzonie, postrach popiela i papieru, rodzą się dziś także w znacznym procencie z nadmiernego zadęcia patriotycznego.

Literatura polska nie ma powieści współczesnej, ale to nie znaczy, że nie ma polskiej literatury współczesnej. Nie trzeba jednak dla wykazania tego twierdzenia szukać optymistycznych symptomów w różnorodności poruszanej w niej problematyki i stosunku do tradycji, gdyż wówczas okazuje się, że większość przydatnych przykładów pochodzi spoza literatury pięknej, czy też kurczowo chwytając się nowelistyki Andermana, który drukuje, wbrew twierdzeniom Szarugi, coraz słabsze opowiadania, bądź powoływać się na niezły dowcip, lecz tylko dowcip Mrożka złożony w „Donosach” — jako na literaturę! Jej siłą bowiem, a zarazem podstawową słabością jest to, że powstaje ona i spełnia się najczęściej poza klasycznymi formami gatunkowymi charakterystycznymi dla literatury pięknej. Najwięksi polscy pisarze współcześni według staromodnych kryteriów nie zostaliby za takich — poza Gombrowiczem — uznani. Przed wszystkim i nad wszystkim górują eseści i publicyści i ich twórczość, w której wyróżnić

można trzy główne nurty: eseistykę historyczną, eseistykę współczesną i eseistykę osobistą wraz z działem wspomnień. Podział to nieco uproszczony, gdyż do eseistyki współczesnej trzeba zaliczyć także pewne gatunki pokrewne jak felieton, recenzję, studium krytyczne czy gawędę, do eseistyki osobistej wszelkiego rodzaju wspomnienia opracowane do druku przez samych autorów a także, najważniejsze dla niej, dzienniki intelektualne, jak nazywa je Maria Danilewicz Zielińska, do eseistyki historycznej także zbiory artykułów napisanych przez zawodowych historyków z wyraźnym zamiarem popularyzacji własnych, nierzadko subiektywnych poglądów na przeszłość, której poświęcają swoją codzienną, naukową pracę. Ponadto trzeba pamiętać, że każde podobnie bezlitosne szufladkowanie napotka trwały opór formy z natury otwartej, w której potrafią znaleźć się obok siebie wszystkie trzy wspomniane powyżej rodzaje eseistyki.

Wśród dzieł eseistyki historycznej znajdziemy między innymi świetne prace Pawła Jasienicy, prowokacyjną publicystykę Stanisława Cata Mackiewicza, cykl „Koniec świata szwależerów” Mariana Brandysa, „Margrabiego Wielopolskiego” Ksawerego Pruszyńskiego, „Listopadowy wieczór” Andrzeja Kijowskiego, prace tak różne a skupione na dziejach kultury Polski porozbiorowej jak Jerzego Łojka i Stefana Kieniewicza, Andrzeja Walickiego i Marii Janion, Tomasza Łubieńskiego i Jerzego A. Borejszy, Aliny Kowalczykowej, Jarosława Marka Rymkiewicza, Ryszarda Przybylskiego, Stefana Bratkowskiego, Bohdana Cywińskiego, Marcina Króla, Wojciecha Giełżyńskiego, Wojciecha Karpińskiego a także Zygmunta Kubiaka, Ignacego Wieniewskiego, Jana Kotta, Zdzisława Łapińskiego i wielu innych. Do eseistyki współczesnej, ze względu chociażby na to, że niektórzy wymienieni autorzy urodzili się jeszcze w poprzednim wieku, zaliczyć należy te teksty, które zamykają się w kręgu problematyki kultury i historii XX wieku. Znajdzie się tu miejsce dla prac Jerzego Stempowskiego, Stanisława Vincenza, Czesława Miłosza, Melchiora Wańkowicza, Bolesława Micińskiego, Józefa Czapkiego, Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, Stefana Kisielewskiego, Konstantego A. Jeleńskiego, Józefa Wittlina, Aleksandra Janty-Pończyńskiego, Wojciecha Karpińskiego, Adama Michnika, Leszka Kołakowskiego, Jana Błońskiego, Andrzeja Kijowskiego, Antoniego Kępińskiego, Wojciecha Stróżewskiego, Wiktora Woroszyńskiego, Witolda Wirpszy, Romana Zimanda, Konstantego Puzyny, Artura Sandauera, Ludwika Flaszena, Kazimierza Wyki, Egona Nagawskiego, Michała Sprusińskiego, Andrzeja Micewskiego i znów wielu innych, nie wymienionych z braku miejsca.

I wreszcie dział o najpłynniejszych granicach, eseistyka, której ośrodkiem zainteresowania jest sam bohater, poddający swoje „ja” wielostronnemu, krytycznemu oglądowi a zarazem obwieszcza-

cy wszem i wobec swoje myśli, oceny, reakcje wywołane zmianami zachodzącymi w świecie, w którym przyszło mu żyć, oraz zaliczony tu dział przygotowywanych z myślą o czytelniku własnych przeżyć i wspomnień uznanych za godne publikacji z powodu uczestnictwa w historycznie ważnych wydarzeniach. „Dziennik czasu wojny” Nałkowskiej, „Dziennik pisany nocą” Herlinga-Grudzińskiego, „Rozmowy z Miłoszem” Czarneckiej i Fiuta, „Szkice piórkem” Andrzeja Bobkowskiego, „Dziennik 1954” Tyrmanda, autorskie wspomnienia i bieżące zapiski Tadeusza Konwickiego, Kazimierza Brandysa, Tadeusza Drewnowskiego, Romana Bratnego, Jarosława Iwaszkiewicza, wędrowni w przeszłość prywatną i rodzinną Kajetana Morawskiego, Marii Czapkiej, ks. Waleriana Meysztowicza... A ileż trzeba by zaliczyć do tego działu autobiograficznych powieści, poczynając od „Doliny Issy” Miłosza, ileż jest książek bliskich technice eseju lub intelektualnego reportażu, które należałoby umieścić gdzieś pomiędzy działem drugim i trzecim, wystarczy, jak sądzę, wspomnieć „Spizową bramę” Brezy czy „Cesarza” Kapuścińskiego. Trzeba jednak przerwać wyliczanie, nie o nie przecież tutaj chodzi*.

Mimo krytycznych uwag jestem jak najdalej od lekceważenia prób głównych problemów polskiej literatury, jej wysiłku scalenia wewnętrznego, odnalezienia siły w bogatych tradycjach dawnej kultury czyli ocalenia pamięci kulturowej narodu. Intuicja Szarugi jest dobra, rzecz sama niezwykle ważna. Mechaniczny, gatunkowy podział eseistyki i działu dziennikowo-wspomnieniowego nie może być potraktowany jako próba stworzenia alternatywy dla wstępnej, nieudanej systematyzacji, jaka została przeprowadzona w „Wielkim oczekiwaniu”. Służąc ma on pośrednio do wskazania trzeciej i najpoważniejszej choroby polskiej krytyki, którą odziedziczyła w pełni krytyka niezależna, a mianowicie — umiejętności opisywania z uporem świata nieistniejącego, sumiennego rozmijania się z najważniejszymi dla literatury polskiej zjawiskami, czyli ślepotę. Ślepotą ta to efekt marszu przez literaturę kolejnych adeptów na jej krytyków ze wzrokiem wbitym w plecy poprzedników. Bezpośrednio zaś ma ów podział wskazać na stan samej literatury i jej nienaturalne, wykoślawione oblicze.

Niewielu z największych nazwisk powojennych prozaików polskich brakuje na tej naprędcie skleconej, wyrzykowej liście, a gdyby ją skompletować, pewnie by i żadnego nie zabrakło. Wspaniałe? Nie, raczej przerażające. Mówiąc na co dzień „literatura polska”, przestajemy już właściwie myśleć o powieściopisarzach, nowelistach czy obumierającym dramacie, mamy na myśli poezję

* Jest przecież także dział licznych wspomnień wojennych i syberyjskich z najlenniejszym chyba „Innym światem” Herlinga-Grudzińskiego, o których nie można zapomnieć.

i wielkie, wspaniałe zapewne teksty, które z literaturą *sensu stricto* niewiele już mają wspólnego. Po wojnie literatura polska przeżyła jakoś okres „niewoli babilońskiej”, ponieważ ocalał etos romantyczny. Z tego prostego powodu w okresie odwilży zmiany w sztukach pięknych zostały zdominowane przez poezję, to ona zaczęła nadawać ton całości współczesnego życia kulturalnego w Polsce i to jej przede wszystkim kultura polska zawdzięcza swoją dzisiejszą rangę w świecie. „Ja” liryczne było chyba jednak „ja” zbyt mało widocznym i zbyt mało pojemnym, nie mieściło ambicji zadowolonego z siebie pisarza polskiego, literaturę zaczął bowiem zżerać powoli rak wybujałego egotyzmu. Powieści i opowiadania z narracją prowadzoną w pierwszej osobie, powieści z bohaterem będącym *porte-parole* autora lub reprezentującym jego pokolenie, z bohaterem zajęтым wyłącznie sobą, trawiącym niepokoję współczesności wyłącznie w swoim dychawicznym wnętrzu, z bohaterem przemądrzałym a zarazem nijakim — oto codzienność polskiej literatury. Działo się to nie bez wpływu atmosfery panującej w literaturze emigracyjnej, która, niebogata w talenty artystyczne, rozkwitła przecież talentami narracyjnymi. Jednym z jej podstawowych zadań stało się dążenie do utrwaleń przeszłości narodowej w jej pochłoniętych przez historię, przedwrześniowych kształtach; podobnie konieczność zaświadczenia o martyrologii Polaków w Rosji, czy chociażby przyjęcie na siebie odpowiedzialności za ocalenie tożsamości kulturowej i narodowej Polaków w sytuacji ograniczenia swobody wypowiedzi i presji ideologicznej w kraju skłaniały emigrację do opowiedzenia się po stronie tych form, które pozwalały na szybkie reagowanie na wszelkie ruchy przeciwnika, nie tylko zresztą w kraju, lecz także na zachodniej lewicy. Wielkość intelektualna wielu emigracyjnych autorów i, przynajmniej, piękna polszczyzna, urzekająca w kraju, nie mogły nie oddziaływać; stawały się wzorem. Tymczasem sama emigracja poniosła z powodu tego tendencyjnego ukształtowania swego kulturowego oblicza straty chyba już nie do powetowania. Wyobraźmy sobie na przykład, że Gustaw Herling-Grudziński kontynuuje prace w stylu swoich, stendhalowskich z ducha, arcydzieł zawartych w „Skrzydłach ołtarza”, nie marnując całości swego czasu i sił na „Dziennik pisany nocą” (w którym, powoli, wszyscy wielcy pisarze przeszłości i współczesności zostają skrytykowani, opisana każda gazetowa sensacja politycznego świata i przycytowany cały dawny Herling dla poparcia tez Herlinga współczesnego...). Ale przyczyny ostatniej wymienić jako pierwszej nie wypada, należy wrócić na krajowe podwórko.

Pierwszą i podstawową przyczyną egotyzmu współczesnej literatury polskiej jest jej bezradność psychologiczna, a także intelektualna, w świecie nadmiernej egalitaryzacji życia społecznego, świecie sekretarzy i sekretarek, prezesów i kierow-

ników, chłoporobotników i działaczy od wszystkiego, biurokracji i przeciętności, świecie pozbawionym bohaterów i miejsca na rozwój indywidualności. Zamiast prawdy życiowej literatura zaofiarowała więc czytelnikowi drogę własnej ucieczki: w rozterki umęczonego intelektualisty, w koszmary wspomnień okupacyjnych, w siermiężne scenki z życia marginesu społecznego, w bogoojczyźniane refleksje z wypraw na Zachód, świetnie sparodiowane w „Monizie Clavier” Mrożka, w mieszczańską wizję dramatów chłopskiego awansu (czy może być większe nieporozumienie?), w prymitywną, poza Lemem, *science-fiction*, a przede wszystkim ucieczkę w przeszłość, która dała zresztą najlepsze artystyczne wyniki. Zwrot w czas odeszły, podejmowany często dla intelektualnej przyjemności, a często dla ukrytej aluzji politycznej, zaowocował wieloma dobrymi powieściami historycznymi, od piastowskiego cyklu Gołubiewa czy powstałych podczas wojny „Srebrnych orłów” Parnickiego zaczynając, a na „Kąpielach w Lucca” Buczkowskiego czy „Austerii” Strykowski, powieściach poświęconych kresowi dawnych, otwartych i uniwersalnych form kultury europejskiej obumierających w pożodze pierwszej wojny światowej — kończąc. Dlatego wciąż najlepszą powieścią współczesną pozostaje powstały tuż po wojnie, niechciany „Popiół i diament”, dlatego jedynym pisarzem, który potrafił subtelnie opisywać tę nową, tak prozaiczną (*nomen omen*) rzeczywistość pozostał do dziś Stanisław Dygat, a Marek Hłasko i Janusz Głowacki najwrażliwszymi obserwatorami we wczesnych swych opowiadaniach. Może warto jeszcze dodać, aby nie być podejrzanym o nadmierną powściągliwość, „Złego” Leopolda Tyrmanda i „Sennik współczesny” Tadeusza Konwickiego.

Dlatego też tak ważne miejsce w najnowszej historii polskiej kultury zajmuje polska szkoła filmowa, której twórcy umieli połączyć artystyzm z powściągliwością formalną, poetyckość z narracyjnością, w przeciętności dostrzec wielkość, w wielkości groteskę... Ktoś może powiedzieć, że dzień dzisiejszy aż nadto przepełniony jest niezwykłościami, życie w kraju zniewolonym jest ciekawe, piekło zawsze ciekawsze niż niebo, choć nie należy przesadzać z porównaniami, że ma ono swych bohaterów i swe ofiary, że nie ma już od czego uciekać. Nie, nie należy się łudzić, literatura nie może żyć niezwykłością. Dopóki nie potrafi ona przełamać swego oporu, swego lęku przed wyobrażoną szarością i przeciętnością życia, dopóty pozostanie przeciętna. Nic tu nie pomogą dyskusje o dzielnych bojach i sporach ideowych naszych dziadów i ojców, ani też ciągłe odgrzewanie sporów romantyczno-klasycystycznych, podobnie jak upolitycznianie literatury i jej gwałtowne oczyszczanie z bieżących zaangażowań. Dopóki żyć będzie ona różnymi formami ucieczki przed codziennością i teraźniejszością, dopóki bełkotać się będzie o potrzebie dystansu wo-

bec wydarzeń, dopóty ucieczka będzie jej nędzą. Rzec by się chciało — niech będzie polityczna, ale niech nie kiwa palcem w bucie na znak protestu, niech nie będzie polityczna, ale niech też nie chowa od razu głowy w piasek! Jeżeli chce być polityczna, niech stara się dorównać w tym najlepszym, chociażby „Popiołowi i diamentowi”, jeżeli nie chce być taka, nie musi chcieć zaraz dorównać Gombrowiczowi, niech pamięta przynajmniej o wyciszonym mistrzostwie Dygata! To nadmierny egotyzm polskiej literatury przeszkadza jej scaleniu wewnętrznemu. Literatura zajęta od lat samą sobą pozostaje bezradna wobec tak przełomowych dla życia narodu i jego kultury wydarzeń jak wprowadzenie stanu wojennego, autorzy skupiający się na autoanalizie, wędrujący w swych esejach po odległych epokach i kontynentach a lekceważący teraźniejszość (poza recenzjami z dzieł innych globtrotterów) robią właściwie wszystko dla siebie, nie robiąc nic dla literatury; krytycy, którzy akceptują ten stan rzeczy, tworząc, co więcej, listy nazwisk pisarzy, z którymi się nie polemizuje (a któż by w ogóle chciał polemizować z jakąś wypowiedzią Miłosza, Michnika, Kołakowskiego czy Karpińskiego?), zajmując się krytycznie jedynie twórczością na poziomie Bratniego czy Sokorskiego, zamieniają krytykę w panegirykę, wzmacniając egotyczne cechy polskiej literatury, utrzymując jej niedojrzałość, pozwalając by powoli pożerała samą siebie.

Współczesna literatura polska musi przestać być egotyczna i musi umieć zerwać wreszcie z zastępczym strojem historycznym. Ale musi umieć także zerwać z manierą scenki rodzajowej, grypserską „małego realizmu”, musi zejść z koturnów godności i szlachetności, na które wydzwignęła ją, w najlepszej wierze, pokolenie '68, a których ona nie chce teraz zdjąć nawet wówczas, gdy kładzie się do snu. Niech już raczej będzie nieszlachetna, podła i wyrachowana, niech żyje małością ludzką, zawiścią i strachem swoich potencjalnych bohaterów, byle by potrafiła przekonywać do własnego mistrzostwa. Przekonywać będzie zaś wówczas, gdy potrafi przełamać psychologiczną barierę w dotarciu do prawdy o życiu współczesnej Polski, wyznaczoną przez zapatrzenie w siebie i lęk przed spojrzeniem na to, jak żyją i radzą sobie inni. Tylko tyle i aż tyle.

Egotyzm nie jest tylko cechą wewnętrzną literatury, którą tworzą w większości mali literaci marzący o wielkiej literaturze, ale przedostaje się także do życia literackiego. Oto, na zakończenie, dwa odległe od siebie przykłady. Na obwolutach prozatorskich debiutów lat siedemdziesiątych, tak usilnie reklamowanych, wymieniane były dziesiątki zawodów ich młodych autorów, prawie każdy z nich był jednocześnie kelnerem i robotnikiem, górnikiem i marynarzem, bibliotekarzem i czymś tam jeszcze, taka była wówczas moda, moda „otarcia się” o lud, chociaż, wstyd powie-

dzieć, w tym samym czasie w Czechosłowacji dziesiątki ich kolegów po piórze rzeczywiście pracowało w tych i podobnych zawodach z powodu zakazu druku. Niezależne pismo *Arka*, które jest nijakim almanachem sprowadzanych zewsząd tekstów, nim osiągnęło 10-ty numer zaczęło przyznawać honorowe nagrody za twórczość eseistyczną i literacką. Nagrody przyznano nie młodym autorom, lecz sprawdzonym i zewsząd już honorowanym, jak Jarosław Marek Rymkiewicz, Adam Michnik czy osądzony sentencją, jak przez starców z Akademii („za całokształt twórczości”) Gustaw Herling-Grudziński — laureaci zapewne mieli się czuć tym wyróżnieniem wielce zaszczytzeni.

Poza i cwaniactwo, próżność i sentymentalizm, głupota i zadufanie nigdy nie przyniosły życiu literackiemu niczego dobrego. Podobnie dziś cierpienie na papierze za innych niewiele po sobie pozostawia śladów, Szaruga ma w tym miejscu rację. Rzecz w tym, że porzucenie jednego tematu dla innego niczego nie zmienia. Nikt w literaturze do niczego namówić się nie da. Jeżeli chcemy zmiany, a na pewno jej chcemy, musimy ukazywać przyuczyny słabości. Na razie, jak Maria G. w „Postępowcu” Mrożka, literatura polska zamiast człowieka rodzi dowody osobiste. W szufladach szeleści pusty papier. I znów pisarz polski, zniechęcony wizją swojego sąsiada, spotykanego codziennie rano na schodach, jako bohatera przyszłej książki — zaczyna pisać o sobie. No cóż, poczekajmy...

Rafał GRUPIŃSKI

Kultura niezależna a struktury oficjalne

Polityka kulturalna

Jedną z podstawowych kategorii niezbędnych dla zrozumienia problemów życia artystycznego w komunizmie jest pojęcie „polityki kulturalnej”. Kategoria ta, przedtem w życiu kulturalnym kraju nie istniejąca, oznacza w istocie pełny monopol państwa w dziedzinie życia artystycznego i naukowego. Więcej: oznacza podporządkowanie kultury polityce państwa, zredukowanie wartości artystycznych, poznawczych i etycznych do instytucji politycznych.

Zasada ta obowiązuje bez względu na stopień „liberalizacji” systemu, choć oczywiście jej moc zależna jest od wielu zmiennych okoliczności. Postaram się wykazać, że w ciągu ostatniego dziesięciolecia w Polsce zaszły w tej dziedzinie daleko idące zmiany, prowadzące w efekcie — przynajmniej w chwili, gdy piszę te słowa — do wytworzenia zjawiska dotąd w systemie nieznanego, jakim jest wpływ niezależnej kultury na kształtowanie form oficjalnego życia artystycznego. Jest to być może zjawisko przejściowe, trudno cokolwiek na ten temat wyrokować. Warto jednak poddać analizie proces, który do stworzenia tej sytuacji doprowadził oraz próbować tę sytuację opisać.

Jest to o tyle interesujące, iż ukazuje możliwość zakwestionowania zasad „polityki kulturalnej państwa” przez wzrost kultury politycznej społeczeństwa. Inaczej mówiąc — rozbudzenie podmiotowości politycznej społeczeństwa staje się czynnikiem decydującym w uwolnieniu kultury od politycznej redukcji. Tylko bowiem realnie istniejąca — choć nawet nie uznawana oficjalnie — podmiotowość społeczeństwa stanowi warunek rzeczywistej suwerenności artysty i niezależności życia kulturalnego.

Niewątpliwie obecna sytuacja jest efektem 30-letniego procesu zapoczątkowanego w roku 1956, ale też zakorzenionego jeszcze głębiej w historii, w specyfice narodowej tradycji i mającego nawet w latach stalinowskich pewne możliwości jeśli nie rozwoju, to kultywowania w środowiskach inteligencji katolickiej. Charakterystyczne przy tym, że obecna ekipa z dużym naciskiem upowszechnia tezę, że jej rodowód wyprowadzić można z Października 1956 roku: szczególnie często twierdzenia te pojawiają się ostatnio na łamach *Polityki*. Ma to sugerować, że w istocie właśnie ta ekipa, także w sferze „polityki kulturalnej” zmierza do „reformy socjalizmu” zgodnej z postulatami inteligencji wysuwanymi 30 lat temu. O ile jednak wówczas w wypowiedziach tych środowisk nie tylko nie kwestionowano „socjalistycznego” charakteru przemian, lecz wręcz deklarowano wierność zasadom ustrojowym, o tyle obecnie głosy inteligencji twórczej coraz częściej wprost odzęgują się od „socjalizmu” — może nie tyle od samego pojęcia, co oznaczanej przez nie praktyki życia publicznego. Jest to zapewne wynik swoistej ewolucji rozumienia tego terminu, jeszcze w 1956 utożsamianego z pewnym ideałem życia społecznego, obecnie zaś traktowanego przede wszystkim jako określenie totalitarnego typu władzy politycznej.

Jest faktem, że w założeniach większości ludzi występujących w czasie przełomu Października 1956 chodziło przede wszystkim o to, by środowiska twórcze uczynić partnerem władzy w kształtowaniu „polityki kulturalnej”. Dziś nie tylko sami artyści, ale też duża część społeczeństwa kwestionuje samą zasadę „polityki kulturalnej”.

Przełom 1976 roku

Jeszcze przed wydarzeniami z czerwca 1976 roku, które doprowadziły do utworzenia Komitetu Obrony Robotników (KOR), zostało powołane do życia Polskie Porozumienie Niepodległościowe, które w ogłoszonym w maju tego roku manifestie wzywało do skupienia wszystkich sił społecznych wokół programu odbudowy niepodległości kraju. Nagromadzenie sporej ilości — wręcz wybuch — niezależnych inicjatyw społecznych właśnie w roku 1976 było zatem nie tylko efektem represji zastosowanych przez władzę wobec protestujących przeciw podwyżkom cen żywności robotników. Zapewne — wydarzenia czerwca 1976 przyspieszyły bieg wypadków. Lecz rok 1976, obok załamania gospodarczego kraju, przyniósł też ostateczny krach oczekiwań środowisk twórczych związanych ze zmianą ekipy władzy w roku 1970. Po krótkim okresie pozorowanej liberalizacji nadszedł — szczególnie silnie odczuwany już w 1975 roku, a gwałtownie wzmocniony represjami po protestach przeciw zmianom konstytucji — okres ograniczania swobód obywatelskich, szczególnie zaś zaostrzenie cenzury.

Odpowiedzią intelektualistów, obok zainicjowania działalności niezależnych organizacji społecznych, stało się tworzenie „drugiego obiegu” prasy i wydawnictw. Dociekanie przyczyn, które sprawiły, że reakcja władz wobec tych poczyniń była stosunkowo „miękką” wydaje się interesujące, lecz dziś już bezprzedmiotowe. Istotny jest efekt tego stanu rzeczy: w ciągu stosunkowo krótkiego czasu doszło nie tylko do rozbudowy sieci niezależnej informacji, prasy i wydawnictw, ale również — o czym warto tutaj wspomnieć — do nawiązania kontaktów z opozycjonistami innych krajów bloku sowieckiego (podróż członka KSS KOR do Moskwy i spotkanie z Andriejem Sacharowem, spotkania członków KOR-u z przedstawicielami działającej w Czechosłowacji „Karty 77”, udział w zespole redakcyjnym kwartalnika *Krytyka* Czecha Wacława Havela i Węgra Mikłosa Haraszy’ego itp.).

W chwili obecnej w Polsce sfera niezależnego życia kulturalnego jest nieporównanie bogatsza od tej, jaka istniała przed sierpniem 1980. Doświadczenie „Solidarności”, gwałtowny wzrost podmiotowości społeczeństwa sprawiły, że w działalność niezależną zaangażowały się tysiące ludzi ze wszystkich praktycznie środowisk. Wprowadzenie stanu wojennego nie zmniejszyło tego zaangażowania, tym bardziej, że akcja ta wzmocniła tylko społeczne odczucie braku identyfikacji z komunistycznym państwem, nasiliła poczucie niesuwerenności społeczeństwa, co — po 500 dniach

względnej wolności lat 1980-1981, która nie tylko obudziła nadzieje na przyszłość, lecz także wzmocniła związki z tradycją — zaowocowało, szczególnie wśród młodzieży, wzmocnieniem oporu i budowaniem struktur „frontu odmowy” udziału w życiu oficjalnym. W ciągu kilku zaledwie tygodni odbudowano sieć niezależnej prasy i wydawnictw, pojawiły się nowe inicjatywy społeczne, obejmujące w chwili obecnej także produkcję i obieg kaset magnetofonowych i video, działalność niezależnych grup teatralnych dających przedstawienia w prywatnych mieszkaniach lub w budynkach przykościelnych, dalszy rozwój struktur oświaty niezależnej itp. Skala zjawiska jest trudna do określenia — w chwili gdy piszę te słowa publikowanych jest w Polsce nie mniej niż 500 tytułów prasy niezależnej, działa co najmniej 30 wydawnictw produkujących książki, kasety radiowe i video, plakaty, funkcjonują prowadzące niezależną działalność (stypendia, koordynacja prac, finansowanie tłumaczeń, dofinansowywanie wydawnictw) instytucje kulturalne (np. Komitet Kultury Niezależnej, Społeczny Komitet Nauki itp.).

Oczywiście — bez pomocy Zachodu, a zwłaszcza polskiej emigracji, tak wielki rozwój struktur niezależnej kultury nie byłby możliwy, mimo że spore sumy uzyskiwane są na tę działalność ze składek społecznych oraz z wpływów za prasę i wydawnictwa. Wielorakie i mające dwustuletnią tradycję więzi łączące kraj z emigracją wzmacniane są przez kolejne fale wychodźstwa — ostatnio przez emigrację „solidarnościową”. Trwały te więzi przez cały okres powojenny, lecz rozbudowane zostały szczególnie silnie po roku 1976, doprowadzając do sytuacji, w której — zarówno w sferze aktywności politycznej, jak działalności kulturalnej — podział na kraj i emigrację został praktycznie rozmyty. Współczesny pisarz polski wybierający życie poza krajem ma — za pośrednictwem niezależnych wydawnictw — normalny dostęp do czytelnika w Polsce, jego utwory są nie tylko czytane, ale też omawiane w niezależnej prasie: taki twórca nie działa już w próżni społecznej, jak duża część emigracji powojennej. Z kolei wiele powielaczowych publikacji krajowych przedrukowywanych jest przez oficyny emigracyjne, wielu też autorów żyjących w Polsce publikuje swe artykuły i utwory w prasie emigracyjnej.

Wszystkie te procesy — wraz z silnym po wprowadzeniu stanu wojennego „frontem odmowy” środowisk twórczych, widocznym bodaj najwyraźniej w postawie aktorów — doprowadziły do zakwestionowania i często odrzucenia zasad „polityki kulturalnej”. Nie oznacza to jednak — co wydaje się ważne — bezwarunkowej rezygnacji twórców z uczestnictwa w oficjalnym życiu artystycznym, lecz nie może to już być uczestnictwo podporządkowane narzucanym regułom. Ma to istotny wpływ na przekształcanie struktur oficjalnego życia kulturalnego.

Kościół

Od początku okresu powojennego Kościół w Polsce stał się — o czym wyczerpująco pisał Michnik w książce „Kościół, lewica, dialog” — jednym z głównych centrów oporu wobec komunistycznej inwazji antykultury, redukcji kultury do instrumentu gry politycznej. Bezwzględna obrona integralności i nieredukowalności systemu wartości kultury przed inwazją „mentalności rewolucyjnej” była w początkowym okresie odbierana przez większość intelektualistów, zwłaszcza tych zorientowanych lewicowo (co w latach czterdziestych i pięćdziesiątych było w Europie zjawiskiem niesłychanie powszechnym) jako demonstracja „reakcyjnego” konserwatyzmu. Nie było to stanowisko nieuzasadnione: nieufność wobec Kościoła zakorzeniona była w rzeczywistości reakcyjnej, często sprzyjającej skrajnemu nacjonalizmowi czy wręcz szowinizmowi postawie tej instytucji w okresie międzywojennym. I choć zarówno *Tygodnik Powszechny* jak *Znak* prezentowały formułę „otwartą”, to przecież nie mogły stać się na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych alternatywą dla „polityki kulturalnej”, wspartej przecież nie tylko siłą argumentów, lecz nade wszystko argumentem siły. Ale też nie tylko dlatego, że po stronie PZPR stała siła policyjna i militarna oraz cała potęga sowiecka, lecz również dlatego, że komuniści w Polsce podjęli skuteczną wielką akcję likwidacji analfabetyzmu oraz rozwoju czytelnictwa — program swoistej demokratyzacji kultury, niezwykle popularny w środowiskach twórczych i rzeczywiście przynoszący pozytywne skutki społeczne.

Pacyfikacja kręgów kościelnych po aresztowaniu Prymasa Polski Stefana kardynała Wyszyńskiego oraz po późniejszej likwidacji *Tygodnika Powszechnego* zepchnęła środowiska katolickie w strefę milczenia. Sytuacja zmieniła się po roku 1956, gdy obok wznowienia dawnych pism katolickich powołane zostały do życia Kluby Inteligencji Katolickiej oraz warszawski miesięcznik *Więź*. Jednakże w dalszym ciągu inicjatywy te budziły nieufność „postępowej” inteligencji, zachowującej wobec nich dystans. Sytuacja uległa poprawie po Soborze Watykańskim, którego ustalenia otworzyły możliwość dialogu. Momentem przełomowym jednak były wydarzenia marca 1968 — wówczas to właśnie spora część autorów dotąd unikających kontaktów z prasą katolicką zaczęła (m.in. dlatego, że nie mogła pogodzić się z uczestnictwem w oficjalnej fali antysemityzmu) publikować swe utwory na łamach pism pozostających pod patronatem Kościoła oraz brać coraz żywszy udział w pracach Klubów Inteligencji Katolickiej. Jednakże jeszcze w pierwszej połowie lat siedemdziesiątych kręgi kultury katolickiej stanowiły — jak to określił Adam Zagajewski — rodzaj

szacownego „Muzeum Poczciwości” nie mającego związku z życiem społecznym: tak to przynajmniej odczuwała spora grupa intelektualistów. Dystans środowisk twórczych wobec proponowanej przez katolików alternatywy był wciąż dość silny, choć wielu twórców zaczynało już w tym okresie współpracę z *Więzią* czy *Tygodnikiem Powszechnym* (często pod pseudonimami, gdyż objęci byli zapisami „czarnej listy” cenzury): Stanisław Barańczak, Adam Michnik.

Dalsze zbliżenie nastąpiło po roku 1976. Książka Michnika „Kościół, lewica, dialog”, stanowiąca opis drogi części polskich intelektualistów ku prawdom Ewangelii była bez wątpienia krokiem najistotniejszym. Wykazywała nie tylko zbieżyłość dążeń ludzi wierzących i niewierzących w walce o swobody demokratyczne, ale podkreślała też konieczność ich współdziałania w obrocie przed wspólnym zagrożeniem. Odpowiedzi duchownych — przede wszystkim Jacka Salija i Józefa Tischnera — poszerzały przestrzeń zainicjowanego przez Michnika dialogu. „Zdaniem Michnika — pisał Salij — Ewangelia leży u fundamentów naszej kultury i to powinien uznać każdy Europejczyk, niezależnie od tego czy jest chrześcijaninem, czy nie. Stanowisko takie budzi we mnie nadzieję, że może nadchodzi właśnie czas, kiedy myśl laicka zrewiduje swój stosunek do tych moralnych wartości Ewangelii, które tradycyjnie odrzucała. (...) Michnik — widząc, jakie konsekwencje wyciąga totalitaryzm z zasady, jakoby wartości moralne były jedynie czymś względnym — broni z pozycji laickich tezy o bezwzględności wartości moralnych. Otwiera to nadzwyczaj interesujące perspektywy dialogu z chrześcijaństwem. Wszakże w dialogu tym nie można się ograniczać, jak sądzę, do problemów moralności politycznej, która Michnika interesuje szczególnie. Dialogiem powinny być ponadto objęte co najmniej tradycyjne punkty sporne moralności laickiej i chrześcijańskiej”.

Rozwijającemu się dialogowi i wzajemnemu zbliżeniu towarzyszyły w tym okresie ważne wydarzenia w życiu Kościoła polskiego — wybór papieża Jana Pawła II i jego pierwsza pielgrzymka do Polski, co m.in. przyczynia się do odbudowy zerwanych więzi społecznych poprzez skupienie ludzi wokół niekwestionowanego autorytetu religijnego i moralnego. Zarazem od dłuższego już czasu rozbudowywane przez Kościół inicjatywy kulturalne — np. Dni Kultury Chrześcijańskiej, organizowane najpierw w Warszawie, później w innych miastach — powodują dalsze zbliżenie inteligencji do Kościoła. Błogosławieństwo papieża dla niezależnego Towarzystwa Kursów Naukowych czy wystąpienia Episkopatu Polski w obronie wolności kultury proces ten pogłębiają. Inteligencja polska, zyskując oparcie w Kościele, staje się coraz mniej zależna od państwa.

Okres „Solidarności” dodatkowo wzmacnia wzajemne więzi, zaś „Etyka Solidarności” pióra Józefa Tischnera daje temu procesowi — odbudowie struktur społeczeństwa cywilnego, dla którego podstawowym punktem odniesienia stają się zasady Ewangelii — wyraz szczególnie silny. Toteż nic dziwnego, że olbrzymia większość intelektualistów stanęła w momencie wprowadzenia stanu wojennego „w progu Kościoła”. Działalność intelektualna w przestrzeni wpływu duchowego Kościoła jest dla tych ludzi nie tylko demonstracją odmowy uczestnictwa w oficjalnym kłamstwie, lecz zarazem manifestacją poczucia wspólnoty ze społeczeństwem.

Efektom tej ewolucji postaw polskiej inteligencji staje się m.in. wzrost ilości tytułów prasy katolickiej — powstanie (czy reaktywowanie) pism diecezjalnych bądź ogólnopolskich (*Przegląd Katolicki*, *Przegląd Powszechny*, *Powściągliwość i Praca*) pozwala na zatrudnienie odmawiających współpracy z reżimem dziennikarzy, z drugiej jednak strony jest dla władz zabiegiem mającym powstrzymać przynajmniej część inteligencji przed otwartym wiązaniem się ze strukturami kultury niezależnej.

Reakcje władz z lat 1976-1980

W całym poprzednim okresie przed rokiem 1976 jedną z zasad obowiązujących w życiu literackim było „karanie” nie tylko za publikację w oficynach emigracyjnych (od procesów sądowych po „zapis” cenzorski), lecz także za współpracę z prasą i wydawnictwami katolickimi. W tym drugim wypadku publikacja w *Tygodniku Powszechnym* czy *Więzi* prowadziła w zasadzie do zamknięcia sobie drogi do publikacji w pismach i wydawnictwach państwowych. Jak wszystkie tego typu zasady, i ta nie była nigdy stosowana w sposób konsekwentny.

Podobnie działo się po roku 1976, gdy coraz liczniejsi pisarze podejmowali współpracę z pismami i wydawnictwami obiegu niezależnego. W zasadzie obejmowani byli oni zapisem cenzorskim — jednakże nie wszyscy: Jerzy Andrzejewski i Wiktor Worczyński, współredaktorzy i autorzy *Zapisu*, nie zostali pozbawieni możliwości publikowania swych stałych felietonów w *Literaturze* i *Więzi*. Ogólnie rzecz biorąc przyjęto stosowanie represji zróżnicowanych — im autor młodszy i mniej znany, tym represje i szykany wobec niego były ostrzejsze.

Pierwszą reakcją władz na niezależną działalność społeczną i wydawniczą środowisk twórczych były dwa artykuły w warszawskiej *Kulturze* z lutego 1977 roku. Pierwszy z nich napisał Ro-

man Bratny, mówiąc o „cenie, którą musiały zapłacić naród, jego kultura przy upowszechnieniu się takiej postawy. I dlatego widzę w angażowaniu się w owe modne 'listy' brak szacunku dla naszej prawdziwej misji”. Drugi z artykułów — „Wiara intelektualistów” — został napisany przez Jana Szczepańskiego i sugerował, że działalność niezależną podejmują ci intelektualiści, których zawiodła w przeszłości „wiara” w ideologię komunistyczną: to ma być podstawowym motorem ich wystąpień przeciwko „racjom” polityków. W obu wypadkach mamy tu do czynienia z wystąpieniami perswazyjnymi, tłumaczącymi, że po pierwsze — „antypaństwowa” działalność jest nieopłacalna, po drugie — przynosi ona szkody kulturze narodowej, po trzecie — jest bezskuteczna.

Niemniej właśnie owa „działalność” stała się jednym z czynników, dla których władze zdecydowały o skierowaniu do rozpowszechnienia — zapewne traktując to jako rodzaj „klapy bezpieczeństwa” — filmów „Barwy ochronne” Zanussiego oraz „Człowiek z marmuru” Wajdy, dotychczas przetrzymywanych przez cenzurę. Rozpoczęły się też rozmowy z niektórymi autorami i redaktorami *Zapisu* — w ich wyniku w zamian za rezygnację z udziału w redagowaniu pisma wydano oficjalnie zbiór opowiadań Marka Nowakowskiego „Książę Nocy”. Obniżona więc została częściowo bariera cenzury, dzięki czemu możliwa się stała prezentacja filmów nazwanych przez krytykę „kinem moralnego niepokoju” — „Wodzireja” Feliksa Falka czy „Aktorów prowincjonalnych” Agnieszki Holland.

Zarazem podjęte zostały kontradziania. Krakowski klub partyjny Kuźnica rozpoczął wydawanie kwartalnika *Zdanie* (w późniejszym okresie przekształconego w poczytny miesięcznik), który stanowił rodzaj pisma studyjnego o obniżonej barierze cenzury — obok tekstów czysto ideologicznych, jakby „usprawiedliwiających” nie zawsze „słuszne” treści, dopuszczano tu do druku reportaże i utwory literackie, stanowiące próbę rzetelnego opisu rzeczywistości społeczno-politycznej kraju. Miał to być zapewne sygnał, iż władze skłonne są w tej dziedzinie do jakichś kompromisów, pod warunkiem, że zaniechane zostaną przez twórców działania „antypaństwowe”.

Tak więc już w okresie 1976-1980 można mówić o wpływie niezależnych inicjatyw społecznych na kształtowanie zasad życia oficjalnego. Wyraźnie zmienia się w tym okresie kurs redagowanej przez M.F. Rakowskiego *Polityki*, która — nie wypowiadając tego wprost — wyraźnie nawiązuje do analiz podejmowanych przez działające na pograniczu oficjalności i nieoficjalności Konwersatorium „Doświadczenie i Przyszłość”, publikujące swe opracowania w obiegu niezależnym.

Oczywiście — przeważają w tym okresie represje i szykany. Z oficjalnych publikacji znikają nie tylko „zakazani” autorzy, lecz także ich nazwiska w omówieniach aktualnej sytuacji literatury. Opisuje to m.in. Andrzej Zawada w zbiorze szkiców „Wszystko pokruszone” (1984): „Od roku 1976 twórcy Nowej Fali, forpocztzy pokolenia '68, milczeli. Nie wydawano ich książek, z czasopism zniknęły wiersze i eseje. Z esejów i recenzji zniknęły ich nazwiska. Było to milczenie zewnętrzne, powierzchowne, bo wystarczyło natężyć ucho ciekawiej, żeby pod powierzchnią usłyszeć nie wołanie, ale zwykły gwar dyskusji. Nowa Fala współtworzyła *Zapis, Puls, Krytykę*”. Ten opis sytuacji dotyczy nie tylko „pokolenia '68”. Obszar milczenia w kulturze oficjalnej powiększał się, lecz była to cena za relatywne zelzenie cenzury wobec tych, którzy publikowali w obiegu oficjalnym.

Czas „Solidarności”

Okres jawnego działania NSZZ „Solidarność” to postępujące rozmywanie granic dzielących kulturę oficjalną od nieoficjalnej i krajową od emigracyjnej. Pierwszym poważnym osiągnięciem tego okresu jest zlikwidowanie „czarnych list”, obejmujących nazwiska autorów zakazanych — tym samym likwidacji ulega w PRL cenzura podmiotowa. Jest to efektem „porozumień gdańskich” w punkcie dotyczącym działalności cenzury. W ostatecznym rachunku dochodzi w tym okresie do uchwalenia przez Sejm ustawy o cenzurze, a zatem skrepowania jej działalności — przynajmniej teoretycznie — przez system przepisów prawnych. Przepisy te są, rzecz jasna, obchodzone — takim ich obejściem jest na przykład ustny nakaz niezaznaczania interwencji cenzury w prasie państwowej (poza nielicznymi wyjątkami, gdy takie sygnały mają świadczyć o trosce władz o wspólne dobro). Decyzja cenzora nie może już być decyzją tajną, nie podlegającą kontroli — każda interwencja winna być uzasadniona odpowiednim przepisem, możliwe jest także odwołanie od niej, co przedtem w zasadzie autorom i redaktorom nie przysługiwało (choć w rzeczywistości taki system odwołań funkcjonował, nie stanowił jednak prawnej instytucji, lecz polegał na „rozmowach” z władzami, „przepychaniu” tekstu poprzez znajomości w instytucjach partyjnych itp.).

Powstanie sieci informacyjnej i prasowej NSZZ „Solidarność” oraz powołanie Wszechnicy Robotniczej obejmującej swym zasięgiem cały kraj, wreszcie wprowadzenie wydawnictw niezależnych w siatkę kolportażu związkowego — wszystkie te zjawiska wy-

wały istotny wpływ na kształtowanie oficjalnego życia kulturalnego. W prasie państwowo-partyjnej (m.in. w *Polityce*) zaczęły się ukazywać wypowiedzi i utwory pisarzy dotąd zakazanych, np. fragmenty „Miesiący” Brandysa. Wydawnictwa państwowe podpisały szereg umów z autorami „drugiego obiegu” — m.in. z Marianem Brandysem, Wiktoorem Woroszyńskim, Jerzym Andrzejewskim, Stanisławem Barańczakiem, Antonim Pawlakiem. Zwalniać poczęto zatrzymane dotąd przez cenzurę filmy. Poczęły się ukazywać oficjalnie artykuły omawiające dorobek literatury emigracyjnej — ich autorzy coraz odważniej postulowali przystąpienie do oficjalnego druku części przynajmniej pozostających na wychodźstwie autorów. Instytut Badań Literackich PAN zorganizował sesję poświęconą „literaturze źle obecnej”, Uniwersytet Jagielloński sesję poświęconą analizie zjawisk nowomowy. Na łamach wydawanego „pod cenzurą” *Tygodnika Solidarność* opublikowano m.in. zestaw książek wydanych przez Niezależną Oficynę Wydawniczą. W auli Politechniki Warszawskiej odbył się kiermasz książek niezależnych, zaś w Gdańsku zorganizowany został festiwal piosenek zakazanych. Podobnych imprez w całym kraju było coraz więcej — w salach wystawowych stowarzyszeń twórczych, na wyższych uczelniach, właściwie wszędzie, gdzie to było możliwe.

Oczywiście nadal istniały ograniczenia. W „Kronice” redakcja *Zapisu* (nr 18) żali się na pomijanie tytułu pisma w prasie oficjalnej: „Tak np. *Życie Warszawy* zaproponowało Kazimierzowi Orłowskiemu druk opowiadania 'Czerwone kalosze', ale odmówiło zamieszczenia informacji, że opowiadanie ukazało się przedtem w *Zapisie* nr 8”. Ograniczenia te jednak nie miały większej wagi choćby ze względu na fakt, iż można je było natychmiast wyjawiać w prasie związkowej czy niezależnej. Podkreślić też należy, że w tym czasie w zasadzie ustały represje wobec redaktorów i autorów publikujących poza zasięgiem cenzury.

Ważnym elementem wpływającym na zmianę sytuacji w kulturze było przyznanie Czesławowi Miłoszowi Nagrody Nobla i następnie wizyta pisarza w Polsce. Presja społeczna wymusiła wydanie w błyskawicznym jak na polskie warunki tempie (druk książki 3-4 lata) obszernego tomu poezji laureata w masowym nakładzie. Jednocześnie — w związku z tym wydarzeniem — coraz łatwiej można było pisać o literaturze emigracyjnej i jej roli w życiu kulturalnym kraju; większość artykułów ukazywała się co prawda w prasie katolickiej, niemniej sam ten fakt stanowił przełom o olbrzymim znaczeniu. Tu, gwoździem prawdy, warto wspomnieć, że wcześniej o roli i znaczeniu literatury powstającej na wychodźstwie pisał — choć dość pokrętnie — Marian Stępień na łamach partyjnego *Zdania*. Zapewne: jego artykuły na ten temat nie byłyby opublikowane, gdyby nie fakty dokonane tworzo-

ne przez prasę i wydawnictwa niezależne publikujące emigrantów, niemniej podjęcie przez Stępię tej problematyki w pewnym stopniu uzdrowiło sytuację w tej dziedzinie, doprowadzając jeszcze przed Sierpniem do publikacji w oficjalnych oficynach utworów niektórych pisarzy emigracyjnych — m.in. do rozpoczęcia wówczas druku arcydzieła Stanisława Vincenza „Na wysokiej połoninie”.

Jednym z najistotniejszych wydarzeń tamtego okresu była zainicjowana artykułem Adama Krzemińskiego „Między fasadą a tyłami” dyskusja o podziale literatury na oficjalną i nieoficjalną publikowana na łamach *Polityki*. Poddano w niej niezwykle ostrej ocenie „politykę kulturalną” państwa, wskazując jednocześnie na znaczenie i osiągnięcie „drugiego obiegu” wydawniczego. Sam fakt opublikowania takiej dyskusji w piśmie stowarzyszącym organ KC PZPR był wydarzeniem bez precedensu nie tylko na skalę Polski.

W miarę upływu czasu, po zmianach przeprowadzonych w organizacjach twórczych i wyłonieniu szeregu ciał i instytucji społecznych doszło do niemal całkowitej emancypacji kultury spod kurateli państwowej. Zwieńczeniem tego procesu stał się zwołany przez owe niezależne organizacje Kongres Kultury Polskiej, gromadzący obok twórców krajowych także przedstawicieli emigracji. Sprawozdania z obrad Kongresu nadawane były przez radio i telewizję. W przededniu zamknięcia obrad — jakby symbolicznie je przerywając dla podkreślenia w ten sposób kierunku przyszłych przemian — wprowadzono stan wojenny.

Przemiany po 13 grudnia 1981

Okres po wprowadzeniu stanu wojennego ma wyraźnie trzy fazy, z których każda — patrząc na to z dzisiejszej perspektywy — zdaje się być wyznacznikiem sytuacji panującej w Polsce ekipy. W pierwszej fazie, trwającej mniej więcej do przełomu lat 1982/1983, władza w zasadzie liczyła — całkowicie jakby pozbawiona realizmu — na „dogadanie się” ze środowiskami twórczymi (dotyczy to szczególnie pierwszych trzech miesięcy). Mogło się wówczas wydawać, że struktury niezależnego życia kulturalnego jeśli nie zostały rozbite, to przynajmniej były na tyle osłabione, iż podjęcie równie aktywnej działalności jak w czasie jawnego działania NSZZ „Solidarność” okaże się niemożliwe. Aresztowano prawie wszystkich redaktorów niezależnej prasy i biuletynów związkowych oraz ludzi kierujących działającymi poza zasięgiem cenzury wydawnictwami. Temu uderzeniu towarzyszyła jednak „otwarta polityka kulturalna” — wydano szereg pozycji dotąd zatrzymywanych przez cenzurę, drukowano książki autorów inter-

nowanych, zaś tym posunięciom towarzyszyło eksponowane przez propagandę hasło, iż władza nie walczy z utworami, lecz z działalnością polityczną ich autorów, zaś dzieła, jeśli posiadają walory artystyczne, będą publikowane. Hasło to wzmocnione zostało przejętym od Kudara sloganem mówiącym, że „kto nie przeciw nam, ten z nami”. Zarazem już w pierwszych dniach stanu wojennego Jaruzelski zaprosił grono intelektualistów na rozmowy — nie dały one żadnego rezultatu, jednakże stanowiły ważny w tym czasie gest propagandowy.

Brak realizmu tych poczynań miał kilka przyczyn. Pierwszą było przekonanie o skuteczności uderzenia z 13 grudnia, co, mimo niewątpliwiej jak na polskie warunki sprawności akcji, okazało się nieprawdą. Przyczyna druga to brak wyobraźni, który nie pozwolił przewidzieć reakcji psychologicznej na wprowadzenie stanu wojennego, a którą stanowił dość powszechny i silny „front odmowy”. Trzecia przyczyna to nieuwzględnianie faktu, iż w okresie jawnego działania „Solidarności” zaplecze społeczne niezależnych inicjatyw gwałtownie się powiększyło w stosunku do stanu sprzed Sierpnia. Wreszcie przyczyną czwartą było niezdawanie sobie przez rządzącą ekipę sprawy z faktu bardzo silnego zbliżenia środowisk twórczych do Kościoła. Można przywołać także przyczynę piątą, o niebagatelnym znaczeniu — brak świadomości tego, że wprowadzenie stanu wojennego ożywiło trwały w kulturze narodowej „etos konspiracyjny”, zwłaszcza wśród przedstawicieli najmłodszego pokolenia.

Siła oporu społecznego, bardzo szybka i sprawna rozbudowa struktur „społeczeństwa podziemnego”, zwłaszcza zaś sieci informacyjnych i prasowo-wydawniczych bez wątpienia osłabiły pozycję ekipy Jaruzelskiego, atakowanej, w miarę instytucjonalizacji struktur niezależnych, przez konkurentów — stąd prowadzona przez generała „polityka środka”, polegająca na „obcinaniu skrzydeł” czyli eliminacji z kręgu władzy z jednej strony zbyt „liberałów”, z drugiej zdecydowanych „twardogłowych”. Ci ostatni jednak zdobili zająć dość mocne pozycje w życiu kulturalnym — stąd też kolejne rozwiązywanie czy delegalizacje związków twórczych i powolne zaostrażanie cenzury, co w efekcie, gdzieś na przełomie 1983/1984, doprowadziło do zdecydowanego ataku kierownictwa partii przeciw wydawcom drukującym „wrogich” autorów — rozwiązano wówczas szereg umów wydawniczych, zaostrażono politykę paszportową (trzeba tu zauważyć, że i tak stosunkowo „liberalną”), wzmożyły się ataki propagandowe. Mimo tych nacisków ekipie Jaruzelskiego nadal udawało się utrzymywać konsekwentnie zasady „polityki środka”.

Faza trzecia rozpoczęła się w moim przekonaniu od X zjazdu PZPR. Następuje znów rozluźnienie cenzury, ponownie zawiera się umowy z autorami związanymi z ruchem niezależnym, przede

wszystkim zaś zarówno w Wydziale Kultury KC jak w Ministerstwie Kultury i Sztuki przeprowadzone zostają zmiany personalne, mające świadczyć o nowym „otwarcu”. Trudno w tej chwili przesądzać o skuteczności tych działań, podkreślić jednak wypada, że jest to polityka niezwykle elastyczna i już zaczynająca dawać korzystne dla władz efekty, choć zapewne nie w tej skali, w jakiej są one przez nie pożądane. Przesłanki tej fazy „polityki kulturalnej” to przede wszystkim rachuba na zmęczenie środowisk twórczych wieloletnim trwaniem w oporze, ale także przekonanie, że „otwarta” postawa reżimu wykruszy z obiegu niezależnego liczących się twórców — poprzez stworzenie np. obszaru licencjonowanej „opozycji kulturalnej” — osłabiając tym samym morale całego ruchu. Należy wszelako przypuszczać, iż obecny „otwarty” kurs nie byłby możliwy bez z jednej strony oczywistego wzmocnienia sytuacji politycznej rządzącej ekipy, z drugiej zaś bez rzeczywistej siły reprezentowanej w kulturze przez obieg niezależny.

O tym ostatnim świadczy zarówno ilość wydawanych poza zasięgiem cenzury tytułów prasy i książek, jak uruchomienie niezależnych trup teatralnych czy wielość wystaw plastycznych oraz innych imprez organizowanych pod patronatem Kościoła. Tylko dzięki tak widowiskowej rozbudowie struktur niezależnych możliwe się stało nie tylko względne obniżenie barier cenzury, lecz także wydanie oficjalnie nowej książki Konwickiego czy wreszcie — rzecz bez precedensu — opublikowanie w oficjalnie wydanym tomie przekładów Czesława Miłosza wiersza emigranta sowieckiego, Tomasza Venclovy. Również niemożliwe byłoby bez tej presji uzyskanie przez Marcina Króla zezwolenia na wydawanie oficjalnie pisma *Res Publica*, które publikował poza zasięgiem cenzury przed Sierpniem.

Jedną z cech charakterystycznych całego tego okresu jest — mimo zmienionych po 13 grudnia 1981 roku warunków — stała obecność informacji o wydawnictwach niezależnych w oficjalnych publikacjach. I tak w rozdziale obejmującym ostatnie dziesięciolecie redagowanej przez Mariana Stępnia „Historii literatury polskiej” wielokrotnie wspomniano o utworach wydanych poza zasięgiem cenzury, podobnie w redagowanej zbiorowo pracy encyklopedycznej „Literatura polska A-Z”. W cytowanej już książce Zawady dopuszczono nawet do wymienienia — czego dotąd unikano — tytułów prasy niezależnej, m.in. *Zapisu*. W prasie od czasu do czasu ukazują się — najczęściej żenujące swym poziomem, zawsze polemiczne — omówienia książek wydanych przez niezależne wydawnictwa. Oznacza to, że „polityka kulturalna” uznała *de facto* istnienie tych wydawnictw za stały element — przynajmniej w obecnych warunkach — polskiego życia. Należy z całą stanowczością podkreślić — niezależnie od oceny intencji

władz — że jest to sytuacja nowa i nie mająca dotąd żadnego precedensu, że wreszcie dziesięć lat temu była ona po prostu niewyobrażalna.

Wnioski

Dziesięć lat trwający nie tylko w życiu społeczno-politycznym, lecz także kulturalnym „eksperyment polski” pozwala sformułować ostrożne tezy ogólne. Nim jednak do tego przejdę, chciałbym podkreślić, że — mimo zarysowanego powyżej optymistycznego obrazu rozwoju sytuacji w Polsce — dotyczy to kraju stojącego w moim przekonaniu u progu nieznanej dotąd katastrofy ekonomicznej, społecznej i ekologicznej. Trudno, by władze, w tym również władze krajów ościennych, nie zdawały sobie sprawy z powagi sytuacji. By tego nie widzieć, trzeba być ślepym i głuchym, zaś obecna ekipa — mimo popełnionych błędów — wielokrotnie wykazała, że widzi i słyszy. W poszukiwaniu jakiejś platformy porozumienia ze społeczeństwem cena ustępstw w dziedzinie kultury jest najmniejszą z możliwych, zarazem też dosyć spektakularną. Nie czuję się kompetentny do oceny sytuacji kultury w innych krajach bloku, można jednak z nadchodzących sygnałów domniemywać, że, choć w innej zupełnie skali, w niektórych z nich zachodzą procesy podobne, co — jak sądzę — stanowi czynnik wzmacniający obecną „otwartą politykę kulturalną” ekipy Jaruzelskiego, czynnik zwiększający jej swobodę manewru.

Biorąc to wszystko pod uwagę jako zbieg okoliczności (nie najszczęśliwszy, jeśli się weźmie pod uwagę zakres kryzysu) szczególnie sprzyjający ruchowi emancypacyjnemu w kulturze, należy przede wszystkim powtórzyć tezę wypowiedzianą na początku niniejszego szkicu, że redukcji zasięgu „polityki kulturalnej” państwa sprzyja wzrost kultury politycznej społeczeństwa, broniącego swej podmiotowości i zdolnego poprzez zorganizowaną presję odzyskiwać krok po kroku swe prawa. Ów zorganizowany i stały nacisk prowadzi — nie bez czasowych, czasem dotkliwych kontrakcji władzy — do obniżenia bariery cenzury, co w efekcie przynosi możliwość oficjalnego publikowania przynajmniej części utworów zakazanych — w Polsce ów nacisk doprowadził do zlikwidowania cenzury podmiotowej, co uznać należy za szczególnie ważne osiągnięcie. Kolejny wniosek wynikający z polskich doświadczeń pozwala sformułować tezę, że przy stosunkowo dużym, przynajmniej teoretycznie, ryzyku osób biorących udział we wczesnej fazie kształtowania struktur niezależnego od państwa obiegu kulturalnego, rozwój tych struktur i przyłączanie się do ruchu nowych twórców prowadzi do zmniejszenia tego ryzyka, w efekcie zaś do relatywnego ograniczenia szykan i represji wo-

bec działaczy niezależnych i autorów publikujących poza zasięgiem cenzury. Warto także podkreślić, że systematyczny nacisk i rozbudowa niezależnych inicjatyw prowadzą do powolnej zmiany postaw części tych intelektualistów, którzy jednoznacznie opowiedzieli się po stronie władzy: nie chodzi mi o możliwość „przeciągnięcia” ich w przestrzeń działania niezależnego, lecz o kształtowanie wśród nich zrozumienia dla konieczności podjęcia dialogu z „niepokornymi”, a więc wymuszenie realistycznej oceny istniejącego stanu rzeczy.

Jednocześnie jednak chciałbym tu zwrócić uwagę na pewne niebezpieczeństwa związane z funkcjonowaniem niezależnych struktur i instytucji kulturalnych. Zagrożenia powodowane udziałem w ruchu emancypacyjnym sprzyjają — o czym już nieraz pisałem — powstawaniu postaw izolacjonistycznych, dla których wzorem jest postawa „obrońców oblężonej twierdzy”. Sprzyja to pogłębianiu podziałów w kulturze narodowej, a także formułowaniu sądów dotyczących sytuacji kulturalnej w oparciu raczej o emocje niż o racje. Zarazem powstaje tu tendencja do przeceniania wartości dzieł i utworów upowszechnianych w obiegu niezależnym, a zatem — na ogół zresztą nieświadome — redukowanie wartości kultury. Skrajne formy tendencje te przybierają w wypadku „twardej polityki kulturalnej” państwa, w warunkach rosnących szykan i represji. Niemniej, przy zrozumieniu mechanizmów powstawania takich postaw, trzeba uczynić wszystko, by im się przeciwstawić. Tym bardziej, że grożą one nie tylko przekształceniem kultury w instrument walki politycznej, lecz nadto prowadzą do postępującej — co już się niestety obserwuje — izolacji od świata, zaś poprzez swoisty „polonocentryzm”, będący chyba najgroźniejszą odmianą prowincjonalizmu, zwiększają i tak już niemałe niebezpieczeństwa wzmożenia polskiego nacjonalizmu.

Leszek SZARUGA

„Górami w miękkim blasku dnia”

(O PRZYJAŹNI CZESŁAWA MIŁOSZA ZE STANISŁAWEM VINCENZEM)

Wielki poeta z „Europy środka”, zapowiadający w swych wczesnych przedwojennych wierszach katastrofę europejskiej kultury, z którą czuje się silnie związany, ulega wpływom dra-

pieznego heglisty z chwilą gdy przepowiednia ta spełnia się w jego kraju i odcina się od przeszłości, przekonany, że należy sobie życzyć realizacji nieuniknionego Przeznaczenia indywidualnego i zbiorowego. Gdy na skutek zbawczego odruchu psychicznej samoobrony zrywa z systemem wcielającym ową matematyczną konieczność i emigruje na Zachód (czyli w przeszłość), pozostaje zatruty „heglowskim ukąszeniem”, z którego leczy go stary mędrzec, wierny temu co JEST, mędrzec, który „nigdy nie był wygnany”. Zarys powieści o „duchu czasu” w Europie wczesnych lat pięćdziesiątych, na wzór „Czarodziejskiej góry” Tomasza Manna, „Pożegnania jesieni” Witkiewicza? Nie — ten karykaturalnie uproszczony schemat dotyczy rozdarcia, jakiego doznał Czesław Miłosz, gdy zerwał w roku 1951 z polskim komunistycznym reżymem, decydując się na pozostanie w Paryżu jako uchodźca polityczny. „Drapieżny heglista” to Tadeusz Kroński, profesor historii filozofii na Uniwersytecie Warszawskim, opisany przez Miłosza pod kryptonimem Tygrys w autobiograficznym eseju „Rodzinna Europa”. „Stary mędrzec” — to Stanisław Vincenz (1888-1971).

W szkicu pt. „La Combe” (*Kultura* nr 10/132, październik 1958), sam Miłosz przeciwstawia Vincenza Krońskiemu, określonymu tu, niczym na alegorycznej rycinie, jako „czarnowłosa i zmrużonooki szatanek”. Vincenz nie figuruje tu jednak jako anioł walczący na prawicy poety o jego duszę. Jednym z głównych motywów tego szkicu jest rozważanie, „dlaczego literatura tak rzadko łapie magnetyzm intelektualny, szczenięcia monad, ich walkę o dominację w przyjaźni”. W grę wchodzi zatem osobisty magnetyzm Tadeusza Krońskiego i Stanisława Vincenza, choć ów magnetyzm przybiera u jednego i drugiego skrajnie odmienne formy. „Tygrys — jakież imię lepiej ujęłoby tę giętkość, drapieżność, podstępny humor — zrósł się niemal ze mną” — pisze Miłosz. „Moja dusza była w szponach Tygrysa, za moją zgodą, z przekonaniem że to dla niej zdrowe. I było zdrowe, bo suche i palące (...). Pochlebialiśmy sobie wzajemnie, zaliczając siebie do wtajemniczonych”. Jakież to było wtajemniczenie? „Wzloty moje i Tygrysa i wielu nam podobnych były kurczowe, spazmatyczne, agresywne. Nasza duma była dumą ze zdobycia diabelskiej mądrości za cenę zbiorowego nieszczęścia”.

Materializm dialektyczny identyfikował często Miłosz wprost z historycyzmem, o którym powiada w „Rodzinnej Europie”, że stanowi swojego rodzaju eliksir młodości. „Wtajemniczenie” osiągnięte przez Miłosza i Krońskiego trudno zatem sprecyzować odwołując się do teorii. Więcej się o nim dowiemy z miłoszowego opisu jego koloru, temperatury, atmosfery, układając w serie określające je słowa: drapieżność — szpony — suche, — palące — kurczowe — spazmatyczne — agresywne — diabelska

mądrość. Tak jakby marksizm nie stanowił wówczas „Opium Intelktualistów” (jak nową religię określił Raymond Aron w tytule swej słynnej książki), ale raczej ich morfinę, w języku amerykańskich *junkies* „małpę”, o wpitych w ich ramię szponach.

Proces „odwrotnej inicjacji” (czy dezintoksykacji), jakim była dla niego przyjaźń ze Stanisławem Vincenzem, określa Miłosz w pierwszym paragrafie poświęconego mu eseju:

„Postaram się opowiedzieć dlaczego wielu z nas, ludzi różnych narodowości, ale pochodzących z pewnego określonego obszaru Europy, jeździło do Grenoble i do małego miasteczka Lancey w tamtej okolicy, żeby wspinać się ścieżką po stromym zboczu, na którym leży wioska La Combe (w dole Izera, naprzeciw alpejskie pasmo, ściana z której w nocy błyszczą światła wielkiego sanatorium). Być może zresztą, że inni jeździli tam z innych niż ja powodów. Ponieważ jednak wszyscy sobie współcześni zatruli są tymi samymi truciznami i tak samo chcą powrotu do zdrowia, można założyć, że motywy były podobne.

„Wędrowka czy pielgrzymka do kogoś nie jest tym samym, co wizyta czy spotkanie. Ma przepisaną formę, zanim osiągnie się jej cel: właściwie zawsze powinno się iść długo przez dzikie góry i pustkowia, coraz wyżej, z nadzieją zapłaty za wysiłek — tą zapłatą jest czyjaś obecność, inna niż przechodnia na ulicy, bo wtopiona w tło, oświetlająca przedmioty i krajobrazy, które przez to stają się również celem. Nawet podróż pociągiem poddaje się tej symbolicznej interpretacji. Coś z wyprawy po mądrość w baśniach, czy z 'Pilgrim's Progress' czy z marszu o kiju w Himalaje, w Czarnohorę, do grotty buddyjskiego eremity albo mistrza chasydów, Baal-Szem-Towa”.

Czytelnik dzieła Stanisława Vincenza już wie, o kogo chodzi. Warto mu jednak przypomnieć owego „eremity z Czarnohory”, który polskiej kulturze udostępnił nauki Baal-Szem-Towa. Uczynił to, tłumacząc ustęp poświęcony Vincenzowi przez samego Miłosza w „The History of Polish Literature”*, jedynej książce napisanej po angielsku i przełożonej dotąd jedynie na francuski (Fayard, 1986). Polski przekład ma się ukazać niebawem. Łączy on tam Vincenza z jego przyjacielem Stanisławem Stempowskim, widząc w nich przedstawicieli „typowego dla Polski fenomenu przed tragicznymi wydarzeniami z roku 1939, gdzie wielu ludzi wychowało się w duchu antynacjonalizmu i szacunku dla 'europejskiej cywilizacji' jako całości, pozostając przy tym zakorzenieni w swych własnych tradycjach regionalnych. Pisarze z tej grupy umieli zachować równowagę między swą 'europejskością' i wiernością spuściznie przekazywanej przez długie wieki polskiej historii”.

* Czesław Miłosz, *The History of Polish Literature*, wydanie drugie, University of California Press, Berkeley 1983.

„Stanisław Vincenz pochodził z rodziny francuskiej, która opuściła swą rodzinną Prowansję przed wiekami, by osiedlić się w karpaccich górach, gdzie otrzymała szlachecki indygenat. Vincenz wzrósł w prawdziwie cudownym świecie, który zachował jeszcze wówczas swą patriarchalną, pasterską cywilizację. Przed rozbiorem ów odległy zakątek Europy należał do polskiej Rzeczypospolitej, potem (za czasów dzieciństwa i wczesnej młodości Vincenza) do Autro-Węgierskiego Cesarstwa, a między 1918 i 1939 do Polski. Zamieszkany był przez mieszaną ludność, wyznającą różne wiary, mówiącą różnymi językami i dialektami. Swą nazwę Huculszczyzny zawdzięczał plemieniu pasterzy, których mową był ukraiński dialekt. Mówiono tam również po polsku i w jidisz i tam właśnie żył i nauczał niegdyś Baal-Szem, założyciel chasydyzmu. Vincenz po ukończeniu gimnazjum w swej rodzinnej prowincji, uczył się na uniwersytecie wiedeńskim gdzie w roku 1914 otrzymał doktorat za swą tezę o filozofii religii Hegla. Jego dzieło nie zrodziło się jednak z Hegla, lecz z miłości do swego kraju. 'Na wysokiej Połoninie' jest niemal jedynym zbiorem rytuałów, obyczajów i legend Huculszczyzny, spustoszonej dziś wyspy odwiecznej kultury ludowej, która podówczas jeszcze istniała w obrębie nowoczesnej cywilizacji. Trudno określić tę książkę. Jest ona zarazem sagą antropologiczną, zbiorem wspomnień, poematem napisanym prozą. Przekazuje nam rytm hieratycznego, dostojnego trybu życia, który pozwalał różnym rasom i wiarom współżyć zgodnie i harmonijnie. Nurt religijny figuruje w niej poprzez liczne opowieści o chasydach; mimo czule żartobliwego tonu, udostępniają one parabolicznie poważne teologiczne problemy, jak na przykład opowiadanie o *bałagutach*, żydowskich woźnicach, którzy wdają się w dysputę nad tym czy Bóg przebaczy Samaelowi (Szatanowi) przy końcu świata. Być może jednym z celów Vincenza było przedstawienie swego świata, tak szybko umykającego w przeszłość przed skłóconymi nienawiściami skrajnego nacjonalizmu i totalitarnych sloganów. Praca nad tym dziełem zajęła wiele lat. Podczas drugiej wojny światowej Vincenz przedostał się przez Karpaty na Węgry, gdzie żył kilka lat (jego szkice o węgierskim krajobrazie wpisują weń historię tego kraju); wreszcie, wierny swej górskiej spuściznie, osiadł w Alpach francuskich. Vincenz jest również autorem esejów o Dancie i starożytnej Grecji. Średnie wykształcenie w Europie przed pierwszą wojną sprzyjało — poprzez nacisk stawiany na klasyczne języki — prawdziwie cywilizowanemu podejściu do zagadnień społecznych. Zarówno Stempowski jak Vincenz czytali Homera w oryginale”.

Pierwszą „pielgrzymkę” do La Combe — za radą dwóch wspólnych przyjaciół, Józefa Czapskiego i Zygmunta Hertzga — odbył Miłosz latem 1951. W siedem lat później przekazał, we

wspomnianym szkicu, bardziej intymną charakterystykę Stanisława Vincenza:

„Szeroka, słowiańska twarz, łysa czaszka w okółu siwych kosmyków, ręce rozłożone w geście powitania. Szlachcic polski na progu swego domu”. Ale odmienny od „narodowej” sztancy, bo szlachcic kresowy: „Szaleni szlachcice, zrośnięci z niepolską etnicznie glebą, górowali w jakiś sposób nad swymi pobratymcami z Królestwa Polskiego. Vincenz, zukraińszczyły i żydyziły dokładnie w tym stopniu, jaki jest niezbędny, żeby w jego osobie dokonał się stop trzech pierwiastków jego ojczyzny (...), kiedy chce ująć coś dobitnym, ludowym zwrotem, używa ukraińskiego. W swoich medytacjach nad Samaelem czyli Złym zapuszcza się w przerażające głębie dialektyki żydowskich bałagutów spod Kosowa (coż wobec nich Hegel...). I nagle z polskiego szlachcica wyziera ktoś inny: cadyk w huculskim kozuchu”.

Oto zaś Vincenz-terapeuta w oczach Miłosza-pielgrzyma:

„Vincenz, otwarty na każdy szczegół dnia, czy to będzie zbieranie rydłów czy kształt chmury, zakochany w Homerze i Platonie, wystukujący laską rytm na górskich ścieżkach, nie marnował energii na żadne polityczne gorączki. Czemuż by nie miał okazywać każdym swoim gestem i uśmiechem, że się nie troszczy, jeżeli naprawdę akceptował i uświeciał to co jest? (...)”.

„Podpatrywałem sekret Vincenza (...). Jego sekretem była ta sama rewerencja dla ognia, chleba, oliwy i wina, której brak jest złamaniem prawa i wystarcza, żeby wiele z dumnych prób obrócić w nicość. Znikąd nie był wygnany. Żaden anioł nie stał za nim w bramie z obwieszczeniem, że musimy wybrać albo zupełną bierność albo ścigać Erę jak psy metalowego zająca. Dookoła rozpościerała się ziemia, dostateczna, bo wyposażona we wszystko co nam jest potrzebne do codziennego podziwu”.

Sześć czy siedem pobytów Czesława Miłosza u Stanisławostwa Vincenzów w latach 1951-1963 pozostawiło trwałe ślady na twórczości poety. (Rozmyślnie wymieniam tu oboje Vincenzów, gdyż każdy ich przyjaciel wie, że piękna pani Irena Vincenzowa była idealną towarzyszką życia Doktora i ile atmosfera ich domu zawdzięczała jej wrażliwej inteligencji, cichemu urokowi, dyskretnej dobroci). Najdobitniej bodaj świadczy o wpływie „terapii” Vincenza poświęcony mu wiersz z 1951 roku, „Mittelbergheim”. Przełomowy ten wiersz zamieścił Miłosz na końcu pierwszego zbioru wydanego na emigracji pod wymownym tytułem „Światło dzienne”. W swych rozmowach z Ewą Czarnecką* określa Miłosz „Mittelbergheim” jako „wiersz rekonwalescencji”, przywracający mu perspektywę. Uważny czytelnik odnajdzie w tym wierszu sedno filozofii życiowej Stanisława Vincenza. Ogra-

* Ewa Czarnecka, *Podróżny świata*, Bicentennial Publishing Corporation, New York 1983.

niczę się tu do jednego cytatu, który w przejmującym skrócie potwierdza postawę Vincenza, „akceptującego i uświatniającego to co jest”:

(...)

Tu i wszędzie

Jest moja ziemia, gdziekolwiek się zwróce

I w jakimkolwiek usłyszę języku

Piosenkę dziecka, rozmowę kochanków.

Bardziej od innych szczęśliwy, mam wziąć

Spojrzenie, uśmiech, gwiazdę, jedwab zgięty

Na linii kolan. Pogodny, patrzący,

Mam iść górami w miękkim blasku dnia

Nad wody, miasta, drogi, obyczaje.

W okresie pielgrzymek do La Combe powstaje arcydzieło Miłosza w prozie, „Dolina Issy”, powieść zaczęta późną jesienią 1953, a zakończona późną wiosną następnego roku. Czytamy w „Podróżnym świecie”:

„E.C.: — Wspomniat pan w jednym ze swoich szkiców, że do napisania 'Doliny Issy' skłonił pana Stanisław Vincenz.

C.M.: — Nie powiedziałem, że on mnie skłonił, ale być może rozmowy z Vincenzem i jego głębokie przywiązanie do Podkarpacia, ciągle powracanie do jednego kąta, z którego jego ród się wywodzi, podświadomie na mnie wpłynęły. Vincenz mówiąc i pisząc pokazywał, że na tym małym kawałku w niesłychanie zapadłym kącie Europy — las dziewiczy na zboczach Czarnohory stał do końca XIX wieku — jest wszystko (...). Obcowanie z Vincenzem stanowiło wielką przyjemność, bo on był zupełnym przeciwieństwem polskości nacjonalistycznej. Przecież mój konflikt polegał w głównym stopniu na konflikcie z polskim nacjonalizmem, bardzo popularnym, zwycięskim, ale były przecież starsze tradycje — Rzeczypospolitej Polskiej, rozmaitych prowincji — i gdyby takich ludzi jak Vincenz było więcej, może wszystko ułożyłoby się inaczej”.

W swej „Historii polskiej literatury” Miłosz stwierdza, jakby z zazdrością, że Stempowski i Vincenz „czytają Homera w oryginale”. Przyjaźń z Vincenzem na pewno stanowiła zachętę na tej drodze, która dwadzieścia lat później, w Kalifornii, doprowadziła go do nauczania się greki i hebrajskiego, czemu zawdzięczamy jego genialne przekłady Biblii. Już w latach pięćdziesiątych tłumaczył Miłosz ocalałe fragmenty „Zdań” Heraklita, z pomocą Stanisława Vincenza. Wzruszającym wyjątkiem wśród tłumaczeń dokonanych przez Miłosza jest jedyny wiersz, który prze-

łożył z jidis: „Modlitwa mojej matki przed zmrokiem” Nuchima Bomse. Przekładowi temu poświęcił Miłosz krótki szkic w zbiorze „Ogród nauk” (1979). Zaczyna od „szczególnej logiki przypadku”, która sprawiła, że Bomsego odkrył przed wojną Stanisław Vincenz („opiekował się nim, gościł go u siebie w domu pod Czarnohorą”) i opisuje swe własne spotkanie z tym wierszem:

„Modlitwę mojej matki przed zmrokiem’ podsunął mi Vincenz, namawiając do przetłumaczenia. Wzbraniałem się, bo nie znałem języka, ale znalazła się na to rada. Andrzej Vincenz, wówczas student lingwistyki (dziś profesor w Heidelbergu) sporządził tzw. 'rybkę', czyli przekład dosłowny i uległem prośbie starego, który i dla mnie i dla wielu innych był kochanym cadykiem. Dzisiaj oddałbym wiele prac literackich za ten jeden, tak prosty i tak odległy od wszelkich awangard, wiersz.

Język w którym pisał Bomse jest teraz językiem zamierającym i nieodwołalnie, jak się zdaje, skazanym na los zabytku. Odczytując ten wiersz mam poczucie, że coś uratowałem, pozwalając pocie nieżyjącego miasteczka Sasowa przetrwać w poezji polskiej”.

W ostatnim paragrafie poświęconego Vincenzowi eseju „La Combe”, Miłosz pisze: „Napisałem go z wdzięczności i po to, żeby zerwać z nałogiem przemilczania w druku związków najbardziej twórczych, o skutkach powolnych ale pewnych. Vincenz nas obdarowywał. Jeżeli każdy z nas przez to się jakoś zmieniał i z kolei coś przynosił ludziom? Jeżeli ci z kolei? Słuszne więc jest, jeżeli pozbędziemy się zazdrośnej chęci ogłoszenia go za naszą wyłączną własność”.

Nic zatem dziwnego, że sam, wiele zawdzięczając autorowi i protagoniście tego szkicu, wybrałem ten temat do zbiorowej książki poświęconej Andrzejowi Vincenzowi, z którym łączą mnie od pół wieku dziwnie równoległe koleje życia, od szkolnej ławy w gimnazjum im. Stefana Batorego w Warszawie w latach trzydziestych, poprzez służbę w tym samym pułku wojska polskiego w Wielkiej Brytanii, wspólny udział w kampanii Pierwszej Dywizji Pancernej od Normandii, Belgii, Holandii — aż po Wilhelmshaven. Tak się złożyło, że przypadła mi w marcu 1946 roku misja przewiezienia nielegalnie rodziców i siostry Andrzeja z okupowanego przez Amerykanów Salzburga do Quackenbrück, okupowanego przez naszą dywizję, niemieckiego miasteczka gdzie pracowaliśmy obaj w redakcji *Dziennika Żołnierza Pierwszej Dywizji Pancernej* i literackiego kwartalnika *Salamandra* (gdzie ogłosiłem w tymże roku mój pierwszy szkic poświęcony Miłoszowi, o „Ocaleniu”, jego zbiorze wierszy wydanym w Warszawie, który podobnie zachwycił Andrzeja i mnie).

Przez cały rok zachodziłem wieczorami na pięterko naszego

hotelu-falansteru do państwa Vincenzów (wraz z kolegami, wśród których byli żyjący na równej stopie szeregowi i oficerowie, redaktorzy, zecerzy, szoferzy) i słuchałem niezrównanych opowiadań „Doktora”, dla którego słowo, gest, intonacja były bezpośrednim twórczym wyrazem, niemal równym pisarskiemu dziełu. Szczodrość intelektualna Stanisława Vincenza była przeciwieństwem tak wielu pisarzy, którzy zasobami swymi gospodarują oszczędnie, co najlepsze zachowując nie dla rozmówcy, a dla czytelnika. Byłem oczarowany, ale, podobnie jak później Miłosz, widziałem wówczas w Vincenzie jednego z ostatnich przedstawicieli zagrożonego w swym bycie gatunku, cenny zabytek przeszłości.

Widzę dziś, jak bardzo się myliłem. Do przeszłości należy nie Stanisław Vincenz, a Tadeusz Kroński. Przed „heglowskim ukąszeniem” chroni dziś młodych jakże długa już seria szczepionek rozczerowania. Dzieło Stanisława Vincenza — polskiego odkrywcy Thoreau — przełożone na niemiecki, przemówiłoby żywo do tego co najlepsze w ekologicznej świadomości „Zielonych”, do wszystkich którzy przyszłość Europy widzą w decentralizacji, autonomii organicznie pomyślanych regionów. Zainteresowanie jakim jego dzieło cieszy się dziś w Polsce stanowi niewątpliwie najlepszą odtrutkę na wąski nacjonalizm, będący głównym niebezpieczeństwem na długą metę dla naszego kraju, za sprawą samoobronnego mimetyzmu rządzących, a niestety również osamotnienia i dezorientacji uciskanych.

Konstanty A. JELEŃSKI

NOWOŚĆ WYDAWNICZA!

MAREK CELT

„BIALI KURIERZY”

Zbeletryzowane wspomnienia kuriera ZWZ kursującego na początku roku 1940 między Budapesztem a okupowaną przez Sowiety Małopolską Wschodnią. Groza aresztowań i wywózek, postawa ludności, dramatyczne dzieje kurierów. Wiele dialogów w „bałaku” lwowskim. Przedmowę napisał płk dr Mieczysław Młotek.

„Biali Kurierzy” są do nabycia w księgarniach polskich w krajach wolnego świata. 380 stron, 29 zdjęć, mapka kurierska.

Cena — DM 38,00 lub równowartość.

Skład główny:

Marek Celt, Nikolaus-Mueller-Str. 13

8033 PLANEGG, West Germany

Nagrody „Kultury” za r. 1986

NAGRODA LITERACKA IM. ZYGMUNTA HERTZA: JAROSŁAW MAREK RYMKIEWICZ

Poeta, historyk i badacz literatury, eseista literacki, narrator. Oryginalnością i dokonaniem pisarskim Rymkiewicza jest to, że nie można wykreślić granic między uprawianymi przez niego gatunkami. Łączą się zawsze i przeplatają w takich czy innych związkach i „kombinacjach”. Trudno za „czystego” historyka literatury czy historyka uważać autora książek o Fredrze, o Słowackim, o Wielkim Księciu Konstantym; dochodzi w nich równocześnie do głosu poeta, eseista literacki, narrator. Rymkiewicz zdumiewa i zachwyci ogromną umiejętnością, maestrią prawie, w swobodnym posługiwaniu się rozmaitymi rejestrami pisarskimi. Z wyjątkiem tomów wierszy, gdzie mamy do czynienia tylko z poetą, wyraźna jest u Rymkiewicza niechęć do przestrzegania sztywnych reguł gatunku. Bawi go i podnieca ta wielorakość ekspresji, a czytelnikom daje poczucie poruszania się w pisarskim świecie bez przegród: polska historia, polska literatura, polskie rozważania filozoficzne o duchu narodowym i losach narodu, o obecnej i żywej na każdym kroku przeszłości, polskie emocje religijne i dylematy polityczne. Czym są śliczne *Rozmowy polskie latem 1983*, najpoczytniejsza książka Rymkiewicza? Formalnie rozłożoną na kilka głosów opowieścią o wakacjach w konkretnym, oznaczonym datą momencie historycznym. Ale ile w niej i jak daleko w przeszłość sięgających ech, które rozjaśniają teraźniejszość i wychylają się ku przyszłości! Ile soków przesączonych z poprzednich książek Rymkiewicza, ile poezji nadającej cudowną lekkość prozie narracyjnej! Zresztą *Rozmowy* tak świetnie pochwalił Miłosz, że wystarczy czytelników odesłać do jego recenzji w *Kulturze*. W Rymkiewiczu, powtórzmy tu tylko, jest coś z pisarza polifonicznego.

Przyznając mu tegoroczną nagrodę literacką *Kultury*, chcielibyśmy choć słówko powiedzieć o jego nowej książce, którą przysłał ostatnio do naszego wydawnictwa. Nazywa się *Żmut*. Jest

historią romansu Mickiewicza z Marylą. W pewnym sensie romansu kryminalnego, bo książka jest prawdziwym dochodzeniem, a jej autor z historyka i badacza literatury przedzierzgnął się w detektywa literackiego. Co powiedziaławszy, trzeba położyć palec na ustach i laudację przerwać, poza zapewnieniem że wkrótce czytelnicy wezmą do rąk książkę pasjonującą, pełną przy tym poetyckiego uroku typowego dla pisarstwa Rymkiewicza.

NAGRODA PUBLICYSTYCZNA IM. JULIUSZA MIEROSZEWSKIEGO: PAWEŁ MORGA

Od kilku lat ukazują się co jakiś czas w *Kulturze* artykuły podpisane Paweł Morga. Jest to pseudonim pisarza krajowego. Ponieważ rozszyfrować go nie wolno, musimy się ograniczyć do podpisanych wyłącznie tym pseudonimem tekstów, które mogłyby się już złożyć na niewielką książeczkę.

Klasyczny publicysta — taki na przykład jak patron tej nagrody, Juliusz Mieroszewski — ceniony jest przede wszystkim za sprawność, inteligencję i precyzję swego myślenia politycznego. Mniejszą wagę przywiązuje się, i mniejszą wagę przywiązuje on sam, do ilustrowania publicystycznych wywodów obserwacjami i doświadczeniami zaczerpniętymi z „żywej” rzeczywistości, opisami typu reporterskiego. Zakłada jakby że „żywa” rzeczywistość jest czytelnikom znana, a do niego należy jedynie wydobyć z niej nauk, wskazań i wniosków. Morga krzyżuje publicystykę z reportażem. Wszystko co niby wiemy z grubsza i mgliście o rzeczywistości krajowej jest przez niego jaskrawo pokazane, z wielu stron naświetlone, uwypuklone z pomocą przykładów. Życie podziemia, nastroje społeczeństwa, posunięcia władzy. Żeby nie cofać się za daleko wstecz i przypomnieć tylko teksty tegoroczne: zwięzłe podsumowanie tego „co zostaje po Bujaku”; niezmiernie pouczające notatki o „pełzającym antysemityzmie”. Widać u Morgi nie tylko spostrzegawczość i solidną znajomość rzeczy o których pisze, lecz także bardzo cenną skłonność do poruszania „tematów drażliwych”. I naturalnie — skoro reporter żyje w nim obok publicysty — własne, wyraźnie zarysowane stanowisko człowieka zaangażowanego w działalność opozycyjną.

Żelazną niejako pozycją pism emigracyjnych wszystkich narodów i epok jest „List z Kraju”. Morga potrafił nadać wysoką wartość swoim „Listom z Kraju”. Czytane dziś uważnie przez odbiorców *Kultury*, będą kiedyś z pożytkiem studiowane przez historyków.

Wywiady «Kultury»

Filolodzy contra komunizm

(ROZMOWA Z REDAKCJĄ ARKI)

PYTANIE: — *Zaczynając, proszę o informację kim jesteście, czym zajmujecie się na co dzień?*

1.: — Jesteśmy typowymi, wyalienowanymi inteligentami, tzn. humanistami pracującymi w większości w różnego rodzaju wyższych uczelniach.

P.: — *Od jak dawna zajmujecie się działalnością opozycyjną?*

1.: — Większość z nas zetknęła się z opozycją już przed Sierpniem. Później braliśmy aktywny udział w działaniach „Solidarności”, okres po 13 grudnia to już właściwie czas wydawania pisma.

P.: — *Jak powstało pismo?*

1.: — Po wprowadzeniu stanu wojennego zaczęły ukazywać się — poza dużą ilością gazetek — poważne pisma poświęcone literaturze, kulturze, sprawom społecznym. W Krakowie, mimo stosunkowo dużego środowiska literackiego, dziennikarskiego, naukowego — pisma takiego nie było. Zakładając ARKĘ myśleliśmy o zapewnieniu normalnego funkcjonowania życia umysłowego Krakowa. Miała więc ARKA spełniać rolę usługową wobec tych środowisk, a zarazem je integrować. Zakładało to eklektyczny, almanachowy charakter pisma, wolnego od ideologicznych ograniczeń i politycznych zobowiązań. Zespół redakcyjny (poza dwoma założycielami) miał się wyłonić w trakcie pracy nad kolejnymi numerami. Po rocznej działalności ukonstytuowanie się trwa-

łego składu redakcji zbiegło się z ostatecznym upadkiem koncepcji pisma jako „galicyjskiego forum intelektualnego”. Pisarzom i dziennikarzom, którym wolność twórczą zapewnia Putrament czy Kurz, pismo podziemne nie jest po prostu potrzebne. Był to więc z jednej strony naturalny, a z drugiej pożądaný przez redakcję koniec okresu eklektyzmu w historii pisma.

P.: — *Czy to oznacza, że teksty wartościowe, z którymi się nie zgadzacie ze względów zasadniczych, nie są dopuszczane do Waszego pisma? Czy absolutnie zerwaliście z zamierzeniem udzielania łamów różnym opcjom i pomysłom?*

1.: — Jest wręcz przeciwnie, zależy nam na sporach, wielogłosowości. Ostatni numer, który leży przed nami — czternasty — zawiera pierwszy tekst z cyklu zamówionych przez redakcję wewnętrznych polemik. Zamieszczamy ponadto bardzo ostro sformułowaną polemikę J. Surdykowskiego z tekstem naszego współpracownika Marka Leskiego. Tenże Leski odpowiadając Surdykowskiemu zaczyna Elżbietę Morawiec; Włodzimierz Odojewski spiera się z Michałem Spisem (publicystą ARKI) o stosunek RWE do twórczości Józefa Mackiewicza, a Tadeusz Maks spiera się ze Spisem recenzującym książkę Jana Nowaka „Wojna w eterze”. Oto dowód, że nie chcemy czytelnika indoktrynować, lecz umożliwić mu spojrzenie na badany problem z różnych stron.

2.: — Wielogłosowość stanowi niewątpliwie zjawisko pozytywne, tym niemniej pożądané jest, by dało się z niej wydobyć linię samej redakcji, by wśród wielu głosów znalazły się i takie, o których czytelnik będzie wiedział, że się z nimi zgadzamy.

3.: — Odrzucenie z powodów politycznych czy pryncypialnych wartościowego tekstu jest oczywiście czysto hipotetyczne: do tej pory nic takiego się nie zdarzyło. Jedną z zasad jakim hołduje nasze pismo jest pluralizm, ale zasadę tę interpretujemy cywilizacyjnie raczej niż definicyjnie. Pluralizm to, mówiąc inaczej, stanowisko, które dopuszcza wielość głosów i poglądów mieszczących się w głównym szerokim nurcie cywilizacji zachodniej, zdolnych wejść w pewien kontakt dyskursywny, nawet bez nadziei na wypracowanie wspólnego punktu widzenia. Można więc wyobrazić sobie pewne orientacje, które by się tutaj nie mieściły, na przykład stalinizm, maoizm, czy teoria mówiąca o żydowskim spisku. Mieściłyby się tu natomiast niektóre odmiany socjalizmu, nawet jeżeli nikomu w redakcji socjalizm nie podoba się ani jako praktyka, ani jako teoria. Rzecz w tym, że jakoś nikt w Polsce nie kwapi się z obroną rozwiązań socjalistycznych, a przynajmniej wystrzega się stosowania samej nazwy.

P.: — *Ale z drugiej strony istnieje w Polsce obecnie pewien typ konserwatyzmu czy ideologii prawicowej, który, myślę, Wam też by się nie bardzo podobał. Myślę, że wiele tekstów z Polityki Polskiej też by Wam nie odpowiadało.*

3.: — Moim zdaniem wymiana poglądów z *Polityką Polską* byłaby bardzo pożyteczna. Problem jednak polega na tym, że nie tylko nie ma z tej strony żadnych awansów, ale można zaobserwować wyraźne zamknięcie. Na przykład nasza ankieta o nacjonalizmie, której celem było skonfrontowanie wszystkich za i przeciw, została całkowicie zignorowana przez to środowisko.

2.: — Z tym, że — prawdę mówiąc — środowisko *Polityki Polskiej* niewiele ma wspólnego z konserwatyzmem. Ich konserwatyzm jest czysto werbalny, trudno go natomiast odnaleźć w sferze prezentowanych idei. Dobrym przykładem są tu choćby teksty Józefa Wiernego.

P.: — *A Wy podpisalibyście się pod konserwatyzmem?*

2.: — Kolega na pewno tak, ja również.

1.: — Jedną z ważnych cech konserwatyzmu jest niechęć do wszelkich radykalnych zmian, a przypuszczam, że wszyscy byśmy się zgodzili, że w Polsce potrzeba tych radykalnych zmian. Obalenie komunizmu na przykład, byłoby tą upragnioną przez wszystkich zmianą, która jednak musiałaby być w jakimś sensie radykalna. A nie sposób pogodzić właśnie takich radykalnych zmian, dążenia do nich, z myśleniem konserwatywnym.

2.: — Chyba niezupełnie tak jest. Konserwatyzmu nie należy ujmować jako idei nieziennej, monolitycznej, jednorodnej, ale jako względnie elastyczny, dostosowany do warunków sposób postrzegania rzeczywistości. Jeśli środowisko, w jakim żyje jest dorzeczne, czyli znośnie urządzone, będą go bronił przed jakimikolwiek rewolucyjnymi zmianami w obawie, że zmiany te mogą wprowadzić chaos i zniszczyć to, co może nie jest doskonałe, ale wartościowe. Jeśli natomiast wiem, że system, w którym tkwię, jest najgorszy z możliwych, nie muszę bać się zmian; wręcz przeciwnie, powinienem do nich dążyć.

P.: — *Są tacy konserwatyści — że wskażę na „trzynastkę” — którzy reprezentują wyraźną linię wychodzenia od PRL-owskiego politycznego status quo i usiłowania wprowadzenia jakichś zmian ewolucyjnych. Wspólnym mianownikiem tych wszystkich ludzi jest coś, co nazwałbym najprościej niechęcią do „Solidarności”,*

wyostrowaniem jej różnych wad albo wręcz potępianiem całości tego ruchu jako lewicowego, który nie realizował interesów narodowych i wręcz im przeciwdziałał. Konserwatyzm może być oczywiście wiele i różne postawy mogą być tym mianem określane. Już mniej więcej wiemy, jakimi konserwatystami nie chcielibyście być. A jakimi chcielibyście?

3.: — Nie ma tutaj czystego konserwatyzmu, ale raczej orientacja hybrydyczna. Są pewne wątki konserwatywne, jak przekonanie o istnieniu trwałych wartości, niechęć do rewolucji, niechęć do populizmu, premiowanie postawy bardziej badawczej niż aktywnego działania. Równocześnie sympatyzujemy z wieloma zasadami liberalizmu, takimi jak idea wolności obywatelskich czy porządku rynkowego w gospodarce. Co więcej, bliska nam jest również koncepcja demokratyczna. Są przecież odłamy polskiej opozycji, które demokrację odrzucają jako szkodliwą taktycznie czy wadliwą moralnie, ale nam wydaje się ona jednym z bardziej udanych wynalazków politycznych świata zachodniego, bez którego obyć się nie da. Oczywiście, łatwo wykazać, że wszystkie te idee czy sympatie mogą się ze sobą kłócić, a nawet w pewnych przypadkach wykluczać. W odpowiedzi możemy jedynie stwierdzić, że najlepsze systemy polityczne powstają właśnie z kompromisu między wykluczającymi się ideałami. System spójny, jednorodny, bezkompromisowy bywa zwykle dziełem albo głupców albo doktrynerów.

2.: — Z pewnością nie we wszystkim zgadzamy się między sobą. Kontrowersje budzi np. kwestia rewolucji. Niektórzy z nas uważają, iż problemy, w obliczu których stoi dziś Polska i Polacy mogą zostać rozwiązane tylko w drodze gwałtownych przemian, czyli rewolucyjnie. Łączy nas natomiast głęboko sceptyczny stosunek do tego, co zwykle określa się mianem postępu.

P.: — A jak część redakcji — która uznaje konieczność rewolucji — sobie ją wyobraża?

2.: — Nie wiem. Żywię jedynie — uzasadnione jak mi się wydaje — przekonanie, że metodą powolnych kroków, metodą ewolucji i osławiania komunizmu niczego uczynić się nie da. Strategię taką próbowano wcielać w życie już wielokrotnie, ale nigdy jeszcze nie okazała się skuteczna, tzn. nie doprowadziła do zadowalających rezultatów. Jakby natomiast miała wyglądać antykomunistyczna rewolucja (czy może kontrrewolucja) — nie umiem powiedzieć. Zależy to od okoliczności.

P.: — To znaczy tendencję, właściwie dominującą w niektórych kręgach „Solidarności”, żeby wymusić na władzach kolejne poro-

zumienie, uważasz za niedopuszczalną, czy też jest to jedna z możliwych dróg?

2.: — Uważam ją za opcję naiwną i nie rokującą szans powodzenia, ale oczywiście każdy ma prawo wyboru własnej drogi postępowania. Nigdzie zresztą nie jest napisane, że właśnie moje poglądy są słuszne, że metoda walki, którą uznaję za najskuteczniejszą, jest nią rzeczywiście. Jeśli natomiast chodzi o osobiste przekonania, to sądzę, że powinniśmy czekać na odpowiedni moment. A gdy ten moment nadejdzie — wziąć karabiny i strzelać.

1.: — Nie trzeba używać słowa czekać, trzeba używać słowa działać.

2.: — Oczywiście nie czekać biernie. Trzeba przygotować siebie i innych na możliwość gwałtownych zmian, oswoić ich z taką ewentualnością.

P.: — Podobnie myśli z jednej strony Moczulski, a z drugiej strony ta grupa, która określa się mianem „Niepodległości”. Czy z taką identyfikacją zgadzacie się?

2.: — Z KPN na pewno się nie identyfikuję. Jeśli chodzi natomiast o grupę „Niepodległości”, to prezentuje ona pewne idee, które są mi bliskie, właśnie idea niepodległości, a także sporo koncepcji liberalnych: etycznych, politycznych i ekonomicznych.

P.: — Tak, ale oni odrzucają wszelkie działania tzw. ewolucyjne w oficjalnych strukturach, np. poprzez samorządy, uważając że to jest kolaboracja. Czy podzielacie ten pogląd?

4.: — Raczej nie. Oni w zamian proponują wydawanie gazetki i układanie programów politycznych na daleką przyszłość, natomiast ponadto pomysłów mają niewiele. Tymczasem trzeba korzystać z tych możliwości, które są, lub które się pojawiają; uczestniczyć w życiu politycznym takim jakie jest, oczywiście bez przekraczania progu kolaboracji. To znaczy uchylając się od udziału w strukturach władzy i w organizacjach, które jej służą. Może zresztą kolaboracją jest po prostu to wszystko, co bardziej służy komunistom niż nam.

P.: — Tym niemniej dosyć zdecydowanie sprzeciwiliście się możliwości powołania społecznej czy też katolickiej reprezentacji w sejmie.

1.: — Trzeba pamiętać, że w tym kraju żyje trzydzieści parę milionów ludzi i ci ludzie muszą sobie w istniejących warunkach układać życie. Budowanie programu na tym, że nic się nie da

zrobić, dopóki nie upadnie Moskwa, że każde legalne posunięcie człowieka jest kolaboracją, jest brnięciem w ślepy zaułek. Dlatego zawsze była mi tak obca retoryka KPN-u, który składał wieńce 11 listopada i krzyczał, że trzeba Polsce przywrócić niepodległość i na tym kończyła się jego działalność.

4.: — To też przesada.

1.: — Jest zresztą charakterystyczna obecna postawa KPN-u, którego działacze twierdzą, że wydawanie pisma takiego jak ARKA jest zboczeniem, bo ważne jest przygotowanie się do przejęcia władzy. Co to ma oznaczać, teraz, w '86 roku pod rządami Jaruzelskiego, dokładnie nie wiadomo. Najmniej rozumieją to sami KPN-owcy.

4.: — Kłóć się na przykład o kształt ustrojowy przyszłej Rzeczypospolitej, opracowują tekst Konstytucji itp.

1.: — Jest to zabawa czysto abstrakcyjna.

2.: — Opowiem anegdotę o Piłsudskim. Ktoś, jeszcze przed pierwszą wojną światową, odwiedził Marszałka w jego mieszkaniu i zastał go klęczącego nad mapami. Okazało się, że planował przebieg sieci kolejowej w przyszłej Polsce. Co ciekawe, projekty Piłsudskiego zostały podobno zrealizowane. Mówmy więc już dzisiaj o niepodległości, spierajmy się o pryncypia, ale i o szczegóły. Dyskusje te mogą w przyszłości procentować.

1.: — Przez budowanie więzi społecznych, organizowanie działań kulturotwórczych także wpływa się na przyszłość Polski. Buduje się ją właśnie przez wydawanie pism, organizowanie grup społecznych, które mają bardzo różne cele: od charytatywnych do politycznych.

2.: — Tak, tylko że walka, o której tu mówimy, toczy się jedynie na płaszczyźnie werbalnej. Wypowiadamy własne poglądy na łamach pism podziemnych, ewentualnie płacimy lub zbieramy składki na „Solidarność”. I to wszystko. Nic innego się nie robi.

3.: — To nie jest tak. Tworzy się przecież substancja społeczna. Zapisane słowa to nie są tylko przedmioty fizyczne, plamy tuszu na papierze. Wszystkie idee, pomysły, poglądy istnieją w sensie społecznym i duchowym. Można się do nich odwoływać i z nich korzystać.

2.: — No dobrze, jeśli ktoś chce układać konstytucję przyszłej Polski, to mnie to nie przeszkadza. Niech układa. Może wymyśli coś wartościowego. A może nie. Ale jego działanie jest równie sensowne jak pisanie artykułu na temat stosunków polsko-sowieckich lub konserwatyzmu amerykańskiego.

4.: — Wracając do kwestii wyborów do sejmu: otóż nie mieliśmy nic przeciwko temu, by znaleźli się tam posłowie reprezentujący któreś z oficjalnie działających, autentycznych środowisk katolickich, czy też posłowie cieszący się zaufaniem Episkopatu. Natomiast bardzo by się nam nie podobało, gdyby znaleźli się tam ludzie powołujący się na mandat czy choćby tylko milczące poparcie opozycji, podziemia, „Solidarności”, niezależnych pism itd.

1.: — Bezwarunkowych sprzeciwów wobec wchodzenia posłów katolickich do sejmu z naszej strony nie było. Pesymistycznie ocenialiśmy tylko szanse wejścia tych ludzi do sejmu, co zresztą się ziściło, natomiast dawaliśmy im *carte blanche* — jeśli są w stanie zrobić coś pozytywnego, to *ex post* mogą dostać zaufanie, nigdy wcześniej. Jeżeli będą działali dla dobra społeczeństwa, załatwiali konkretne sprawy, nikt nie nazwie ich kolaborantami czy zdrajcami.

P.: — Wróćmy do „Solidarności”: zaczęliście dosyć blisko, publikując sporo materiałów dotyczących „Solidarności”. Niemniej zawsze czuć było dystans, nigdy nie pisaliście, że jesteście pismem sympatyków lub członków „Solidarności”, nigdy też nie usiłowaliście szukać czy to wsparcia, czy parasola „Solidarności”, co więcej, o ile wiem, również dosyć wstrzemięźliwie traktowaliście ewentualne kontakty czy współpracę z władzami regionalnymi. Ostatnio w ogóle nie pojawiają się teksty na temat bieżących problemów „Solidarności”. Czym tłumaczyć taką wstrzemięźliwość?

2.: — Inni piszą o „Solidarności”. Dużo. Nawet za dużo.

P.: — Jest to jednak centralna siła opozycji w tej chwili, dosyć istotne zagadnienie.

4.: — „Solidarność” jest dzisiaj konglomeratem rozmaitych zespołów, grup, środowisk, często kłócących się między sobą. TKK nie stała się tajnym rządem narodowym, nie chciała nawet pretendować do tej roli, z czasem stała się właściwie jedną z wielu grup wewnątrz „Solidarności” i w tej chwili nie bardzo już wiadomo, jakimi wpływami rozporządza. Oczywiście, jeżeli kiedyś TKK zechce odegrać rolę przewodnika lub przywódcy społeczeństwa i wezwie do działania, to zapewne wszyscy podporządkujemy się bez szemrania i znowu na chwilę powstanie zjednoczona „Solidarność”, na razie jednak nic o takim wezwaniu nie wiemy i działamy niezależnie od struktur związanych z Komisją Krajową.

Trzeba też powiedzieć, że wszyscy byliśmy w „Solidarności” z lat '80-81 i wszyscy coś tam robiliśmy, chociaż z drugiej strony

mnie osobiście bliższa jest tradycja opozycji przedsierniowej i tych nurtów w „Solidarności”, które przyznawały się do związku z tamtą opozycją.

P.: — Powiedz jeszcze z jaką. Czy z ROPC-iem?

4.: — Tak się akurat złożyło, że w środowiskach krakowskiej opozycji najsilniejsze były związki z KOR-em, dotyczy to także najważniejszej z krakowskich inicjatyw niezależnych, to znaczy działającego przez przeszło trzy lata Studenckiego Komitetu „Solidarności”.

P.: — Tu się wkrada pewna niespójność. Teraz konserwatyści, onegdaj korowcy...

1.: — Te wszystkie wątpliwości, które mogą się narodzić z wypowiedzi kolegi wyjaśnił już w swojej wiekopomnej książce Piotr Wierzbicki. Wtedy był dyktat lewicy, terror Kuronia, Michnika i Lipskiego, więc nie można było działać w opozycji nielewicowej.

P.: — Mówisz to w cudzysłowie oczywiście!

4.: — Z „Solidarnością” wiąże się też pewien problem — można go tak nazwać — techniczny. Otóż gdy „Solidarność” podziemna zaczynała się rozwijać a potem krzepnąć, przeżywała taki okres, w którym starała się zmonopolizować rozmaite inicjatywy, wziąć je pod swoją opiekę, uporządkować. Z takimi pomysłami występowali ludzie, którzy nie rozumieli zasad dzisiejszej konspiracji i którym marzyło się Państwo Podziemne z czasów drugiej wojny. My od początku uważaliśmy, że to się nie uda, że może tylko ułatwić rozpracowanie podziemia (w sytuacji gdy niemal wszyscy działacze znają się z czasów legalnych Komisji Zakładowych albo jeszcze sprzed Sierpnia), a także, że może stać się niewygodne z przyczyn ideowych, z naszego przywiązania do niezależnych poglądów.

1.: — Nigdy żadnych nacisków nie było, ja sobie przynajmniej nie przypominam, żeby ktoś chciał nas do „Solidarności” włączyć.

4.: — Były takie tendencje...

1.: — Wśród nas nigdy nie było chęci by związać się z „Solidarnością”, ale trzeba lojalnie powiedzieć, że Związek nas zauważył: otrzymaliśmy po pierwszych dwóch latach działalności nagrodę Komitetu Kultury Niezależnej przy Tymczasowej Komisji Krajowej. Mówię to, żeby nie powstało mylne wrażenie, iż mamy złe stosunki z „Solidarnością”. Tak nie jest, natomiast cenimy sobie

pełną niezależność w każdym calu — organizacyjnym, ideowym, koncepcyjnym, finansowym...

P.: — Może jeszcze parę słów o tej proveniencji lewicowej, o korowskiej tradycji. Od niej się nie odcinacie, ale z drugiej strony jesteście prawicą.

3.: — Sprawa lewicowości i prawicowości jest niesłychanie cienka w Polsce. Na Zachodzie istnieje tradycyjny jasny schemat lewicy i prawicy...

2.: — Na Zachodzie podział na prawicę i lewicę też nie zawsze jest jasny i klarowny. Na przykład w dzisiejszej Francji. W Polsce terminy „prawica” i „lewica” są często nadużywane, funkcjonując nierzadko jako inwektywy. „Prawicowiec”, „lewicowiec” — dla niektórych uszu brzmi to jak obelga.

3.: — Odnosi się to zwłaszcza do KOR-u. Rozumuje się w ten sposób, że skoro członkowie KOR-u to byli eks-komuniści czy socjaliści, to KOR jest lewicowy. W rzeczywistości ruch korowski był przede wszystkim zorientowany pragmatycznie, a sprawa ideologicznych uzasadnień była raczej wtórna. Wśród haseł, jakie głosili korowcy większość stanowiła podstawowy zestaw wartości, jak wolność obywatelskie, racjonalna gospodarka, parlamentarizm, pluralizm etc. W książce Lipskiego o KOR-ze słowo „socjalizm” pada raz i to na ostatniej stronie. Brzmi ono dość absurdalnie w porównaniu z całością, ale to już sprawa autora. Widać jest do niego przywiązany. Natomiast w dziedzinie pragmatyki społecznej i politycznej ewentualna lewicowość bądź prawicowość KOR-u ma znaczenie drugorzędne. Wydaje mi się, że jedną z zasług KOR-u jest to, że odidealizował on częściowo polską opozycję, kierując uwagę na sprawy, które można załatwić, bądź co do których można się porozumieć bez wnikania w wielkie spory światopoglądowe. Jest swoistym paradoksem, że tzw. „prawica” chce obecnie z powrotem narzucić schematy ideologiczne, wprowadzając podziały światopoglądowe w środowisku opozycji. Sprawy konkretne są natychmiast interpretowane w świetle ewentualnej lewicowości bądź prawicowości zainteresowanych stron. Paradoks polega na tym, że tzw. prawica głosi jednocześnie potrzebę politycznego pragmatyzmu. Co do mnie, to sądzę, że prędzej zrobiłbym interes z korowcem niż ze zdeklarowanym przedstawicielem prawicy.

P.: — Żeby trochę podgrzać tematy ideologiczno-polityczne, chciałbym zapytać o ankietę dotyczącą nacjonalizmu. Jaki był cel jej przeprowadzenia? Dlaczego interesuje Was nacjonalizm?

1.: — Społeczeństwo podbite, nieustannie poniżane, jest szczególnie podatne na wpływy nacjonalizmu, który, jak sądzę, utrudnia analizę sytuacji oraz znalezienie sposobów jej zmiany. I tak, po pierwsze, odrodziły się narodowe środowiska polityczne, w których publicystyce i działaniach widać wiele złych cech i błędów starych endeków. Po drugie, bardzo aktywne są środowiska kombatanckie, których bolszewicko-bogoojczyźniana działalność nie ma nic wspólnego z kultywowaniem tradycji narodowej, a przerodziła się w szowinistyczne samouwielbienie. Po trzecie, dezideologizacja reżymów komunistycznych prowadzi je, także PRL-owski, do podjęcia argumentacji i frazeologii nacjonalistycznej, co wprowadza, niestety, dodatkowe zamieszanie w głowach Polaków, zwłaszcza starszego pokolenia. Nie można także bagatelizować wpływów myślenia kategoriami nacjonalistycznymi w hierarchii kościelnej.

2.: — Nacjonalizm jest żywy nie tylko w Polsce. Także w niektórych krajach zachodnioeuropejskich cieszy się sporym powodzeniem. Dla mnie jest to fakt niewesoły, ponieważ uważam, że ideologia nacjonalistyczna kryje w sobie wiele niebezpieczeństw. Choćby takie, iż jest ona podatna na manipulacje ze strony komunizmu. Mamy na to dziesiątki przykładów z ostatnich siedemdziesięciu lat. Nacjonalizm jest w naszej tradycji bardzo żywy. W końcu XIX wieku i przez cały wiek XX był on jednym z dominujących kierunków myślenia politycznego. Mówiąc jednak o nacjonalizmie trzeba wyraźnie odróżnić nacjonalizm pojmowany jako względnie spójny system polityczny czy ideologiczny od emocji nacjonalistycznych, które od czasu do czasu pojawiają się w każdym z nas.

3.: — Refleksja nad nacjonalizmem jest ważna, gdyż jest to po prostu autorefleksja. Zadajemy sobie pytanie, kim właściwie jesteśmy, jaka jest nasza tożsamość. Jak człowiek zaczyna się sobie przyglądać, to znajduje różne cechy niezbyt przyjemne. Ponieważ w Polsce utożsamienie z narodem jest nadal silne, uważaliśmy, że warto przyjrzeć się, jakie pociąga to za sobą konsekwencje. O konsekwencjach dobrych wszyscy wiemy, ale przecież przy okazji przemycono do tożsamości narodowej wiele cech złych, szkodliwych, antypatycznych. Chcieliśmy więc, aby dyskusja ankietowa w *ARCE* nabrała takiego autoanalitycznego charakteru.

2.: — Powracając jeszcze do rzekomego konserwatyizmu niektórych nacjonalistów, na przykład związanych ze środowiskiem *Polityki Polskiej*. Otóż każdy nacjonalista wyznawać musi jakiś relatywizm wartości. Konserwatyzm natomiast z istoty swej jest uniwersalistyczny, rzec by można — pryncypialny.

P.: — Tym niemniej inne grupy określające się jako konserwatywno-liberalne główne niebezpieczeństwo widzą raczej w rozprzestrzenianiu się świadomości socjalistycznej, zbolszewizowania świadomości, skomunizowania...

2.: — Myślę, iż pisanie o tym, że komunizm jest zły nie ma sensu. Wszyscy wiemy, że komunizm jest zły.

1.: — Oba te wątki nie muszą się wcale wykluczać. Na przykład badania wykazują, że większość Polaków ideał widzi w państwie skrajnie opiekuńczym, ale to nie wyklucza wpływów koncepcji rządów „silnej ręki”.

4.: — Z tego co mówimy nie należy wyciągać wniosku, że wydajemy *ARKE*, aby walczyć z nacjonalizmem. To nie jest prawdą. Jest to jeden z tematów poruszanych wśród wielu innych problemów, które uważamy za równie ważne. A poza tym nie jesteśmy zwolennikami tworzenia teraz frontów wewnętrznych; uznajemy zasadę, że przeciwnik jest po jednej stronie barykady, a my po drugiej, możemy się spierać, ale nie walczyć ze sobą.

P.: — Na ile jesteście zainteresowani stanem świadomości społecznej? Czy to on był jedną z przyczyn zainteresowania się nacjonalizmem?

1.: — Bardzo, ale jest to niezwykle trudne w badaniu, trzeba by dysponować sztabem socjologów, dziennikarzy, reportażystów, żeby móc wyciągnąć wnioski i próbować je uogólniać. W wypadku pracy bardzo kameralnej jest to prawie niemożliwe.

2.: — Stanem świadomości społecznej jesteśmy bardzo zaniepokojeni.

P.: — A czego dotyczy ten sceptycyzm i zaniepokojenie?

2.: — Stopnia zsowietyzowania społeczeństwa, przyzwyczajania się do komunizmu i myślenia o świecie w kategoriach narzuconych przez komunizm. Niedawno przeprowadzona została ciekawa ankieta. Okazało się, że dla bardzo wielu Polaków, reprezentujących zresztą różne środowiska, idealnym rozwiązaniem ustrojowym jest państwo opiekuńcze oparte na etatyzmie i społecznej własności środków produkcji. Tragedia! Mój pesymizm pogłębia jeszcze okoliczność, że — jak sądzę — z podobnymi poglądami będziemy się spotykać jeszcze długo. Czterdzieści lat komunistycznej indoktrynacji zrobiło swoje.

1.: — Zwłaszcza, że żyjemy jednak w cieniu Sowietów. Kiedy zaczyna się myśleć o Sowietach, tym olbrzymie, którego cień pada

na Polskę, każda myśl w pewnym momencie doznaje jakby paraliżującego ukąszenia. Dla mnie jest to fizycznie odczuwalne.

2.: — Ukąszenie leninowskie.

4.: — Jest też w potocznym myśleniu politycznym, szczególnie w ostatnich latach, pewien niepokojący element, z którym nie wiem czy dość polemizujemy. Jest to rodzaj bezpiecznego wygodnictwa, wynikający z przekonania, że w przyszłości obejdziesz się bez ofiar, tzn. że narzekaniem, ostrożnym konspirowaniem, układaniem różnych programów, budowaniem skromnych początków ekonomicznej niezależności itd. uzyskamy cele generalne, zdobędziemy niepodległość, zniweczmy skutki trwającej od dziesięcioleci sowieckizacji. A mnie wydaje się, że za niepodległość trzeba będzie drogo zapłacić, że trzeba będzie ją wywalczyć, decydując się na poniesienie nawet wielkich ofiar.

1.: — Jest to śmiertelna walka. Może nam się wydawać na pewnym etapie, że jest to ewolucyjna przepychanka, ale to są pozory. Jest to walka na śmierć i życie, i jeśli w społeczeństwie zwyciężą takie dziwne przyzwyczajenia, takie konformistyczne podejście do idei niepodległości, to może się to okazać zgubne.

4.: — Także przekonanie, że wszystko można wytargować, wynegocjować, zapisać w porozumieniach...

P.: — *Jak określiłobyście zachowanie Kościoła w ostatnich latach? Czytając ARKĘ odnoszę wrażenie, że jesteście pismem, które by się raczej pod chrześcijaństwem podpisywało. Ciekaw jestem, jak widzicie rolę Kościoła?*

4.: — Moja prywatna opinia: uważam, że Kościół jest po to, by umożliwić nam zbawienie. Stawianie Kościołowi wymagań natury politycznej wynika z niezrozumienia jego roli, która jest taka sama w każdym systemie, wszystko jedno czy są to Niemcy Hitlera, czy Rosja Stalina, czy Polska Bieruta, Gierka czy Jaruzelskiego. Inna rzecz, że Kościół z samej swojej istoty jest wrogiem komunizmu i nawzajem, komunizm jest śmiertelnym wrogiem Kościoła. Dlatego bez względu na to, czy antykomuniści są katolikami czy nie, Kościół jest ich sojusznikiem.

P.: — *Ale czy akceptujesz te kroki polityczne, które Kościół podejmował w ostatnich latach?*

4.: — Tak, akceptuję je, ponieważ uważam, że tego wymaga sytuacja Polski, w której znaczenie Kościoła jest tak ogromne, że drobne, miejscowe i ograniczone w czasie ugody czy przetargi z komunistami nie mają większego znaczenia. Natomiast irytuje

mnie postawa wielu byłych działaczy i członków „Solidarności”, którzy najbardziej pragnęliby siedzieć bezpiecznie w domu i oglądać w telewizji, jak Kościół za nich obala komunizm. Tymczasem to naszym obowiązkiem jest uwolnić Kościół od zmory komunizmu, a nie odwrotnie.

P.: — *Czyli uważasz, że generalnie Kościół w Polsce postępuje słusznie?*

4.: — Tak, o ile służy to zachowaniu znaczenia Kościoła w tym kraju. Kościół z punktu widzenia swoich dalekosiężnych celów ma prawo rozważać, czy opłaca się ulec naciskom władz i przemieścić szczególnie odważnego kapłana do innej parafii w zamian za, na przykład, zgodę na budowę kościoła w nowym osiedlu. Kościół jest instytucją hierarchiczną i musi taką pozostać, a wierni nie mogą głosować, którego księdza chcieliby mieć u siebie.

P.: — *Na ile jako zespół podpisalibyście się pod chrześcijaństwem, które wam przypisałem?*

4.: — Różnice, które są między nami dotyczą oceny posunięć politycznych poszczególnych osób w Kościele.

2.: — Wszyscy wychowaliśmy się w tradycji chrześcijańskiej. Dlatego chyba akceptujemy związane z chrześcijaństwem wartości moralne i etyczne.

P.: — *Nie jest to element, który Was szczególnie łączy, który jest zasadniczym wyróżnikiem?*

2.: — Myślę, że nie.

3.: — Refleksji religijnej w naszym piśmie nie ma. Natomiast jeżeli chodzi o rolę polityczną Kościoła w Polsce, to generalnie się zgadzamy, że jest ona niezwykle istotna i korzystna. Są oczywiście pewne rzeczy, które nam się nie podobają. Zdarzają się polityczne niezręczności. Szczególnie zwróciłbym uwagę na wymienne używanie argumentów politycznych i religijnych. Gdy niektórzy dostojnicy Kościoła znajdują się pod ostrzałem krytyki za posunięcia polityczne, często zastaniają się misją religijną. Wiemy wszyscy, że Kościół jest również instytucją polityczną i jako taki popełnia błędy. Nic w tym dziwnego, i nic dziwnego i niemoralnego w tym, że może to doprowadzić do politycznych polemik. Razi mnie natomiast, i uważam to za stanowisko niemoralne, gdy argumentację polityczną uzasadnia się transcendentną misją Kościoła.

P.: — *Mówiliśmy o świadomości społecznej. Mam wrażenie, że*

w Polsce jest bardzo pozytywny trend zainteresowania się naszymi sąsiadami, mniejszościami narodowymi. U was trochę takich materiałów było, ale niezbyt wiele. Czy macie jakieś plany z tym związane?

1.: — Nasze przeświadczenie, że niepodległość będzie niewątpliwie wymagała dużych ofiar i poważnych wysiłków, wiąże się z koncepcją, że może ona zostać zdobyta jedynie w wypadku rozpadu Związku Sowieckiego. Konsekwencją takiego stanowiska jest pragnienie dialogu z przedstawicielami narodów, w których interesie leży upadek imperium sowieckiego. Nie można dopuścić, by „historyczna chwila” zastała nas w sytuacji braku jakichkolwiek stosunków, w sytuacji zadawnionych sporów i braku możliwości realnego porozumienia. Podchodzimy do tych problemów bardzo ostrożnie i z rezerwą, tzn. nie chcemy wpadać w przesadny optymizm, że za pomocą kilku artykułów, czy za pomocą wspólnego oświadczenia z jedną z orientacji emigracji rosyjskiej czy dysydentów z którejś z republik sowieckich ułożymy przyszłe stosunki międzynarodowe, przyszłe granice Polski itd.

P.: — *Nawiasem mówiąc: granice chcielibyście zmieniać?*

1.: — Nie jest to problem ważny...

4.: — Tym bardziej, że jak pisał Adam — „Lwów jest wszędzie”.

1.: — Ważniejsze jest obalenie komunizmu. Wolelibyśmy, żeby nie doszło między sąsiedzkimi narodami do kłótni o jakieś miasteczko, wieś...

2.: — O Bobrujsk na przykład.

P.: — *Ale to jest jednak podstawowy problem w sytuacji, którą jakoś tam przewidujecie, czy projektujecie, że może zaistnieć.*

2.: — Problem granic obecnie nie istnieje, ponieważ ani w Polsce nie ma liczących się mniejszości narodowych, ani też Polacy nie tworzą nigdzie zwartych mniejszości zamieszkujących tereny bezpośrednio przylegające do naszych granic. Zresztą nawet gdyby sytuacja była inna — snucie marzeń o powrocie do Wilna i Lwowa uznałbym za niebezpieczną iluzję. Jeśli imperium sowieckie się rozpadnie, a prędzej czy później nastąpi to z pewnością, nie możemy zaczynać współżycia z naszymi sąsiadami — Litwinami, Białorusinami, Ukraińcami, Słowakami, Czechami i Niemcami — od sporów granicznych. Przyjęcie zasady *status quo* — choćby nie była ona w pełni sprawiedliwa — wydaje się jedynie sensowne.

1.: — Oficjalne szacunki wskazują na obecność półtoramiliono-

wej Polonii w Związku Sowieckim, ale jest ona rozsznana, tak że nie istnieje problem terytorialny.

P.: — *To znaczy żadnych roszczeń nie zgłaszacie. Czy Wasze zainteresowanie sąsiadami jest tylko polityczne?*

2.: — Kultura polska była zawsze pluralistyczna w sensie narodowościowym. Jej najwybitniejsze dokonania powstawały z reguły na kresach (nie tylko wschodnich), w miejscu zetknięcia się różnych cywilizacji, różnych porządków wartości. Sądę, że ta tradycja nas zobowiązuje. Z drugiej strony kultura jednowymiarowa, zamknięta hermetycznie w obrębie jednego narodu ulega pewnego rodzaju degeneracji, karleje. Dla zaczerpnięcia głębszego oddechu potrzebna jest jej szersza, ponadnarodowa przestrzeń.

1.: — W kulturze polskiej kresy wschodnie były płodniejsze, północne i zachodnie obficie zaowocowały w literaturze niemieckiego obszaru językowego. Teraz na przykład wznowiono książkę Wiercherta, Prusaka, który pisze o swojej ziemi rodzinnej, o Mazurach. Właściwie jego twórczość w jakimś sensie przynależy też do naszej kultury, choć pisał po niemiecku, a część życia spędził w Szwajcarii. Także twórczość Grassa, Bobrowskiego, Lenza i wielu, wielu innych. To są sprawy istotne, jak ktoś powiedział w 1968 roku: wygnaliście ostatnią mniejszość narodową, będzie kiepsko z waszą kulturą. Jest w tym jakaś głęboka myśl.

P.: — *A co z Żydami? Czy chcecie rozwijać ten wątek w Waszym piśmie? Jest to zasadniczy problem w naszej kulturze, to wycięcie jednego z korzeni naszej kultury.*

3.: — Kultura żydowska jest tak intrygująca i wpłynęła ona w sposób tak zasadniczy na dzieje Polski i świata, że niezajmowanie się tymi sprawami byłoby absurdalne. Sprawa stosunków polsko-żydowskich to jest kwestia osobna. Stanowisko nasze, wyrażone w artykule Leskiego, nie wszystkim się podobało. Samobiczowanie, niesmaczny filosemityzm. Ale podtrzymujemy to, co tam zostało powiedziane.

P.: — *Może w dwóch słowach — jeśli ktoś nie miał dostępu do artykułu...*

3.: — Stwierdzone tam zostało, że istnieją poważne przewinienia Polaków wobec Żydów, że polski antysemityzm był siłą realną i że działał on wiele złego. Uznaliśmy, że stosunek do kwestii antysemityzmu jest ważnym kryterium pluralizmu w polskiej kulturze. Nie ma mowy o aspiracjach pluralistycznych i o otwarciu bez rozliczenia się z historią i dziedzictwem antysemityzmu.

P.: — Czy Lanzmann obraził Polaków w swoim filmie?

3.: — Ci z nas, którzy widzieli film twierdzą, że nie.

2.: — W reżymowej prasie, w telewizji, w radio ukazało się sporo tekstów atakujących Lanzmanna. Jest to bardzo charakterystyczny manewr propagandy — poprzez wskazanie rzekomego wroga różnicowanie emocji narodowych i tą drogą odwracanie uwagi społeczeństwa od problemów naprawdę istotnych. Dziwne, że na ten prymitywny w gruncie rzeczy zabieg dało się nabrać tak wiele osób, w tym również środowiska opozycyjne i emigracyjne. Kongres Polonii Amerykańskiej wydał specjalne oświadczenie, potępiające francuskiego reżysera. W rezultacie zamiast pobudzić do refleksji o sobie, o swoim narodzie, film stał się katalizatorem wszystkich polskich kompleksów. To, że wypadliśmy w filmie Lanzmanna niezbyt sympatycznie, jest winą naszą, a nie reżysera.

P.: — *Dużo tutaj gwarzyliśmy o polityce, choć nie wiem, czy chcielibyście się określać tylko politycznie. Trudno abstrahować od polityki w sytuacji, kiedy wydajecie pismo w podziemiu, macie konkretne poglądy i wykonujecie konkretne działania. Ale wydaje mi się, że ARKA ma również cele kulturalne. Czy na przykład dokumenty historyczne i tendencje do odgrzebywania najnowszej historii to tylko motyw polityczny? Biczowanie prawdą komuny?*

2.: — Celów politycznych nie można oddzielać od kulturalnych. W Polsce roku 1986 wszystko ma wydźwięk polityczny: napisanie artykułu do ARKI, wystąpienie z prelekcją w kościele, pójście w charakterze obserwatora na proces. Tak to ustawili komuniści. Można co najwyżej powiedzieć, że nasze cele są celami polityczno-kulturalnymi.

1.: — Fakt, że nie jesteśmy grupą polityczną, że nie łączy nas jakaś jasno określona ideologia powoduje, że nie jesteśmy pismem czysto politycznym. Nie mamy też takich temperamentów i zamiłowań, żeby uczestniczyć we wszystkich utarczkach politycznych między różnymi odłamami opozycji. Nie jesteśmy ludźmi o temperamentach harcowników politycznych. Powoduje to, że wiele miejsca w piśmie poświęcamy krytyce literackiej, publicystyce historycznej, literaturze.

P.: — *Co z historią? Charakterystyczne jest, że zajmujecie się głównie historią czterdziestolecia, czy waszym zamierzeniem jest bardziej badawcze podejście do tematu, czy raczej szukanie pewnych modeli, tworzenie pewnych syntez?*

4.: — Chcielibyśmy móc poświęcić najwięcej uwagi historii po-

wojennej, ale to trudne, bo wciąż niewiele takich tekstów powstaje. Jest to fragment historii najmniej zbadany i najbardziej zafałszowany w oficjalnych publikacjach, a równocześnie bardzo interesujący czytelnika. Charakterystyczne jest to, jak komuniści boją się swojej przeszłości, jak bardzo jest to dla nich wstydlivy temat. A jeżeli już decydują się coś opublikować, to muszą tak wiele nakłamać, że ich łgarstwo staje się dostrzegalne nawet dla największego laika i dlatego nikt nie czyta mozolnie preparowanych apologii narodowych zdrajców czy „zarysów dziejów PRL”, w których czerwiec 1956 czy grudzień 1970 skwitowany jest jednym zdaniem. A przecież jest to historia pasjonująca, nie tylko dzieje zdrady, wiarołomstwa, tchórzostwa i podłości, powtarzających się zbrodni, nieuctwa i nieudolności w rządzeniu, złodziejstwa i demoralizacji, czyli tego wszystkiego, co charakteryzuje ten system od jego niesławnych początków i co zaszczerpia on każdemu społeczeństwu, do którego zdoła przeniknąć. Czterdzieści ostatnich lat to także historia oporu, który tlił się nawet w najcięższych czasach, to także „dzieje honoru”, jak napisał Adam Michnik. Dlatego zajmujemy się historią najnowszą, wciąż szukając dokumentów, opracowań, autorów.

P.: — Co planujecie?

1.: — Obalić komunizm.

P.: — Co w najbliższych numerach będziemy mogli przeczytać?

2.: — Wiele bardzo interesujących tekstów.

1.: — Wydaje mi się, że przedmówca ma rację. Być może uda się nam uruchomić nowe działy przez współpracę na przykład z publicystami zachodnioeuropejskimi, którzy, mam nadzieję, będą stale z nami współpracować.

P.: — Czy możecie podać konkretne nazwiska?

1.: — Z tym wołałbym się wstrzymać, bo ludzie Zachodu, wprawdzie chronieni przez swoje rządy, niemniej bardziej boją się policji polskiej niż my. Zresztą w 14-tym numerze jest tekst filozofa i socjologa angielskiego, drukującego pod pseudonimem.

P.: — Napisany dla Was?

1.: — Tak. Od następnego numeru będziemy stale prezentować sylwetki wybitnych emigrantów polskich. Być może znajdą się również pierwsze odpowiedzi na ankietę, którą rozpisaliśmy wśród intelektualistów nowej emigracji, którzy podzielić się z nami problemami związanymi ze sprawą ich emigracji, przebywania

w obcym środowisku kulturowym, wśród morza obcego języka itd. Jaki to stanowi problem dla pisarza polskiego? Czy twórcy polskiego w ogóle? Sądźmy, że odpowiedzi na te pytania mogą być interesujące, również dla czytelnika krajowego.

P.: — *A teraz kilka jeszcze bardziej pragmatycznych pytań. Jaki jest nakład ARKI?*

1.: — Około 2-ch tysięcy.

P.: — *W jakich miastach macie stałych odbiorców?*

1.: — Poza Krakowem pismo kolportowane jest w Warszawie, Wrocławiu, Lublinie, Toruniu, Gdańsku, Szczecinie i przez prawie cały okres swego istnienia na Górnym Śląsku. Właściwie większe ośrodki miejskie otrzymują jakieś części nakładu. Tak jest przypuszczalnie ze wszystkimi pismami tego typu.

P.: — *Czy emigracja ma szansę zapoznania się z waszym dzieckiem?*

1.: — O ile nam wiadomo, powstało w Paryżu Towarzystwo Przyjaciół ARKI Krakowskiej, które postawiło sobie za cel przedrukowywanie wydawanych w kraju numerów. Liczymy, że ta inicjatywa się uda*.

P.: — *Dziękuję Panom za rozmowę.*

kwiecień 1986

* W roku 1985 ukazał się w Paryżu pierwszy wybór z dziewięciu numerów ARKI. W listopadzie 1986 ukazał się obszerny wybór tekstów z numerów 10, 11 i 12. Wydawcą edycji zachodniej ARKI jest Aktis, 42, Avenue de Wagram, 75008 Paris. Przedstawicielem pisma na Zachodzie jest Wojciech Sikora, 5, rue Dorian, 75012 Paris.

KSIEGARNIA POLSKA W PARYŻU

123, boulevard Saint-Germain, 75006 Paris

Tel.: 43-26-04-42

wydawa

2 tomiki FELIKSA MANTLA:

„SŁOWO O MARSZAŁKU”

i

„STOSUNKI POLSKO-ŻYDOWSKIE”

Książki

Krakowska dyskusja

(OPOZYCJA — ROZDWOJENIE — SAMOTNOŚĆ I I SAMOTNOŚĆ II)

W środowisku krakowskiego *Miesięcznika Małopolskiego* odbyła się w marcu 1986 ważna i daleka od wodolejstwa dyskusja na temat strat, już poniesionych i ponoszonych nadal w kulturze polskiej w latach 1982-1985. Poza rzeczowym podsumowaniem sytuacji przyniosła ona jasno zdefiniowane charakterystyki postaw naukowców, pisarzy, dziennikarzy, plastyków i — na drugim planie konflikt tych postaw z polityką wydawniczą PRL-u. Z wypowiedzi „Plastyka” i „Muzykologa” wyłoniły się dodatkowe problemy dotyczące na przykład kosztu utensyliów niezbędnych do wykonywania zawodu, a więc farb dla malarzy a instrumentów dla muzyków. Wszyscy, a w szczególności „Przedstawiciele nauk technicznych” podkreślali katastrofalne znaczenie odcięcia od podstawowych czasopism i nowości wydawniczych zagranicznych oraz sprzętu pomocniczego (komputerów osobistych, xeroграфów itp.). W dyskusji wyróżniono, nie jestem pewna czy słusznie, pisarzy, którym wystarczać może „zeszyt i ołówek”. Przypuszczam, że wyznawca tego poglądu ma za sobą doświadczenia więzienne, a pisać na maszynie nie umie.

Intencją organizatorów dyskusji było zorientowanie się w „obszarach niezależności” i możliwościach, tudzież obowiązku ich poszerzenia. Okazało się, że są one bardziej zróżnicowane, niżby na pozór wydawać się mogło. Wiele dzieli na przykład dziennikarza wylanego z redakcji po weryfikacji z wynikiem negatywnym od muzyka-kompozytora pozostawionego przez władze we względnej spokoju, skoro oddźwięk na jego krzywdę byłby słyszany i rozumiany powszechnie — jak świat długi i szeroki.

Z wywodów bardzo dobrze argumentującego swoje stanowisko plastyka wynika, że szczególnie dotkliwie i namacalnie odczuli skutki stanu wojennego artyści plastycy, których Związek,

przesadnie zresztą może rozbudowany (15.000 członków), rozbito na cztery: Związek Malarzy i Grafików, Związek Grafików Użytkowych, Związek Polska Sztuka Użytkowa i Związek Rzeźbiarzy. Przynależność do nich nie przynosi zaszczytu i niewiele ugodowców zdecydowało się na kompromis z sumieniem. W praktyce oznacza to drastyczne zredukowanie możliwości otrzymywania zamówień i sprzedaży dzieł sztuki i ograniczenie ich prezentacji do wystaw przykościelnych i galerii prywatnych. Z dosadnym potępieniem spotkały się wystawy pod egidą „władzy”, na przykład krakowska „Rzeźba roku”. „Plastyk”-dyskutant uznał, że „swoim charakterem i typem nagrodzonych prac przypomina czas „późnego Gierka”. Nie wiadomo — dodaje — gdzie powstały te rzeźby, czy w tym kraju, czy w Patagonii”.

Dwaj uczestnicy dyskusji, występujący jako „Humanista” i „Pisarz”, uzupełniali się wzajemnie. Krajowy intelektualista, nie godzący się z obecnym stanem rzeczy, ma przed sobą kilka alternatyw. W hierarchii postaw najwyższe miejsce zajmują nieprzejednani, niepokorni, głoszący „całą prawdę” bez względu na cenę, jaką im przychodzi płacić. Na drugim biegunie spotykają się ci spośród twórców, którzy zamykają się w „prywatności”, milczą albo zamykają się w kryjówkach neutralnych tematów, mających szanse druku, o ile nazwisko autora nie figuruje na „czarnych listach” cenzury albo świeżej stosunkowo daty liście sporządzonej w Wydziale Kultury Komitetu Centralnego partii, a serwowanej na naradach z wydawcami przez Nawrockiego, a po nim Molka. Przypomnę, że figurują na niej: Stanisław Barańczak, Janusz Głowacki, Ryszard Krynicki, Marek Nowakowski, Jarosław Marek Rymkiewicz, Wiktor Woroszyński i Adam Zagajewski. Dla Nawrockiego są to przedstawiciele „kultur alternatywnych”, „związani z dywersyjnymi ośrodkami na Zachodzie”. Sterroryzowani wydawcy zaczęli pod wpływem tych gróźb „wycyfywać — nawet z drukarni — książki autorów wymienionych [przez Nawrockiego] i albo przesuwając je w planach z roku na rok, albo też spisywać na 'straty'. Na tej fali zrezygnowano również z tomów krytyczno-literackich poświęconych tymże pisarzom. Z perspektywy czasu podobne działanie okazało się zgodne z życzeniami partyjnych decydentów”. Jest to cofnięcie się do okresu stalinowskiego, bo nawet w latach 1960-tych w wykazach tematów prac dyplomowych figurowały opracowania twórczości Wierzyńskiego, Gombrowicza, Miłosza i in., choć książki, zawierające niezbędne teksty i, co więcej, wiersze i artykuły opublikowane w *Kulturze* czy *Wiadomościach*, były dostępne tylko w działach „resów”, do których dopuszczano za specjalnymi przepustkami.

Nawrocki nie jest już moralnie odpowiedzialny za politykę kulturalną partii, ale dotąd trwają napaści na wyklętych przez niego autorów, np. Wł. Maciąga za część II-gą *Słownika pisarzy polskich*, wydanego w krótkim okresie ocieplenia w roku 1981, a zawierającą nazwiska niektórych pisarzy emigracyjnych i tytuły utworów skazanych wraz z nimi na przemilczenie. W dyskusji zacytowano ponadto, jako przykłady daleko posuniętej złości cenzorów, *Róbnymy swoje* Wojciecha Młynarskiego, książkę wydaną

w „Czytelniku” i wycofaną z obiegu (choć raczej wyprzedaną na pniu) powieść Michała Jagiełły *Studnia* (autor jest byłym zastępcą kierownika Wydziału Kultury KC — słowem „zaraza w Grana-dzie”).

W atmosferze gróźb i zapisów, przedawiania się debiutów, rzucania na rynek kiczów i wszelkiego rodzaju tandety rodzą się, jak wyraźnie wynika z kilku wypowiedzi w dyskusji, desperacka decyzja pisania do szuflady albo rezygnacja z pracy twórczej. Słowem: ucieczka w samotność. Są zresztą co najmniej dwie jej formy. Drugą z nich stanowi wyobcowanie, „samotność II” dotykająca np. nauczycieli w szkołach podstawowych i średnich, „w najmniejszych środowiskach”, gdzie ludzie z prawdziwego zdarzenia uzależnieni są w pracy pedagogicznej od starannie zweryfikowanych szefów i perfidnie opracowanych programów.

Równocześnie z tekstem wypowiedzi w krakowskiej dyskusji otrzymałam najnowsze (1986) wydanie *Ksiąg narodu polskiego i pielgrzymstwa polskiego* w *Małej Bibliotece Literatury Polskiej*, ukazującej się w... „Czytelniku” pod egidą Towarzystwa Literackiego im. Adama Mickiewicza. Format kieszonkowy (16°), nakład 100.320 egzemplarzy, cena zł 120, str. 152. Papier, pozał się Boże. Książeczka ciekawa jest nie tylko ze względu na wysokość nakładu i wysokość ceny, ale i przede wszystkim jako nr 1 serii wznowień — jak głosi przedmowa — „dawniejszych i nowych tekstów literackich, których nie ma wprawdzie w kanonie podstawowych lektur szkolnych, które jednak nie mogą ulec zapomnieniu ze względu na swe wartości ideowe, artystyczne i poznawcze”. Z planu wydawniczego wynika, że w analogicznej sytuacji znalazł się *Anelli, Promethidion, Omyłka* (Prusa), *Trzy myśli Ligęzy* (Krasińskiego) itd.

Jaka stąd lekcja? Jak pogodzić miniatury firmowane przez „Czytelnika”, drukowane w „Domu Słowa Polskiego”, z konsekwentnym rabunkiem całych połaci literatury dawnej i najnowszej? Chyba — i oby — ścieraniem się za kulisami dobrej woli, a może i odwagi cywilnej niepokornych obrońców *Ksiąg narodu*, od których przedruku rozpoczynała się Biblioteka *Kultury* i które zimą 1939/1940 roku przygotowywane były do druku w planowanej przez polskich bibliofilów w Paryżu podstawowej biblioteczce, wzorowanej na tomikach Księgarni Luxemburskiej Władysława Mickiewicza.

„Trzeba bronić do ostatnich sił tych obszarów niezależności i wolności myśli, które nam jeszcze pozostały”, „trzeba pracować, pracować i jeszcze raz pracować. Pisać i tworzyć póki tylko starczy zdrowia, robić to, co dzisiaj jeszcze jest możliwe, a jutro może się okazać wykluczone” — oto zalecenia „Historyka” z krakowskiej dyskusji.

Warto także przytoczyć ocenę znaczenia wydawnictw niezależnych. Prowadzący dyskusję „Dziennikarz” uważa, że „samo istnienie drugiego obiegu sprawia, że pisarz może powiedzieć wydawcy państwowemu 'jak ty mi nie wydasz, to książka wpadnie pod podłogę i tam wypłynie'”. Istnieją formy oświaty niezależnej

(z „przykościelną” na czele), a także pewne „poważne formy życia naukowego” — „próbujemy to rozbudowywać — mówi „Muzykolog” — obstawiamy wszystkie możliwe pola, których władza nie będzie potrafiła obstawiać, a nawet więcej, spróbujemy ją wypychać swoją aktywnością tam, gdzie to jest możliwe”.

W kontekście tych wypowiedzi mieszane uczucia budzi ocena literatury polskiej za granicą. „Dziennikarz” naprzód ocenia ją jako „wspaniałą robotę garsteczki ludzi” — ale równocześnie, dziwiąc się powolnemu rozchodzeniu się niskonakładowych wydawnictw emigracyjnych (2.000-3.000 egzemplarzy), chwali że „w ogóle istnieją, że pewne rzeczy mogą być wydane, mogą być powiedziane, że czasami wracają do kraju, ale trochę to przypomina przechowalnię, do której można wsunąć swój maszynopis”. Uważa ponadto, że „nie jest to wyjście dla czytelnika polskiego”, nawet jeśli tekst autora krajowego, po debiucie emigracyjnym, wraca do Kraju, by ukazać się w „drugim obiegu”. „Ale i ta droga jest nie tylko bardzo długa, ale i bardzo utrudniająca dla polskiej książki, bo — po wszystkich policyjnych i celnych barierach — niewiele jej egzemplarzy dotrze do czytelnika w kraju”. A więc — kwadratura koła. Gorzko czytać te słowa organizatorom i współpracownikom *przechowalni*.

Inna uwaga. W ferworze dyskusji padły kilkakrotnie z jednej strony słuszne potępienia „cofania się w ezopowy język zawitych metafor mających zasygnalizować to, co można by powiedzieć wprost i do końca”, z drugiej przesadnie surowy osąd Marka Nowakowskiego o coś w rodzaju „pozytywnego” (czy jak to nazwać?) socrealizmu, „deprawującego obie strony: z jednej — Bratnego czy Łozińskiego, z drugiej właśnie Marka Nowakowskiego, wpadającego w „politykierstwo na odwrót”. Pluralizm, cechujący wypowiedzi, dyktuje innemu uczestnikowi dyskusji („Technikowi”) udzielenie absencji Dobraczyńskiemu, „bo co by się nie powiedziało o jego działalności, jest to pisarz dużego formatu i jest czytany”.

Dyskutanci wykazują więc wzorowe postawy pluralistyczne w ocenie trzech typowych postaw: opozycyjnej, rozdzielenia na akceptację i sprzeciw (co innego mówi się publicznie, inaczej się myśli) i ucieczki w prywatność i wyobcowanie.

Maria DANILEWICZ ZIELIŃSKA

Fejő pod Lizboną, 20 listopada 1986

Wspomnienia współbiesiadnika bogów

Kiedy wielki poeta Fiodor Tiutczew pisał, że szczęściem jest oglądać świat „w chwilach przemiany i przełomu”, czuć się za-

proszonym na ucztę bogów, nie podejrzewał nawet, że biesiadny stół na Olimpie okaże się za mały dla wszystkich gości. Rosyjski poeta i dyplomata, żyjący w spokojnym — w naszym odczuciu — XIX wieku, nie podejrzewał, że arystokratyczny przywilej poetów i historyków stanie się demokratycznym prawem wszystkich mieszkańców państw, miotanych burzami „światowych wojen i proletariackich rewolucji” XX wieku.

Igor Newerly wybrał za motto swojej książki¹ wiersz Tiutczewa. Jednak w przekładzie Tuwima zniknęło to, co w nim najważniejsze. Fiodor Tiutczew, przysięgły, ideowy — jak by dziś powiedziano — wróg rewolucji, pisał: „Szczęśliwy, kto posietił się mir w jewo minuty rokowyje...” (Szczęśliwy, kto widział świat w złowróżnej chwili...), co Tuwim tłumaczy jako „chwile przemiany i przełomu”. Dla Tiutczewa istotne było przeciwstawienie szczęścia świadka i strasznych dla świata chwil, w których uczestniczył.

Tiutczew przypatrywał się europejskim rewolucjom pierwszej połowy XIX wieku z boku. Igor Newerly przeżył — w dosłownym sensie tego słowa — najważniejsze wydarzenie XX wieku, rewolucję rosyjską 1917 roku, i bynajmniej nie od razu było dlań oczywiste, że jest to chwila groźna dla świata.

W grubych księgach bibliograficznych wyliczono tysiące tytułów książek, poświęconych rewolucji rosyjskiej. I dziś jeszcze się o niej pisze. Naturalnie różni ludzie różnie ją widzą. Aleksander Sołżenicyn, który niezmordowanie wskrzesza przeszłość w gigantycznym cyklu powieściowym, uważa ją za „czerwone koło”, które bezmyślnie, mechanicznie dławi narody i państwa. Sołżenicyn zna rewolucję z książek, z relacji współczesnych i z jej skutków. Malarz Jurij Annenkov, który przeżył „złowróżne chwile”, opublikował w 1934 r. zapomnianą już przez wszystkich książkę pt. „Powieść o pustiakach” — najciekawszą autobiograficzną powieść o rewolucji². „Czerwone koło” i „Powieść o pustiakach” wydają mi się dwoma przeciwnymi biegunami, między którymi oscylują literackie opisy rewolucji. Sołżenicyn pisze o historii i jej ofiarach, Annenkov pisze o ludziach wciągniętych w wir wydarzeń, których ani nie rozumieją, ani nie widzą w całości. „W rewolucji matką jest epizod” — mówi syn rabina w opowiadaniu Babla. W książce Newerlego matka toczy z rewolucją nieustającą i koniec końców zwycięską walkę o serce syna.

Igor Newerly był uprzywilejowanym świadkiem rewolucji rosyjskiej, a to z dwóch powodów: po pierwsze przeżył ją jako młody chłopak, po drugie patrzył na nią oczami Polaka. Rosja ukazała mu się, kiedy płynął z potokiem uchodźców na wschód. W dalekiej Pienzie — choćbyś trzy lata biegł, do żadnej granicy nie dobiegniesz — dochodzą do niego odgłosy wielkiej wojny. Potem nad Rosją wschodzi „gwiazda upojnego szczęścia” i re-

1. Igor Newerly, *Zostało z uczt bogów*, Instytut Literacki, Paryż 1986.
2. W. Temiriazew, *Powieść o pustiakach*, Berlin 1934.

wolucja dotyczy się i do Pienzy, i do Symbirsk, do którego przeniosła się rodzina Newerlych.

Rewolucja uwiodła młodego Igora. Jak tu nie ulec pokusie, kiedy rewolucja wydaje się hojna, szlachetna, obiecuje braterstwo ludów i powszechne szczęście (natychmiast po zlikwidowaniu wrogów). Rewolucja udziela jasnych, prostych „jak gwoździe żelazne” odpowiedzi na wszelkie pytania. Wszystkie te odpowiedzi siedemnastoletni Igor znajduje w „Elementarzu komunizmu”, pierwszym sowieckim katechizmie, którego autorami byli Bucharin i Prieobrażenski. Igor Newerly niepotrzebnie zapominał o nazwisku współautora Bucharina: Prieobrażenski był nie tylko ekonomistą i marksistą, ale i marzycielem, wierzącym, że wkrótce można będzie zacząć naukowe tworzenie nowego człowieka.

Stronice poświęcone zachwytowi młodego człowieka, który znalazł magiczny klucz, otwierający świat³ lepiej niż jakiekolwiek inne oddają charakter książki Newerlego. W tym samym czasie co „Elementarz komunizmu” Newerly odkrywa kobietę. Miłość do rewolucji i idei jednoczy się z miłością do kobiety, tworząc jedno niezapomniane uczucie, jakie człowiek potrafi przeżywać tylko w młodości.

Autor „Zostało z uczty bogów” wybrał motto z Tiutczewa. Bardziej pasowałyby moim zdaniem wiersz Dawida Samojłowa *Sorokowyje, rokowyje...* Dwadzieścia lat po drugiej wojnie światowej Samojłow wspomina swoje „złowróźne chwile: „Jak to było! Jak się zważyło w tym samym czasie — wojna, bieda, marzenia i młodość”. Dodając tylko jedno słowo, można to samo powiedzieć o książce Newerlego: wojna, rewolucja, bieda; marzenia i młodość. Samojłow kończy wiersz zadziwiającym odkryciem: „*Sorokowyje, rokowyje, swincowyje, porochowyje... Wojna gulaet po Rossiji, a my takije mołodyje*” (Czterdzieste lata, lata złowróźne, lata ołowiu i prochu... Wojna toczy się po Rosji, a my tacy młodzi).

Tiutczew i Sołżenicyn patrzą na historię z góry, z Olimpu. Samojłow, Jurij Annenkov i Igor Newerly patrzą na rewolucję i wojnę z wysokości człowieka. Największa zasługa Newerlego polega na tym, że potrafił przechować i donieść do czytelnika marzenia i uczucia młodzieńca, urzeczonego rewolucją i kobietą, zrozpaczonego, że musi wybierać między „sprawą” a matką. Umiejętność wiernego oddania po tylu latach młodzieńczych uczuć wymaga talentu. Wymaga też męstwa, bez którego nie ma talentu. Wymaga męstwa, bowiem wspomnienia młodości po upływie pół wieku, kiedy przysły złudzenia, rozwiązał się sen o raju na ziemi, kiedy Marks — mówiąc słowami Zamiatina — zamienił się w prokuratora Krylenkę, chciałoby się na nowo napisać. Wiara w „gwiazdę upojnego szczęścia” i „Elementarz komunizmu” nieuchronnie prowadziły do zachwyty nad „bohaterem Kotowskim”. Ślady słabości do „bohatera” widoczne

są nawet po pół wieku. Jedyne epizody, który czytałem z mieszanymi uczuciami, to historia likwidacji partyzanckiego oddziału Matiuchina, części armii chłopskiej Antonowa. „Bohater Kotowski” chwycił się ulubionego sowieckiego sposobu — „fortelu wojkowego”, innymi słowy prowokacji. Historię tę opisało już wielu byłych czekistów. Newerly opisuje to, co pamięta. Pamięć go jednak w tym przypadku zawodzi.

Polskość świadka, zaproszonego na ucztę bogów, przydaje jego spojrzeniu szczególnej ostrości. Newerly, „aktywny komсомолец”, jak pisze o nim „Krótka encyklopedia literatury”, jest zarazem z nimi i z boku. Ludzie, których spotyka, miasta, do których przyjeżdża w sprawach rewolucji i własnych, stacje kolejowe i wagony którymi przemieszczała się Rosja, widzi od wewnątrz i od zewnątrz...

Człowiek dopiero na starość rozumie, że był młody. O tym, co znaczy rewolucja dowiaduje się, kiedy nagle za roześmianą, młodzieńczą maską dostrzeże jej prawdziwą twarz. Moment ten następuje u różnych ludzi w różnym wieku. Nie wszyscy znajdują w sobie dość sił, by przyznać, że dali się zwieść pokusie. Od dawna już wiadomo, że historia uczy tylko jednego: że niczego nie uczy. Jednak ten, kto zapomina przeszłość, skazuje się — jak pisał Santayana — na przeżywanie jej wciąż od nowa.

Bądźmy wdzięczni autorowi „Zostało z uczty bogów” za talent i męstwo, z jakimi wskrzesił swą młodość, okres, kiedy uległ pokusie i doznał upojenia. Igor Newerly mógł napisać swą książkę, bo zrozumiał. Ostatni akapit książki brzmi jak epitafium: „*Nawet kury w rosale nie zostało z górnych marzeń i dążeń dwudziestego wieku. Człowiek niszczy wszystko, w co wierzył, a po sobie zostawia tylko ziemię jałową, zatrutą wodę i powietrze. Ale podbił kosmos. I już się rozgląda za inną planetą...*”.

W 1920 roku, w tym samym okresie, kiedy młody Igor czuł się zaproszony „na ucztę bogów”, Jewgienij Zamiatin, który natychmiast po rewolucji wszystko rozumiał, zaczął swą anty-uto-pijną książkę „My” od komunikatu w gazecie państwowej. Komunikat zawiadamiał o mającym nastąpić locie statku kosmicznego „Integrał” z następującym zadaniem: „...narzucić do broczynne jarzmo rozumu nieznanym istotom z obcych planet, być może pozostającym jeszcze w dzikim stanie wolności. Jeżeli nie zdołają pojąć, że przynosimy im matematycznie bezbłędne szczęście, obowiązkiem naszym będzie zmusić je do szczęścia”.

„Zostało z uczty bogów” jest wkładem do skarbnicy naszej wiedzy o rewolucji. Nigdy nie będziemy wiedzieć o niej dość, by jej uniknąć. Ale wszystko, co pozwala lepiej ją poznać, pozwala przygotować się do niej, uzbroić się do walki z pokusą, jaką jest rezygnacja z wolności w imię szczęścia.

Michał HELLER

3. *Azbuka komunizmu* została po raz pierwszy wydana w 1920 roku.

Czarne lasy, czarne wody

*Który las?** Jest ich cztery, jeden czarniejszy od drugiego. Dwa konkretne, opatrzone wskazówkami topograficznymi: pod Szczecinem — pod Uppsalą; umiejscowione w historii osobistej: las dzieciństwa — las wieku dojrzałego, i powszechnej: zaraz po wojnie i teraz, swojski i obcy. Dwa pozostałe są nie mniej realne, choć należą do świata archetypów: las sakralny — obszar tabu, który przetrwa upadek każdego Rzymu i las podziemny — obszar ostatecznego poznania lub niepamięci doskonałej, co może nawet oznaczać to samo. Tytułowy wiersz najnowszego zbioru poetyckiego Anny Frajllich jest rezultatem zamyślenia nad grafiką „Czarny las” zreprodukowaną na jego okładce. Stanowi listę pytań, czym jest akt twórczy i co utrwała: obraz imaginacyjny czy rzeczywisty, symboliczny czy metafizyczny? Ściany lasów zachodzą na siebie, nie sposób ich oddzielić.

Czarny las Anny Frajllich jest może najbardziej *selva obscura* „w życia wędrówce na połowie czasu”; autorka wybiera najczęściej ścieżkę prowadzącą do lasu podziemnego. Medytacje nad śmiercią i umieraniem a także starzeniem się i chorobą nadają elegijny charakter temu wyborowi ponad 30 wierszy. I jeśli Eros dyktuje jej niektóre linie, to w myśl zasady wyłożonej w wierszu całość otwierającym:

W samym sercu koszmaru
drzemią dzikie plaże
(...)
z niedowierzaniem ręce odrywam
od twarzy
i wciągam w płuca spokój
z uśmiechem bezwstydnym.

O doświadczeniu straty, żałoby po bliskich sobie ludziach Anna Frajllich mówi półgłosem. Opisywana przez nią śmierć jest najczęściej poprzedzona długim przygotowaniem. Człowiek powoli żywa się z nią i poddaje. Może dlatego w „Tryptyku żałobnym” poświęconym pamięci pisarza Jerzego Szczytyńskiego tak często pojawia się słowo „znużenie”. W tych wierszach umierający nie trzymają się kurczowo życia:

„Nieśmiertelność galaretowata masa
.....
nie, nie zależy mi na tym...”

* Anna Frajllich, *Który las*, Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn 1986, str. 37.

mówił Czechow w szpitalu
podczas odwiedzin u Tołstoja.

◆
Jeszcze na krok przed śmiercią
odbiega nas wiedza
i odchodzimy dalej
bez jej ciężkiej skazy.

Wiersze zebrane w tomiku *Który las* są też bardziej erudycyjne od dawniejszych utworów Anny Frajllich; znać na nich ślad wielu lektur. I choć niektóre z tych wierszy można by zaliczyć do czystej liryki z syfrem osobistym, to zarazem narasta u autorki potrzeba zmiany perspektywy: odejść od losu poszczególnego, zobaczyć historię ludzkości w parabolicznym skrócie, cofnąć się do *materia prima*:

Woda Heraklita
woda pra-bytu
woda bóstwa Nu i Domnu
(...)
woda która początkiem
jest
końcem będąc wszystkiego.

Motyw wody jest silnie obecny w całym zbiorze. Przede wszystkim w obrazowaniu pojawia się często pejzaż morski:

Na zatoce białe żagle
zwinne żagle

◆
Między nami ocean
czas przecięty nożem

Morze w cytowanych fragmentach wierszy pełni funkcję tyleż konkretną co i symboliczną. Jego obecność można poniekąd wyjaśnić biografią poetyki: skoro jej dzieciństwo upłynęło w portowym Szczecinie, a lata dorosłe — na wyspach i półwyspach Nowego Jorku, to morze stanowi jeden ze stałych elementów jej wewnętrznego pejzażu. Chyba wszystkie podstawowe pojęcia są samosprzeczne, ich natura jest proteuszowa i dwójaka, ale woda jest żywiołem szczególnie wieloznacznym. Życiodajne fontanny Alhambry przemieniają się więc w innym wierszu w nurt Styksu i Lety:

Ciemne wody o które wiośło
uderza bez echa
nie zostawiając najlżejszej smugi.

Kilkakrotnie w tym zbiorze wierszy pojawia się motyw podziemnej, czarnej rzeki. Lustro wody ciemnieje, nie odbija

obrazu, nie chce ujawnić tajemnicy. Bowiem woda w poezji Anny Frajlich jest wspólnym żywiołem żywych i umarłych, a jej nieprzenikniona tafla jest — jak kropla wody — bytem doskonałym.

Drugim obok wody motywem jest podróż i jej szczególna odmiana: ucieczka, z ciągłym poczuciem nieprzynależności do kolejnych miejsc w przestrzeni:

*i nie było dokąd
wracać na zawsze*

Gwałtowność i dotkliwość odjazdu, będącego początkiem wygnania, oddaje metafora „rana cięta”, powtórzona w kilku wierszach w nieco odmiennych wersjach. Lecz nie tylko czas powoli zabliznia tę ranę. Pomocna staje się również zmiana punktu widzenia, spojrzenie na los własny z innej perspektywy. W wierszu „Przeciw pelargonii” odjazd oznacza także wyrwanie się z ospałej zasiedloności prowincjonalnej, może najskuteczniejszą lekcję teorii poznania. Także pozbycie się złudzeń. Bo oto Nowy Jork sportretowany w „Ergo sumus” jest w równym stopniu stolicą stolic, co i „prowincją wszystkich prowincji”, miastem, gdzie poci pisał w dwustu językach, ale cóż stąd, skoro „dla nikogo”.

A chodzi może przede wszystkim o wspólnotę słowa, o związek z bliskimi ludźmi, także o związek męczyzny z kobietą. Erotyki w tym zbiorze są oniryczne i niemal odcielesnione; zwraca zresztą uwagę w tym tomiku częste sięganie do obrazów subiektywnych, podsuniętych przez marzenie senne: opisanie momentu na skraju snu i przebudzenia, ślad wędrówki po lesie archetypów.

Który więc las? Ciemny, to pewne. Ale trwa w nim wspólnota żywych i umarłych, i nie jesteś w tym lesie sam.

Renata GORCZYŃSKA

Nadesłane nowości wydawnicze

ŁUBIENSKI (Tomasz). *Bohaterowie naszych czasów*. Str. 109 i 3 nlb. (Wyd. Aneks, Londyn 1986, cena £ 3.50, \$ US 8).

BRYLL (Ernest). *Adwent*. Rysunki Andrzeja WAJDY. Str. 105 i 3 nlb. (Wyd. Aneks, Londyn 1986, cena £ 4, \$ US 10).

NARÓJEK (Winicjusz). *Perspektywy pluralizmu w upaństwowionym*

społeczeństwie. Ocena sytuacji na podstawie polskich kryzysów. Str. 128. (Wyd. Aneks, Londyn 1986, cena £ 3.50, \$ US 8).

ROSENBUSCH (Adam). *Kto prosił Ruskie? (nikt, same przyszli)*. Antologia dowcipu politycznego 40-tu lat Polski Ludowej. Str. 314 i 2 nlb. (Wyd. nakładem Autora, Unterhaching RFN, 1986).

MANTEL (Feliks). *Stosunki polsko-żydowskie. Próba analizy*. Str. 16. (Wyd. Księgarnia Polska w Paryżu, 1986).

MANTEL (Feliks). *Słowo o Marszałku. Ekspiacja*. Str. 24. (Wyd. Księgarnia Polska w Paryżu, 1986).

ZIÓŁKOWSKA (Aleksandra). *Kanada, Kanada...* Str. 272. (Wyd. Wydawnictwo Polonia, Warszawa 1986, cena zł 285).

CELT (Marek). *Biali kurierzy*. Str. 384. (Wyd. nakładem Autora, Monachium 1986).

LISIŃSKI (Michał). *Kamieniec*. Str. 263 i 1 nlb. (Wyd. Arka, Sztokholm 1986).

KAZ OSTASZEWICZ (Kazimierz). *Wielkie jabłko*. Str. 319 i 1 nlb. (Wyd. OPIM, Londyn 1986).

CYBULSKI (Kazimierz). *Głos niemy*. Poezje. Str. 62 i 2 nlb. (Wyd. OPIM, Londyn 1986).

POLLACK (Juliusz). *Jenicy polscy w hitlerowskiej niewoli*. Str. 236 i 4 nlb. (Wyd. MON, Warszawa 1986, cena zł 360).

KUDASIEWICZ (Józef, ks.). *Biblia, historia, nauka. Rozważania i dyskusje biblijne*. Str. 431 i 1 nlb. (Wyd. Znak, Kraków 1986, cena zł 500).

SONTAG (Susan). *O fotografii*. Przeł. Sławomir Magala. Str. 197 i 3 nlb. (Wyd. WAF, Warszawa 1986, cena zł 250).

SZPOTANSKI (Zenon). *O wolności myślenia*. Str. 312 i 4 nlb. (Wyd. Znak, Kraków 1986, cena zł 350).

JĘDRZEJEWICZ (Wacław). *Józef Piłsudski. Une biographie. Avant-propos de Wanda Piłsudska. Traduit du polonais par T. Sas*. Str. 268 i 4 nlb. (Wyd. L'Age d'Homme, Lozanna 1986).

TUROWSKI (Andrzej). *Existe-t-il un art de l'Europe de l'Est? Utopie et idéologie*. Str. 299 i 5 nlb. (Wyd. Editions de la Villette, Paryż 1986, cena F. 180).

BOCIURKIW (Bohdan R.). *La politique religieuse soviétique en Ukraine vue dans une perspective historique*. Str. 41 i 3 nlb. (Wyd. Comité Ukrainien en Suisse, Berne-Lausanne 1986).

MAREK (Bernard). *Essai sur la situation de l'histoire et de son enseignement en République Populaire de Pologne*. Str. 105 i 3 nlb. (Wyd. Club culturel franco-polonais „Polona-Nord”, Lille 1986).

MICKIEWICZ (Adam). *Pan Tadeusz*. Polish and English text. English verse translated by Kenneth Mackenzie. Str. 599 i 1 nlb. (Wyd. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1986).

SWIETOCHOWSKI (Tadeusz). *Soviet Azerbaijan Today: The Problems of Group Identity*. Str. 17 i 1 nlb. (Wyd. Kennan Institute for Advanced Russian Studies, Washington DC, USA, 1986).

Kosmas. *Journal of Czechoslovak and Central European Studies*. Vol. 5, Summer 1986, number 1. Str. 182. (Wyd. SVU, Cambridge Mass., USA).

THORNE (Ludmilla). *Soviet POWs in Afghanistan*. Str. 40. (Wyd. Freedom House, New York 1986, cena \$ US 3).

Ostdeutsche Gedenktage 1987. Str. 306 i 6 nlb. (Wyd. Kulturstiftung der deutschen Vertriebenen, Bonn 1986).

BOCIURKIW (Bohdan R.). *Historische Perspektive der sowjetischen Religionspolitik in der Ukraine*. Str. 43 i 1 nlb. (Wyd. Ukrainisches Komitee, Bern - Zürich 1986).

LIPKIN (Siemion). *Kartiny i glosa*. Str. 101 i 1 nlb. (Wyd. Overseas Interchange Ltd. (samizdat), Londyn 1986).

ROZINER (Feliks). *Triptik*. Str. 190 i 2 nlb. (Wyd. Overseas Interchange Ltd., Londyn 1986).

SUWOROW (Wiktor). *Rasskazy osvoboditiela. Priediskowije Michajla Hellera*. Str. 261 i 1 nlb. (Wyd. Overseas Interchange Ltd., Londyn 1986).

POMERANCEW (Kirill). *Skwoz smierti. Wospominanija*. Wstupitielnaja statja Borisa Fillipowa. Str. 192 i 2 nlb. (Wyd. Overseas Interchange Ltd., Londyn 1986).

KRAJ — BLOK WSCHODNI

16-11-86

Telewizja sowiecka od szeregu tygodni apeluje o oszczędne gospodarowanie prądem elektrycznym, gdyż energetyka sowiecka pracuje obecnie praktycznie bez odpowiednich mocy rezerwowych i w okresie zimy grozi poważny deficyt energii elektrycznej. ■ W załączniku nr 1 do „Ankiety kwalifikacyjnej nauczyciela akademickiego” Politechniki Krakowskiej ankietowany nauczyciel akademicki ma odpowiedzieć m.in. na następujące pytania: „Czy akceptujesz w pełni zasady ustrojowe PRL?” (tak — nie), „Czy kierujesz się nimi w swojej działalności dydaktyczno-wychowawczej?” (tak — nie), „Czy kształtujesz społeczno-obywatelskie postawy studentów i współpracowników?” (tak — nie).

17-11-86

Radio Warszawa I informuje o trudnościach telefonicznych na wsi w PRL. Podstawową trudnością przy telefonizacji wsi jest brak kabli i czterokrotnie wyższe koszty instalacji, niż w miastach. „Ktoś biegły w rachunkach obliczył, że przy obecnym tempie przydziałów kabli dla resortu łączności, telefon w każdej zagrodzie wiejskiej będzie możliwy dopiero za około 350 lat!” ■ Na konferencji prasowej p. Jerzy Urban na zapytanie dziennikarza, czy delegacja polska weźmie udział w uroczystościach pogrzebowych Mołotowa odpowiedział, że nie ma na ten temat informacji. Okazało się, że nie ma ich do tej pory.

23-11-86

Życie Warszawy alarmuje, że katastrofalnie kurczy się sieć sklepów agencyjnych. Agenci rezygnują głównie z powodu biurokracji i podatków. Tylko w sieci „Społem” ubył ostatnio 35 % sklepów agencyjnych, a przeciętne placówki handlowe, przekazane w agencję, są rentowne i dają przedsiębiorstwom zyski dwukrotnie większe od pozostałych.

6-12-86

Gen. Jaruzelski powołał Radę Konsultacyjną w składzie: Norbert ALEKSIEWICZ, Julian AULEYTNER, Wł. BAKA, Jan BASZKIEWICZ, Witold BENEDYKTOWICZ, Grzegorz BIAŁKOWSKI, Janusz BIENIAK, Czesław BOBROWSKI, Kazimierz BUCHAŁA, Zdzisław CACKOWSKI, Jerzy CHEŁMIŃSKI, Zb. CZAJKOWSKI, Kazimierz DEJMEK, Józef GIEROWSKI, Maciej GIERTYCH, Aleksander GIEYSZTOR, Zb. GRABOWSKI, Aleksander GRYGOROWICZ, Lech KOBYLIŃSKI, Jan Karol KOSTRZEWSKI, Tadeusz KOSZAROWSKI, Marek KOTAŃSKI, Janusz KUCZYŃSKI, Jan KUŁAJ, St. KWIATKOWSKI, Gerard LABUDA, Manfred LACHS, Witold LASSOTA, Aleksander LEGATOWICZ, Jarema MACISZEWSKI, Jan MEYSZTOWICZ, Lucjan MOTYKA, Wiesław MYŚLIWSKI, Anna PRZECŁAWSKA, Antoni RAJKIEWICZ, Waldemar RUDNIK, Zdzisław SADOWSKI, Kazimierz SECOMSKI, Wł. SIŁA-NOWICKI, Halina SKIBNIEWSKA, Krzysztof SKUBISZEWSKI, Wiesława STANISZEWSKA, Jan SZCZEPAŃSKI, Janusz SZOSLAND, Andrzej ŚWIECICKI, Eugeniusz TABACZYŃSKI, Jerzy TRELA, Andrzej TYMOWSKI, Janusz TYMOWSKI, Stefan WĘGRZYN, Zb. WIERZBICKI, Ryszard WOJNA, Janusz ZABŁOCKI, Piotr ZAREMBA, St. ZAWADA, Adam ZIELŃSKI.

ZACHÓD — EMIGRACJA

7-11-86

Zmarła w Buenos Aires Elżbieta Niewiadomska-Bogusławiewicz, żołnierz 2-go Korpusu, popularna pieśniarka, założycielka i dyrektorka „Naszego baletu” w Argentynie, wychowawczyni młodzieży polskiej.

8-11-86

Zmarł w Ottawie w wieku 92 lat gen. Orlik-Rückemann, żołnierz I Brygady Legionów, ostatni dowódca Korpusu Ochrony Pogranicza.

29-11-86

Redakcję *Rzeczypospolitej Polskiej* (organ Rządu R.P. w Londynie) objął Zbigniew Błażyński. Rząd emigracyjny w Londynie ogłosił nominacje nowych podsekretarzy stanu, a mianowicie: dr. Tomasza Piesakowskiego w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, płk. Edmunda Chełmińskiego i mjr. Waltera Szczepańskiego w Ministerstwie Spraw Emigracji. W Ministerstwie Spraw Wojskowych gromadzone jest archiwum polskiego wysiłku zbrojnego w drugiej wojnie światowej oraz istnieje referat niedawno ustanowionego Krzyża Kampanii Wrześniowej, który otrzymało już ponad 3 tys. osób.

5-12-86

Została przyznana kolejna nagroda teatralna *Dziennika Polskiego* w Londynie za rok 1986. Nagrody te są ufundowane przez Fundację Feliksa Laskiego. Za najlepsze imprezy artystyczne uznano „Preclarkę” Wiktora Budzyńskiego oraz „Taka noc nie powtórzy się więcej” — zbiór tekstów i melodii przedwojennych. Nagrody indywidualne otrzymali: Joanna Kańska oraz Stefan Gołębiowski. ■ Z okazji 40-lecia Kultury i Instytutu Literackiego Klub Niezależnej Myśli Politycznej w Monachium zorganizował spotkanie na temat: Juliusz Mieroszewski, publicysta polskiej emigracji (słowo wprowadzające Andrzej Bożyma, Jacka Kaczmarskiego i Józefa Ptaczka).

9-12-86

Zmarł w Londynie w wieku 94 lat płk Mieczysław Młotek, oficer SBSK i 3 DSK. Był niestrudzonym autorem historii tych jednostek wojskowych.

10-12-86

Zmarł w Londynie w wieku 84 lat Jan Naumow-Ostrowski. W okresie wojny był współpracownikiem *Polish Parade* w Kairze, a po wojnie przez wiele lat współpracował z redakcją *Orla Białego* i *Przeglądem Powszechnym*, oraz wykładał filozofię na P.U.N.O. Zajmował się również tematyką teatralną.

14-12-86

Leopold Unger, wieloletni współpracownik Kultury, przebywa obecnie w Australii z turą odczytową. P. Unger pracuje w brukselskim *Le Soir*, a współpracuje także z paryskim *Express* oraz z *International Herald Tribune*. W 1986 roku Instytut Literacki wydał zbiór jego publicystyki pt. „Orzeł i reszta”. L. Unger otrzymał także dwukrotnie nagrodę Kultury (w 1977 i 1985) za publicystykę polityczną.

CYKL SEMINARIÓW NA TEMATY POLSKIE NA WYDZIALE POLONISTYKI W UNIVERSITY OF LONDON

Wydział polonistyki School of Slavonic and East European Studies University of London organizuje w sesji wiosennej 1987 roku cykl seminariów nt. „Polska w XX wieku”. Oto tytuły wykładów: 14 stycznia: J. Ciechanowski — „Polskie podziemie 1939-1945”; 21 stycznia: Keith Sword — „Polacy w Wielkiej Brytanii, 1945-1950”; 28 stycznia: Antony Polonsky — „Polska w okresie międzywojennym”; 4 lutego: Marian Wojciechowski — „Stosunki polsko-niemieckie w latach 1930-tych”; 11 lutego: Bolesław Sulik — „Bitwa o Polskę: historia telewizyjna”; 18 lutego: Zbigniew Pełczyński — „Problemy legitymacji rządów komunistycznych w Polsce”; 25 lutego: Adam Czerniawski — „Polska poezja powojenna”; 4 marca: Eugeniusz Smolar — „Cenzura i wydawnictwa podziemne w Polsce”; 11 marca: Krzysztof Pszenicki — „Zachodnie audycje radiowe dla Polski”. Seminarium odbywać się będą o godz. 17.30 w Senior Common Room, 21 Russell Square, London WC1.

KRONIKA FRANCUSKA

17 listopada 1986 Jacques Dupuy, były ambasador Francji w Warszawie, wygłosił w paryskim Towarzystwie Historyczno-Literackim odczyt o Sułkowskim. Praca J. Dupuy na ten temat ukaże się w druku. ■ Paryski dziennik *Le Matin* (25 listopada 1986) opublikował sensacyjny materiał swojego warszawskiego korespondenta Krzysztofa Wołkiewicza, omawiający tajny dokument kierownictwa PZPR na temat sytuacji w kraju i strategii władz PRL wobec opozycji. Chodzi o instrukcje, jaką w połowie listopada ub. roku przekazało redakcji *Trybuny Ludu* Biuro Polityczne KC PZPR. Na podstawie sondaży przeprowadzonych w połowie września ub. roku, na które powołuje się Politbiuro, 80 % społeczeństwa polskiego darzy zaufaniem Sejm, 70 % ufa rządowi, 62 % milicji, a 56 % partii. Autorzy dokumentu mówią o spadku znaczenia opozycji i sugerują, by przestać o niej mówić, ale jednocześnie należy unikać wszelkich konfliktów, mogących przyczynić się do wzrostu napięć i nie tolerować żadnych żądań dotyczących podwyżek uposażeń. Jeśli chodzi o metody zwalczania opozycji, Politbiuro nie wyklucza stosowania represji policyjnych, ale proponuje także konfiskatę mienia, dzięki której — zdaniem przywódców PZPR — 80 % przestępców wyrzeknie się dalszej działalności (ostatnio zarekwirowano już kilka prywatnych samochodów, w których bezpieka znalazła niezależną prasę). Dokument poświęca sporo uwagi zachodnim reakcjom na wydarzenia w Polsce: dowiadujemy się na przykład, dlaczego Lech Wałęsa nie otrzymał zgody na wyjazd do USA. Otóż dlatego, że chciał rozmawiać z Kongresem, spotkać się z Reaganem, a w drodze powrotnej odwiedzić Rzym, gdzie zostałby przyjęty przez papieża, prezydenta i premiera Włoch. Konsekwencje polityczne takiej podróży byłyby — według autorów oświadczenia — poważne, a zyski równie zeru. Według Politbiura na 22 tysiące księży w Polsce zaledwie 500 jest zdeklarowanymi opozycjonistami, 16 tysięcy zachowuje neutralność, 5.000 popiera rząd, z czego 1.000 aktywnie. Biuro Polityczne pochlebnie wypowiada się o prymasie Glempie i sekretarzu episkopatu, arcybiskupie Dąbrowskim: ksiądz prymas rozumie obecnie, że „Solidarność” przestała się liczyć jako element w przetargach, a arcybiskup Dąbrowski doradza klerowi, by mniej zajmował się polityką, a więcej — patologią społeczną. Zdaniem

komentatora *Le Matin* dokument Politbiura jest świadectwem wyjątkowo schizofrenicznej wizji sytuacji w Polsce, niewykłuczone, że jego celem jest podniesienie na duchu „partyjnego betonu”, który posunięcia kierownictwa partii nierzadko ocenia jako zbyt łagodne. ■ W wydawanym w języku francuskim organie Wspólnoty Polsko-Francuskiej pt. *Contacts*, będącym dodatkiem do starego polonijnego dziennika *Narodowiec*, ukazał się interesujący artykuł Macieja Morawskiego, polsko-francuskiego dziennikarza, szefa paryskiej sekcji RWE, na temat kryzysu kultury francuskiej i upadku znaczenia Francji w świecie. Zdaniem Morawskiego Francja winna pełnić w Europie i świecie rolę obrońcy praw człowieka, czynnika politycznego umiaru i zdrowego rozsądku, wreszcie miejsca, w którym powstaje wolna i uniwersalna kultura. Morawski proponuje utworzenie francuskiego odpowiednika nagrody Nobla — nagrody Francji (*Prix de France*), która byłaby wyrazem duchowych aspiracji Francji. Morawski z gorącą przypomina, że aby uzyskać światowe uznanie i literackiego Nobla Czesław Miłosz, niezauważony we Francji, musiał po sukces wyjechać do USA, a wybitni polscy artyści jak na przykład Józef Czapski czy Roman Palester żyją od kilku dziesięcioleci w Paryżu i choć cenią ich specjaliści, szerokiej publiczności francuskiej nie są znani. ■ Tradycyjne święto Towarzystwa Historyczno-Literackiego z okazji rocznicy Powstania Listopadowego odbyło się 29 listopada ub. roku w Bibliotece Polskiej w Paryżu, w sali szczelnie wypełnionej publicznością, która wysłuchiwała referatów prof. KUL-u Jerzego Kłoczowskiego pt. „Chrześcijaństwo w kulturze polskiej XIX wieku” oraz red. Talki „O Lelewelu w 200-tą rocznicę jego urodzin”. W części artystycznej Marie Catherine Girod wystąpiła z koncertem dzieł Chopina. ■ Z inicjatywy paryskich ojców palotynów w kościele akademickim przy ulicy Cler Halina Mikołajska recytowała poezje Zygmunta Krasińskiego i Zbigniewa Herberta. W paryskim „Ośrodku Dialogu” odbył się także wieczór autorski Julii Hartwig i Artura Międzyrzeckiego, a na osobnym spotkaniu wieczór poezji ks. Jana Twardowskiego, w którym wziął udział autor. ■ W wieku 89 lat zmarł w Paryżu Aleksander Tansman, kompozytor urodzony w Polsce, członek grupy artystów zwanej „szkołą paryską”. ■ Władze PRL próbują zainteresować francuskich przemysłowców polskim rynkiem: we Francji przebywała z kilkudniową misją 30-osobowa grupa pracowników Polskiej Izby Handlu Zagranicznym. Polacy zwracali uwagę Francuzów na „nową” sytuację gospodarczą Polski po przyjęciu PRL do Międzynarodowego Funduszu Walutowego oraz uchwaleniu przez Sejm PRL ustawy dopuszczającej zakładanie w Polsce przedsiębiorstw z udziałem kapitałów zagranicznych. ■ Występując na początku grudnia na forum Senatu szef francuskiej dyplomacji, Jean Bernard Raimond wypowiedział się na temat stosunków Francji ze Związkiem Sowieckim oraz z krajami Europy wschodniej. Stwierdził między innymi, że Francja wznowiła stosunki z Polską i że amnestia dla więźniów politycznych pozwala przypuszczać, że planowana na rok 1987 jego wizyta w Warszawie odbędzie się w zmienionych warunkach. Będzie to pierwsza — od wydarzeń 13 grudnia 1981 roku — wizyta szefa francuskiego MSZ w Polsce. Minister zapowiedział także wizytę czeschosłowackiego ministra Spraw Zagranicznych w Paryżu na początku 1987 roku. Omawiając stosunki Francji z ZSSR stwierdził, że dojście do władzy ekipy Gorbaczowa świadczy o tym, że nowa generacja szuka środków na wzmocnienie sowieckiej potęgi. Według szefa Quai d'Orsay należy być czujnym, ale jednocześnie dostrzegać wszystkie pozytywne sygnały napływające z Moskwy, przy czym należy jasno przedstawiać wschodnim rozmówcom francuskie stanowisko w podstawowych sprawach dotyczących bądź to bezpieczeństwa w Europie, bądź też sowieckiej interwencji w Afganistanie czy wietnamskiej inwazji na Kambodżę. ■ Założona w październiku w Szczecinie Polska Liga Obrony Praw Człowieka i Obywatela została pełnoprawnym członkiem Międzynarodowej Federacji Praw Człowieka. Decyzję o przyjęciu polskiej organizacji

podjęto podczas ostatniego walnego zjazdu Międzynarodowej Federacji w mieście Valladolid w Hiszpanii, o czym poinformował ostatnio przewodniczący tej organizacji, znany paryski adwokat Daniel Jacoby. Mecenasy Jacoby przypomnieli, iż w okresie międzywojennym Polska Liga Obrony Praw Człowieka i Obywatela była bardzo aktywnym członkiem Międzynarodowej Federacji, a wstąpiła się szczególnie protestami przeciw procesowi brzeskiemu i Berezie Kartuskiej. Nic nie wskazuje, ażeby władze PRL zamierzały zalegalizować organizację założoną przez niezależnych działaczy szczecińskich (wniosek o rejestrację został złożony w szczecińskim sądzie). ■ W pierwszej połowie grudnia w paryskiej galerii „Espace Bateau-Lavoir” miała miejsce wystawa obrazów Przemysła Karolaka. ■ W paryskim teatrze „Musée Grevin” odbył się koncert fortepianowy Andrzeja Ratusińskiego. Polski artysta wykonywał utwory Mozarta, Liszta i Chopina. ■ Księgarnia „La Terrasse de Gutenberg” wraz z wydawnictwem „De la Villette” zorganizowały w grudniu spotkanie autorskie Andrzeja Turowskiego, który podpisywał swoją książkę „Czy istnieje sztuka Europy Wschodniej”. ■ Z okazji obchodów międzynarodowego dnia praw człowieka (10 listopada) czynna była przez kilka dni w Pałacu Inwalidów w Paryżu wystawa „10 lat niezależnych wydawnictw w Polsce”. Patronował jej francuski sekretarz stanu do spraw praw człowieka, minister Claude Malhuret. Zaprezentowano około tysiąca eksponatów — prasę podziemną, ulotki, książki, afisze, fotografie i znaczki pocztowe. Organizatorami wystawy byli: Biblioteka Współczesnej Dokumentacji Międzynarodowej z Uniwersytetu w Nanterre i paryskie wydawnictwo „Spotkania-Libertas”. ■ 11 grudnia w gmachu Biblioteki Polskiej w Paryżu miało miejsce otwarcie wystawy zatytułowanej „Kultura i jej krąg”, poświęconej 40-leciu Instytutu Literackiego. Świetnie przygotowana (przez specjalnie w tym celu powstałe przed kilkoma miesiącami stowarzyszenie „Przyjaciół Kultury”) wystawa zaskakuje bogactwem nierzadko bibliofilskich eksponatów, dzięki którym można wyobrazić sobie przynajmniej w części ogrom pracy kilkunastu zespołów Kultury. Na wernisaż, który stał się wielkim wydarzeniem przybyło kilkuset gości — Polaków z Paryża, Francuzów, i także przyjaciół Instytutu Literackiego spoza Francji. Dla francuskich gości — wśród których był Jean-François Deniau, poseł do Parlamentu Europejskiego — organizatorzy wystawy przygotowali kilkudziesięciostronicową, ładnie opracowaną graficznie, broszurę o Instytucie Literackim. ■ Paryski Komitet Koordynacyjny NSZZ „Solidarność” (5, rue Mayran, 75009 Paris) przygotował wystawę zdjęć z okresu stanu wojennego i późniejszego. Wystawa ta była już wielokrotnie wypożyczana i pokazywana w kilku ośrodkach na terenie Francji. Ostatnio czynna jest w Genewie. ■ W smutną rocznicę 13 grudnia delegacja paryskiego Komitetu Koordynacyjnego „Solidarności” wraz z kierownikiem biura, Piotrem Chruszczyńskim, złożyła kwiaty przed symbolicznym pomnikiem, upamiętniającym ofiary stanu wojennego w Polsce. Pomnik-tablica z imionami zamordowanych górników z kopalni „Wujek” znajduje się naprzeciwko ambasady PRL przy Placu Inwalidów w Paryżu. Wieniec złożyli także działacze Wspólnoty polsko-francuskiej i innych istniejących na terenie Francji grup polskich. Z tej samej okazji w paryskim kościele polskim została odprawiona uroczysta msza święta. ■ Pięć głównych francuskich central związkowych (CFDT, CFTC, FO, CGC, FEN) wydało wspólne oświadczenie wyrażające poparcie dla „Solidarności” w związku z piątą rocznicą przerwania jej legalnej działalności. Francuskie związki współpracują z „Solidarnością” od chwili jej powstania we wrześniu 1980 roku i nieprzerwanie od sześciu już lat organizują pomoc dla polskich związkowców. W ostatnich tygodniach zawarto kilka kolejnych umów pomiędzy poszczególnymi centralami i uniami departamentalnymi a podziemnymi strukturami „Solidarności”. ■ Stowarzyszenie „Solidarité France-Pologne” wybrało dzień 13 grudnia 1986 na zorganizowanie dorocznego zgromadzenia ogólnego. W spotkaniu wzięli udział przed-

stawiciele kilkunastu działających we Francji kół stowarzyszenia, a także przedstawiciele innych organizujących pomoc dla Polski grup. Poza akcjami, w których udział brało samo Stowarzyszenie (przemawiali: przewodniczący Stowarzyszenia prof. Piotr Ślomiski oraz Karol Sach i Seweryn Blum-sztajn) była mowa o działalności Funduszu SOS-Pomoc Chorym w Polsce (Alina Margolis-Edelman), o kontaktach związku Force Ouvrière z „Solidarnością” (referował sekretarz generalny FO regionu paryskiego Jacques Mairé), o współpracy francuskiej grupy pacyfistów CODENE z ruchem Wolność i Pokój, a także o pracach paryskiego Komitetu Koordynacyjnego NSZZ „Solidarność” i stowarzyszenia „Solidarité avec Solidarność” o „Video-Kontaktie” i o Funduszu Wydawniczym. Warto jeszcze dodać, że ostatnio stowarzyszenie „Solidarité France-Pologne” podpisało umowę o współpracy z OKN-em, (struktura Oświaty, Kultury i Nauki, działająca przy NSZZ „Solidarność”). ■ Paryski tygodnik *Express* (12 grudnia ub. roku) donosi, że władze PRL „śledzą z bliska” projekt produkcji filmu na temat tragicznej śmierci księdza Jerzego Popiełuszki, którego kręcenie rozpocznie się na wiosnę we Francji. Producentem planowanego filmu jest Jean-Pierre Alessandri, reżyserować będzie Agnieszka Holland, w roli księdza Popiełuszki ma wystąpić Christophe Lambert, odtwórcą Piotrowskiego ma zostać Richard Dreyfuss. ■ W drugiej połowie grudnia 1986 w Klubie „Kontakt” miało miejsce spotkanie z reżyserem Andrzejem Titkowem, podczas którego zaprezentowano jego pięć filmów: „Mały wielki świat”, „Wolny zawód”, „Przechodzień”, „Takie miejsce” i „Piękni dwudziestolenni”. Polski reżyser wystąpił jeszcze wcześniej przed publicznością pallotyńskiego Ośrodka Dialogu. ■ W roku szkolnym 1987 istnieje możliwość wprowadzenia nauki języka polskiego, jako drugiego języka obcego, w czwartej klasie w Collège Montaigne w Paryżu. Osoby zainteresowane proszone są o jak najszybsze skontaktowanie się listowno z nauczycielką p. Małgorzatą Groffier: Lycée Montaigne, 17, rue Auguste Comte, 75006 Paris. ■ 27 listopada ub.r. odbyła się na Sorbonie sesja na temat Unii Lubelskiej w kontekście europejskim. Ze strony polskiej wzięli udział profesorowie: J. Bardach, A. Gieysztor, J. Kłoczowski i H. Samsonowicz. ■ *Głos Katolicki* — tygodnik wydawany przez Polską Misję Katolicką w Paryżu od 1959 roku — wprowadził nową formułę redakcyjną. Pragnie szerzej informować o życiu społeczno-politycznym w Polsce i na Zachodzie oraz o różnego rodzaju aktywności Polaków w europejskich krajach zamieszkania („G.K.”, 263-bis, rue Saint-Honoré, 75001 Paris). ■ Sławomir Czarlewski obronił w paryskiej Szkole nauk Politycznych doktorat III cyklu studiów DEA na temat „Obraz Francji w Tygodniku Powszechnym i Tygodniku Warszawskim w latach 1945-1948”. ■ W wielkiej dorocznej wystawie malarstwa i grafiki w Grand Palais pn.: „MAC 2000” wzięła udział Teresa Tyszkiewicz, polska artystka zamieszkała we Francji od kilku lat. Ogółem wystawiało 60-ciu artystów. ■ W Księgarni Polskiej w Paryżu miała miejsce wystawa fotografii Tomasza Tomkiewicza pt. „Kalwaria Paławska — misterium pogrzebu i wniebowzięcia Matki Bożej”, a 13 grudnia — jak co roku — otwarto Kiermasz Gwiazdkowy w czasie którego podpisywali swoje książki: Feliks Mantel, Jean Offredo i Jan Winczakiewicz. Na Kiermaszu zaprezentowano wydaną ostatnio przez „Spotkania” książkę pt. „Grudzień 1970” — która jest zbiorowym opracowaniem Komisji Historycznej Zarządu regionu gdańskiego NSZZ „Solidarność”.

W. SIKORA

KRONIKA KANADYJSKA

Pięciu dezertersów sowieckich, którzy znajdowali się wśród afgańskich powstańców, przemycono do Kanady, gdzie otrzymali prawo stałego pobytu.

Władze kanadyjskie wydobyły ich na skutek akcji prowadzonej od przeszło roku przez przedstawiciela rosyjskiego Kościoła prawosławnego. Minister Spraw Zagranicznych, Clarc, zaznaczył, że dezertery przyjęto tylko ze względów humanitarnych. Przed załatwieniem formalności związanych z udzieleniem wizy imigracyjnej władze kanadyjskie zawiadomiły ambasadę ZSSR w Ottawie, iż mogą się z nimi spotkać w Toronto w Urzędzie Imigracyjnym. Dwaj przedstawiciele ambasady sowieckiej przez 35 minut rozmawiali z byłymi żołnierzami zapewniając każdego z osobna, że mogą w każdej chwili wrócić, że nie grożą im żadne karne konsekwencje, a ambasada gotowa jest do udzielenia im odpowiedniej pomocy. Wszyscy odmówili oświadczając, iż wysłannicy ambasady kłamią. Otrzymałe wizytówki podarli w kawałki i wyrzucili. Jeden z dezertersów, Władysław Naumow, lat 24, był rzecznikiem na konferencji prasowej. Oświadczył, iż ani on ani jego towarzysze nie brali udziału w akcjach zbrojnych, uciekli z oddziałów, gdyż nie chcieli zabijać ani brać udziału w okupacji Afganistanu. W niewoli pomagali powstańcom, lecz nie brali udziału w walkach z sowieckim wojskiem. Jego zdaniem w obozach powstańczych jest około 200 sowieckich żołnierzy pragnących wydostać się na Zachód. Obok Naumowa i jego towarzyszy Sergieja Busowa, lat 22, Igora Kowalczyka, lat 26, Mikołaja Gołowa, lat 23, Władimira Plotnikowa, lat 21, obecny był na konferencji i przemawiał p. Andrew Klimoff, prezes Rosyjskiego Towarzystwa Pomocy Imigrantom, które sponsorowało czterech przybyłych. ■ W dniach 20-22 listopada 1986 odbyła się w Toronto konferencja przedstawicieli organizacji ABN (Anti Bolshevic Block of Nations), w której główną i kierowniczą rolę odgrywał Jarosław Stečko — zmarły przed kilkoma miesiącami przywódca „banderowców”. Hasłem konferencji była „Kampania wolności”.

■ Zbiórka przed kościołami polskimi w Toronto na rzecz Skarbu Narodowego, przeprowadzona w niedzielę 5 października 1986, przyniosła ogółem \$ 2.025,71. ■ Dnia 1 grudnia 1986, w ramach dorocznych William Kurelek Memorial Lectures, prelekcję na temat nacjonalizmu w Europie Wschodniej wygłosił prof. Norman Davies. Kurelek, wybitny artysta-malarz pochodzenia ukraińskiego, jest m.in. autorem cyklu „Polacy w Kanadzie” — dwudziestu kilku wielkich rozmiarów płócien znajdujących się w Galerii Hamilton. Cykl ten ukazał się również jako album, już po śmierci artysty.

■ Kanadyjsko-Polski Instytut Badawczy z okazji 30-lecia działalności zorganizował symposium pt. „Ochrona Dziedzictwa Polskiego w Kanadzie”. Udział wzięli profesorowie University of Toronto B. Budurowycz i R. Harney, przedstawiciele archiwów państwowych Biblioteki University of Toronto. Referat zasadniczy wygłosił sen. Haidasz, b. minister wielokuturowości, a referaty tematyczne pp. Robert F. Harney, profesor historii, dyrektor naukowy Multicultural History Society; Bohdan Budurowycz, profesor wydziału slawistyki University of Toronto; Mary Stevens z Biblioteki University of Toronto; Myron Momryk z Archiwum Centralnego w Ottawie, Eugene Martel — z archiwum prowincji Ontario; Krzysztof M. Gebhard z archiwum prowincji Saskatchewan-Regina. Prelegenci uwypuklali znaczenie materiałów archiwalnych dla wszelkich badań dziejów grup etnicznych i ich wpływu na kształt i rozwój Kanady, przedstawiając istniejące w archiwach publicznych (centralnych i prowincjonalnych) i bibliotekach naukowych — przede wszystkim uniwersyteckich — zespoły materiałów, książek, druków, map, filmów i kasiet odnoszących się do Polski i Polaków. Gdy chodzi o archiwa, z jednej strony są materiały urzędowe, oficjalne dotyczące imigrantów oraz stosunków z Polską, a z drugiej materiały i dokumenty niektórych organizacji polonijnych, działaczy względnie jednostek. W ostatnich latach powiększyły się znacznie pozyje polskie we wszystkich bibliotekach naukowych a biblioteka University of Toronto jest najlepiej wyposażona. ■ W Kanadzie istnieje wiele instytucji finansowych; obok banków działa sieć tzw. Credit Unions — czyli kas oszczędnościowo-pożyczkowych, wśród

których są również polonijne. Pierwsza z nich powstała w Toronto w 1945 roku przy parafii św. Stanisława. Było to dalekowzroczne dzieło ówczesnego proboszcza tej parafii, ks. Stanisława Puchniaka, i kilku entuzjastycznych parafian. Ks. Puchniak przewidywał liczny wzrost Polonii i ożywienie życia gospodarczego i chciał, aby w tym procesie znalazła się również polska grupa. Co prawda w każdej najmniejszej miejscowości kanadyjskiej znajdują się oddziały banków, które przyjmują nawet najskromniejszych klientów i niskie wkłady, ale pożyczek ci drobni klienci nie mogą od banku uzyskać. Ks. Puchniak założył więc małą placówkę, opartą na wzajemnej pomocy, która załatwiała parafianom ich problemy finansowe. Oparł się on na *Caisses Populaires* w prowincji Québec — te ludowe banki znajdują się w każdej miejscowości, rywalizując z powołaniem z oddziałami wielkich banków, są swojskie, dostępne dla wszystkich i cieszą się zaufaniem klientów. Parafialna kasa oszczędnościowo-pożyczkowa w Toronto powstała w odpowiednim czasie i rozrosła się do największej instytucji w tej kategorii. *Crédit Union* parafii św. Stanisława obejmuje dziś wszystkie — tj. pięć — parafii metropolii Toronto. Pod koniec 1986 roku liczyła 20.000 członków, a ich wkłady wynosiły 105 mln dolarów. Jest to ponadto jedyna kasa polonijna, która dysponuje wszystkimi usługami bankowymi. Inne kasy, a jest ich piętnaście, posiadają wkłady w wysokości około 23 mln dolarów i ok. 3.000 członków. Zostały one zorganizowane przez imigrantów, przybyłych do Kanady po drugiej wojnie światowej, w tym b. żołnierzy, którzy zakładali kasy przy oddziałach S.P.K. Niektóre jednak nie utrzymały się. ■ Eugeniusz Misiło, pracownik naukowy PAN w Warszawie otrzymał nagrodę Ukraińskiego Instytutu Badawczego za pracę „Bibliografia prasy ukraińskiej w Polsce 1918-1939 i w Zachodniej Ukraińskiej Republice Ludowej w latach 1918-1919”. Nagroda wynosi \$ c. 1.000. Praca zostanie opublikowana w 1987 roku przez Kanadyjski Instytut Ukrainoznawstwa w Edmonton. ■ Według ostatecznych danych oficjalnych w 1984 roku przybyło do Kanady 88.239 imigrantów, w tym z Polski 4.499 osób. W kategorii uchodźców znajdowało się 15.343 osób — w tym z Polski 2.064. Z ogólnej ilości imigrantów z Polski 2.447 osób zakwalifikowano jako czynne zawodowo. Jeśli idzie o zawody, to na pierwszym miejscu znajdowali się pracownicy naukowcy — w tym ze specjalności technicznych i matematycznych 340 osób, szkolnictwo — 106, służba zdrowia (lekarze, pielęgniarki itp.) — 97, sztuka — 49, duchowieństwo — 10, rolnictwo, rybactwo, leśnictwo — 80. Te przykładowe dane dowodzą zasadniczej zmiany w strukturze zawodowej imigrantów z Polski. Zadeklarowane przez imigrantów zawody nie znaczą jednak, by mogli je wykonywać w Kanadzie, szczególnie w początkowym okresie. Z fragmentarycznych danych wynika, że w latach 1985 i 1986 ilość uchodźców z Polski zmniejszyła się głównie z powodu spadku ilości sponsorów (poręczycieli). Z informacji ze źródeł europejskich (*Migration News*) wynika, iż już w 1984 roku ilość uchodźców z Polski zmniejszyła się w RFN, Austrii i Francji. W RFN w 1980 roku uchodźcy z Polski znajdowali się na ostatnim, 10-tym miejscu, po Czechosłowacji, w 1981 i 1982 byli na pierwszych miejscach, a w dwóch następnych latach Polaków wyprzedzili uchodźcy ze Sri-Lanka. O przyznanie prawa azylu wniosło w latach 1980-1986 ogółem 63.847 osób, z których około 5 % powróciło do kraju, a 75 % wyemigrowało do innych krajów. Pod koniec 1984 roku status uchodźcy posiadało około 10 tys. cudzoziemców.

KOLEKCJA „SOLIDARNOŚCI” W BIBLIOTECE UNIwersytetu TORONTO

Biblioteka Uniwersytetu Toronto przystąpiła w 1981 roku do kompletowania materiałów związanych z działalnością różnych organizacji i stowarzy-

szeń nastawionych opozycyjnie wobec władz i systemu PRL, datujących się od czerwca 1976 roku. Bogaty materiał podzielono na trzy zespoły: 1) przedsolidarnościowy, 2) solidarnościowy — okres legalny, 3) okres podziemny — po stanie wojennym.

Kolekcja jest duża i bardzo różnorodna. Obejmuje obok wszelkiego typu publikacji — jak książki, czasopisma, ulotki i plakaty — również grafiki, filmy, płyty i kasety. Pierwszy zespół (przedsolidarnościowy) obejmuje materiały podziemne od czerwca 1976 do 31 sierpnia 1980, drugi (solidarnościowy) od września 1980 do 12 grudnia 1981, trzeci rozpada się na dwie części: stan wojenny 13 grudnia 1981 - 22 lipca 1983 i następny od 23 lipca 1983 po dzień dzisiejszy.

Zbiór został usegregowany i skatalogowany pod koniec 1986 roku przez Bogumiłę Pawlak, specjalnie zaangażowaną do tej pracy. Zawiera on 41 kartonów, w tym 3 dotyczące pierwszego okresu, 7 drugiego, 8 trzeciego (lata stanu wojennego) i 18 (lata po stanie wojennym i dziś). Pozostałe kartony zawierają: mikrofilmy, kasety, karykatury, rysunki, plakaty, kartki i znaczki pocztowe, fotografie itp. Niektóre czasopisma są dobrze reprezentowane, inne po jednym numerze. Nie brak jednak i duplikatów.

Wydawnictwa oficyny „NOWA” znajdują się w 10 tomach i zawierają m.in. prace St. Barańczaka, J. Ficowskiego, R. Krynickiego, B. Sadowskiej, A. Michnika, L. Kołakowskiego, G. Herlinga-Grudzińskiego, L. Moczułskiego, E. Lipińskiego. Są materiały wszystkich odcieni politycznej opozycji oraz publikacje władz PRL i jej rzeczników, w tym ambasady PRL w Ottawie.

Zespół okresu „Solidarności” zawiera publikacje niemal wszystkich regionów: biuletyny, czasopisma, ulotki itp. Publikacje literackie studenckie, katolickie, chłopskie, harcerskie oraz wielu wydawnictw jak „Kos”, „Krag”, „Grot”, „Vacat”, „3 Maj”, „Młoda Polska”, „Vademecum” i inne. W następnych zespołach podobnie jak i w poprzednich, znajdują się zarówno wszelkie materiały podziemnej „Solidarności” i opozycyjnych grup jak i oficjalne PRL. Bogaty jest zestaw wycinków prasowych z pism w różnych językach dotyczących poszczególnych faz działalności politycznej i społecznej opozycji w Polsce w okresie od czerwca 1980 roku do chwili obecnej.

Kolekcja jest imponująca i bodajże największa i najbogatsza w Kana-dzie. Jest ona oczywiście dostępna i stanowi cenne źródło dla badaczy dziejów współczesnej Polski.

B. H.

Toronto, grudzień 1986

KRONIKA NORWESKA

Norweski Instytut Polityki Zagranicznej ogłosił raport, z którego wynika, że Związek Sowiecki silnie rozbudował swoje bazy militarne na Półwyspie Kola (rejon Murmańska) w bezpośrednim sąsiedztwie północnej granicy Norwegii. ■ 23. 10. 1986 odbyła się uczniowska „Operacja Dniówka”. Na terenie całego kraju uczestniczyło w niej około 200 tys. młodych Norwegów. Pracując lub zbierając pieniądze udzielali wsparcia afgańskiemu szkolnictwu i służbie zdrowia na terenach wyzwolonych spod okupacji sowieckiej oraz w Pakistanie i Iranie, gdzie schroniło się ok. 4 milionów uchodźców. ■ 24. 10. 1986 odbyła się w Teatrze Norweskim w Oslo oficjalna premiera sztuki „Kontrakt” Sławomira Mrożka. Autor przedstawienia, obecny na sali, przyjęty został przez publiczność wielominutową stojącą owacją. ■ 26. 11. 1986 w Klubie Związku Architektów w Oslo otwarto wystawę projektów Czesława Bieleckiego. Bielecki jest członkiem honorowym norweskiego i francuskiego PEN-Clubu oraz był adoptowany przez szereg narodowych

organizacji architektów, w tym przez Norwegów. Tegoż dnia w sali przykatedralnej w Oslo odbył się koncert Jacka Kaczmarskiego i Jorna Overliego (norweskiego wykonawcy wielu piosenek Kaczmarskiego). Część pokazu została sfilmowana przez telewizję. ■ 2. 12. 1986 Francja zaakceptowała ostatecznie kupno gazu z norweskiego sektora Troll na Morzu Północnym. Gaz będzie przysyłany do Francji, Niemiec Zachodnich, Holandii i Belgii bezpośrednio rurociągami prowadzonymi po dnie morskim. Począwszy od 1993 roku przez okres 30 lat około 450 miliardów metrów sześciennych gazu ma zostać dostarczonych do 4 w/w państw. Gaz norweski w dużym stopniu uniezależni Europę od dostaw sowieckich.

Paweł GAJOWNICZEK

NOWOŚĆ WYDAWNICZA OFICyny POETÓW I MALARZY LONDYN

PETER RAINA

„KS. JERZY POPIEŁUSZKO — MĘCZENNIK ZA WIARĘ I OJCZYZNĘ”

Jest to pierwsza szczegółowo udokumentowana biografia Ks. Jerzego napisana na podstawie archiwalnych materiałów kościelnych. Praca składa się z dwóch części.

Część I: *W służbie Kościoła*. Str. 382.

Część II: *Proces toruński*. Str. 656.

Liczne ilustracje.

Cena (I + II): £ 15.

Zamówienia nadsyłać:

Poets' and Painters' Press

146 Bridge Arch, Sutton Walk, London E.1.

KSIEGARNIA POLSKA W PARYŻU 123, boulevard Saint-Germain, 75006 Paris

Tel.: 43 26 04 42

Rok założenia 1833

Sprzedajemy i wysyłamy

KSIAŻKI POLSKIE

wydania zachodnie i krajowe

POLONICA FRANCUSKIE

w wielkim wyborze

KSIAŻKI ANTYKWARYCZNE I OKAZYJNE

ARTYSTYCZNE PLAKATY POLSKIE

Katalogi wysyłamy bezpłatnie

Notatki z Polski

(PAŹDZIERNIK - LISTOPAD 1986)

W ciągu ostatnich dwóch miesięcy działo się co prawda bardzo dużo, za to zmieniło — nie tak wiele. Powstanie Tymczasowej Rady „Solidarności” i przejście do jawnej działalności RKW Mazowsze stało się impulsem do powoływania na powierzchni przedstawicielstw regionów złożonych z występujących pod nazwiskiem działaczy „Solidarności”. W połowie grudnia było już ich 13: w Bielsku-Białej, Gorzowie Wielkopolskim, Jeleniej Górze, Kielcach, Koninie, Łodzi, Lublinie, Opolu, Pile, Płocku, Poznaniu, Radomiu i na Górnym Śląsku. (Na tej fali zapewne przedstawiciele skłóconych w czasach legalnego istnienia trzech nurtów w niezależnym ruchu chłopskim — NSZZ „Solidarność” Rolników Indywidualnych, „Solidarność Wiejskiej” i „Solidarność Chłopskiej” — powołali wspólnie Tymczasową Radę Konsultacyjną Rolników Indywidualnych „Solidarności”). Jak widać powstały one przede wszystkim w mniejszych regionach, gdzie podziemna „Solidarność” miała niewielkie możliwości działania i gdzie teraz pojawiły się szanse na zaktywizowanie solidarnościowych środowisk. Zwraca natomiast uwagę, że po dziś dzień nie ma rad „Solidarności” w bastionach podziemnej „Solidarności” — w Gdańsku, Krakowie i Wrocławiu.

Cały ten ruch ku jawności zaniepokoił podziemie, do czego niewątpliwie przyczyniły się niezręczności towarzyszące narodzinom TR „Solidarności” i zmianie formuły działania przez RKW Mazowsze. I tak w pierwszym oświadczeniu powołanej przez Lecha Wałęsę Rady nie padło ani jedno słowo o TTK, zaś mazowieckie RKW przechodząc do jawnej działalności (co wiązało się z wyjściem z podziemia Wiktora Kulerskiego i Jana Lityńskiego) najwyraźniej nie uzgodniło tego ani nawet nie poinformowało o tym dwóch ukrywających się wtedy jeszcze członków TTK. Nic dziwnego, że TTK odebrała to jako próbę pozba-

wienia jej znaczenia, a może nawet likwidacji i z kolei zdystansowała się od rad. W dodatku zarówno treść oświadczenia TR „Solidarności” jak i warszawskiego RKW mogła być interpretowana niemalże jako oferta porozumienia z władzami, w którym podziemie miałoby stanowić kartę przetargową.

Obawy te szczęśliwie okazały się nieuzasadnione, jednak powstała sytuacja, którą Henryk Wujec nazwał „trzęsieniem ziemi w Związku” (Tygodnik Mazowsze nr 185). Po raz pierwszy bowiem od wprowadzenia stanu wojennego pojawiła się świadomość, że „Solidarności” grozi rozłam: dla działaczy i członków Związku nie było jasne, czy kieruje nim TR „Solidarność” czy TTK; czy dialog z władzą jest koniecznością chwili czy zdradą ideałów „Solidarności”; jakie są granice jawności (czy na powierzchni miałyby wychodzić również komisje zakładowe i redakcje pism) i ewentualnych kompromisów.

Większość gazet związkowych — choć powściągliwie i ostrożnie poparła jednak inicjatywę jawnych rad. Niemniej dość szeroko krytykowano brak informacji i niejasność co do podziału kompetencji między naziemnymi a podziemnymi władzami. Największy niepokój budziła sprawa przyszłości podziemia: wszystkie pisma głosiły, że nie można zrezygnować z konspiracji pod groźbą ryzyka utraty dotychczasowego dorobku ruchu, że nie czas, by ujawniać podziemne zaplecze ruchu. O ile tu panowała pełna jednomysłność, to sens nastawiania się na dialog z władzą bywał często kwestionowany. Skrajne stanowisko — ostrzej formułowane w prasie „Solidarności Walczącej” — brzmiało, że Związek nie ma innej drogi jak tylko działanie w podziemiu i żadne formy jawne nie mają sensu.

Ferment wśród działaczy struktur podziemnych i w prasie związkowej przyczynił się do tego, że kolejne jawne ciała wyrażnie formułowały swój stosunek do podziemia, a niektóre nawet — co wydaje się najdrowsze — powołane zostały przez podziemne władze regionalne jako ich reprezentacje na powierzchni (np. w Wielkopolsce i na Podbeskidziu). Oczywiście, tam gdzie konflikty między zwolennikami jawności a podziemiem nie dały się załagodzić — takie rozwiązanie było niemożliwe (przykładem może tu być Łódź, gdzie nie przypadkiem zamiast powoływać radę wznowiono działalność Prezydium Zarządu Regionu z czasów legalnej „Solidarności”). W całym tym sporze nie bez znaczenia są kwestie personalne. Nic dziwnego, że w takiej atmosferze pojawiły się pogłoski o próbach tworzenia frondy — ciała konkurencyjne wobec Tymczasowej Rady „Solidarności”.

O wiele groźniejszy okazał się kryzys tożsamości „Solidarności” — a ten problem wciąż stoi przed Związkiem. W dalszym ciągu nie ma programu, który odpowiadałby nowej sytuacji, podobnie zresztą nie znaleziono nowej formuły działania. Dotyczy to przede wszystkim jawnych ciał, ponieważ podziemne struktury funkcjonują jak dotychczas: wychodzą pisma i książki, ważnym wydarzeniom towarzyszą akcje ulotkowe, a radio „Solidarność” nigdy nie było tak aktywne. Nie ulega wątpliwości, że

podziemie utrzymało swój stan posiadania i okazało się odporne nie tylko na represję, ale i na pokusy związane z możliwością ujawniania. Legenda konspiracji nieco przybladła, gdy za udział w niej przestało grozić więzienie; w związku z nowym klimatem nastąpiło wyraźne rozluźnienie bhp w podziemnych strukturach, co już wkrótce może mieć swoje zgubne skutki.

Tymczasem nie wykrystalizował się jeszcze żaden model działania jawnych rad. Większość z nich jak dotąd ogłosiła jedynie oświadczenia o swoim powstaniu, chociaż kilka wypowiedziało się o problemach lokalnych.

O przywrócenie pluralizmu związkowego postanowiło się upomnieć grono wybitnych prawników. Skierowali oni wniosek do Prezesa Trybunału Konstytucyjnego, aby wystąpił o wszczęcie postępowania stwierdzającego niezgodność ustawy o związkach zawodowych z Konstytucją PRL, a także Międzynarodowym Paktem Praw Obywatelskich i Politycznych oraz Konwencją nr 87 Międzynarodowej Organizacji Pracy. (Wśród sygnatariuszy są m.in.: prof. Jan Rosner — w latach '50-tych stały przedstawiciel Polski przy MOP w Genewie, prof. Krzysztof Skubiszewski z Instytutu Państwa i Prawa PAN w Poznaniu, sędzia Zofia Wasilkowska — po Październiku 1956 minister sprawiedliwości). W ślad za prawnikami do Trybunału Konstytucyjnego zwróciło się około 120 najwybitniejszych działaczy „Solidarności” ze wszystkich regionów kraju. O „stworzenie warunków zapewniających pełną swobodę zrzeszania się obywateli w związki zawodowe, stowarzyszenia i organizacje” wystąpiło do Sejmu PRL ponad 2 tysiące mieszkańców Białegostoku.

O ile w ogóle można mówić o pewnym ożywieniu społecznym, to obejmuje ono głównie elity, zwłaszcza działaczy „Solidarności” szczebla regionalnego. W zakładach natomiast przeważają wątpliwości, czy sytuacja rzeczywiście stwarza nowe szanse jawnego działania i w jaki sposób je realizować. Tylko w dwóch zakładach w całej Polsce zdecydowano się na jakąś formę naziemnych przedstawicielstw „Solidarności”: w Porcie Gdańskim, gdzie Tajna Komisja Zakładowa upoważniła do reprezentowania jej Leszka Switka i w krakowskiej Hucie im. Lenina, gdzie wznowiła działalność Komisja Robotnicza Hutników w składzie Mieczysław Gil, Jan Ciesielski, Stanisław Handzlik i Edward Nowak. Zwraca jednak uwagę, że w obu przypadkach na jawne wystąpienie w charakterze reprezentacji „Solidarności” w zakładzie zdecydowali się ludzie, którzy już wcześniej zostali wyrzuceni z pracy, przeszli przez więzienie, a także byli członkami podziemnych władz „Solidarności” na szczeblu regionu. Inną formą manifestowania istnienia związku w zakładach jest akcja zainicjowana w regionie śląsko-dąbrowskim, gdzie górnicy podpisują imienne, indywidualne deklaracje, że czują się nadal członkami „Solidarności” i że płacą składki. Z kolei w Hucie Stalowa Wola oraz WSK-PZL w Gorzycach 940 pracowników podpisało petycję do Sejmu domagającą się przywrócenia pluralizmu związkowego. Ciekawym eksperymentem jest inicjatywa dwóch zakładów ze

Świnoujścia — Morskiej Stoczni Remontowej i Portu. 4 listopada 1986 roku powstały w nich Komitety Założycielskie Związku Zawodowego „Solidarność”, które złożyły do sądu wnioski o rejestrację. W rekordowym tempie, bo już w kilka dni później Sąd Wojewódzki w Szczecinie odrzucił oba wnioski stwierdzając, że w zakładzie ma prawo istnieć tylko jedna organizacja związkowa i że nazwa „Solidarność” jest niezgodna z prawem. Komitety Założycielskie nie dały za wygraną: odwołały się do Sądu Najwyższego i w drugiej połowie grudnia sprawa rejestracji „Solidarności” w Stoczni i Porcie w Świnoujściu stała na wokandzie Sądu Najwyższego.

Widac też pewne symptomy ożywienia w środowiskach poza „Solidarnością”. Najbardziej spektakularne są wystąpienia Ruchu „Wolność i Pokój”. Problematyka ochrony środowiska uruchamia teraz różne działania niezależne, m.in. w duszpasterstwach na Górnym Śląsku. Wobec rażącej niewydolności oficjalnych instytucji, powszechnie postuluje się powoływanie społecznych komisji kontroli poziomu zanieczyszczeń. Tego dotyczy np. petycja blisko dwóch tysięcy mieszkańców Warszawy, złożona 26 listopada 1986 roku w Urzędzie Rady Ministrów.

Ta niezależna aktywność — zarówno w Związku, jak i poza nim — w sumie nie nabrała jednak wielkiego rozmachu. Zapewne dlatego, że polityka władz nie sprzyja rozbudzeniu nadziei na jakiegokolwiek zmiany. Dość szybko po 11 września 1986 stało się jasne, że następnego kroku ku oczekiwanej odwilży nie będzie. I tak na różne społeczne inicjatywy władze bądź w ogóle nie reagują, bądź odpowiadają środkami administracyjnymi lub policyjnymi, co prawda nie posuwając się do aresztowań.

Trzeba przyznać, że tej nowej polityki — nazwanej w oficjalnym żargonie „dekryminalizacją” lub „depenalizacją” — władza trzyma się bardzo konsekwentnie. Więźniów politycznych nie przybywa (choć w dalszym ciągu jest ich około 18-tu — to ci, których uznano za kryminalnych albo „terrorystów”), ale sypią się orzekane przez kolegią grzywny: za drukowanie i kolportaż bibuły, udział w manifestacjach, uczestniczenie w „nielegalnych zebraniach”, ulotki i radio „Solidarność”. Oddzielnie warto wymienić sprawę Witolda Króla, przewodniczącego „Solidarności” w radomskim „Walterze”, któremu wymierzono 15 tys. zł grzywny za opublikowanie w podziemnej prasie artykułu pod własnym nazwiskiem (*nota bene* był to tekst o szansach porozumienia narodowego).

W wielkim pośpiechu tym nowym praktykom nadano formę ustawową — już 24 października 1986 roku Sejm uchwalił wprowadzenie do kodeksu wykroczeń art. 52a, którego zawartość z grubsza odpowiada „politycznym” artykułom kodeksu karnego. Jest to dobrodziejstwo pozorne: nowa regulacja prawna nie stwarza żadnych gwarancji, że sprawca stanie przed kolegium, gdzie górna granica kary wynosi 3 miesiące aresztu i 50 tys. zł grzywny; a nie przed sądem. Decyzja o tym zależy bowiem od MO i SB. Dalej: kolegią do spraw wykroczeń reprezentują niewyobraża-

nie niską znajomość prawa i są znacznie bardziej dyspozycyjne niż sądy. Są w gruncie rzeczy „milicyjnymi sądami”, które nie przeprowadzają żadnego postępowania dowodowego — wystarczy świadectwo jednego funkcjonariusza (dla przykładu w Warszawie na wysoką grzywnę za rozrzucanie ulotek skazano Dariusza Koronę na podstawie następującego zeznania milicjanta: „instynktownie wyczułem, że obwiniony był sprawcą, ponieważ szedł bardzo szybko i z pochyloną głową”). Można się też obawiać, że władza może korzystać z „dekryminalizacji” w ten sposób, iż niewygodnie politycznie osoby będą stawiać przed kolegium po kilka razy do roku.

Jak dotąd nie orzeczono ani jednej kary aresztu, ale — co ciekawe — z reguły nie daje się, szeroko praktykowanej dotychczas przez kolegia, możliwości odsiedzenia grzywny. Nie ulega wątpliwości, że ubocznym celem takiej polityki jest drenaż ruchu „Solidarności” z pieniędzy — w Krakowie np. kolegia po demonstracji 11 listopada kosztowały łącznie ponad pół miliona złotych. Dodajmy, że w ręce kolegów dostała się sankcja niezwykle dotkliwa — orzekanie o przepadku mienia stanowiącego szeroko rozumiane narzędzie przestępstwa, co np. w przypadku samochodu wiozącego bibułę oznacza stratę nawet kilku milionów złotych. Szeroko reklamowane w telewizji i prasie przypadki konfiskaty na rzecz skarbu państwa drogich samochodów, dowodzi, że ma to być dodatkowy środek odstraszaający od współpracy z podziemiem.

Poza tym repertuar środków policyjnych bynajmniej się nie zmniejszył: w październiku i listopadzie 1986 roku przeprowadzono wiele rewizji i przeszuchań, a zakładowa SB też nie próżnowała. Przeciwko osobom, które wyszły z podziemia — Kulerskiemu, Lityńskiemu i Muszyńskiemu — prokuratura wszczęła śledztwo, zaś członków jawnych rad poinformowano, że toczy się przeciwko nim postępowanie w trybie administracyjnym. Podobnie jak przed 11 września 1986 roku policja rozpędzała również niektóre manifestacje.

Ostatnie dwa miesiące rozwiąły złudzenia — jeśli ktoś jeszcze je miał — na jakiegokolwiek polityczne otwarcie ze strony władzy. Tak jak nie padły żadne propozycje adresowane do „Solidarności”, tak też nie złożono żadnych ofert środowiskom twórczym nadal pozbawionym swoich stowarzyszeń — w zasadzie nie zmieniło się również nic w stosunkach państwo-Kościół. Jedyne co władza miała do zaproponowania — to Rada Konsultacyjna, trudno przecież potraktować poważnie pomysł powołania rzeczownika praw obywatelskich.

Idea Rady Konsultacyjnej od początku wzbudzała sporo emocji, bo też chwilami wyglądało na to, że można z nią łączyć pewne nadzieje. Mówiło się nawet, że niewykluczona jest tam obecność Lecha Wałęsy. Wszystkie zabiegi wokół Rady utrzymywane były w tajemnicy. Po Warszawie krążyły najrozmaitsze plotki, umiejętnie podsycane przez władze: do kogo dzwoniło z propozycją, kto się zgodził, a kto odmówił udziału. Widziano

nawet różne listy rzekomych kandydatów, a nawet członków Rady. Dopiero 11 listopada ub. roku na nadzwyczajnym zebraniu członków Klubu Inteligencji Katolickiej po raz pierwszy publicznie zreferowana została część rozmów — ta, którą przeprowadzono z przedstawicielami środowiska świeckich katolików: Stanisławem Stomą, Andrzejem Świąćckim, Jerzym Turowiczem i Andrzejem Wielowieyskim. Na oficjalnych spotkaniach w Belwederze 18 października i 3 listopada 1986 roku przedstawili oni stronie rządowej przygotowany w porozumieniu z Episkopatem dokument, w którym deklarowali co prawda pozytywny stosunek do Rady, ale jednocześnie oświadczaali, że jej powołaniu powinna towarzyszyć zgoda władz na pluralizm związkowy, swobodę zrzeszeń i światopoglądową neutralność szkoły. Referujący rozmowy na zebraniu w KIK-u Andrzej Wielowieyski powiedział, że władza zakwestionowała niezbędność pluralizmu związkowego, postulat reprezentatywności Rady (sformułowała to jasno, że nie chce w Radzie zbyt wielu osób niechętnych, a wrogich nie chce wcale) oraz potrzebę informowania opinii publicznej o jej pracach. Swoich rozmówców — mówił dalej — uznała za maksymalistów, którzy niewłaściwie oceniają postawy społeczeństwa, ono bowiem nie ma już takich oczekiwań jak dawniej. Za wejściem do Rady optowali Świąćcki i Stoma, zaś Turowicz i Wielowieyski byli przeciwni.

Trwającą wiele godzin burzliwą dyskusję w KIK-u można uznać za próbę społecznego a przynajmniej solidarnościowego stosunku do Rady. Zdecydowana mniejszość popierała stanowisko prezesa KIK-u, A. Świąćckiego (m.in. mec. Siła-Nowicki, który sam następnie wszedł do Rady Konsultacyjnej i prof. Grzegorzczak, członek grupy „Consensus”). Warto odnotować tu niektóre argumenty ludzi przeciwnych wstąpieniu prezesa KIK-u do Rady Konsultacyjnej: nie ma żadnych podstaw, by sądzić że będzie to coś innego niż kolejna fikcja; środowisko KIK-owskie nie powinno robić nic, co sprawiałoby wrażenie, że inteligencja chce sobie coś załatwić za plecami robotników; bez otwarć w kierunku „Solidarności” nie może powstać nic autentycznego; obowiązuje solidarność ze środowiskami twórczymi, którym odmawia się swobody zrzeszania. Postawa zebranych znalazła najbardziej wyraz w uchwale, sprowadzającej się do tego, że jeśli A. Świąćcki zdecyduje się na udział w Radzie — musi złożyć dymisję.

Kiedy 8 grudnia 1986 ogłoszono wreszcie skład Rady Konsultacyjnej, okazało się że praktycznie nie ma tam przedstawicieli niezależnych środowisk. A. Świąćcki wszedł tam wszak wbrew opinii swego środowiska, zaś mec. Siła-Nowicki... no cóż, mówi się, że ma placet Episkopatu. Poza tym jest w Radzie kilku przyzwoitych profesorów, którzy znaleźli się tam zapewne w najlepszej wierze. Trudno natomiast wyłuskać obecność Jana Kułaję, kiedyś przewodniczącego NSZZ RI „Solidarność” oraz Stanisława Zawady, pierwszego przewodniczącego MKZ Małopolska. Obaj skompromitowali się nie tylko wiernopoddanczy-

mi wystąpieniami w TV na początku stanu wojennego, ale i swoim wcześniejszym postępowaniem. Czyżby potrzeba posiadania w Radzie „przedstawicieli robotników i chłopów” była tak silna, a szanse na znalezienie kogoś bardziej wiarygodnego tak niewielkie, że władza zdecydowała się na ludzi, z których jeden jest małwersantem (Kułaj), drugi zaś został zrzucony z funkcji przez swą macierzystą organizację związkową za podejrzane kontakty z SB?

„Dziś Mikołaj. Zgodnie ze starą polską tradycją kojarzy się ten dzień z prezentami. Możemy więc utrudzonemu, częściowo jeszcze zdezorientowanemu społeczeństwu dać coś w rodzaju podarku — zolejny krok na drodze porozumienia narodowego” — tak generał Jaruzelski zareklamował powstanie Rady Konsultacyjnej. I to właściwie nie wymaga żadnego komentarza.

(j.a.)

W numerze: WACŁAW LEDNICKI: Z dziejów pewnego protestu; JULIAN URSYN NIEMCEWICZ: Przypomnienia moje; RUSSICA I SOVIETICA (II): Maryna Cwietajewa: Październik w wagonie — Iwan Bunin: Misja rosyjskiej emigracji — Andriej Platonow: Makarowe zwątpienie — Osip Mandelsztam: Skrzypaczka — Warłam Szalamow: Opowiadania — Aleksander Solżenicyn: Okruchy — Irina Ratuszyńska: Wiersze — Wenedikt Jerofiejew: Noc Walpurgii — Aleksander Galicz: Piosenka o majorze Czystowie — Ikonografia; PULS ROKU 1985; CZESŁAW BIELECKI: Listy do rodziców; JAKUB KARPINSKI: Przetrawianie; POJEDYNKI: Krzysztof Zawrat: Pólist otwarty o Passencie; PRZEGLĄD KULTURALNY I NIEKULTURALNY: Relacja Eleny Bonner — Leszek Szaruga: Lekcja czeska — Ewa Czerwiakowska: Strony muru — Nagroda Księgarzy Niemieckich — Nagroda im. Kennedy'ego; ARCHIWUM EMIGRACYJNE: Jak «Punch» walczył z Mikołajem I; MUZEUM RUCHU REWOLUCYJNEGO: Oświadczenie Mieczysława Moczara; SOW SHOW; PO CZTA; Z FRONTU: M.M.: Sens zbiorowy.

Cena pojedynczego egzemplarza wraz z przesyłką: £3.95 pocztą zwykłą, £4.95 pocztą lotniczą.
Prenumerata roczna (4 numery): £15.00 pocztą zwykłą, £20.00 pocztą lotniczą.
Prenumerata dla bibliotek i instytucji jest droższa o 50%.

Puls Publications, BCM Box 697, London WC1N 3XX, United Kingdom

Nowości książkowe:

STANISŁAW MACKIEWICZ (CAT): Historia Polski... (£6.75 + przesyłka)
STEFAN KISIELEWSKI: Wszystko inaczej (£6.00 + przesyłka)
KAZIMIERZ OROŁOŚ: Przechowalnia (£4.75 + przesyłka)
BRONISŁAW MAJ: Zagłada Świętego Miasta (£4.00 + przesyłka)
JAN POLKOWSKI: Wiersze (1977-1984) (£4.00 + przesyłka)
STANISŁAW BARAŃCZAK: Atlantyda (£4.00 + przesyłka)
[W.GOMUŁKA, F.JÓŹWIĄK:] Nowotko — Mołojec. Z początków PPR (£4.75 + przesyłka)

Listy do Redakcji

3 grudnia 1986.

Szanowny Panie Redaktorze!

W numerze 11-tym tegorocznej *Kultury* przeczytałam list pana Jerzego Bilasa, Ukraińca, który opisuje swe tragiczne dzieje. Jako niemowlę cudem przeżył rzeź w swej rodzinnej wsi w powiecie sanockim. Prosi by tamte wypadki zostały podjęte na łamach *Kultury*.

Tak się składa, że opracowuję obecnie okres spotkania Armii Krajowej z Armią Czerwoną i okres „wyzwalania Polski przez aliantów naszych aliantów” jest mi trochę znany. Myślę, że mi Pan Redaktor pozwoli podzielić się z czytelnikami moimi wiadomościami, które może uprzytomnią panu Bilasowi, że nie tylko jego wieś spotkało nieszczęście.

11 sierpnia 1944 roku rząd ZSSR zatwierdził powstanie Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego (PKWN). Z Moskwy przysłano płk. NKWD, który w ciągu 2 miesięcy, na skrawku Kielecczyny (6 gmin powiatu sandomierskiego i 3 gminy powiatu stopnickiego) zorganizował aparat bezpieczeństwa, Milicję Obywatelską i spowodował powstanie oddziałów Wojsk Wewnętrznych przeznaczonych do walk z „reakcyjnym podziemiem”.

Wrzesień 1944 roku. Bielsk Podlaski. Z 1 Armii Polskiej (Berlinga), wybrano młody element, przeważnie osierocone na zesłaniu w Sowietach dzieci i tam wychowane, z których utworzono dwie „Brygady Zaporowe”. Dowodził nimi ppłk Gawryluk, który dbał, aby jego janczarskie oddziały miały odpowiednie przeszkolenie polityczne i wojskowe, potrzebne do wykonywania „zadań specjalnych” na zapleczu posuwających się frontów. Brygady te działały w małych grupach, rozrzuconych od południa po północ Polski.

26 marzec 1945 roku. Krajowa Rada Narodowa podjęła uchwałę o powołaniu Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego (KBW), który miał przejąć ciężar walk z ukrywającymi się po lasach żołnierzami Armii Krajowej. W skład KBW weszły jednostki Wojsk Wewnętrznych, 4 Pomorska Dywizja Piechoty im. J. Kilińskiego i 1-sza i 2-ga Brygady Zaporowe, dobrze przygotowane do walk bratobójczych. Wsie, które podejrzewano, że sprzyjają „bandytom” równano z ziemią.

Maj 1945 roku. Wychodzi rozkaz Żymirskiego nr 00289/OP kierujący 1-szą, 3-cią i 9-tą Dywizję Piechoty do likwidacji zbrojnego podziemia na wschodnich terenach. 1 DP objęła teren Siedlec, 3 DP — teren Lublina i 9 DP — teren Rzeszowa. Dywizje współpracowały z urzędami bezpieczeństwa publicznego (UB).

Do listopada 1945 roku oddziały te spaliły 52 wsie, mordując ludność zarówno ukraińską jak i polską. Jak pisze jeden z oficerów Bezpieki w swej książce o służbie „Na wysuniętych posterunkach”, w roku 1945 w województwach wschodnich aresztowano 2.500 członków podziemia oraz wiele osób podejrzanych o udzielanie im pomocy. Zabito w walkach 694 osoby. Jednostki KBW w 128 operacjach ujęły 2.602 osoby. Ilu zamordowano — nie wiemy.

Styczeń 1946 — sprawozdanie miesięczne CAW Kielce, protokół 524/59/128, podaje szczegóły działań oddziałów UBP, MO i jednostek wojskowych, między innymi i 34 Pułku Piechoty. Jest to pułk, który — jak pisze pan Bilas w liście do *Kultury* — wyróżną ludność wsi Zawadka Morochowska. W akcji dowodził pułkiem ppłk Gerhard i za zniszczenie wsi Odrzechowa w powiecie sanockim, gdzie „było wielu zabitych” jest chwalebnie wymieniony we wspomnianym protokole. W tym czasie wspomniany przez pana Bilasa ppłk Jan Pluta był szefem WUBP w Kielcach.

Marzec 1946 roku. Powołanie Ochotniczej Rezerwy Milicji Obywatelskiej (ORMO) celem zmobilizowania społeczeństwa do walk z podziemiem. Dotychczasowe akcje przeciw „czarnej reakcji” i „zapłutym karłom”, bestialstwa i okrutne poczynania oddziałów usiłujących wprowadzić komunistyczne rządy w Polsce, nie tylko nie zdławiły oporu, ale powodowały nasilenie sympatii dla walczących. W wielu powiatach PPR nie działała jawnie w obawie przed społeczeństwem. ORMO miało rekrutować najciemniejsze elementy, znające teren i ludzi.

W okresie poprzedzającym wybory do Sejmu nasilenie akcji pacyfikacyjnych przez KBW i inne siły bezpieczeństwa oraz wprowadzenie dodatkowych grup ochronno-propagandowych wojska zaczęły przechylać szalę na rzecz komunistycznej władzy. Powoli wygasła „w lesie” nadzieja na pomoc z Zachodu. Brak broni, amunicji i zbliżająca się zima przerzuciła szereg.

Marzec 1946 — powołanie Państwowego Komitetu Bezpieczeństwa. Skład: minister bezpieczeństwa publicznego, minister administracji publicznej oraz minister obrony narodowej w charakterze przewodniczącego. PKB podporządkowano wszystkie siły bezpieczeństwa, Milicję Obywatelską, Korpus Bezpieczeństwa Publicznego i wszelkie jednostki wojska, które były wyznaczone do walki z oporem przeciw komunistycznej władzy. Aparatem wykonawczym PKB były wojewódzkie Urzędy Bezpieczeństwa oraz Oddziały Operacyjne Sztabu Generalnego Wojsk Polskich.

Pisanie o oficerach sowieckich w tym polskim wojsku, o nadzorcach i doradcach z NKWD — nie należy do tematu.

Z poważaniem

Halina MARTINOWA, „DOROTA”

Londyn, grudzień 1986.

Szanowny Panie Redaktorze,

W związku z informacją na stronie 165 *Kultury* Nr 9/468 rok 1986 dotyczącą Redaktora Janusza Kowalewskiego uprzejmie informujemy, że odszedł on na własne żądanie motywując to swym stanem zdrowia. Ku naszemu żalowi oświadczył w lipcu bież. roku, że nie będzie mógł zredagować numeru wrześniowego chyba, że nowy redaktor nie obejmie swej funkcji — wówczas z trudem zrobi jeszcze numer wrześniowy.

Z tego oświadczenia wynikało również, że nie może przygotować numeru *Orla Białego* na jego Jubileusz czego się uprzednio podjął i dopiero wówczas miał odejść ze stanowiska Redaktora, na własne życzenie.

Informacja w *Kulturze*, że został on „usunięty” jest krzywdząca dla Redaktora Kowalewskiego jak i wydawców.

Łączymy wyrazy poważania

W imieniu wydawców: 1) Polski Ośrodek Społeczno-Kulturalny — Tadeusz WALCZAK; 2) Stowarzyszenie Polskich Kombatantów — Zygmunt SZADKOWSKI; 3) Zjednoczenie Polskie w Wielkiej Brytanii — Artur RYMKIEWICZ.

W związku z powyższym oświadczeniem, p. J. Kowalewski przysłał nam — z prośbą o opublikowanie — kopię swego listu do Komitetu Wyd. *Orla Białego*. List ten drukujemy poniżej i na tym polemikę zamykamy.

(Redakcja)

Do Komitetu Wydawniczego „Orla Białego”.

Londyn, 2 czerwca 1986.

Szanowni Panowie,

Otrzymałem od Panów list, zawiadamiający mnie o mojej „rezygnacji” ze stanowiska redaktora *Orla Białego*, o czym już uprzednio telefonicznie zostałem powiadomiony.

Zgodnie z prawdą oświadczyć muszę, że twierdzenie Panów, jakobyem zrezygnował ze stanowiska redaktora *Orla Białego* — nie jest zgodne z prawdą. W rzeczywistości zostałem pozbawiony tego stanowiska uchwałą Panów z 28 maja bież. roku na zebraniu Komitetu, na które mnie nie zaproszono.

Prawda, że na jakieś dwa tygodnie przed tym zebraniem powiedziałem administratorowi pisma, p. Romanowi Gumińskiemu, że, być może, grozi mi operacja (skrzep w nodze) i dobrze by było, gdyby komitet rozejrzał się za ewentualnym następcą, by „Orzeł nie osiadł na lodzie, gdy mnie złoży do lodu”. Ale operacja okazała się niepotrzebna, w moim stanie zdrowia nastąpiła zdecydowana poprawa — o czym w przeddzień zebrania zawiadomiłem członka komitetu wydawniczego, prezesa Zygmunta Szadkowskiego, i że mógłbym, i chciał, redagować *Orla* co najmniej do końca roku 1986.

Mimo że prezes Z. Szadkowski to moje oświadczenie na zebraniu 28 maja przekazał, Panowie woleli przyjąć do wiadomości, nieaktualną już w tym czasie, informację p. Gumińskiego. A dlaczego — to wszyscy dobrze wiemy: moja niezależność i moja walka o zasadę wolności słowa i przeciw wprowadzaniu zasady „czarnych list” — były dla Panów niewygodne od samego początku naszej niezbyt harmonijnej współpracy.

Wobec tego wszystkiego na propozycję Panów współpracy w charakterze autora artykułów i przeglądów prasy odpowiadałem odmownie — co na pewno Panów nie zmartwi, jak i to, że z Komitetem i z obecną redakcją *Orla* nie chcę mieć nic wspólnego. Dokończę tylko pracę nad numerem lipcowo-sierpniowym, którą już zacząłem.

Z poważaniem

Janusz KOWALEWSKI

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Czytelników nadsyłających nam swoje artykuły i utwory prosimy o pamiętanie, że Redakcja nie zwraca rękopisów nie zamówionych. Wobec nawału pracy odpowiadamy będziemy tylko w niniejszej rubryce.

J.B., USA; R.J.O., USA; B.P., Włochy; J.M. w Kraju; R.S., Kanada; M.Z., Anglia; T.B. w Kraju; J.L.-W., Australia. — Z wierszy nie skorzystamy.

G.K. — Ironia, sarkazm wymagają poczucia miary, bardzo łatwo rzecz przeszarżować. Przeszarżowane właśnie jest Pana opowiadanie o kolejkach w Polsce *Dostawa*.

R.V.C., USA. — Naszym zdaniem *Hawajski tryptyk* jest pisaną bez ładu i składu.

M.Sz., Austria. — Drobiazg bez wartości, niestety, i nawet nie wiadomo po co napisany.

M.Z., Kanada. — Cztery opowiadania wydają nam się słabe, najlepsze może (co nie znaczy dobre) to *Na przystanku*.

T.M., USA. — Nazywa Pan swoje *Dumania późnego wnuka* „mozaiką urywków z pism Norwida”. Mozaiką ładnie ułożoną, ale trudno nam znaleźć dla niej miejsce w *Kulturze*.

A.W., Francja. — Opis przygody z pralką nie nadaje się rzeczywiście do naszego miesięcznika.

NOWOŚCI WYDAWNICZE

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 418 — ANDRZEJ SZCZUPIORSKI

POCZĄTEK

Nowa książka autora znakomitej „Mszy za miasto Arras” jest opowieścią w pewnym sensie historyczną. Za „początek” polskiej teraźniejszości Szczupiorski uważa Warszawę pod okupacją hitlerowską w rozlicznych aspektach. Opis losów bohaterów powieści jest historią niektórych korzeni polskiego „dzisiaj”: hitlerowski „początek” rzucił cień na komunistyczny „ciąg dalszy”.

Str. 160.

Cena F. 65,00.

TOM 419 — MAREK NOWAKOWSKI

«GRISZA, JA TEBIE SKAŻU...»

Piąta książka Marka Nowakowskiego w „Bibliotece Kultury” zawiera opowiadania: AMAZONKA, WIZERUNEK, „GRISZA, JA TEBIE SKAŻU...”, ZAKON KAWALERÓW MAZOWIECKICH, ROZMOWA i GLOBUS.

Str. 176.

Cena F. 70,00.

ArchipelAg

miesięcznik kulturalno-polityczny

proza, poezja, dramat, eseistyka, historia najnowsza, publicystyka polityczna, felietony, recenzje, grafika, fotografia artystyczna

Adres redakcji: Andrzej Więkowski

Wilhelmsruher Damm 139, 1000 Berlin 26

Roczna prenumerata: RFN — 115 DM, kraje europejskie — 117, USA i Kanada — 52 US \$ (pocztą lotniczą)

Należność prosimy przekazywać przelewem pocztowym (z dopiskiem Abo) na konto: Postscheckkonto 458 667 — 107, Andrzej Więkowski — Sonderkonto Archipelag, Berlin West, BLZ 100 100 10

Zbigniew A. Pietrzyk, Bellevue, WA (USA), po raz 4-ty — \$ 68,00	F. 442,00
Irena i Andrzej Pleszczyński, Santa Barbara, CA (USA), po raz 12-ty — \$ 100,00	F. 650,00
Tomasz Płodowski, Upper Montclair, N.J. (USA), po raz 19-ty — \$ 59,00	F. 383,50
Mira Puacz, Chicago, IL (USA) — w drugą bolesną rocznicę śmierci mego Meża i Przyjaciela, śp. Edwarda Puacza, założyciela księgarni „Polonia” w Chicago — \$ 500,00	F. 3.250,00
Stefan Rose, Paryż, po raz 8-my	F. 560,00
Aleksander M. Schenker, Hamden, CT (USA), po raz 17-ty — \$ 26,00	F. 169,00
Jan i Czesława Seremak, Honolulu (USA), po raz 10-ty — \$ 40,00	F. 260,00
Dr Władysław W. Socha, Upper Grandview, NY (USA), po raz 10-ty — \$ 33,00	F. 214,00
Franciszek Strociak, Park Ridge, IL (USA), po raz 27-my — \$ 60,00	F. 390,00
Irena Strutyńska, Knutange Nilvange (Francja), po raz 12-ty	F. 100,00
Tadeusz Walendowski, Bethesda, MD (USA), po raz 4-ty — \$ 60,00	F. 390,00
Edda Werfel, Wiedeń, po raz 7-my	F. 250,00
Wacław Winnicki, Cincinnati, OH (USA), po raz 9-ty — \$ 50,00	F. 325,00
Jan Woźniak, Londyn, po raz 19-ty i 20-ty po £ 20,00 = £ 40,00	F. 376,00
Łucja Zalewska, Chicago, IL (USA), po raz 22-gi — \$ 232,00	F. 1.508,00
Zamiast kwiatów na grób zmarłego w Londynie, drogiego nam Doc. dr. inż. Maksymiliana Pszenickiego — Sarnecki, Sztokholm — Krs 200,00	F. 195,00
M. Zarzecka, Bruksela	F. 100,00
Norbert Zaba, Sztokholm — z podziękowaniem za liczne życzenia świąteczne, składa Przyjaciółom i Prenumeratorom Kultury najlepsze życzenia dobrego Nowego Roku — Krs 200,00	F. 195,00
Bezimiennie z Mediolanu, po raz 24-ty	F. 60,00

DZIĘKUJEMY!

WPŁATY NA POMOC DLA WALCZĄCYCH W KRAJU „ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ”

Maria Barska, New Haven, CT (USA) — \$ 25,00	F. 165,50
Krzysztof Biczu-Kraśniewski, Toronto, Ont. (Kanada) — zamiast życzeń świąteczno-noworocznych — na pomoc dla rodzin uwięzionych działaczy politycznych w Kraju — \$ c. 25,00	F. 118,75
E.M., Paryż — na rzecz prześladowanych w PRL	F. 200,00
Grupa członków „Pomostu” w Chicago sumę zebraną ze sprzedaży kasety z kazaniem ks. J. Popiełuszki, przekazuje na miesięcznik Głos, na ręce Antoniego Macierewicza (nadesłali Janusz Szymański i Tadeusz Zabłocki) — \$ 290,00	F. 1.885,00
Jerzy i Hanka Gutkowscy, North Hollywood, CA (USA) — \$ 200,00	F. 1.300,00
A. Kolator, Londyn — na pomoc dla Kraju — £ 10,00	F. 94,00
Komitet Pomocy dla Opozycji Demokratycznej w Polsce przy K.P.A., Chicago, IL (USA) (przewodniczący — Bonawentura Migala, sekretarz — Jan Jurewicz) przekazał na pomoc dla Kraju \$ 9.660,00 oraz \$ 2.000,00 — razem: \$ 11.660,00	F. 75.790,00

Beata Młodzianowska, Dortmund (RFN)	F. 130,55
Jan i Czesława Seremak, Honolulu (USA) — \$ 76,00	F. 494,00
St. Włosiński, Angered (Szwecja) — na walkę z przemocą ko-	
munistyczną w Polsce — Krs. 300,00	F. 285,00

WPŁATY NA FUNDUSZ NSZZ „SOLIDARNOŚĆ”

Bezimiennie z Albuquerque, N.M. — \$ 15,00	F. 70,50
„Grupa działania na rzecz NSZZ „Solidarność” (GDF) w Mon-	
treau przesyła wygrane brydżowe w sezonie letnim w	
Rawdon k/Montrealu, zachęcając innych brydżystów do po-	
dobnej akcji — \$ c. 100,00	F. 475,00
Antoni Piotrowski w imieniu starej emigracji w Göteborgu	
i okolicy (Szwecja) — Krs 300,00	F. 285,00
Mrs. and Mrs. Everett Shorey, Arlington, MA (USA) — zamiast	
prezentu dla jednej polskiej patriotki, która opiekuje się ich	
dziećmi — \$ 50,00	F. 325,00
Genowefa Sobkowicz, Chicago, IL (USA) — \$ 100,00	F. 650,00
Stowarzyszenie Polskich Kombatantów, Koło w Winnipegu	
na pomoc dla działaczy „Solidarności Podziemnej” —	
\$ c. 150,00	F. 705,50
oraz na rzecz rodzin aresztowanych członków „Solidarności”	
— \$ c. 150,00	F. 705,50
Stowarzyszenie Przyjaciół „Solidarności” (Friends of Solidarity)	
Winnipeg, Man. (Kanada) — nadesłała Anna Howiecka	
— \$ c. 200,00	F. 940,00
♦	
Towarzystwo Przyjaciół „Solidarności” w Vancouverze (Kana-	
da) i w Seattle (USA) — sumy zebrane w czasie do-	
rocznego spotkania w Blaine (White Rock), na granicy	
amerykańsko-kanadyjskiej — w rocznicę powstania „Soli-	
darności” przekazują na — NSZZ „Solidarność”	F. 1.196,00
— na pomoc dla walczącego Afganistanu	F. 334,94
(nadesłał Bogdan Idzikowski)	
Związek Polaków w Köping (Szwecja) — Krs. 500,00	F. 475,00
♦	
Bezimiennie z Los Angeles, CA (USA) — na Fundusz dru-	
karski im. Wł. Głowackiego — \$ 23,00	F. 149,50
Dr Wojciech Szczygielski, Weston, Ont. (Kanada) — na Fun-	
dusz Drukarski im. Wł. Głowackiego — \$ c. 25,00	F. 118,75

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Commission Paritaire N° 60789.

Dépôt légal: 1^{er} trimestre 1987.

Imprimé en France.

N° d'imprimeur 8125.

PRZEDSTAWICIELSTWA

AFRYKA POŁUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str. New Muckleneuk, Pretoria 0181	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
ARGENTYNA: « Libreria Polaca », Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
AUSTRALIA: Księgarnia Polska VISTULA, King York House, 32 York St., 6 Floor, Suite 2, Sydney, NSW 2000. Tel.: 29 1248	\$ A. 10,00	\$ A. 60,00	\$ A. 110,00
AUSTRIA: Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22, Tel.: 0222/93 87 222.	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenume- rate do administracji « Kultury »	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie czeków do adminis- tracji « Kultury »	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
DANIA: O. T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd ..	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji « Kultury » i w księ- garniach polskich w Paryżu	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
HOLANDIA: Mrs. J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, 4382 B L Vliissingen. Tel.: (01 184) 14073. Postgiro 1379176.	Fl h 20,00	Fl h 95,00	Fl h 175,00
IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., Tel-Aviv, P.O.B. 29443. Tel.: 621311	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.O. J4W 1S5. Tel.: (514) 465-2362; B. Krasuski, 8 High Park Blvd., Toronto, Ont. M6R 1M4; Very rev. Donald Malinowski, 23 Coralberry Ave., Winnipeg, Man. R2V 2P2. Tel.: 339-5577; Z. Micherdzinski, 285-287 Ottawa St.N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel.: 545-2115; J. Korwin- Lopuszanski, 90 Hilliard Avenue, Ottawa K2E 6C2; « Polish Voice Publishing » Co., 390 Roncesvalles Ave., Toronto, Ont. M6R 2M9; Polish Alliance Press, Ltd. (« Zwiastkowiec »), 1638 Bloor St. West, Toronto, Ont. M6P 4A8	\$ can. 8,50 DM 14,00 F. 41,00	\$ can. 47,00 DM 80,00 F. 230,00	\$ can. 92,00 DM 150,00 F. 440,00
NIEMCY: St. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr. 7/1.			
NORWEGIA: Br. Lubinski, Klommenstengt 8, 1500 Moss.			
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 6, rue de Lilas, C.P. 74. 1211 Genève 7. Tel.: 44-32-51. Nr konta pocztow. 12.14431.	F.S. 13,00	F.S. 70,00	F.S. 130,00
SZWECJA: Norbert Zaba, Kalskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm. Tel.: (08) 60-15-70. Postgirokonto Nr 48 82 34 6.	K.S. 41,00	K.S. 230,00	K.S. 440,00
U.S.A.: S. Dobczynski, Alma Shipping Co., 119 St. Marks Pl., New York, N.Y. 10009. Tel.: 475 8886; Ada Dziewa- nowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; T. Konopacki, 27437 Detroit Rd., Cleveland, Ohio, 44145. Tel.: 871-48-47; Irena Kretowicz, 4254 - 34th St., San Diego, Cal. 92104; Halina Kosciuch, 41963 Utica Road, Sterling HTS, MI 48078; POLONIA Bookstore, 2886 Mil- waukee Avenue, Chicago, IL 60618. Tel.: (312) 489-2554; Jan Wojcik, 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302. Tel.: (415) 327-5590 & 851-0748; Księgarnia « Nowego Dziennika » 21, West 38th Street. New York, N.Y., 10018. Tel.: (212) 354-0492	\$ US 7,00 F. 41,00 F. 41,00	\$ US 35,00 F. 230,00 F. 230,00	\$ US 68,00 F. 440,00 F. 440,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Ken- way Rd., London SW5. ORD. Tel.: (01) 370 2210			
WŁOCHY: Witold Zahorski, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: 75-67-241			

Ceny na rok 1986

Egz. poj.	Prenumerata	
	1/2-roczna	roczna
Ceny na rok 1986		
F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
\$ A. 10,00	\$ A. 60,00	\$ A. 110,00
F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
Fl h 20,00	Fl h 95,00	Fl h 175,00
F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
\$ can. 8,50	\$ can. 47,00	\$ can. 92,00
DM 14,00	DM 80,00	DM 150,00
F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
F.S. 13,00	F.S. 70,00	F.S. 130,00
K.S. 41,00	K.S. 230,00	K.S. 440,00
\$ US 7,00	\$ US 35,00	\$ US 68,00
F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F.440; półroczna — F.230.
Przesyłka pojedynczego numeru — F.6,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe:
INSTITUT LITTERAIRE, 91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18 228-56 (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 420 — IGOR NEWERLY

ZOSTAŁO Z UCZTY BOGÓW

Igor Newerly — autor wielu książek w tym 2-ch o Januszu Korczaku w latach 60-tych napisał swoje wspomnienia z okresu 1914-1923 w Rosji i na Ukrainie. Wspomnienia te są autentycznym tłem okresu burzy i naporu w Rosji obejmując okres pierwszej wojny światowej, rewolucji i lat porewolucyjnych.

Str. 322.

Cena F. 120,00.



TOM 422 — JACEK TRZNADŁ

HAŃBA DOMOWA

Książka Jacka Trznadła prezentuje czytelnikowi szereg jego rozmów ze znanymi polskimi pisarzami, kiedyś komunistami, którzy starają się opowiedzieć o swoim romansie i zerwaniu z partią. Te rozmowy mają ogromne znaczenie dla zrozumienia procesów, jakie zaszły wśród ludzi pióra w Polsce od powstania PRL do dziś. Trznadel opracował rozmowy z nadzwyczajną skrupulatnością i znanstwem przedmiotu i, co cenne, nie ograniczył się wyłącznie do pisarzy eks-komunistów, ale włączył do książki, tytułem przykładu, rozmowy z pisarzami, którzy przeszli przez komunizm z podniesionym czołem. Ozdobą książki jest rozmowa Trznadła ze Zbigniewem Herbertem.

Str. 320.

Cena F. 120,00.



TOM 423 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT SIEDEMDZIESIĄTY ÓSMY

Zawiera m.in. opracowania: T. Wyrwa: *Historyk na obczyźnie*; J. Karski: *Tajna dyplomacja Churchilla i Roosevelta w sprawie Polski (1940-1945)*; Michał Heller: *Władzysław Mołotow — najwierniejszy z wiernych*; A. Korboński: *Październik 1956*; A. Beskid: *Zaolzie*; St. Wachowiak: *Wojna i okupacja 1939-1945 (dok.)*; J. Jurkszus-Tomaszewska: *Józef Rybicki* oraz obszernie dział: OKRUCHY HISTORII i LISTY DO REDAKCJI.

Str. 240.

Cena F. 70,00.